



OUTLIERS

KIMBERLY  
MCCREIGHT



# OUTLIERS

KIMBERLY  
McCREIGHT

przełożył Piotr Kaliński

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2017

## Spis treści

<u>Okładka</u>	<u>Strona tytułowa</u>	<u>Strona redakcyjna</u>	<u>PROLOG</u>	<u>1</u>	<u>2</u>	<u>3</u>	<u>4</u>	<u>5</u>	<u>6</u>	<u>7</u>	<u>8</u>	<u>9</u>					
<u>10</u>	<u>11</u>	<u>12</u>	<u>13</u>	<u>14</u>	<u>15</u>	<u>16</u>	<u>17</u>	<u>18</u>	<u>19</u>	<u>20</u>	<u>21</u>	<u>22</u>	<u>23</u>	<u>24</u>	<u>25</u>	<u>26</u>	<u>27</u>
<u>PODZIĘKOWANIA</u>																	
<u>przypisy końcowe</u>																	

Tytuł oryginału:

*THE OUTLIERS*

Redakcja językowa: Krystian Gaik

Projekt okładki: © Sarah Nichole Kaufman

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce:

© Kamenetskiy Konstantin / Shutterstock

© AAR Studio / shutterstock

© Lita Bosch/Moment/Getty Images

© Rubberball/Mike Kemp/Getty Images

© Joseph Squillante/The Image Bank/Getty Images

Zdjęcie autorki: ©Justine Cooper

Korekta: Maciej Korbański

Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © 2016 by Kimberly McCreight

Published in agreement with the author c/o Marly Rusoff Literary Agency, Bronxville, New York, USA and AJA Anna Jagota Agency, Warsaw, Poland.

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-355-4

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:  
[sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Harper i Emerson, najodważniejszych z odważnych.

Trzeba wierzyć, że człowiek jest do czegoś zdolny, i osiągnąć to za wszelką cenę.

Maria Skłodowska-Curie



## PROLOG

Dlaczego zawsze łatwiej jest mi uwierzyć w coś złego? Nie powinno tak być. Ale jest, za każdym razem. Ciągłe słyszę, że jestem zbyt wrażliwa i za bardzo się przejmuję. W dodatku nie tym, czym należy się przejmować. Wystarczy, że ktoś mi szepnie coś do ucha, a te same słowa wylatują mi z ust, jakbym to ja je pomyślała. A jak będą się powtarzać, to nim się obejrzę, będą wyryte w moim sercu.

Ale teraz muszę zapomnieć o tym wszystkim, co sprawia, że uważam się za zepsutą. Siedząc w tym zimnym, ciemnym pomieszczeniu, w samym środku czarnego lasu, i patrząc w oczy leżącej przede mną, obcej mi osoby, muszę myśleć o sobie w zupełnie inny sposób. Potrzebna mi wiara, że jestem tym, kogo nigdy nie umiałam w sobie dostrzec. Że w najgłębszych, najmroczniejszych zakamarkach mojej duszy kryje się sekret, który może się jeszcze okazać dla mnie zbawienny. Dla nas.

Bo wciąż nie do końca rozumiem, co się dzieje. Właściwie nie wiem prawie nic. Ale jedno jest jasne: pomimo całego strachu w oczach tej kobiety, musimy ją przekonać, by nam pomogła. Od tego zależy, czy przeżyjemy. I czy uda nam się stąd wydostać.

Telefon mojego taty głośno wibruje i lekko się przesuwa po naszym wysłużonym stole w jadalni. Tata go wyłącza.

– Przepraszam. – Uśmiecha się, przebiega dłonią po grubych czarno-białych włosach i poprawia kanciaste czarne okulary. Są prawdziwie hipsterskie, ale nie dlatego je kupił. W przypadku mojego ojca wszelka hipsterskość jest całkowicie przypadkowa. – Myślałem, że go wyłączyłem. Nie powinien w ogóle leżeć na stole.

Taką mamy zasadę: żadnych telefonów w jadalni. Obowiązywała w naszym domu, odkąd pamiętam, mimo że nikt jej nie przestrzegał – ani moja mama, ani mój brat bliźniak Gideon, ani ja. Ale to było przed. Dzisiaj wszystko dzieli się na PRZED i PO, a w strasznym środku jest wypadek samochodowy mojej mamy cztery miesiące temu. W erze PO zasada z telefonami jest dla taty dużo ważniejsza. Zresztą nie tylko ona. Czasem wydaje mi się, jakby próbował odbudować nasze życie za pomocą zapalek. I kocham go za to, naprawdę. Tylko że kochać kogoś to nie to samo, co go rozumieć. Ale nie narzekam, bo mój tata też mnie nie rozumie. Nigdy mnie nie rozumiał. Od śmierci mamy chyba już nikt nigdy mnie nie zrozumie.

Ale mój ojciec nic nie poradzi na to, że jest hardcorowym naukowcem, któremu do życia wystarcza jego własna wyobraźnia. Wprawdzie od wypadku częściej mówi „kocham cię” i bez przerwy dodaje nam otuchy, jakbyśmy z Gideonem byli żołnierzami szykującymi się na wojnę, jednak wszystko to wychodzi mu trochę niezręcznie i ja w końcu jeszcze bardziej się martwię. O nas wszystkich.

Problem w tym, że mój ojciec nie ma wielkiego doświadczenia w byciu ciepłym tatusiem. Serce mamy zawsze wystarczało za dwoje. Nie żeby była miękka. Nie mogłaby być takim fotografem, jakim była – te wszystkie wojny w najróżniejszych zakątkach świata – gdyby nie umiała postawić twardo na swoim. Ale u mojej mamy uczucia istniały tylko w jednej formie: skrajnie wyolbrzymione. I dotyczyło to też jej własnych emocji. Płakała jak bóbr na widok każdej powitalnej laurki, jaką dla niej rysowaliśmy z Gideonem. Z uczuciami innych miała podobnie. Zawsze wiedziała, że ja albo Gideon mamy gorszy nastrój,

zanim jeszcze przekroczyliśmy próg domu.

To przez ten jej szósty zmysł mój tata zainteresował się inteligencją emocjonalną (w skrócie: EI). Jest badaczem i profesorem uniwersyteckim, który prawie całą karierę poświęcił jednemu, wąskiemu wycinkowi EI. Nie jest to coś, dzięki czemu kiedykolwiek się wzbogaci. Ale pasją doktora Benjamina Langa jest nauka, nie pieniądze.

No i fakt, że mój ojciec jest Blaszanym Drwalem, ma przynajmniej jedną dobrą stronę: po wypadku tata się nie załamał. Tylko raz był bliski zapaści, rozmawiając przez telefon z doktorem Simonsem, swoim najlepszym przyjacielem, będącym jednocześnie jego mentorem i zastępczym ojcem. I nawet wtedy bardzo szybko odzyskał pion. Niekiedy jednak myślę, że wolałabym, gdyby czasem kompletnie się rozsypał, jeśli w zamian za to od czasu do czasu by mnie przytulił. Tak mocno, że nie mogłabym oddychać. Chciałabym choć raz spojrzeć mu w oczy i zobaczyć, że mnie rozumie, bo sam też jest zrozpaczony.

– Możesz odebrać – mówię. – Mi to nie przeszkadza.

– Tobie, Wylie, może nie, ale mnie owszem. – Tata zdejmuje okulary i pociera oczy jak starzec. Widząc to, czuję się jeszcze gorzej.

– Coś w życiu musi mieć znaczenie. Inaczej nic nie jest ważne.

To jedno z jego ulubionych powiedzeń.

Wzruszam ramionami.

– Dobra, nieważne.

– Zastanawiałaś się jeszcze nad tym, co ci powiedziała doktor Shepard na dzisiejszej sesji? – pyta, siląc się na luz. – O powrocie do szkoły?

Jestem pewna, że czekał z tym pytaniem od momentu, kiedy usiedliśmy do stołu. Rezygnacja z edukacji domowej i ukończenie pierwszej klasy w liceum Newton Regional to jego ulubiony temat. Nawet jak o tym nie rozmawiamy, to tylko dlatego, że mój ojciec gryzie się w język, żeby nic nie powiedzieć.

Tata się boi, że jeśli wkrótce nie wrócę do normalnej szkoły, to już nigdy tego nie zrobię. Pod tym względem on i moja terapeutka, doktor Shepard, są ze sobą w pełni zgodni. Zresztą doskonale się rozumieją w większości spraw, pewnie dlatego piszą do siebie maile. Pozwoliłam im na to po wypadku. Mój ojciec strasznie się o mnie martwił, więc

pomyślałam, że jak to zrobię, to zobaczą, jaka jestem opanowana, skora do współpracy, no i że nie jestem stuknięta. Ale nigdy mi się nie podobały ich osobiste pogaduszki, zwłaszcza odkąd oboje zapisali się do Klubu Przywrócenia Wylie do Nauki w Liceum. Dodatkowo mojej sprawie pewnie nie pomogło to, że trzy tygodnie temu musiałam przejść z doktor Shepard na konsultacje telefoniczne, bo nie jestem w stanie wyjść z domu. W pewnym sensie potwierdza to jej tezę, że moje unikanie szkoły to tylko wierzchołek bardzo niepokojącej góry lodowej.

Nawet zgoda na naukę w domu przysłała jej z trudem. Bo ona dobrze wie, że moje problemy ze szkołą nie zaczęły się wcale tego dnia cztery miesiące temu, kiedy samochód mamy wpadł w poślizg i rozpadł się na pół.

\* \* \*

– Nie wiem, Wylie, czy to dla ciebie właściwa droga – powiedziała doktor Shepard podczas naszej ostatniej sesji twarzą w twarz.

– Rezygnacja ze szkoły niczego nie rozwiąże. Poddając się swoim lękom, tylko pogarszasz swój stan. Uważam, że to prawda nawet teraz, kiedy przeżywasz zrozumiały żal po stracie.

Poprawiła się w swoim dużym czerwonym fotelu, w którym zawsze wyglądała tak idealnie: drobna, jakby skurczona do maleńkości Alicja w Krainie Czarów. Spotykałam się z doktor Shepard mniej więcej (raczej więcej) regularnie od prawie sześciu lat. Czasem wątpiłam, czy faktycznie jest terapeutką – taka była malutka, młoda i piękna. Ale przez te lata bardzo mi pomogła swoim terapeutycznym koktajlem złożonym z ćwiczeń oddechowych, sztuczek myślowych i niezliczonych godzin rozmów. Kiedy zaczynałam liceum, byłam już w miarę normalną, może tylko trochę nerwową, dziewczyną. Przynajmniej do momentu, kiedy po wypadku mamy nie rozleciałam się na kawałki, pokazując światu swoje zepsute wnętrze.

– Jeśli mamy być precyzyjni, to nie rezygnuję ze szkoły, tylko z budynku szkolnego – powiedziałam i uśmiechnęłam się nieszczerze, na co doktor Shepard tylko ściągnęła swoje doskonale wypielęgnowane brwi. – Zresztą nie jest tak, że nie próbowałam.

Mówiąc ściślej, ominęły mnie tylko dwa dni lekcji: dzień po wypadku i ten, w którym był pogrzeb. Poprosiłam nawet ojca, żeby

zadzwoił do wychowawczynie i dopilnował, żeby po moim powrocie do szkoły traktowano mnie normalnie. Taki miałam plan. Udawać, że nic się nie stało. I przez jakiś czas się udawało. Chyba nawet przez cały tydzień. Ale potem nadszedł ten poniedziałkowy poranek – jeden tydzień, jeden dzień i czternaście godzin po pogrzebie – kiedy zaczęłam wymiotować i nie mogłam przestać. Ciągnęło się to godzinami i uspokoiło się dopiero na pogotowiu, gdzie dali mi leki przeciwwymiotne. Mój tata tak się przeraził, że jeszcze zanim wyszliśmy ze szpitala, zgodził się na naukę w domu. Myślę, że wtedy przystałby na wszystko, bylebym tylko lepiej się poczuła.

Ale jak mogę się lepiej poczuć bez mamy, która zawsze pomagała mi dostrzec jasną stronę każdej sytuacji? M o j ą jasną stronę.

– Jesteś po prostu wrażliwa – mówiła. – Świat potrzebuje wrażliwych ludzi.

I jakimś cudem jej wierzyłam.

Może moja mama nie chciała widzieć prawdy. W końcu jej matka, moja babcia, umarła smutna i samotna w szpitalu psychiatrycznym. Może odpychała od siebie myśl, że jej historia powtarzała się w mojej osobie. A może naprawdę nie uważała, że coś jest ze mną nie tak. Kiedyś pewnie by mi to powiedziała, ale teraz już nigdy się tego nie dowiem.

\* \* \*

Patrzę na swój talerz, żeby uniknąć spojrzenia ojca, i wtykam doskonale ugotowane szparagi w starannie uformowaną górę kuskusu. Kiedy mam gorszy dzień, na pierwszy ogień zawsze idzie mój apetyt, a od wypadku mam prawie same gorsze dni. Ale żałuję, że nie jestem głodna, bo talent kulinarny mojego ojca to teraz jedyny pozytyw w naszym życiu. Odkąd pamiętam, to on był u nas szefem kuchni.

– Mówiłeś, że sama zdecyduję, kiedy będę gotowa wrócić do szkoły – odzywam się w końcu, choć wiem, że nigdy nie będę gotowa ani chętna do przekroczenia progu Newton Regional. Ale na razie nie ma sensu mu tego zdradzać.

– Bo tak jest. Sama o tym zdecydujesz. – Sili się na luz, ale on też nie tknął swojego jedzenia. Do tego wyskoczyła mu żyła na czole. – Ale nie podoba mi się, że tkwisz tu całymi dniami sama jak palec. Czuję, że... Samotność ci nie służy.

– Lubię swoje towarzystwo. – Wzruszam ramionami. – To przecież zdrowe. Powinieneś to wiedzieć jako psycholog. Wysokie poczucie własnej wartości i tak dalej.

Niesamowite, jak coraz mniej przekonujący wydaje mi się mój uśmiech za każdym razem, kiedy się do niego zmuszam. To pewnie dlatego, że w głębi duszy chciałabym przegrać ten spór. Chciałabym, żeby ktoś zaciągnął mnie siłą do szkoły.

– Proszę cię. – Tata patrzy mi w oczy i krzyżuje ramiona przed sobą. – To, że lubisz siebie, bynajmniej nie oznacza, że...

Ktoś głośno puka do drzwi. Oboje aż podskakujemy. Błagam, tylko nie Gideon – to moja pierwsza myśl. Bo kiedy ostatnim razem ktoś niespodziewanie do nas zapukał, okazało się, że jedno z nas zostało nam gwałtownie odebrane. A Gideon – mój „odwrotny bliźniak”, jak żartowała mama, bo faktycznie jesteśmy od siebie radykalnie różni: on na przykład uwielbia nauki przyrodnicze i historię, a ja wolę matematykę i angielski – jest jedynym, którego nie ma teraz w domu.

– Kto to? – pytam, próbując zignorować dzikie bicie serca.

– Na pewno nic poważnego – mówi tata, mimo że nie ma pojęcia, kto stoi za drzwiami ani czy faktycznie nie ma się czym przejmować. To oczywiste w jego przypadku. – Pewnie ktoś coś sprzedaje.

– Tato, nie ma już obwoźnych sprzedawców – odpowiadam.

Ale on już rzucił serwetkę na stół i ruszył w stronę drzwi.

– Karen. – W jego głosie brzmi ulga, ale tylko przez chwilę. – Co cię do nas... Coś się stało?

Ja też wychodzę z jadalni i widzę mamę Cassie, Karen, stojącą na naszej werandzie. Nawet w słabym, żółtawym świetle energooszczędnych żarówek wygląda jak wystrojona lala. Ma idealnie wygładzone kasztanowe włosy do ramion i jasnozieloną chustę zawiązaną starannie wokół kołnierza białego, szytego na miarę wełnianego płaszcza. Jest środek maja, ale właśnie zaatakował nas jeden z tych słynnych bostońskich chłódów.

– Przepraszam, że się tak zjawiam – mówi Karen wysokim, piskliwym głosem. Trochę też dyszy, wypuszczając z ust białą chmurę – ale dzwoniłam kilka razy i nikt nie odbierał. Teraz jeździłam po okolicy, żeby ją znaleźć, i zobaczyłam, że się u was świeci, więc

uznałam... Boże, wszędzie już szukałam.

Kiedy zaplata dłonie i robi krok w przód, dostrzegam jej stopy. Są bosa.

– Kogo wszędzie szukałaś? – Mój tata też zauważył, że jest bosa. – Karen, co się stało z twoimi butami? Wejdz. – Ona stoi bez ruchu, więc ojciec wyciąga rękę i delikatnie popycha ją do przodu. – Na pewno zmarzłaś. Chodź.

– Nie mogę znaleźć Cassie. – Jej głos nagle się załamuje.  
– Możesz... Ben, nie chcę się naprzykrzać, ale czy możesz mi pomóc?

Tata prowadzi mamę Cassie do najbliższego fotela w salonie. Karen pada na niego, sztywna i z nieruchomą twarzą. Nigdy jej takiej nie widziałam. Bo nie tylko ubrania Karen są zawsze idealne. Ona sama jest idealna. Plaga Perfekcji – tak ją nazywa Cassie. Taka szczupła i ładna, zawsze uśmiechnięta i z doskonale ułożoną fryzurą. I szczupła. Warto to powtórzyć. Bo jeśli wierzyć Cassie, Karen ocenia ludzi przez pryzmat ich wagi, która jest dla niej ważniejsza niż inne cechy. Faktycznie może tak być. Dla mnie zawsze jest miła, ale do córki zwraca się jakimś dziwnie ostrym tonem, ukrytym głęboko pod nieskazitelnie gładkim głosem. Jakby ją kochała, ale może niespecjalnie lubiła.

– Wylie, przynieś Karen szklanek wody, dobrze?

Tata patrzy na mnie wielkimi oczami. Boi się, że ta sytuacja – cokolwiek oznacza – wytrąci mnie z równowagi, a tymczasem ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to utrata równowagi. Przyznam, że jest w tym sporo racji. Więc chce się mnie pozbyć dla mojego dobra. Nie rozumiem, jak może myśleć, że nie będę się martwiła o Cassie. Na to już za późno, już za dużo usłyszałam.

– Chętnie się napiję – mówi Karen, ale zupełnie nieprzekonująco. Po prostu poddaje się sugestii mojego taty. – Dziękuję, Wylie.

– Wylie – naciska tata, widząc, że się nie ruszam i tylko gapię się w dywan.

Muszę uważać. Jeśli uzna, że zaczynam wariować, wyśle mnie do mojego pokoju już na dobre. Może nawet pożegna się z Karen, zanim się czegoś dowiem. A muszę wiedzieć, co się dzieje. Mimo wszystkiego, co zaszło między mną a Cassie i mimo że nie jest to pierwsza kryzysowa sytuacja z jej udziałem, wciąż nie jest mi obojętna. Nigdy nie będzie.

Ale już widzę po wyrazie twarzy mojego taty, że chce to załatwić tak szybko, jak tylko się da, i odesłać Karen do domu. I naprawdę jest w stanie to zrobić, bez względu na to, jak bardzo lubi Karen i Cassie. Od wypadku wyznaczył całe mnóstwo nowych granic: moim dziadkom, nauczycielom, lekarzom i sąsiadom. Wszystko po to, żeby nas chronić. Głównie mnie, to fakt. Gideon był zawsze tym „odporniejszym”. Tak



ludzie się o nim wyrażają, kiedy myślą, że nie słyszę. A w przypadku mojej babci od strony ojca – prosto w oczy. Zaraz po pogrzebie osaczyła mnie u nas w domu i powiedziała, że powinnam być bardziej jak Gideon. Dowiedziawszy się o tym, tata zabronił jej nas odwiedzać.

Prawda jest taka, że babcia nigdy za mną nie przepadała. Za bardzo jej przypominałam moją mamę, której nigdy nie lubiła. Ale miała rację co do Gideona – on rzeczywiście łatwiej niż ja dochodzi do siebie po ciężkich ciosach. Zawsze taki był. Uczucia, zwłaszcza te nieprzyjemne, spływają po nim jak woda po kaczce. Pewnie ma to jakiś związek z tym jego komputerowym mózgiem. Za to do mnie się przyczepiają i zawsze robi się z nich nieznośna chryja. Gideon tęskni za mamą, ale podchodzi do jej śmierci ze stoickim spokojem, jak ojciec.

Ja wrodziłam się bardziej w naszą mamę. Z tą różnicą, że ona swoje emocje rozkręcała na pełny regulator, a moje już dawno zniszczyły membrany w głośnikach.

– Dobrze. Woda. Przyniosę – mówię do taty, który nie odrywa ode mnie wzroku. – Już idę.

\* \* \*

Cassie i ja zaprzyjaźniłyśmy się w toalecie. A dokładniej: chowając się w toalecie Szkoły Podstawowej imienia Samuela F. Smitha. Grudzień, szósta klasa. Poszłam do łazienki, żeby stanąć na sedesie i w ten sposób przeczekać godzinę wychowawczą. Nie przyszło mi do głowy, kiedy waliłam pięścią w drzwi ostatniej kabiny, że ktoś inny mógłby wpaść na ten sam pomysł.

– Ej! – usłyszałam, kiedy tylko niezatrzaśnięte drzwi się uchyliły i uderzyły w kogoś, kto był w środku. – Co to ma być?!

– Przepraszam. – Momentalnie cała się zaczerwieniłam. – Nie widziałam twoich nóg.

– Wiem. Właśnie o to chodzi. – Słysząc było, że jest wkurzona. Po chwili też to zobaczyłam, kiedy otworzyła drzwi do końca. Cassie, nowa dziewczyna w szkole, robiła dokładnie to, po co ja tam przyszłam: siedziała w kucki na sedesie, całkiem ubrana. Przez chwilę patrzyła na mnie zdziwiona, w końcu wywróciła oczami i przesunęła się w bok, zwalniając dla mnie miejsce z jednej strony. – No, nie stój tak. Wchodź, zanim ktoś cię nakryje.

Cassie i ja znałyśmy się z widzenia – nasza szkoła była dosyć mała – ale się nie przyjaźniłyśmy. Nie miała tu żadnych koleżanek i trochę było mi jej żal, bo inne dzieciaki jej dokuczały. Głównie z powodu jej niechlujnie noszonych spodni od dresu i krótkich zmierzwionych loków oraz dlatego, że była większa od pozostałych dziewczyn. I w brzuchu, i w piersiach. Nawet sukcesy sportowe nie zapewniały jej taryfy ulgowej. Mimo że praktycznie sama wywindowała naszą tradycyjnie beznadziejną drużynę piłkarską na przyzwoity poziom, wszystkich obchodził jedynie fakt, że nie wyglądała jak należy. Ale nie bardzo mogłam Cassie bronić. Zwłaszcza w ostatnim czasie. Sama ledwo trzymałam się krawędzi.

– Co cię sprowadza do Komory Wstydu? – zapytała Cassie, gdy już stanęłyśmy nad wodą w muszli, dotykając się kolanami.

Nie miałam najmniejszego zamiaru czegokolwiek jej mówić. Ale w tej chwili zapragnęłam tylko jednego: powiedzieć jej wszystko.

– Wszystkie moje przyjaciółki mnie nienawidzą – zaczęłam.  
– I wszystkie są w mojej klasie.

– Za co cię nienawidzą? – spytała, a ja się ucieszyłam, że nie próbowała z automatu wybić mi tego z głowy. Ludzie uwielbiają negować wszystkie przykre uczucia, o jakich opowiadają im inni. (Możecie mi uwierzyć, jestem ekspertką w tej dziedzinie). Tymczasem Cassie się zaciekawiła. – Co się stało?

Więc opowiedziałam jej o tym, jak Maia, Stephanie, Brooke i ja tworzyłyśmy od ósmego roku życia zgraną ekipę, ale ostatnio miałam wrażenie, że trzymają mnie na dystans i się ze mnie naśmiewają. Bardzo długo – aż do minionej soboty – wmawiałam sobie, że to wszystko tylko mi się wydaje. Nocowałyśmy wszystkie u jednej z nich w domu i nagle wszystkie trzy naskoczyły na mnie i zaczęły wypytywać o moją terapeutkę. Mama Mai pracowała w administracji szkolnej i pewnie zobaczyła notkę od moich rodziców, że tego dnia wyjdę ze szkoły przed końcem lekcji, żeby zdążyć na pierwszą wizytę u doktor Shepard. A potem najwyraźniej postanowiła powiedzieć o tym swojej córce, w co ja cały czas nie mogłam uwierzyć.

– Wylie, co się boisz? Powiedz – namawiały mnie.

Byłam mocno spocona, a do tego cały pokój zaczął mi wirować

przed oczami. I wtedy to się stało.

– Nawet się nie zorientowałam, że wymiotuję, dopóki nie usłyszałam ich krzyków – powiedziałam Cassie. Nawet wtedy miałam wrażenie, że znów słyszę ich głosy: „O nieeeee! Ohydaaa!”.

– To słabe – odparła Cassie. Jakby moja opowieść była ważna, ale nie aż tak niepokojąca. – Mój trener koszykówki pokazał mi wczoraj swój sprzęt. Wiesz, pan Pritzer. Podwiózł mnie do domu po treningu i po prostu wyjął go na wierzch. Najgorsze, że mam z nim godzinę wychowawczą.

To też powiedziała takim tonem, jakby jej przygoda nie była taka znowu straszna. Może tylko niefortunna.

– Ojej – jęknęłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. Zawstydziałam się na myśl o tym, co zrobił pan Pritzer. – Co za oblech.

– Dokładnie – przytaknęła Cassie. Wyglądała na smutną.

– Mówiłaś rodzicom? – zapytałam.

– Matka mi nie uwierzy. – Wzruszyła ramionami. – Tak już jest, jak się ciągle kłamie.

– Ja ci wierzę – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Dzięki. – Cassie się uśmiechnęła. – Przykro mi, że straciłaś wszystkie przyjaciółki. – Pokiwała głową, zaciskając wargi. – Dobrze, że masz nową.

\* \* \*

Jestem w kuchni i poruszam się szybko. Nie czekam, aż z kranu popłynie zimna woda – od razu napełniam szklankę dla Karen. Prawda jest taka, że od dłuższego czasu czekałam, aż wydarzy się coś „dużego” z udziałem Cassie. Ratowanie jej skóry było częścią mojego życia. Albo osłaniałam ją przed roslymi ósmoklasistami, którym pyskowała, albo przywoziłam pieniądze do drogerii, żeby nie trafiła do aresztu za kradzież szminki (Cassie nawet nie używa szminki). Niegroźne, głupie wybryki.

Ale tej jesieni sprawy przybrały mroczny obrót. Największym problemem stał się alkohol. Najgorsze nie było nawet to, jak dużo piła (pięć czy sześć piw jednego wieczoru) ani jak często (dwa, trzy razy w tygodniu). Takie ilości byłyby groźne dla każdego, ale dla kogoś z jej zestawem genów była to prawdziwa katastrofa. Kiedyś sama

powiedziała, że nie powinna pić. Kochała swojego ojca, ale nie zamierzała skończyć jak on.

Z czasem jakby zapomniała o wszystkich swoich obietnicach. I naprawdę nie lubiła, kiedy jej o nich przypominałam. Parę miesięcy po rozpoczęciu naszego pierwszego roku w liceum staczała się w takim tempie, że aż kręciło mi się w głowie od samego patrzenia. Ale im bardziej się o nią martwiłam, tym bardziej się na mnie gniewała.

Na szczęście Karen ciągle mówi, kiedy wracam wreszcie do salonu. Może jeszcze uda mi się wyłapać ważne detale.

– W każdym razie... – Patrzy w moją stronę i odchrząkuje.  
– Przyszłam do domu, żeby porozmawiać z Cassie po szkole, ale jej nie było.

Podaję Karen szklanekę. Jest ciepła, ale Karen zdaje się tego nie zauważać. Za to dostrzega w końcu moje włosy. Zauważam to trwając ułamek sekundy spojrzenie, kiedy je rejestruje. Muszę jednak przyznać, że bardzo szybko się opanowuje i nie pozwala, żeby na jej twarzy pojawił się wyraźny szok. Zamiast tego uśmiecha się szeroko.

– Nie sądzisz, że Cassie może jeszcze się zjawić? – pyta mój ojciec. – Jest dopiero pora kolacji.

– Miała być w domu – mówi stanowczo Karen. – Przez cały tydzień miała szlaban, bo... Nawet nie chcę ci mówić, jak się do mnie odezwała. – O, jest znowu ten znajomy ton. To jej niewypowiedziane „trochę jej nienawidzę, może nawet bardziej niż ona mnie”.

– Powiedziałam jej, że jak nie będzie jej w domu, zadzwonię do tej szkoły z internatem, nad którą się zastanawiam. Wiesz, jednej z tych placówek terapeutycznych. Nie, nie jestem dumna z tej groźby ani z tego, że upadliśmy tak nisko, bym musiała ją gdzieś odsyłać. Ale taka jest rzeczywistość. Znalazłam też to.

Karen wyjmuję coś z kieszeni i podaje mojemu tacie. To bransoletka Cassie z jej nazwiskiem.

– Nie zdejmowała jej, odkąd ją ode mnie dostała trzy lata temu.  
– Do oczu Karen napływają łzy. – Z tą szkołą nawet nie mówiłam serio. Po prostu się martwiłam. I byłam zła. Tak. Przyznaję, że byłam na nią zła.

Mój tata patrzy pytająco na bransoletkę owiniętą wokół jego palców, po czym znów spogląda na Karen.

– Może jej spadła – mówi, akcentując końcówkę ostatniego słowa, jakby pytał.

– Znalazłam ją na mojej poduszce. Rano jej tam nie było. To znaczy, że Cassie musiała wrócić ze szkoły i wyjść. Chciała dać mi do zrozumienia, że ma mnie gdzieś i wyjeżdża. Jestem tego pewna. – Karen patrzy w moją stronę. – Wylie, nic ci nie mówiła?

Dawniej, kiedy między nami było jeszcze okej, przynajmniej raz na godzinę pisałyśmy do siebie esemesy. Ale to już przeszłość. Kręcę głową i mówię:

– Dawno nie rozmawiałyśmy.

Co najmniej od tygodnia, może dłużej. Siedząc w domu, łatwo stracić dokładną rachubę. W każdym razie od wypadku to nasze najdłuższe ciche dni. Prędzej czy później musiało do tego dojść. Nie mogłyśmy wiecznie udawać, że się przyjaźnimy. Bo to właśnie robiłyśmy, odkąd Cassie odwiedziła mnie po wypadku: udawałyśmy.

Wypadek miał miejsce w styczniu, ale Cassie i ja nie rozmawiałyśmy ze sobą od późnej jesieni. Dwa długie miesiące, które dla szesnastolatki były jak wieczność. Jednak nazajutrz po wypadku Cassie przyszła do naszego domu. Oczywiście tak mnie piekły od płaczu, że początkowo wydawało mi się, że mam zwidy. Dopiero kiedy Cassie pomogła mi się przebrać – od dwóch dni miałam na sobie te same rzeczy – uwierzyłam, że to naprawdę ona. I dopiero gdy rozpuściła mi włosy, wyszczotkowała je na gładko i zaplotła w warkocze, jakby szykowała mnie do bitwy, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi jej brakowało.

Nie wiem, ile powiedziała swojej matce o naszym rozstaniu i tymczasowym powrocie do siebie. Tak czy inaczej, kilka tygodni temu nasze drogi znowu się rozeszły. Ale założę się, że Karen nie wie zbyt wiele. Nie łączy jej z Cassie jakaś szczególnie silna więź. Zwłaszcza że powód naszego rozstania nie stawia Cassie w dobrym świetle.

– Dawno nie rozmawialiście? – pyta ze zdziwieniem ojciec.

Moja mama wiedziała o naszych kłopotach, kiedy tylko się zaczęły. Widać nie powiedziała nic tacie. Możliwe, że ją prosiłam o dyskrecję – nie pamiętam. Za to pamiętam jej słowa, kiedy usłyszała

ode mnie, że już się nie przyjaźnię z Cassie. Leżałyśmy obok siebie na jej łóżku i gdy skończyłam mówić, powiedziała:

– Ja bym nigdy nie przestała się z tobą przyjaźnić.

Wzruszam tylko ramionami.

– Ostatniego esemesa dostałam chyba tydzień temu. Może we wtorek.

– Tydzień temu? – powtarza mój ojciec i ściąga mocno brwi.

Naprawdę nie pamiętam. Ale teraz jest następny czwartek. Na pewno od ponad tygodnia ze sobą nie rozmawiałyśmy.

– Aha, tak długo. – Karen jest bardziej rozczarowana, niż zaskoczona. – Zauważyłam, że macie ostatnio rzadszy kontakt, ale nie wiedziałam... – Kręci bezsilnie głową. – Dzwoniłam na policję, ale ponieważ Cassie ma szesnaście lat i się pokłóciłyśmy, to oczywiście nie spieszą się z poszukiwaniami. Spisali raport i zadzwonią do lokalnych szpitali, ale na pewno nie będą przeczesywać lasów. Wyślą też radiowóz, ale dopiero rano. – Karen przyciska palce do skroni i kiwa głową w przód i w tył. – Rano. To za dwanaście godzin. Kto wie, w jakim stanie będzie Cassie po takim czasie. Pomyślcie tylko o tych wszystkich strasznych... Ben, nie mogę czekać do rana. Nie po tym, jak się rozstałyśmy.

Dziwię się, że Karen ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak bardzo jej córka straciła ostatnio kontrolę nad własnym życiem. A z drugiej strony, odkąd Cassie nie miała już mnie do pomocy w zacieraniu śladów, prędzej czy później musiała wpaść. Obraz, który jej matka ma teraz w głowie – Cassie leżąca gdzieś nieprzytomna – jest niestety całkiem prawdopodobny. Nawet o tej porze, przed siódmą wieczorem, jest to całkiem możliwe.

W Newton Regional mówi się na to „popołudniówki”. Podobno upijanie się w trupa w środku dnia to najnowszy krzyk mody wśród wszystkich przebojowych dzieciaków. Ostatni raz jechałam z odsieczą w listopadzie i było to o czwartej albo piątej po południu. Wzięłam taksówkę, żeby zabrać Cassie z domówki u Maksa Russella, bo była zbyt pijana, żeby mogła sama wrócić do siebie. Na szczęście dla niej moja mama była w rozjazdach, ojciec jak zwykle pracował w swoim laboratorium, a Gideon nie wrócił jeszcze ze szkoły, bo uzupełniał swoje

zgłoszenie do Konkursu Naukowego Intela. Więc wymknęłam się z domu, wróciłyśmy razem i nikt się nie zorientował. Cassie tak się zataczała, że co chwila wpadała na ścianę. Potem przytrzymałam jej włosy, a ona wymiotowała do sedesu. Zadzwoiłam do Karen i powiedziałam, że Cassie ma migrenę i zostanie u mnie na noc.

Nazajutrz powiedziałam Cassie, że musi przestać pić, bo stanie się coś strasznego. Ale wtedy nie byłam już jej jedyną przyjaciółką, a tylko tą od mówienia oczywistych prawd, których ona nie chciała słyszeć.

– Wylie, wszystko w porządku? – Mój tata gapi się na mnie; nie wiem, jak długo.

Wreszcie dociera do mnie, o co mu chodzi: stoję zwrócona twarzą do jednej ze ścian salonu, jakbym chciała wyjść z domu przez gips.

– Może usiądziesz? – pyta tata.

– Nic mi nie jest – mówię, ale widać wyraźnie, że jednak coś jest na rzeczy.

– Och, skarbie, przepraszam. – Karen patrzy na mnie i znów wygląda, jakby miała się rozplakać. – Wiem, że nie potrzebujecie teraz moich, naszych... – Zmusza się do niepewnego uśmiechu i jeszcze bardziej przypomina kogoś, kto zaraz rozpadnie się na kawałki.

Spuszczam wzrok. Jeśli zobaczę, że faktycznie zaczyna się rozklejać, zrobię to samo.

– Jestem pewna, że Cassie nic się nie stało – ciągnie Karen.

– Policja ma rację, że przesadzam. Zwykle tracę cierpliwość w takich...

Nie kończy zdania, ale wiem, że chodzi jej o tatę Cassie, Vince'a. Kiedy się poznałyśmy, jej rodzice byli już rozwiedzeni, ale Cassie opowiadała mi o tym, jak wyglądało życie z Vince'em pod jednym dachem. Nie był typem cichego pijaka. W letnie dni przy grillu wdawał się w bijatyki z sąsiadami, nocami dzwonił, żeby go zgarnąć spod jakiegoś baru, z którego właśnie go wyrzucili. Dla Karen kroplą, która przelała czarę goryczy, było drugie aresztowanie Vince'a za jazdę po pijanemu. Rozbił wtedy samochód o skrzynkę na listy w centrum Bostonu. I teraz, tak samo jak ja, Karen się boi, że Cassie powtarza historię Vince'a. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że mój ojciec wciąż mi się przygląda.

– Nic mi nie jest – powtarzam. Za głośno. – Po prostu chcę pomóc ją znaleźć.

– Wylie, to oczywiste, że chcesz pomóc – mówi mój tata. – Ale nie sądzę, żeby teraz...

– Proszę cię – przerywam mu, uważając, żeby mój głos zabrzmiał stanowczo, ale nie rozpaczliwie. – Potrzebuję to zrobić.

To prawda. Nawet nie wiedziałam, jak bardzo, dopóki tego nie



powiedziałam na głos. Po części chcę sama sobie udowodnić, że jestem w stanie pomóc. Ale poza tym chodzi też o to, że czuję się winna. Nie podobało mi się to, co Cassie wyprawiała, i bałam się, co się może stać, jeśli nie przestanie. Ale może powinnam była dać jej do zrozumienia, że zawsze będę ją kochała, bez względu na to, jakie popełni w życiu błędy.

– Ależ ze mnie egoistka, że wam zawracam głowę. – Karen chowa twarz w dłoniach. – Przecież tyle ostatnio przeszliście. W ogóle nie myślę.

Tata patrzy mi w oczy. Ma przymrużone powieki, jakby rozwiązywał w głowie równanie drugiego stopnia. W końcu bierze głęboki wdech.

– Wylie ma rację. Pomożemy ci. Dobrze nam to robi – mówi, a ja mam ochotę zakrzyknąć z radości. Może jednak mnie słyszy. Może coś tam rozumie. Odwraca się z powrotem do Karen. – Zróbmy parę kroków wstecz. Co dokładnie zaszło dziś rano między tobą a Cassie?

Karen krzyżuje ręce i odwraca wzrok.

– Szykowałyśmy się do wyjścia i jak zwykle na siebie naskakiwałyśmy, bo Cassie nie chciała wstać z łóżka. W ciągu ostatnich dwóch tygodni pięć razy spóźniła się na autobus do szkoły. A ja musiałam być rano w jednym miejscu i nie mogłam się... – Nagle krtań się zaciska i Karen wyjmuję z kieszeni wymiętą chusteczkę. – No i kompletnie puściły mi nerwy. Nakrzyczałam na nią. Strasznie ją obsobaczyłam. Na co ona nazwała mnie najgorszym słowem, jakie znam. Nawet go nie powtórzę. Nigdy w życiu nie wypowiedziałam tego słowa na głos, a tymczasem moja własna córka rzuca mi je w twarz.

– Znowu ją zatyka. Karen patrzy na swoje palce, w których ściska zużyta chusteczkę. – Więc powiedziałam jej, że w końcu zadzwonię do tej szkoły z internatem, żeby ją zgarnęli i wbili jej trochę rozumu do głowy. Dokładnie takich słów użyłam: „zgarnełi” i „wbili”.

Mój tata przytakuje, jakby wiedział dokładnie, co Karen ma na myśli. Jakby nie raz wykrzykiwał podobne groźby pod moim adresem. Ale jedyny raz – przynajmniej o ile pamiętam – kiedy podniósł na mnie głos, miał miejsce w Dzień Niepodległości w Albemarle Field. Chodziłam wtedy bosą między fajerwerkami i prawie nadepnęłam na rozbitą butelkę.

– Najgorsze jest to, że mój wielki pośpiech, od którego wszystko się zaczęło, nie był spowodowany pracą ani spotkaniem z potencjalnym klientem. Niczym ważnym, co pomaga mi zapewnić nam dach nad głową. – Karen podnosi głowę i patrzy na sufit, jakby szukała tam odpowiedzi. – Chodziło o jogę. Przez to straciłam cierpliwość. – Patrzy na mojego tatę, jakby miała nadzieję, że on jej wytłumaczy, czemu jest taka okropna. – Przez cały rozwód walczyłam z Vince’em o Cassie, żebym mogła się nią opiekować, a teraz taka ze mnie egoistka.

Karen zasłania twarz dłońmi i znów zaczyna kiwać głową. Nie widzę, czy płacze, ale mam nadzieję, że nie. Bo wprawdzie martwię się o Cassie, ale nie aż tak. Kto by pomyślał, że właśnie ja będę się o nią martwiła mniej niż wszyscy? Może się okłamuję. W cokolwiek się wplątała, na pewno jest to coś złego. Czy ludzie, z którymi Cassie się ostatnio zadawała, wezwaliby pomoc, gdyby okazała się potrzebna? Zostaliby z nią, żeby nie udusiła się przez sen własnymi wymiocinami i żeby nikt jej nie wykorzystał? Nie. Na wszystkie te pytania odpowiedź brzmi: nie. Wszyscy oni w pierwszej kolejności myśleliby o zrzuceniu z siebie odpowiedzialności.

– Karen, nie ma sensu się tak karcić. Nikt nie jest doskonały. – Mój tata robi krok w jej stronę, jakby chciał ją przytulić, ale zamiast tego zaplata ramiona na piersi. – Czy Cassie poszła dziś na wagary?

– Nie dostałam żadnej wiadomości ze szkoły, ale... – Karen jeszcze mocniej skręca trzymaną w dłoniach chusteczkę. – Cassie mogła ją skasować po powrocie do domu. Kilka tygodni temu to zrobiła, kiedy nie poszła do szkoły. Zamierzałam zmienić swój numer kontaktowy na komórkę, ale zapomniałam.

To Cassie też opuszczała lekcje? Wygląda na to, że coraz mniej o niej wiem.

– Wylie, może napisz teraz do niej esemesa – mówi mój tata.  
– A nuż tobie odpowie.

Może tylko z matką nie chce rozmawiać? Ojciec tego nie mówi, ale wiem, że też tak myśli. Po tym, jak Karen zagroziła jej wysłaniem do więzienia udającego szkołę, nie zdziwiłabym się, gdyby Cassie już nigdy się do niej nie odezwała. Ale jeśli faktycznie unika swojej matki, to mnie też będzie unikała, z tego samego powodu. Obydwie ostatnio tylko

wpędzamy ją w poczucie winy.

– Dobra, ale nie wiem... – Wyciągam telefon z kieszeni bluzy i wstukuję: **Cassie, gdzie jesteś? Twoja mama świruje.** Czekam i czekam, ale nie dostaję odpowiedzi. – Może trochę potrwać, zanim mi odpisze.

Właściwie to nigdy nie muszę czekać na odpowiedź. A raczej nie musiałam. Cassie, którą znałam, żyła z telefonem w dłoni. Zupełnie jakby odpisanie po kilku sekundach na każdego esemesa albo zdjęcie było dla niej kwestią honoru. A może telefon służył jej jako koło ratunkowe? Bo im robiła się chudsza, bardziej pijana i popularna, tym bardziej rozpaczliwe stawały się jej próby utrzymania się na powierzchni.

– Masz jakiś pomysł, gdzie się może podziewać? – pyta mnie Karen. – Albo z kim?

– Dzwoniła pani do Mai i dziewczyn? – pytam. Czuję niesmak, wymawiając to imię.

Tęczowa Koalicja: Stephanie, Brooke i Maia. Od lat najlepsze przyjaciółki. Wszystkie oprócz mnie. Zaczęły się nazywać Tęczową Koalicją już na początku liceum, z powodu ich wielokolorowych włosów. (I nie przejmowały się, że w przypadku trzech białych dziewczyn ta ksywka była skrajnie obraźliwa). Były niemożliwie piękne, a do tego superwyluzowane. Przed końcem pierwszej klasy należały już do najpopularniejszych dziewczyn w całym Newton Regional. Cassie nienawidziła ich za to, co mi zrobiły, aż do dnia, kiedy zaprosiły ją do swojego grona.

– Maia i dziewczyny – Karen wywraca oczami. – Naprawdę nie wiem, co Cassie w nich widzi.

Przy nich czuje się ważna – mam ochotę jej to uświadomić – czego nie można powiedzieć o tobie. Ale ja jestem ostatnią osobą, która powinna to mówić. Z początku Cassie próbowała przede mną ukryć, jak bardzo jest dumna z tego, że dziewczyny z Koalicji przygarnęły ją do siebie na jednym ze swoich „baletów”. Nie „imprez”, bo to by było „megastabe”. (Tak, naprawdę tak mówiły). Udawała, że robi to „dla dobra nauki”. I właśnie na swoim pierwszym balecie z Koalicją Cassie poznała Jaspera. Później nie próbowała już niczego udawać.

Było to dla niej coś ekscytującego, mogłam to zrozumieć. Ale myślałam, że ta fascynacja szybko jej się znudzi i Cassie przejrzy na oczy. Tymczasem ona tylko upijała się coraz bardziej i bardziej na coraz częstszych imprezach. Nie raz powtarzałam jej to, co sama często mi mówiła o swoim ojcu: że nigdy nie chciałaby skończyć jak on. Na okrągło jej tłumaczyłam, że jako jej przyjaciółka bardzo się o nią martwię. Ale do czego niby była jej potrzebna przyjaciółka, która umiała tylko wiercić dziurę w brzuchu? Za dnia rozrywki dostarczała jej Tęczowa Koalicja, a noce spędzała, zakochując się na zabój. Wyraźnie to widziałam, ale ze wszystkich sił udawałam, że nie dzieje się nic złego.

Bo już wtedy wiedziałam, że Jasper Salt nie jest dobrym rozwiązaniem dla Cassie. Wręcz przeciwnie: stanowił kolejny problem. No i faktycznie, ani się obejrzałam, a on trzymał ją za rękę i ciągnął nad krawędź przepaści.

\* \* \*

– Jasper to naprawdę dobry chłopak – powiedziała Cassie w pierwszy poniedziałek po Święcie Dziękczynienia. – Powinnaś go poznać.

Jadłyśmy lunch w Naidre's, jedynej knajpce w pobliżu szkoły, do której dyrekcja pozwalała wychodzić uczniom ze starszych klas. Ja zamówiłam zupę i kanapkę, a Cassie suchego bajgla, którego rozdzierała na kawałki i rozkładała na talerzu, żeby wydawało się, że je.

Spędziłyśmy ze sobą zaledwie pięć minut po czterech dniach rozłąki i już zdążyłyśmy się pokłócić.

Ale jeśli mam być szczerą, to nie układało się między nami już od końca sierpnia, kiedy Cassie wróciła z obozu sportowego. „Obóz dla grubasów” – tak nazwała go Cassie, kiedy jej matka wysłała ją tam przed ósmą klasą podstawówki. Tym razem był to pomysł Cassie. Mimo że nie bardzo miała co zrzucić. Po powrocie wyglądała jak kościotrup. Powiedziałam jej to, na co ona się uradowała.

Ale nie tylko schudła. Miała też nową fryzurę, dłuższe i proste włosy, a do tego stylowe ciuchy. Nie mogłam uwierzyć, że to ta sama osoba, która kilka lat temu stała ze mną na jednym sedesie w szkolnej toalecie. Zatem wcale się nie zdziwiłam, kiedy dziewczyny z Tęczowej Koalicji zaprosiły ją do siebie ani nawet jak wpadła w oko Jasperowi,

lubianemu, przystojnemu sportowcowi (a do tego kompletnemu dupkowi). To, co mnie zaskoczyło, to jej radosna reakcja na ich względy.

– Wiem o Jasperze wszystko, co trzeba – powiedziałam i poparzyłam sobie usta zupą pomidorową.

Krążyły plotki, że w pierwszej klasie liceum Jasper jednym ciosem znokautował starszego od siebie chłopaka. Według innej wersji złamał mu nos. Nie mogłam się nadziwić, dlaczego jeszcze nie siedział w więzieniu, nie mówiąc już o tym, jakim cudem nie wywalili go ze szkoły. Ale nie lubiłam go, jeszcze zanim usłyszałam o tej bójce. Niektóre z powodów mojej niechęci mogły się wydawać powierzchowne, na przykład te jego obciste T-shirty, napuszona poza i udawany surferski slang. Sęk w tym, że miałam dowód na jego parszywy charakter. Tashę.

Tasha była w naszym wieku, ale sprawiała wrażenie młodszej. Bez ostrzeżenia przytulała się do ludzi, za głośno się śmiała i zawsze ubierała się na różowo albo czerwono, a na głowie nosiła bandanę. Wyglądała jak wielka kartka walentynkowa. Nikt nigdy jej nie dokuczał, to byłoby okrutne. Nikt z wyjątkiem Jaspera. Parę tygodni po tym, jak zaczął kręcić z Cassie – gdzieś na początku października – widziałam go, jak rozmawiał z Tashą na końcu pustego korytarza. Stali za daleko, żebym mogła cokolwiek usłyszeć, ale kiedy Tasha pobiegła w moją stronę ze łzami w oczach, nie miałam wątpliwości, że powiedział jej coś przykrego. Gdy opowiedziałam o tym Cassie, stwierdziła tylko, że Jasper nigdy by nie skrzywdził Tashy. Co oznaczało, że według niej kłamałam.

– Jasper może nie jest idealny, ale miał naprawdę trudne życie. Jesteś dla niego za ostra – powiedziała Cassie, cały czas układając na talerzu kawałki bajgla. – Ma tylko matkę, straszną egoistkę, i starszego brata, który jest jeszcze gorszy. A jego ojciec siedzi w więzieniu – dodała przepraszającym, ale zarazem dumnym tonem. Jakby fakt, że jego ojciec jest kryminalistą, świadczył dobrze o Jasperze.

– Za co? – zapytałam.

– Nie wiem – warknęła.

– Cassie, a jeśli on zrobił coś naprawdę złego?

– Jeśli jego ojciec zrobił coś złego, to nie znaczy, że z Jasperem też

jest coś nie tak. Po prostu nie wierzę, że tak pomyślałaś. – Cassie skrzyżowała ramiona i kręciła głową z dezaprobatą. Najgorsze było to, że miała rację: nie powinnam była tego sugerować. – Poza tym Jasper mnie rozumie. To jest ważniejsze od jego głupiego ojca.

Zrobiło mi się gorąco w piersi. W końcu to powiedziała: Jasper ją rozumiał, a ja nie. Już nie.

– Którą ciebie, Cassie? – zapytałam ze złością. – Masz ostatnio tyle twarzy, że trudno je wszystkie spamiętać.

Cassie gapiła się na mnie z szeroko otwartymi ustami. Po chwili zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Co ty robisz? – spytałam przestraszona.

Przecież miała się wkurzyć. Miałyśmy się pokłócić. Jej nagłego wyjścia nie było w planie.

– Idę stąd – odparła cicho. – Tak się zachowują n o r m a l n e osoby, jak ktoś je paskudnie traktuje. I jeśli to nie jest dla ciebie jasne, Wylie – pokazała na siebie – to ja jestem normalna, a ty paskudna.

\* \* \*

– No, w każdym razie rozmawiałam z Maią i dziewczynami – mówi Karen. – Powiedziały, że ostatni raz widziały Cassie dzisiaj w szkole, ale żadna nie pamiętała, o której godzinie.

– A dzwoniła pani do Jaspera? – pytam, udając, że bynajmniej nie uznałam już dawno temu, że to on, przynajmniej duchem, jest w stu procentach odpowiedzialny za całe zło w życiu Cassie.

Karen przytakuje.

– Esemesowali z Cassie, jak jechała autobusem do szkoły, ale potem już nie miał z nią kontaktu. Przynajmniej tak mówi. – Nagle patrzy na mnie i mruży oczy. – Ty go chyba nie lubisz, prawda?

– Nie znam go zbyt dobrze, więc moje zdanie nie ma większego znaczenia – odpowiadam, mimo że myślę dokładnie na odwrót.

– To z tobą Cassie przyjaźni się najdłużej – mówi Karen. – Jesteś jej jedyną prawdziwą przyjaciółką, przynajmniej według mnie. Twoje zdanie ma ogromne znaczenie. Myślisz, że mógłby ją skrzywdzić?

Czy Jasper mógłby wyrządzić jej jakąś krzywdę? Nie. Wiele można o nim powiedzieć, ale nie mam powodu, żeby podejrzewać go o coś takiego.

– Nie wiem – mówię z zamierzoną niepewnością w głosie. Ale w sumie nie powinnam sugerować czegoś takiego tylko dlatego, że go nie lubię, więc dodaję: – To znaczy nie. Nie sądzę

– Do Vince’a też się nie odzywała? – pyta mój tata.

– Vince – parska z pogardą Karen. – Jest z jakąś nową dziewczyną na Florydzie. Ostatnio podobno zamierzał zdobyć licencję prywatnego detektywa. Żalotne.

Ale Cassie mogłaby zadzwonić do ojca. Pomimo wszystkiego uwielbia Vince’a. Ciągłe ze sobą mailują albo esemesują. Łączy ich niechęć do Karen.

– Na wszelki wypadek powinnaś do niego zadzwonić – sugeruje delikatnie mój tata, po czym zgarnia ze stołu swój portfel i patrzy na haczyki na ścianie, gdzie wieszamy nasze klucze. – A ty i ja zaczniemy jej szukać.

Karen przytakuje. Cały czas patrzy na swoje palce, które są wciąż zaciśnięte na już prawie nieistniejącej chusteczce.

– Vince mnie o wszystko obwini. Będzie mówił, że gdybym nie była taką twardą suką, to Cassie byłaby... – Nagle głos grzęźnie jej w krtani i Karen zasłania usta dłonią. – I będzie miał rację. To jest w tym wszystkim najgorsze. Vince ma problemy, ale przynajmniej z Cassie... – Przerzywa i kręci głową. – Zawsze mają ze sobą kontakt. Może gdybym...

– Nic nie jest takie proste. Ani z dziećmi, ani z niczym innym – mówi mój ojciec i wreszcie udaje mu się znaleźć klucze w szufladzie. – Chodźmy. Pojedziemy najpierw do ciebie i upewnimy się, czy nie ma tam śladu Cassie. Po drodze zadzwonimy do Vince’a. Jak chcesz, mogę z nim porozmawiać. – Robi krok w stronę drzwi, ale zatrzymuje się na widok stóp Karen. – Zaraz, twoje buty.

– Nic nie szkodzi – mówi Karen i zakłopotana macha ręką. Nawet teraz próbuje ocalić choć część swojej doskonałości. – Poradzę sobie. Przyjechałam tutaj w takim stanie, to i wrócę.

– A co, jeśli trzeba będzie zboczyć z trasy? Nie, nie. Musisz coś włożyć na nogi. Weź któreś buty Hope.

Buty Hope? Jak swobodnie to powiedział. Zupełnie jakby nie zaproponował jej kawałka mojej skóry. Oczywiście rozumiem, że nie

damy Karen moich butów. Po moim ostatnim panicznym ataku antygromadzenia, po pogrzebie, została mi tylko jedna para. Ta, którą mam na nogach. Ale chodzi o sposób, w jaki jej to zaoferował. Jakby pożyczenie czegoś po mojej mamie było najzwyczajszą rzeczą na świecie.

Czasem się zastanawiam, czy tata aby nie przestał kochać mamy na długo przed jej śmiercią. Mam też inny dowód na poparcie tej tezy: ich kłótnie. Po niemal całym życiu bez jednego przykrego słowa, na kilka dni przed wypadkiem nagle zaczęli nieustannie na siebie naskakiwać. Poza tym brak miłości do mamy tłumaczyłby fakt, że jej śmierć dużo mocniej wstrząsnęła mną niż nim.

Nie rób tego, myślę, widząc, że idzie na górę po jej buty. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Na szczęście się zatrzymuje – dzwoni jego komórka.

Patrzy na wyświetlacz i mówi:

– Przepraszam, to doktor Simons.

Uratował go jego jedyny przyjaciel. Jedyna osoba, dla której jest gotów rzucić wszystko. Nigdy wcześniej mi to nie przeszkadzało, ale teraz strasznie mnie wkurza.

– Wylie, zaprowadzisz Karen na górę? Zobacz, czy któreś z butów mamy będą na nią pasowały.

Tylko na niego patrzę.

– Wszystko w porządku? – pyta, widząc, że się nie ruszam. Ma napiętą twarz.

– Tak – mówię w końcu, bo się boję, że użyje mojego gniewu jako wymówki, żeby nie pomagać Karen. – Wszystko super.

Przez całą drogę po schodach próbuję wymyślić jakiś powód, żeby nie dać Karen tych butów. Taki, który nie będzie wyglądał na wymysł kompletnej wariatki. Taki, na który zgodziłaby się moja mama. Bo moja mama chciałaby, żebym dała Karen wszystko, czego tylko by potrzebowała. „Dasz radę”, powiedziała, gdyby tu była. „Jestem tego pewna”.

Chwilę później Karen stoi za mną w sypialni moich rodziców, a ja tkwię nieruchomo przed szafą. Tylko je pożyczam, tłumaczę sobie,



odsuwając drzwi i kucając przed połową z ubraniami mamy. Zamykam oczy i staram się nie wdychać jej zapachu. Na oślep szukam butów. Wreszcie moje dłonie dotykają pary botków, które miała na sobie tylko kilka razy. Ale kiedy otwieram oczy i widzę, co wyciągnęłam, robi mi się niedobrze. Stare martensy mojej mamy, które tak kochała, że dwa razy wymieniała w nich podeszwy.

– Wiem, że Cassie za tobą tęskni – mówi Karen, a ja pochylam się nad butami mamy jak zwierzę chroniące swój ostatni posiłek. – Bo nadal wiem, co naprawdę czuje. Mimo że ona w to nie wierzy. I wiem, że teraz Cassie jest kompletnie zagubiona i potrzebuje dobrej przyjaciółki. Takiej jak ty.

Karen podchodzi i klęka obok mnie. Kątem oka widzę, że patrzy to na mnie, to na buty. W końcu pochyla się i sama sięga w głąb szafy. Sekundę później wyciąga parę białych, nowiutkich butów do tenisa. Moja babcia ze strony ojca dała je mamie w prezencie wiele lat temu. Pewnie dlatego, że moja mama nienawidziła tenisa.

– A może te? – pyta Karen.

Tak – odpowiedziałabym, gdybym się nie bała, że głos mi się załamie – te dużo chętniej, dziękuję.

– Myślisz, że Cassie wie, jak bardzo ją kocham? – pyta Karen i siada na podłodze, cały czas patrząc na buty. – Bo ostatnio niespecjalnie nam się układało. Szczerze mówiąc, nigdy nie było łatwo. Wiem, że popełniłam wiele błędów. Tyle rzeczy mogłam zrobić dużo lepiej. Ale zawsze się starałam. I naprawdę ją kocham. Ona to wie, prawda?

Cassie mówiła różne rzeczy o swojej matce: że jest samolubna, egocentryczna, płytka, że nieustannie ją ocenia i krytykuje z powodu jej wagi. Ale najczęściej słyszałam od niej skargę, że Karen jej nie kocha. A w każdym razie nie tak, jak matka powinna kochać córkę.

– Pewnie – mówię szybko, żeby zbyt długie milczenie nie zdemaskowało mojego kłamstwa. – Wie, i to dobrze.

– Dzięki Bogu. – W głosie Karen jest taka ulga, że chyba mi serce pęknie. – To naprawdę... Cieszę się.

Karen odkłada buty i bierze moją dłoń w swoje. Głaszcze mnie w matczyzny sposób, od którego aż ściska mnie w gardle. Jej druga dłoń

wędruje do tego, co zostało z moich kasztanowych włosów. Cofa palce, zanim dosięgną najbardziej postrzępionych końcówek.

Wczoraj wieczorem zobaczyłam swoje odbicie w lustrze i przez sekundę – jedną popieprzoną sekundę – wydawało mi się, że jestem nią. Moją mamą. Myślałam, że to ona tam stoi, ciepła i żywa. Z dłuższymi włosami zaczęłam ją bardzo przypominać i wczoraj stało się to już niemożliwe do zniesienia. Chciałam mieć pewność, że już nigdy jej ze sobą nie pomylę i nigdy, nawet na jedną, piękną chwilę nie uwierzę, że wróciła do domu.

Więc wzięłam nożyczki, pochyliłam się nad umywalką i obciąłam włosy. Żeby już nie była do niej podobna. Udało mi się to doskonale. Od tamtej pory unikałam luster, ale po przerażonym spojrzeniu taty zorientowałam się, że nie wyglądam dobrze. Co gorsza Gideon, który korzysta z każdej okazji, żeby mi dokuczyć, tym razem na mój widok nawet się nie odezwał.

Podnoszę wzrok i widzę, że Karen się do mnie uśmiecha. Oczy jej lśnią i po chwili delikatnie obejmuje moją głowę i przyciąga ją do siebie. Jestem pewna, że po prostu bardzo potrzebuje kogoś utulić. Może nawet bardziej, niż ja potrzebuję być utulona. Gładzi mnie po włosach.

Nie płacz, mówię sobie w duchu, bo oczy zaczynają mnie szczypać. Błagam, tylko nie płacz.

– Wszystko będzie dobrze – mówi szeptem. – Jeszcze nie teraz, ale któregoś dnia na pewno.

Kiedy schodzimy na dół, mój tata właśnie kończy rozmawiać przez telefon. Ale zamiast odłożyć aparat albo schować go do kieszeni, ścisza go w dłoni tak mocno, aż bieleją mu kostki. Coś jest nie tak. Coś nowego. Coś oprócz problemu z Cassie.

– Czego chciał doktor Simons? – pytam, bo najwyraźniej to rozmowa z nim tak wkurzyła tatę.

Doktor Simons był profesorem mojego ojca na Uniwersytecie Stanforda. Jest psychologiem, tak jak mój tata, ale zajmuje się badaniami nad presją rówieśniczą, a nie inteligencją emocjonalną, jak on. Chociaż to pewnie podobne rzeczy. Nie ma już własnej rodziny, więc traktuje mojego ojca trochę jak przybranego syna. Dużo jeździ po świecie z wykładami – do Anglii, Australii, Hongkongu – więc nie widzieliśmy go, od kiedy byliśmy małymi dziećmi. Ten geograficzny dystans jest prawdopodobnie jedną z rzeczy, które nasz tata lubi w ich przyjaźni. Są sobie tak bliscy, jak tylko mogą być dwie osoby rozdzielone tysiącami kilometrów.

– Oddzwaniał, bo zadałem mu pytanie na temat danych z mojego ostatniego badania. – Tata macha ręką: nic, czym powinnaś się martwić. I bardzo bym chciała w to uwierzyć, ale nie mogę. Nijak. Mój tata odwraca się do Karen z jeszcze szerszym, bardziej wymuszonym uśmiechem. – Gotowa? – pyta. – Wylie, zamknij drzwi na zamek, dobrze? – dodaje.

Mówi to lekkim tonem, jakby chodziło o coś najzwyklejszego na świecie.

– Na zamek? – pytam.

Mój ojciec chyba nigdy w życiu nie zamknął frontowych drzwi domu na zamek. Gdyby nie moja mama, wyjechalibyśmy na dwutygodniowe wakacje na Florydzie, zostawiając dom otwarty na oścież.

– Wylie, proszę cię – rzuca zniecierpliwiony, jakby miał już dość mojego hamletyzowania. I w sumie mu się nie dziwię. – Zrób to i już. Dopóki nie dowiemy się, co się stało z Cassie, powinniśmy być bardziej ostrożni niż zwykle.

To ostrzeżenie byłoby bardziej wiarygodne, gdyby nie wypowiedział go wystraszonym głosem. Od dawna nie widziałam go w takim stanie. A na pewno od dnia, kiedy dostaliśmy pierwsze niemowlę.

\* \* \*

To było kilka dni po Halloween; jedliśmy właśnie śniadanie, kiedy mama znalazła pierwsze dziecko. Wyszła po gazetę i zobaczyła je na werandzie.

– Trzeba im dać punkty za kreatywność – powiedziała, wracając do środka z plastikowym niemowlęciem w dłoni. Zmarszczyła nos na widok czerwonych plam farby. – Takie coś działa na wyobraźnię; nie to, co maile. No cóż, to jest cena, jaką się płaci za zdjęcie na pierwszej stronie. Powinnam zadzwonić do Elaine i zapytać, czy ona też takie dostała.

Elaine była dziennikarką, z którą mama pracowała przy artykule o rzekomym ataku bombowym koalicji na Bliskim Wschodzie. Tego dnia ukazał się na pierwszej stronie niedzielного numeru „New York Timesa”, a towarzyszyło mu niesamowite zdjęcie zniszczonej szkoły, zrobione przez moją mamę. Zawsze dostawała sporo nienawistnych maili, a parę razy zdarzyły się nawet listy włożone do naszej skrzynki. Ale plastikowe niemowlę było czymś nowym.

– Dlaczego w ogóle wzięłaś to do ręki?! – krzyknął tata. Bardzo głośno. – Zostaw to tam, gdzie było.

– To nie jest wirus, kochanie. – Mama rzuciła mu ten swój piękny, trochę złośliwy uśmiech i uniosła lekko brwi. Najwyraźniej zamierzała zignorować jego krzyki. Ostatnio często to robiła, ignorowała wszystko, co robił tata, ale widziałam, że zaczyna ją to denerwować. – Nie możemy tracić poczucia humoru, Ben. Przecież wiesz.

A mój tata naprawdę miał poczucie humoru. Dawniej potrafił być niesamowicie śmieszny, tym bardziej że robił różne zabawne rzeczy, zachowując tę swoją sztywną pozę pana naukowca. Ale od pewnego czasu wydawał się jakiś nerwowy. Po pierwsze, bez przerwy siedział w pracy, na uczelni, żeby dokończyć badanie, którego wyniki chyba były dla niego rozczarowujące. Po drugie, dodatkowym źródłem stresu było dla taty to, że musiał zwolnić swojego ulubionego asystenta, doktora Catona, za to, że – według taty – „osobiste przekonania uniemożliwiły

mu obiektywną ocenę danych”. Cokolwiek to miało znaczyć. Nigdy go nie poznaliśmy, bo nasz ojciec rzadko zapraszał znajomych do domu, ale odkąd go zatrudnił, mówił o młodym naukowcu (w wieku dwudziestu czterech lat miał już stopień doktora) jak o jakimś drogocennym klejnocie. Mnie to nie przeszkadzało, ale Gideon – nasz własny, domowy geniusz – dostawał szału. Bardzo się ucieszył na wieść o tym, że doktor Caton wyleciał z pracy.

Mama wzruszyła ramionami i podeszła do stołu, żeby dokończyć napoczętą grzankę. Ugryzła ją, trzymając ciągle lalkę w ręce, po czym delikatnie odłożyła tost i wróciła do przedpokoju. Otworzyła drzwi i wyrzuciła lalkę na zewnątrz. Wszyscy usłyszeliśmy, jak spada po schodach. Ja i Gideon się zaśmialiśmy, ale tata był poważny. Podeszedł do telefonu.

– Do kogo dzwonisz? – zapytała mama.

– Na policję – powiedział takim tonem, jakby to powinno być oczywiste.

– Ben, daj spokój – zaapelowała mama i stanęła obok niego.

– Jednego możesz być pewien: telefon na policję to dokładnie to, na czym im zależy. Chcą zwrócić na siebie uwagę.

– Nie mogę się tym teraz przejmować, Hope – odparł mój tata cicho, prawie ze smutkiem, kiedy mama zabierała mu telefon.

Potem powiedziała mu coś na ucho.

– Nie musisz się niczym przejmować – dodała już na głos, jakby chciała, żebyśmy i my ją usłyszeli. A może żeby tylko ja ją usłyszała. O dziwo, nie zezłościła się na tatę za to, że postawił siebie w centrum sytuacji, która dotyczyła jej. – Po to masz mnie.

\* \* \*

Tata i Karen wyszli, a ja siedzę po ciemku na kanapie w salonie i patrzę na wielkie okno wychodzące na drogę Walnut Hill. Czekam na światła samochodu, którym Gideon ma przyjechać z treningu lekkoatletycznego. Żadne z nas nie ma jeszcze młodzieżowego prawa jazdy, choć właściwie już od kilku miesięcy moglibyśmy je sobie wyrobić. Nic tak nie tłumi chęci, by zasiąść za kierownicą, jak śmiertelny wypadek drogowy własnej matki. Gideon pewnie w końcu zdobędzie prawko, ale ja jestem pewna, że sama nigdy tego nie zrobię.

Jeszcze raz spoglądam w stronę drogi. Gideon się spóźnia. Powinien być tu już... no dobra, tylko od kilku minut, ale dzisiaj kilka minut trwa tyle, co normalnie kilka godzin. Trochę mi dziwnie tak wypatrywać brata, bo ostatnio tylko mi dokucza, ale w tej chwili zniosę wszystko, byleby tylko nie być sama.

Po wyjściu taty i Karen zamknęłam wszystkie drzwi na zamek i każde sprawdziłam drugi raz. Potem trzeci. Bo ja przesadną ostrożność mam we krwi. Jak już skończyłam z zamkami w drzwiach, zajęłam się wszystkim, co mogłoby skądś wyskoczyć, stanąć w ogniu czy w jakikolwiek inny sposób wyrządzić mi krzywdę.

Kilkanaście razy zajrzałam do skrzynki w telefonie, żeby zobaczyć, czy Cassie odpowiedziała na któryś z moich esemesów. Na razie wysłałam jej cztery i dwa razy dzwoniłam. Bez skutku. Mogłabym wysłać kolejne wiadomości, ale po każdym esemesie bez odpowiedzi czuję się gorzej i jeszcze bardziej się martwię, że tym razem Cassie naprawdę wpakowała się w takie tarapaty, że choćbym nie wiem jak się starała, to nie uda mi się jej z nich wyciągnąć.

– Dlaczego wszystkie światła są pogaszone?

Głos za moimi plecami. Gwałtownie się odwracam, serce wali mi jak młot. Gideon, ciągle w kurtce i z plecakiem. Je snickersa, ma na sobie luźne džinsy, a jego wilgotne blond włosy kleją się do czoła.

– Czemu to zrobiłeś?

– Uspokój się, to po pierwsze. – Bierze do ust kolejny kęs. – A po drugie, to co niby zrobiłem?

– Zaszedłeś mnie od tyłu, ty palancie!

– O Jezu! – Unosi dłonie, jakbym celowała do niego z broni palnej. Uwielbia dawać mi do zrozumienia, że zachowuję się jak wariatka. Co, jeśli mam być szczerą, ostatnio zdarza mi się dość często.

Gideon czuje się poszkodowany, bo uważa, że jako „normalny” nie dostaje od taty tyle uwagi co ja. Tak jest na przykład z nauką w domu. Gideon jest zabójczo inteligentnym chłopakiem (choć nawet on by przyznał, że z łatwością załatwiłabym go w dowolnym teście, o każdej porze dnia i nocy), ale nienawidzi szkoły, mimo że się przeniósł do Stanton Prep, gdzie jego niezwykły geniusz naukowy może podobno rozkwitać bez przeszkód. Gideon stwierdził, że on też powinien mieć

prawo do nauki w domu, ale nasz ojciec wybił mu to z głowy w takim tempie, że nawet mnie się zakręciło w głowie.

– Stephen cię podwiózł? – Wyglądam znowu przez okno. Czyżbym nie zauważyła samochodu? Zaczynam mieć problemy ze wzrokiem?

– Nie widziałam go.

– Podjechaliśmy od tyłu. Byliśmy z chłopakami na frytkach.

– Gideon wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Spędzałem czas z moimi licznymi kumplami, jak każdy normalny nastolatek”. Tak bardzo chciałby być tym normalnym nastolatkiem. Ale ja wiem, że tylko Stephen jest jego prawdziwym przyjacielem, a reszta chłopaków z drużyny zwyczajnie go toleruje, bo Gideon bez narzekania biega najbardziej nienawidzony przez wszystkich dystans trzech kilometrów. Przyjaźnie nigdy nie przychodziły mu łatwo, być może dlatego, że jest wyjątkowo inteligentny. A może przez to, jaki jest. – Wszedłem od kuchni – wyjaśnił.

– Weź prysznic.

Odwracam się w stronę okna. Chcę, żeby zostawił mnie w spokoju, nie mam ochoty na kłótnię. Nie dzisiaj.

– Ktoś umarł i przekazał ci władzę? – Kiedy na niego patrzę, zakrywa usta dłonią i otwiera szeroko oczy, udając szok. – O cholera. Czaisz to? Ktoś umarł. Musisz przyznać, że to było dobre.

Patrzę na niego gniewnie. Gideon ciągle żartuje ze śmierci naszej mamy. Przynosi mu to ulgę. Ale mnie tylko przygnębia. Mama miała rację, faktycznie jesteśmy odwrotnymi bliźniętami. Nieustannie się od siebie odpychamy, jak jednakowe bieguny magnesu.

– Nie było.

– Dobra, nieważne. – Gideon znowu wzrusza ramionami i odwraca się w stronę schodów. Czy to możliwe, że naprawdę go uraziłam? Z nim nigdy nie wiadomo, ale wiem, że mój brat ma serce. W ostatnim czasie kieruje nim przede wszystkim chęć przeżycia. Ze mną jest tak samo.

– Kiedy tata wraca? Muszę go poprosić o pomoc z pracą domową z chemii.

Wykorzystawszy już wszystkie programy dla uzdolnionych uczniów, jakie oferowała mu jego szkoła, Gideon studiuje teraz nauki ścisłe w Boston College. Nie wiem, czy naprawdę tak fascynuje go

nauka, czy po prostu chciał się zbliżyć do taty. Jeśli to drugie, to muszę przyznać, że dobrze to sobie obmyślił. Najlepszym sposobem na zwrócenie na siebie uwagi naszego ojca jest znalezienie dla siebie miejsca w jego świecie. Nie powiedziałabym, że nasz tata kocha swoje badania bardziej niż nas, ale czasem mam wrażenie, że idziemy łeb w łeb.

– Nie wiem, pewnie za parę godzin – mówię.

Zbyt konkretnie, strofuję się w myślach. Od wypadku nasz ojciec rzadko kiedy wychodzi na tak długo. Zaraz padną kolejne pytania, a ja nie chcę rozmawiać z Gideonem o Cassie. To go tylko sprowokuje do powiedzenia czegoś niemiłego. Gideon nigdy jej nie lubił. A właściwie zawsze bardzo, ale to bardzo ją lubił, ale Cassie nie dała mu nawet cienia szansy, więc postanowił ją znienawidzić. Nie wytrzymałabym, gdyby teraz znów zaczął ją obrażać, by poprawić sobie nastrój. Albo, co gorsza, gdyby dla własnej uciechy podkreślał mój niepokój o nią.

– Za parę godzin? A gdzie jest?

– Pomaga Karen.

– W czym?

Za późno. Za bardzo się zainteresował.

– Karen nie wie, gdzie jest Cassie.

Wzruszam ramionami, jakby nie chodziło o nic poważnego.

Przez ułamek sekundy Gideon wygląda na naprawdę zmartwionego. Ale już po chwili zaczyna się zgrywać i robi zamyśloną minę.

– A, to już rozumiem – mówi.

Nie chcę tego robić, ale nie mam wyboru – muszę grać w tę jego gierkę.

– Co rozumiesz?

– Dlaczego Cassie tak dziwnie się zachowywała, kiedy tu przyszła – mówi takim tonem, jakby to było oczywiste, o co mu chodzi. – To znaczy nie wiem dokładnie dlaczego, ale rozumiem, że mogła być spięta, skoro planowała zwiąć.

– Jak to? To Cassie tu była? – Przysięgłabym, że na sekundę serce przestało mi bić. – Kiedy?

Gideon pociera palcem podbródek i unosi głowę, żeby spojrzeć na



sufit.

– Poczekaj, niech się zastanowię. – Liczy na palcach, jakby mierzył upływ dni lub miesięcy. – Wczoraj. Tak. Po południu.

Głupek.

– Wczoraj? – Staram się nie wściec. Gideon chce mi zająć za skórę, tylko o to mu chodzi. – Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Bo Cassie nie chciała – mówi obojętnym tonem. – Zostawiła tylko liścik.

– Jaki liścik? – Wstaję z kanapy. – Nie przekazałeś mi żadnej wiadomości.

– A to ci dopiero. – Gideon kiwa głową, udając, że czegoś nie rozumie. Nagle zaczyna się klepać po kieszeniach bluzy i džinsów. – A, jest. – Wyciąga z kieszeni spodni złożoną kartkę i podnosi ją do góry, ale kiedy próbuję ją wziąć, cofa rękę. – O, czekaj, już pamiętam, czemu ci jej nie dałem. Zapukałem do drzwi łazienki, żeby ci o niej powiedzieć, a ty zawołałaś: „Spadaj, matole!”

Gideon ma rację. Tak było. A nawet nie tyle zawołałam, ile wrzasnęłam. Od wypadku moje stany lękowe wróciły z taką zaciekłością, że każdy dzień jest dla mnie walką o przetrwanie. I choć nie wszystkie są tak samo wredne, to wczorajszy był wyjątkowo parszywy. Wchodząc pod prysznic w nadziei na to, że pomoże mi się uspokoić, chciałam tylko krzyczeć. Na siebie i na cały świat. A już na pewno nie miałam siły na przepychanki z Gideonem. Teraz, gdybym sądziła, że przeproszenie go w czymkolwiek by pomogło, zrobiłabym to. Bo naprawdę mi przykro. W głębi duszy mój brat wcale nie chce być złośliwcem. Tyle że ostatnimi czasy słodki chłopiec ukrył się w nim tak głęboko, że nie powstrzyma go przed skopaniem mnie po kostkach.

– Daj mi ten liścik. Proszę cię.

Unosi dłoń jeszcze wyżej. Zawsze byłam wysoka, ale Gideon właśnie przekracza pułap metra osiemdziesięciu pięciu. Nie mam szans wyrwać mu tej kartki.

– Może to ja powinienem ją przeczytać. Wy się już przecież nie przyjaźnicie. Pewnie Cassie miała dość tego, że wszystko obraca się wokół ciebie i twoich problemów.

– Słuchaj, jeśli nie dasz mi tego listu, powiem tacie, że widziałam,

jak palisz zioło ze Stephenem.

To prawda. W naszym małym ogródku, obok szopy. Wszystko wskazywało na to, że był to jego pierwszy raz. Gideon ma swoje problemy, ale narkotyki do nich nie należą. Ale nawet jeśli to był jednorazowy wyskok, to i tak go wykorzystam, jeśli będzie trzeba. Mój brat błędnie i patrzy na mnie tak, jakby dopiero teraz naprawdę mnie znienawidził. Chciałabym się tym nie przejmować. Ale się przejmuję. Jak zawsze.

– Dobra, masz – mówi i rzuca kartkę, która uderza w ścianę za moimi plecami i spada na podłogę. – Jakby moja najlepsza przyjaciółka była tak porąbana jak ty, to też bym zwiął.

Po tych słowach odwraca się i wychodzi z salonu. Czeka, aż zniknie, i podnoszę liścik.

Czytam te kilka zdań, które Cassie napisała swym krągłym pismem.

Przepraszam. Miałaś rację. Ze wszystkim. Po prostu nie chciałam słyszeć prawdy. Ale teraz jestem gotowa. Na wszystko, co się może stać. Całusy, C.

„Na wszystko, co się może stać”? Ściskając mocno papier, z przyspieszonym biciem serca czytam jeszcze raz ostatnie zdanie. Nie podoba mi się. Brzmi, jakby Cassie się z czymś pogodziła. Tak piszą ludzie tuż przed... Nie, Cassie nie zrobiłaby sobie krzywdy. Przez ostatnich kilka miesięcy to ja myślałam, żeby wszystko zakończyć, żeby zakończyć samą siebie. Ale Cassie jest inna. Cassie to wielka gumowa piłka. Zawsze odbija się od dna. To podstawowa cecha jej charakteru. Po prostu gdzieś zabalowała i wypiła za dużo arbuzowych smirnoffów. Na pewno.

Ściska mnie w żołądku, kiedy jeszcze raz czytam jej list. W czym miałam rację? Że Cassie powinna przestać pić, więcej jeść, bardziej o siebie dbać? Że Jasper nie zasługuje na jej zaufanie? Że prędzej czy później ją zrani? Nie chcę już mieć racji w żadnej z tych spraw, jeśli miałyby to znaczyć, że Cassie stało się coś strasznego.

Biorę do ręki telefon, żeby wysłać jej kolejnego esemesa. Dobrze zrobię, gdy napiszę, że ja też ją przepraszam. Miałam rację, namawiając ją, żeby przestała pić. Nie wysłałam sobie tego problemu z palca. Ale

może pomieszałam to z innymi sprawami, które nie były aż tak ważne. Takimi jak Tęczowa Koalicja czy Jasper.

**Właśnie dostałam twoją wiadomość. Ja też przepraszam. Powinna być lepszą przyjaciółką. Wracaj do domu. Proszę. Cokolwiek się stało, razem to naprawimy.**

Właśnie patrzę na swój telefon, czekając na odpowiedź od Cassie, kiedy ktoś puka do drzwi. Czy tylko mi się zdawało? Za drugim razem trochę się boję. Czyżby Cassie? Ale ten ktoś puka nawet mocniej i głośniejsze niż wcześniej Karen. Może większa pięść, cięższa dłoń? „Zamknij drzwi na zamek”. Ale przynajmniej powinnam sprawdzić, czy to nie Cassie.

Ostrożnie wchodzę do przedpokoju. Z góry dobiegają odgłosy prysznic. Gideon niczego nie usłyszy. Nawet jeśli będę krzyczeć. Wciągam powietrze w płuca i podchodzę do okna, żeby wyrzucić, pozostając niezauważoną.

Na naszej werandzie, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach i masywnymi barkami podciągniętymi pod doskonale uszy, stoi ostatnia osoba, jakiej bym się spodziewała: Jasper Salt. Ma na sobie jeden ze swoich firmowych, obcisłych T-shirtów – mimo chłodu – i idealnie luźne dzinsy. Gapi się na swoje białe najki i kiwa się w przód i w tył jak ktoś, kto marznie, ale udaje, że „ma czil, człowieciu”. Bo tak właśnie mówi Jasper Salt. Mimo że oprócz niego absolutnie nikt się tak nie wysławia, nawet w Long Beach w Kalifornii, gdzie Jasper się urodził.

Kiedy zaczynaliśmy naukę w Newton Regional, on był już w drugiej klasie i od samego początku wyróżniał się na tle innych. Oczywiście głównie swoim nieludzkim wyglądem – przypominał modela prosto z reklamy Gapa. Miał lśniącą skórę, jasnozielone oczy i kaloryfer, który jakimś cudem dawało się wyczuć, nawet kiedy Jasper był ubrany w obwisły strój sportowy.

Pierwszy raz zobaczyliśmy go z Cassie w stołówce. Stał z resztą drużyny futbolowej, wszyscy w tych debilnych koszulkach. Byli ogromni i głośni, celowo zwracali na siebie uwagę. Wszyscy z wyjątkiem Jaspera, który już w drugiej klasie był ich pierwszym rozgrywającym. On nie wykonywał gwałtownych ruchów, nie podnosił głosu. Nikomu nie groził ani nie dokuczał. Był spokojnym, cichym słońcem, wokół którego orbitowali jego kumple.

Ale pod tą spokojną powierzchnią dawało się wyczuć jakąś wezbraną energię, silne napięcie czekające na rozładowanie. Jakby

w środku Jaspera tkwiła ściśnięta sprężyna, której nikt nie chciał uwolnić. Zwłaszcza że już raz się to stało. Ten słynny na całą szkołę cios w twarz.

Oczywiście pierwszoklasistki nie przejmowały się zbytnio tym rzekomym pobiciem. A jeśli nawet, to był to dodatkowy powód, dla którego jeszcze bardziej się w nim kochały. „Jest z Los Angeles”, mówiły. „Słyszałam, że ma swojego agenta w Hollywood”. „Podobno przeprowadzili się tu całą rodziną, żeby mógł grać w hokeja”. „Słyszałam, że w zeszłym roku przespał się z dwunastoma dziewczynami ze starszych klas”.

Dwanaście dziewczyn, jeden cios w twarz. Co za dupek. To właśnie myślę, podchodząc do drzwi. Bo już wiem, że jego wizyta nie jest przypadkowa. Dla mnie to dowód, że Jasper miał coś wspólnego ze zniknięciem Cassie. Z tym, gdzie jest i co robi. Może nawet wie, dlaczego uciekła.

Ale kładąc dłoń na klamce, zaczynam się wahać. A jeśli przyszedł tu, żeby sprawdzić, co wiedzą inni? Powinnam udawać, że nie mam o niczym pojęcia. Zobaczę, co on powie. Niech sam wykopie sobie dół, a ja go potem do niego zepchnę.

– O, cześć. – Jasper wygląda na zaskoczonego, kiedy otwieram drzwi. Co gorsza, jest jeszcze przystojniejszy, niż pamiętałam. Ale nie jest w moim typie: za ładny i zbyt doskonale niedoskonały. Mogę sobie jednak wyobrazić, co czuje Cassie, kiedy skupia się na niej cała jego uwaga. Pewnie wydaje się jej, że jest wyjątkowa, a tego zawsze chciała. – Nie wiedziałem... Myślałem, że nikogo nie ma w domu.

Jasper zerka na moją zniszczoną fryzurę, ale jego wzrok zatrzymuje się na niej tylko na sekundę. Udaje, że nie zauważył tragedii, jaka rozgrywa się na czubku mojej głowy, co muszę zaliczyć mu na mały plus.

– No, ja jestem – mówię. Zmuszam się do puszczenia klamki, z nadzieją, że dzięki temu cała się odprężę. – Co jest?

– Mogę wejść? – pyta Jasper i ogląda się przez ramię, jakby ktoś krył się za nim w ciemnościach. – Wolałbym wyjaśnić w środku.

NIE! – to chciałam mu powiedzieć. Ale nie mogę. Najpierw muszę się dowiedzieć, co go tu sprowadza.

– Dobra. – Robię krok w tył, ale nie wpuszczam go dalej niż za próg. – Słucham.

Nie chcę, żeby wszedł dalej do mojego domu ani w moje życie. Niech tylko powie, co wie na temat Cassie, a potem wraca do siebie. Bo im dłużej tu stoi, im bardziej wydaje mi się, że gra na zwłokę, tym mocniejszy czuję ucisk w klatce piersiowej. A na pewno nie zamierzam pozwolić, by przy nim dopadł mnie atak paniki.

Jasper to krzyżuje, to opuszcza ramiona, unosi barki jeszcze wyżej. Teraz już bez wątpienia wygląda na winnego. Zaciskam wargi i przełykam ślinę. Chyba nie wyrządził jej krzywdy? Nie należę do fanklubu Jaspera Salta. Uważam, że ma paskudny charakter, którego z jakiegoś dziwnego powodu nikt nie dostrzega. Ale kiedy mówiłam Karen, że nie sądzę, by mógł zadać Cassie prawdziwy ból, nie zmyślałam.

– Cassie zaginęła – odzywa się wreszcie. – Parę godzin temu jej mama zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy z nią rozmawiałem. Ale od wczoraj nie miałem z nią kontaktu. – (No to mamy kłamstwo numer jeden: Jasper powiedział Karen, że rano wymieniali się z Cassie esemesami). – Chociaż nie, czekaj, rano z nią esemesowałem. – (Okej, czyli cofamy licznik ściemy do zera. Ale to dopiero początek).

– Nie było jej w szkole? – pytam.

Jasperowi udaje się mnie wyminąć i bez zaproszenia wchodzi do salonu. Takim właśnie jest typem. Uważa, że wszędzie jest mile widziany.

– Nie jestem pewien. Trochę się pokłóciliśmy – mówi nieco najeżony. – Rano wysłałem jej esemesa, ale ciągle byłem wkurzony, więc w szkole jej unikałem. Potem Maia mi powiedziała, że Cassie pewnie uciekła z lekcji, bo żadna z nich jej nie widziała. A ty coś wiesz? Odzywała się do ciebie?

Czyli dziewczyny okłamały Karen, że widziały Cassie w szkole. To mnie wcale nie dziwi.

– Od kilku dni z nią nie rozmawiałam – mówię, mimo że Jasper na pewno to wie. – Skąd pomysł, że coś mogę wiedzieć?

– Bo dostałem to. – Jasper wyciąga z kieszeni komórkę i mi ją podaje. Na ekranie jest wyświetlony esemes od Cassie: **Jedź do Wylie.**

I nic poza tym, to cała wiadomość. – Nie masz pojęcia, po co kazała mi tu przyjść?

– Ja? – Wydaje mi się, że Jasper chyba podejrzewa, że to ja coś ukrywam. – Nie mam zielonego pojęcia. Mówiłeś jej mamie, że dostałeś tego esemesa?

– Miałem taki zamiar, ale zaraz potem... – bierze ode mnie swój telefon, przesuwa coś na ekranie i znów mi go oddaje – ...przyszedł ten.

**Nie mów nikomu, że do ciebie napisałam. Zwłaszcza mojej mamie.**

– No dobrze, ale...

Znowu bierze komórkę i szuka kolejnej wiadomości. Pokazuje mi wyświetlacz.

**Znowu nabroiłam. Jak powiesz mojej mamie, zadzwoni na policję. I wiesz, co się stanie. Proszę cię, jedź do Wylie. Niedługo dam znać.**

– Co się dzieje, do cholery? – pytam.

Wściekam się na Jaspera. Jestem pewna, że przynajmniej częściowo jest za to wszystko odpowiedzialny.

– Nie wiem. Przyszedłem tu, bo tak mi kazała – mówi Jasper i teraz to w jego głosie słycać złość. – Ale kto wie. Cassie ostatnio bardzo dziwnie się zachowywała.

– Jak to „dziwnie”?

– Pytasz mnie o definicję słowa „dziwnie”?

Robię wielkie oczy. Przynajmniej teraz to już oczywiste. Nie lubię Jaspera z wzajemnością.

– Po prostu była jakaś nieobecna – ciągnie. – Nie wiem dlaczego.

– O co chodzi z tą policją? Niby co ma się stać?

– Nie mogę ci powiedzieć – mówi Jasper.

– Ale możesz wejść do mojego domu i wyciągać ode mnie informacje?

– Chodzi... Cassie bardzo się wstydziła pewnych rzeczy, które robiła – przyznaje w końcu. – Jesteś ostatnią osobą, przed którą by się do nich przyznała.

Pierdol się, Jasper! – chciałabym krzyknąć. Nic o mnie nie wiesz. I nie masz pojęcia, jaką cudowną dziewczyną była Cassie, zanim

pomogłeś jej się stoczyć na dno. Ale nie mogę mu tego powiedzieć, bo wciąż wie więcej ode mnie. Ciągłe jest mi potrzebny.

– Wiem o niej dużo rzeczy, których by się wstydziła – mówię.  
– Bardzo długo się przyjaźnimy.

I na pewno znam takie jej tajemnice, o których Jasper nigdy nie słyszał. Sekrety, których za żadne skarby świata by mu nie wyjawiała. Może na przykład znowu zmoczyła łóżko, ale tym razem mama ją przyłapała. Już raz to zrobiła po jednym z baletów z Tęczową Koalicją, jeszcze zanim zaczęła się spotykać z Jasperem.

Wtedy strasznie się tym przejęła, zwłaszcza że na tej imprezie urwał się jej film. Nie pamiętała nawet, jak wróciła do domu. Urwane filmy były zawsze specjalnością jej ojca. Cassie mówiła mi, że według niej nie pamiętał nawet połowy chorych rzeczy, które wyprawiał po pijanemu. Dzięki temu udawało się jej go nie znienawidzić. Wszystko, czego nie pamiętał, było mu wybaczone. Ale nawet ten jej pierwszy urwany film nie wystraszył Cassie tak, jakbym chciała. Następny tego typu epizod uznała już za zabawny.

– Wiem, że jesteście przyjaciółkami, ale... – Jasper patrzy nerwowo na swoje dłonie. – Bardzo stanowczo zakazała mi mówić ci o tej jednej rzeczy. Pewnie się bała, że będziesz nią pogardzać. Muszę to uszanować.

– Chyba żartujesz – mówię ze śmiechem, a w każdym razie z czymś, co przypomina śmiech.

Jasper unosi obie dłonie.

– Ja nie twierdzę, że byś nią gardziła. – Ale ze sposobu, w jaki to mówi, orientuję się, że właśnie tak uważa. – To tylko jej obawa. Cassie nie zawsze trafnie ocenia innych. – Fakt, że słyszę to z jego ust, sprawia, że mam ochotę splunąć. – W każdym razie ważne jest to, że zrobiła coś, za co jej matka strasznie się na nią wkurzy. A już wcześniej mówiła, że wyśle ją do jakiejś potwornej szkoły z internatem. – Jasper bierze głęboki wdech. – Ale lepsze to, niż żeby ktoś ją porwał czy coś w tym stylu.

– Porwał? – To mi nawet nie przyszło do głowy. – Jak to?

Mój telefon wibruje głośno na stoliku przy kanapie, nie dając Jasperowi szansy na wytłumaczenie, czy faktycznie ma powód, żeby



myśleć o porwaniu Cassie, czy tylko rzucił taką możliwość. Zresztą to nieistotne, bo od tej chwili i tak będę myślała tylko o tym, że ktoś ją zgarnął z ulicy. Kiedy sięgam po komórkę, boję się, że mnie ugryzie.

**Proszę cię, Wylie, pomóż mi. Strasznie nawaliłam. Musisz po mnie przyjechać. Wysłałam Jaspera, bo ma samochód. Ale potrzebuję przede wszystkim ciebie. W kontakcie.**

Biorę nerwowy wdech. Przynajmniej jest w stanie pisać esemesy. To już coś. A „strasznie nawaliłam” nie brzmi jak porwanie. Muszę też przyznać, że pomimo wszystkich naszych nieporozumień cieszę się na myśl o byciu tą, której Cassie potrzebuje najbardziej.

– Co napisała? – pyta Jasper, zaglądając mi przez ramię.

– „...pomóż mi. Strasznie nawaliłam...” – czytam mu fragment esemesa i odsuwam telefon, żeby nie zobaczył zdania o nim. Nagle ogarnia mnie głęboki smutek, jakbym wreszcie zdała sobie sprawę, że Cassie może już nigdy nie wyjść na prostą. – Chce, żebyśmy po nią pojechali. Możesz kierować? Ja nie mam prawa jazdy.

Oczywiście ten plan ma jedną, maciupęnką wadę, o której dotąd starałam się nie myśleć. Bo to tak naprawdę nie jest wada – każdą wadę można jakoś obejść. Mam raczej na myśli coś w rodzaju betonowego muru.

Nie ma absolutnie żadnych szans na to, żeby udało mi się wyjść z domu. Nie byłam na dworze od trzech tygodni. Na początku nie byłam w stanie wejść do szkoły. Potem sama jazda samochodem zaczęła mnie męczyć, nawet krótki spacer mnie stresował. Ostatnie trzy sesje z doktor Shepard musiałam odbyć telefonicznie, co tylko dowodziło – zgodnie z jej podejrzeniami – że nauka w domu była krawędzią bardzo stromego zbocza, po którym bardzo szybko stoczyłam się na dno. Nabawiłam się ostrej agorafobii. Wiem, że to trwało zaledwie trzy tygodnie, ale niniejszym donoszę, że trzy tygodnie absolutnie wystarczą, by dowolny stan umysłu uznać za naturalny i odwieczny. W którymś momencie naszej misji o kryptonimie „Ratunek dla Cassie” będę się musiała nad tym poważnie zastanowić.

– Dokąd mamy po nią pojechać? – pyta Jasper. – Co się stało?

– Nawaliła, tylko tyle wiem. Tobie napisała tak samo.

– Bez sensu. Skąd mamy wiedzieć, że to naprawdę ona do nas

pisze? Może ktoś ukradł jej telefon.

Oczywiście ma rację. To, że ma takie podejrzenia, zdecydowanie zaliczam mu jako kolejny plus. Ale jeszcze nie jestem gotowa całkowicie go uniewinnić. Najpierw muszę się zorientować w sytuacji. Zerkam na swój telefon.

– Co piszesz? – pyta Jasper, widząc, jak stukam palcami w klawisze.

– Zadaję pytanie – odpowiadam. – Upewniam się, że to Cassie.

**Odstawiasz Janice?** To pierwsze, co mi przychodzi do głowy. Nasz stary żart, ale powinien zadziałać. Na samą myśl o nim zaczynam tęsknić za Cassie.

Jackie Wilson – nie Janice Wilson – była drobną dziewczyną, która zaczynała z nami naukę w Newton Regional. Trzy miesiące później jej rodzice znowu się przeprowadzili, ale do tego czasu obie z Cassie zdążyłyśmy ją polubić. Poważnie rozważałyśmy przyłączenie jej do naszej dwuosobowej paczki. Aż do momentu, kiedy się okazało, że Jackie nas notorycznie okłamywała. Nawet w takich głupich sprawach jak kolor skarpetek, które miała tego dnia na sobie. Trudno było jej nie współczuć, te kłamstwa musiały być jej do czegoś potrzebne. W każdym razie jak już wyjechała, zaczęłyśmy z Cassie używać jej imienia jako synonimu ściemniania: „odstawiać Jackie”. Teraz celowo użyłam innego imienia. Jeśli esemesów nie napisała Cassie, ich nadawca będzie miał pięćdziesiąt procent szans, żeby trafić z odpowiedzią: tak albo nie. Jeśli to ona wysłała te wiadomości, na pewno zwróci mi uwagę, że pomyliłam imiona.

Tym razem odpowiedź pada po dłuższej przerwie.

**W sensie Jackie? Nie, nie odstawiam Jackie. Na razie jedźcie na północ drogą 95, potem 93 w tym samym kierunku. Potem podam więcej szczegółów. Pospiesz się, Wylie, błagam. Potrzebuję cię.**

– To ona. – Wypowiadając to, natychmiast czuję się dużo, dużo gorzej. – Na pewno.

– Okej – mówi Jasper. – To co robimy?

Mogłabym zadzwonić do Karen i powiedzieć jej, że Cassie znów wpadła w jakieś tarapaty. Ale wtedy to przeze mnie zostanie wysłana w jakieś miejsce, gdzie będą jej wpajać szacunek do rodziców, każąc

maszerować pięćdziesiąt kilometrów przez pustynię. Mogę też być taką przyjaciółką, jaka jest teraz Cassie potrzebna. Kimś, komu będzie mogła zaufać.

Podnoszę wzrok znad telefonu, spoglądam na Jaspera i mówię:  
– Jedziemy.

Prowiant i sprzęt. To moja następna myśl. Musimy się zaopatrzyć. Przyznaję: to mój sposób na odsunięcie w czasie nieuchronnego wyjścia na zewnątrz. Ale też konieczność.

Wchodzę na górę, kieruję się do mojej sypialni, a Jasper idzie za mną. Znow nieproszony. Ale w sumie nie powiedziałam mu wprost, że ma czekać na dole. Nie przyszło mi do głowy, że za mną pójdzie. Ale to, że się przy mnie kręci, jest moim najmniejszym problemem. Z każdą chwilą perspektywa wyjścia na zewnątrz staje się coraz bardziej rzeczywista. Z każdym krokiem moje stopy robią się cięższe, a płuca kamienieją.

– Jaki masz plan? – pyta Jasper.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, dlaczego za mną poszedł: po prostu bez słowa wyjaśnienia ruszyłam zdecydowanym krokiem przed siebie.

– Muszę zabrać parę rzeczy. Może być zimno – odpowiadam.

– Nie musiałeś za mną iść.

To prawda, może się zrobić zimno. Na północ drogą 95 i potem dziewięćdziesiątkątrójką w tym samym kierunku. Tak napisała Cassie. Mimo że jest już maj, w Bostonie wciąż panuje chłód. Kto wie, jaka będzie pogoda i jak daleko na północ trzeba będzie jechać.

Ubranie na zmianę – skarpety, buty i swetry. Może trochę przesadzam, ale nie zaszkodzi przygotować się na najgorsze. W tej jednej sprawie moja mama zgodziłaby się ze skautami.

\* \* \*

Kiedy już dostała wytyczne od doktor Shepard, jak wzmacniać swoją pewność siebie, mama zabrała się do tego z pełnym animuszem. Byłam wtedy w siódmej klasie i spotykałam się z doktor Shepard niespełna rok. Mama bardzo chciała pomóc. Jak tylko mogła.

Dla niej wzmacnianie pewności siebie oznaczało tylko jedno: przygody. Wszystkich umiejętności traperskich nauczył ją dziadek, mój pierwowzór, kiedy mama była w moim wieku. „Wylie Pierwszy” był prawdziwym odkrywcą nieustannie tropiącym ślady historii w odległych krainach, ale po tym, jak babcia trafiła do szpitala, musiał siedzieć

w domu. Więc zamiast wyruszać w dalekie podróże, zabierał moją mamę do lasu, gdzie uczył ją, jak rozpaść ognisko i używać słońca do orientowania się w terenie. Tam, otoczeni dziką przyrodą, oboje zapominali o niedającym się okiełznać umyśle mojej babci.

Mama uwielbiała te wypadki w dzicz, ale ja niespecjalnie. Te, które odbyła ze mną, były dla mnie zbyt przerażające, żebym mogła się nimi cieszyć. W trakcie mojej drugiej wspinaczki skalnej utknęłam w połowie drogi na szczyt i błagałam mamę, żeby wezwała helikopter Gwardii Narodowej. Nie zrobiła tego. W ogóle nie pospieszyła mi z pomocą. Powtarzała tylko, że sobie poradzę. W kółko i na okrągło. „Dasz radę. Dasz radę”. Nie krzyczała, nie wołała, nie zagrzewała do walki. Mówiła to spokojnie, cicho i pewnym głosem. Jakby mi obiecywała: „Dasz. Radę”. Pewnie, że tak. Więc zamknęłam oczy i udawałam, że w to wierzę, aż po dwóch niekończących się godzinach dotarłam wreszcie na górę. Jak na zapłakaną dziewczynę, czułam się fenomenalnie. Nie zostałam wyleczona i nie mogę powiedzieć, że świetnie się bawiłam, ale tamta podróż i wszystkie późniejsze dały mi sporo nadziei. A nadzieja była mi potrzebna najbardziej.

Poza tym uwielbiałam każdą chwilę spędzoną sam na sam z mamą. Nie mogłam się nasłuchać, jak tłumaczyła mi najlepsze metody rozbijania namiotu w deszczu albo jak znaleźć punkt oparcia na stromej skale. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała tam, w lesie, z promieniami wschodzącego słońca na twarzy. Jak bogini. Albo wojowniczką. Bogini wojowniczką. W moich wspomnieniach na zawsze pozostanie właśnie nią.

\* \* \*

Kiedy oboje z Jasperem docieramy na szczyt schodów, drzwi łazienki gwałtownie się otwierają i z chmury pary wodnej wyłania się Gideon przepasany ręcznikiem. Stają twarzami do siebie.

– A tyś co za jeden? – pyta mój brat.

Nagle wydaje się mały w porównaniu z Jasperem, który przerasta go tylko o kilka centymetrów, ale jest znacznie lepiej umięśniony.

– Jasper – odpowiada i wyciąga zaciśniętą pięść, ale zamiast zrobić żółwika jak normalny nastolatek, Gideon próbuje niezdarnie uścisnąć mu dłoń, drugą ręką podtrzymując ręcznik.

– Jasper jest chłopakiem Cassie – mówię i macham do niego, żeby szedł dalej za mną.

Gideon patrzy na niego podejrzliwym wzrokiem. Jest oczywiście zazdrosny. Uważa, że to on powinien być chłopakiem Cassie, choć nigdy w życiu by się do tego nie przyznał.

– Poczekaj! – woła za nami. – Czy to znaczy, że tata znalazł Cassie?

Wzdrygam się, ale idę dalej. Mam nadzieję, że Jasper nie połączy faktów i nie domyśli się, że wiedziałam o zniknięciu Cassie, zanim do nas przyszedł, i tylko udawałam, że o niczym nie mam pojęcia. Ale jak tylko wchodzimy do mojego pokoju, poznaję po wyrazie jego twarzy, że już się połapał. Nikt nie powiedział, że Jasper Salt jest głupi.

– Udawałaś, że nic nie wiesz? – pyta głosem, w którym nie ma złości, a tylko zdziwienie.

Wzruszam ramionami i uciekam wzrokiem.

– Nie byłam pewna, ile ty wiesz.

Otwiera szeroko oczy, a po chwili je mruży. Już nie jest zdziwiony. Teraz go wkurzyłam.

– Czekaj, czy ty myślisz, że ona zniknęła przeze mnie?

– Nie powiedziałam tego.

Ale nie powiem mu też, że nie dopuszczam takiej możliwości. Nie zamierzam kłamać, żeby zmniejszyć swój dyskomfort. Jestem przyzwyczajona do dyskomfortu. Innego życia nie znam.

– W takim razie po co by do mnie pisała, żebyśmy po nią jechali? – pyta.

– Nie powiedziałam, że coś jej zrobiłeś – mówię, bo są przecież inne rodzaje odpowiedzialności. – Poza tym ja nie mogę kierować. Jeśli chciała, żebyśmy do niej przyjechali, musiała wymyślić jakiś sposób. W każdym razie odkąd się spotykacie, Cassie jest wrakiem.

– I to moja wina? – Jasper patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Wcale tak nie powiedziałam. – Chociaż w pewnym sensie tak myślę. Zaplatam ręce przed sobą. – Naprawdę chcesz to robić? Tracić czas na jakąś głupią kłótnię ze mną? Nie lubisz mnie, a ja nie lubię ciebie. Ale obydwoje kochamy Cassie, zgadza się? Teraz najważniejsze

jest, żeby jej pomóc.

– Czemu miałbym cię nie lubić? – pyta Jasper, jakby to była najważniejsza część mojej wypowiedzi. – Przecież w ogóle się nie znamy.

Z ulgą stwierdzam, że mój telefon znowu wibruje. Dzięki temu nie muszę mówić czegoś, czego nie powinnam. Ale to nie Cassie, tylko mój tata. **Będę w domu za dziesięć minut.**

Cholera. Nie mamy czasu dalej się spierać. Trzeba się spieszyć. A ja muszę się zmusić do wyjścia z domu.

**Cassie wróciła do domu?** – odpisuję.

**Jeszcze nie. Ale na pewno nic jej nie jest. Nie martw się.**

Czy ja naprawdę to zrobię? Nie powiem ojcu i Karen, że Cassie się do mnie odezwała? Nie chcę tego przed nimi zatajać, ale z drugiej strony wiem za mało, żeby się sprzeciwiać Cassie. Może później. Zwłaszcza że przecież zawsze możemy zmienić zdanie. Poczekamy na więcej informacji. Jak już będziemy wiedzieć dokładnie, w co się wpackowała, zdecydujemy, komu o tym powiedzieć.

– Musimy jechać. Mój tata zaraz wraca.

Zaczynam wrzucać rzeczy do małego worka: ubranie na zmianę, spodnie od dresu i bandanę, która przypomina mi o mojej zrujnowanej fryzurze. Jasper nadal skutecznie udaje, że jej nie zauważył.

– Czy twój ojciec albo brat mają może jakąś bluzę, którą mógłbym pożyczyć? Wyszedłem z domu od razu po przeczytaniu esemesa od Cassie. – Jasper patrzy na swoje krótkie rękawki. – Jeśli zatrzymamy się u mnie, nie ma mowy, żeby mój brat pozwolił mi znowu zabrać jego samochód.

– Jasne – mówię i trochę mi głupio, bo sądziłam, że włożył T-shirt celowo, żeby pokazać swoje bicepsy. – Poszukam czegoś.

Martensy mojej mamy ciągle leżą na podłodze w sypialni rodziców. Przez minutę stoję tam i na nie patrzę. W końcu wkładam w nie obie nogi i mocno zawiązuję sznurówki. Są o rozmiar za duże, ale dają radę. Z wieszaka za drzwiami zdejmuję też ulubioną bluzę mamy. To pewnie nie przypadek, że wisiała tam od czterech miesięcy, dokładnie w miejscu, w którym ją zostawiła. Może to znak, że tata

jednak wciąż nie umie się z nią rozstać. Ale nawet jeśli to prawda, to teraz ta bluza jest potrzebna bardziej mnie niż jemu. Poza tym to on pokazał, że nic go nie obchodzą jej buty.

Na koniec zabieram z nocnej szafki szwajcarski scyzoryk mamy. Dostała go od mojego dziadka w prezencie na szesnaste urodziny, są na nim jej inicjały. „Dobry na wszystko”, mówiła. Obracam go w palcach, czując na dłoni jego ciężar.

Jak tylko serce zaczyna mi drżeć, chowam scyzoryk do kieszeni i ruszam do drzwi.

Jasper chodzi po moim pokoju i ogląda zdjęcia, które zrobiłam. Są czarno-białe, wiszą na żyłce biegnącej wzdłuż ścian. Od dawna nie zwracałam na nie uwagi, pewnie od wypadku. Dawniej nie rozstawałam się ze swoim cyfrowym aparatem, który dostałam na urodziny, i więcej widziałam przez jego obiektyw niż własnymi oczami. Mama zawsze mówiła, że potrafię uchwycić prawdziwą osobę schowaną za maską. Zapewniała mnie, że to oznaka prawdziwego talentu fotograficznego. Dzisiaj nie wyobrażam sobie, że miałabym komukolwiek zrobić zdjęcie.

– Są trochę... – Jasper szuka odpowiedniego słowa, patrząc na kadr ze staruszką siedzącą na ławce w parku niedaleko placu Copley. Obok niej, na ziemi leży duża torba. Kobieta patrzy prosto w obiektyw, ale się nie uśmiecha. Między jej stopami leżą pokruszone krakersy.  
– Przygnębiające.

Czuję się obnażona i w ogóle mi się to nie podoba. Bo to prawda – moje zdjęcia są przygnębiające. Ale to nie znaczy, że Jasper musiał mi to mówić. Zastanawiam się, czy wyszło mu to mimochodem, czy chciał mi sprawić przykrość. Trudno to u niego wyczuć. Tak czy inaczej, wolałabym, żeby przestał oglądać moje fotografie. I żeby wyszedł z mojego pokoju.

– Chodźmy. – Rzucam mu koszulę i polar taty. – Musimy spadać.

Niesamowite, jak pewnym głosem to powiedziałam. Zupełnie jakby całe to wyjście z domu było czymś realnym. Jakbym ostatni raz nie stanęła za progiem trzy tygodnie temu. Jasne. Oczywiście. Nie ma problemu.



Kiedy jesteśmy znów na dole, staram się skupić na tu i teraz, jak uczyła mnie doktor Shepard. Nie wybiegać w przyszłość, gdzie czyha paralizujący lęk. Wyciągając grube kurtki z szafy, czuję na dłoni szorstkość materiału, a chwilę później chłód metalowej klamki. Te rzeczy są prawdziwe. Wszystko inne tylko sobie wyobrażam. Ale potwór w mojej głowie i tak wrzeszczy: „Dwór! Dwór! Dwór!”. Serce bije mi tak szybko, że chyba zaraz wybuchnie.

– Masz, włóż to – mówię i podaję Jasperowi parkę taty.

Już mi się przygląda. Oczywiście zauważył, że coś jest ze mną nie tak. Musiałby być kompletnym durniem, żeby tego nie dostrzec. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Cassie powiedziała mu wszystko o moich problemach. A nawet ona nie wie, o ile poważniejsze się stały w ostatnim czasie.

Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi z przedpokoju do garażu. Po drugiej stronie powietrze jest rzadkie i ostre, jakbyśmy wyszli w przestrzeń kosmiczną. A przecież drzwi na dwór są jeszcze zamknięte. Dla utrzymania równowagi łapię jedną ręką za najbliższą półkę i w tym samym momencie dostrzegam sprzęt kempingowy mamy. Rzeczy, których nigdy nie pozwolę nikomu oddać, choćby nie wiem kto ich potrzebował i w jak dramatycznych okolicznościach. Niektóre z nich zabiorę ze sobą, nagle staje się to dla mnie oczywiste: jeden z miniaturowych namiotów, plastikowy brezent, śpiwór, kilka rac świetlnych, kompas i filtr do wody. Połowę kładę na podłodze, resztę przyciskam do siebie.

Kiedy się odwracam, widzę, że Jasper patrzy na to wszystko mocno zdziwionym wzrokiem.

– Na pewno nam to potrzebne? – pyta. – Cassie chyba nie pisała nic o spaniu pod gołym niebem.

Nie, n a m nie jest to potrzebne! – mam ochotę wykrzyknąć. J a tego potrzebuję. Żeby wyjść za drzwi.

– Nigdy nic nie wiadomo – mówię i daję mu znak, żeby wziął to, co leży na podłodze. Potem pokazuję na guzik w ścianie, tuż obok niego. – Naciśniesz? Otwiera drzwi garażu.

Na dźwięk podnoszonych drzwi aż się wzdrygam i ściskam sprzęt tak mocno, że wbija mi się w zębra. Ale ból jest jakoś dziwnie kojący.

Przed utratą przytomności zawsze najpierw czuję odrętwienie, a potem ciemnieje mi przed oczami. Teraz nic takiego się nie dzieje. Jeszcze. Mam za to wrażenie, jakbym zanurkowała, a ciśnienie zgniatało mi czaszkę.

Drzwi wędrują dalej, a ja nie wiem, czy Jasper coś mówi, czy nie. Nic nie słyszę prócz klekoczącego mechanizmu podnośnika. Nic nie czuję, prócz walenia serca.

Wreszcie moim oczom ukazuje się nocne niebo, a twarz owiewa mi zimne powietrze. Widzę dom po drugiej stronie ulicy, ogródek, na którym często się bawiłam jako dziecko. I boczną alejkę, która była moją drogą na skróty do szkoły. Wspomnienia z cudzego życia. Powietrze ma miły zapach, trochę w nim palonego drewna i śniegu. Kojarzy mi się z bezpieczeństwem, a mimo to czuję tylko rosnący strach.

Jasper jest już na podjeździe i, jak przystało na zupełnie normalnego człowieka, po prostu idzie w stronę swojego samochodu. Wrzuca do bagażnika część sprzętu kempingowego. Parę sekund później stoi przede mną i patrzy na mnie zdziwiony. Ale mimo jego świdrującego spojrzenia i świadomości, że tracę cenny czas, i tak nie jestem w stanie się ruszyć.

Jest tylko jeden sposób, żebym wyszła z garażu: muszę uwierzyć, że mi się uda. Słyszę w głowie głos mojej mamy: „Dasz radę. Dasz radę”. Widzę ją znów, jak trzyma za mnie kciuki, żebym wdrapała się na tamtą skałę. Wierzyłam jej i to mi pomogło wejść na szczyt. A teraz pomoże mi przekroczyć próg.

– Daj mi rękę – mówię do Jaspera, nawet na niego nie patrząc. Przez chwilę się waha, ale w końcu podsuwa mi swój biceps. Chwytam go palcami za nagi łokieć, bo wydaje mi się, że to będzie mniej krępujące niż dotknięcie jego umięśnionego ramienia. Ale nie jest.  
– Musisz mnie podprowadzić do auta. Nie pytaj dlaczego. I tak ci nie powiem.

Zamykam oczy, bo kto wie – może udając, że to się nie dzieje naprawdę, ułatwię sobie zadanie.

Wychodzimy z garażu, ja z zamkniętymi oczami. Mimo to po przekroczeniu progu czuję otaczającą mnie ciemność. Oddychaj, mówię

sobie w duchu. Otwieram powieki dopiero, kiedy zbliżam się do zimnej karoserii samochodu. Wciągam powietrze w płuca, puszczam łokieć Jaspera i wrzucam resztę rzeczy do bagażnika starego jeepa. Znow zamykam oczy i po omacku przesuwam się w stronę drzwi pasażera. Za plecami słyszę dźwięk zamykanej klapy.

Wsiadam do auta, serce bije mi szybciej. Ale pierwszy raz mam wrażenie, że to coś dobrego: udało mi się. Trudno mi w to uwierzyć, kiedy patrzę na siebie siedzącą w środku jeepa. Szykuję się na pytania, które Jasper mi zada, gdy już zasiądzie za kierownicą. Te, które zabroniłam mu zadawać. Wreszcie zajmuje swoje miejsce i wiem, że na mnie patrzy. Jakby się zastanawiał.

– No dobra. – To wszystko, co mówi.

Przekręca kluczyk w stacyjce. Pewnie uznał, że jestem stuknięta, ale postanowił być miły i zachowa to dla siebie. No cóż, muszę się z tym pogodzić.

Zamiast się uruchomić, silnik głośno się krztusi.

– Nie martw się. To norma. Zaraz odpali.

Kiedy wreszcie zaskakuje, czuję wielką ulgę. Bo gdybym teraz musiała wrócić do domu, za żadne skarby świata nie wyszłabym znowu na dwór.

Parę sekund później jesteśmy już na drodze. Naprawdę jedziemy. J a dę. W dodatku prawie zaczynam się... No, może nie odprężyć – to by była przesada. Ale nic mi się nie dzieje. Nie zemdlałam, nie zwymiotowałam, co w moim przypadku trzeba uznać za sukces. Mój entuzjazm trwa aż do chwili, kiedy na końcu ulicy widzę światła samochodu. Ojciec wraca do domu.

Niespodziewanie gryzie mnie poczucie winy. Będzie się martwił, kiedy mnie nie zastanie. Chciał, żebym pozamykała wszystkie drzwi, a tymczasem wyszłam z domu. Mój liścik – dwa słowa: „niedługo wracam” – niewiele wyjaśnia. Gideon na pewno powie mu o wizycie Jaspera. Ojciec oszaleje.

A ja tego nie chcę. Mój tata nigdy nie zastąpi mi mamy. Nie rozumie mnie jak ona. I czasem mam wrażenie, że nie bardzo za nią tęskni. Jakby coś między nimi pękło jeszcze przed jej śmiercią. Ale wiem, że próbuje się odnaleźć. Nie mam co do tego wątpliwości.

Schylam się, kiedy mijamy jego samochód, który jedzie z dużą prędkością. Wolę chronić tajemnicę Cassie –jakakolwiek się okaże – niż go zatrzymać i powiedzieć o wszystkim tacie. Teraz jestem przede wszystkim przyjaciółką, dopiero w drugiej kolejności córką. Mogłabym udawać, że to z mojej strony jakaś wielka ofiara, ale mroczna prawda jest taka, że kierują mną dużo bardziej egoistyczne pobudki. Może wszystko, co robię, ma udowodnić Cassie, że popełniła błąd, wymieniając mnie na nowe koleżanki.

Mój telefon wibruje i już się szykuję na wiadomość od ojca, który pewnie będzie mnie błagał, żebym wracała. Ale esemes nie jest od niego, lecz od Cassie. Mówi niewiele, ale zarazem więcej, niż chciałam usłyszeć.

**Szybko.**

Postępujemy zgodnie z instrukcjami Cassie. Jedziemy przez chwilę drogą 95 na północ, a potem prawie godzinę dziewięćdziesiątkątrójką, dalej na północ. Światła Bostonu szybko znikają za naszymi plecami i wkrótce mijamy granicę stanów Massachusetts i New Hampshire. Autostrada jest wciąż szeroka, ale po obu jej stronach panuje absolutna ciemność. Oboje z Jasperem po kilka razy esemesujemy do Cassie w nadziei na to, że powie nam coś więcej. **Jak długo 93? Co potem? Gdzie jesteś?** Wszystko, co tylko może sprowokować odpowiedź. **Nic ci nie jest? Odpowiedz.** Ale Cassie milczy. Nie dostajemy ani jednej wiadomości zwrotnej.

Pisze do mnie tylko mój tata. Dostałam od niego już sześć esemesów i wszystkie były bardzo podobne do tego, który właśnie przyszedł: **Wylie, proszę cię, powiedz mi, gdzie jesteś. Wracaj do domu. Martwię się.** Parę razy też dzwonił. Raz nagrał wiadomość na pocztę głosową, ale nie odważyłam się jej odsłuchać.

Jak się mogłam spodziewać, tata uznał mój liścik pozostawiony w kuchni za zdecydowanie niewystarczający. Ale w esemesach stara się zachować spokój. Nawet daje się wyczuć w nich dumę, że wyszłam z domu. Szczerze mówiąc, ja też się z tego cieszę. Przez pierwsze dwadzieścia minut podróży byłam wręcz na haju.

Teraz tamto uniesienie zniknęło, ale i tak czuję się najlepiej od kilku miesięcy. Najwyraźniej działanie sprowokowane prawdziwym zagrożeniem było lekarstwem, którego potrzebowałam. A może po prostu trudniej mi usłyszeć wszystkie dźwięczące w mojej głowie syreny alarmowe, skoro zagłusza je rzeczywistość. Bo w końcu jadę na północ w nieznanym celu, z niewiadomego powodu, żeby uratować przyjaciółkę, którą kocham i której nie powinnam ufać – o czym doskonale wiem – a mimo to od dawna nie byłam taka spokojna.

Prawie w ogóle nie rozmawiamy z Jasperem. Co jakiś czas tylko pyta mnie, czy nie jest mi zimno, a ja jego, czy może zmienić stację radiową. Bardzo szybko się okazuje, że stary odbiornik ma nam do zaoferowania tylko szum albo jakąś audycję o niebezpieczeństwie płynącym ze stosowania leków psychiatrycznych przez nastolatków,

która w mojej sytuacji jest mocno krępująca.

Na szczęście mało co słyhać przez ryk silnika. Jazda wysłużonym jeepem przypomina trochę podróż w samolotowym luku bagażowym. Jakbym się znalazła w miejscu nieprzeznaczonym dla pasażerów. Do tego im dalej na północ, tym robi się zimniej. Nie czuję już palców u stóp, mimo że Jasper ciągle podkreca ogrzewanie. Sprawdzam w telefonie, która godzina – prawie wpół do dziewiątej – i zaczynam się martwić, że chłód w kabinie i niepokojąco głośna praca silnika oznaczają jakiś problem z samochodem. Zerkam na podłogę po stronie kierowcy, skąd zdaje się najmocniej wiać.

– Dziura – mówi Jasper.

– W podłodze? – pytam i ściskam uchwyt przy drzwiach tak mocno, że boli mnie ręka.

– Nie przejmuj się, nic nam nie grozi. Otwór nie jest w pobliżu pedałów. Mój brat powinien to naprawić, to jego wóz. Ale on myśli tylko o zaliczaniu lasek i wybijaniu ludziom zębów. – Jasper sprawia wrażenie, jakby zamierzał powiedzieć więcej, ale tylko się uśmiecha. Po chwili dodaje: – Na przykład mnie, kiedy się dowie, że wziąłem jego furę.

– Aha – mówię.

– Nieważne. Jest duży, ale bardzo powolny. Na ogół udaje mi się zwiać. Tylko raz nie zdążyłem. – Jasper pokazuje bliznę nad prawym okiem. – Rzucił mnie na róg stołu. Tylko pięć szwów, ale krew tryskała jak oszaląła. Na szczęście moja mama jest pielęgniarką, więc była spokojna. Ale trzeba było wymienić kawałek dywanu.

– To straszne – krzywię się. – Musiał dostać niezły szlaban, co? Jasper odwraca głowę w moją stronę.

– Niezupełnie – odpowiada. – Mój dom to dżungla. Każdy walczy o przetrwanie.

To pewnie to ciężkie życie, o którym mi opowiadała Cassie.

– Aha – mówię jeszcze raz, bo nie mam pojęcia, jak zareagować.

– Tak. Moja mama przypomina sobie o mnie tylko wtedy, kiedy może na mnie zarobić. – Uśmiecha się, jakby go to nie bolało, ale widzę, że jest inaczej. – Przedemną świetlaną przyszłość w roli ludzkiego bankomatu.

- To słabo – mówię.
  - Tak – przyznaje cicho Jasper. – Ale mogłoby być gorzej.
- Mój telefon znowu wibruje. **Wylie, proszę cię, nie rób tego.**

### **Odpowiedz mi. Natychmiast.**

- Cassie? – pyta Jasper z nadzieją w głosie.
- Nie, mój ojciec.
- Wkurzony?
- Chyba raczej zmartwiony.
- To miłe – mówi, jakby troska mojego taty była dowodem, że mam w życiu lepiej niż on.

Może faktycznie powinno mi być miło, ale nie jest. Pewnie dlatego, że z każdym kolejnym esemesem coraz bardziej mi się wydaje, że martwi go przede wszystkim utrata kontroli nade mną, a nie to, że jego ukochanej córce stanie się coś złego.

- No w sumie – mówię, gapiąc się w telefon.

Jasper podnosi dłoń.

– Przepraszam. Nie cierpię, jak ludzie mówią mi coś takiego. „Twoja mama na pewno cię kocha. Przecież jesteś jej synem”. – Słyszę w jego głosie złość. W końcu przypomina człowieka, który mógłby uderzyć kogoś w twarz. – Moja własna matka jest chodzącym dowodem na to, że życie to ciąg porażek. – Jasper kręci głową. – Może twój stary jest dupkiem. W sumie to nie mam pojęcia.

Ja sama nie jestem tego pewna. Ale myślę, że już czas mu odpowiedzieć, napisać coś, co go uspokoi.

**Dostaliśmy esemesa od Cassie. Wszystko w porządku. Po prostu się w coś wplątała i poprosiła, żebyśmy po nią pojechali. Niedługo wrócimy! Pa, pa!**

Wysłałam wiadomość, gapiąc się na to nieprzekonujące „pa, pa!”. Wykrzyknik też był przesadzony. Ale nie skłamałam. Nie do końca.

**NIE**, odpisuje prawie od razu mój tata. **Nie powinnaś tego robić. NATYCHMIAST powiedz Karen, gdzie jest Cassie, i ona po nią pojedzie.**

- Chce, żebym powiedziała Karen, gdzie jest Cassie – mówię, patrząc na te wszystkie wielkie litery, które wbijają mi się pod skórę.
- Myślisz, że to dobry pomysł? – pyta Jasper.

Nie wiem, czy słyszę w jego głosie osąd, czy tylko mi się zdaje.

– A ty nie? – mówię.

Bo prawda jest taka, że nie wiem, co powinniśmy zrobić. Trochę to dziwne, że właśnie w t a k i e j sytuacji nagle postanowiłam znowu zrobić to, czego chce ode mnie Cassie. Ale z drugiej strony fakt, że ja uważam coś za dziwne, jeszcze o niczym nie świadczy.

– Tak naprawdę to nie wiemy, gdzie ona jest – mówi Jasper.

– Może poczekamy? Zobaczymy, co napisze w następnym esemesie. Powiesz tacie, że wcześniej nie widziałaś jego wiadomości.

– Mam skłamać?

– Zyskać trochę czasu. Ale masz rację, można to nazwać kłamstwem – mówi, jakby miał mnie za idiotkę. – Masz w telefonie tę aplikację, która pozwala namierzyć aparat? Pewnie z niej skorzysta, nie?

Kręcę głową.

– Nie mam.

Dostałam nowy telefon od operatora po tym, jak upuściłam poprzedni do sedesu w dniu pogrzebu. To kolejna niesprawiedliwość, o którą wściekał się Gideon. Zresztą mój tata nie miał dotąd powodu martwić się o to, gdzie jestem, bo nie wychodziłam z domu.

– No, w każdym razie ja nie mam nic przeciwko małej manipulacji, o ile twój stary nie jest gliną.

Nagle czuję ucisk w żołądku. Dlaczego Jasper boi się policji?

– Nie. Jest naukowcem. A co?

– Chodziłem kiedyś z dziewczyną, której ojciec był kuratorem sądowym – mówi Jasper. – Dowiedziałem się o tym, dopiero jak nas razem przyłapał. Jakiś jego kumpel zamknął mnie w areszcie na całą noc. – Kręci głową i prawie się śmieje. – Byliśmy gówniarzami, to nie była żadna zbrodnia. Ale muszę przyznać, że mnie mocno wystraszył. Całymi tygodniami nawet się nie zbliżałem do dziewczyn.

Patrzę na jego profil. Czy jemu się naprawdę zdawało, że najlepsza przyjaciółka jego dziewczyny będzie chciała słuchać opowieści o jego dawnych podrywach?

– Takie tam historie. – Jasper odchrząkuje i wydaje się nie rozumieć, dlaczego patrzę na niego z niesmakiem. – A czym dokładnie zajmuje się twój ojciec?



Kładę telefon ekranem do dołu i udaję, że ta rozmowa mnie interesuje, a tak naprawdę, zgodnie z jego propozycją, chcę tylko zyskać trochę czasu, zanim odpiszę tacie. Faktycznie to chyba rozsądne, żeby trochę poczekać, zanim komukolwiek wyśpiewam tajemnicę, którą powierzyła mi Cassie.

– „Rozmowa w cztery oczy a percepcja emocji: implikacje dla badań nad zintegrowanym podejściem do inteligencji emocjonalnej” – cytuję tytuł pracy mojego taty tonem, który sugeruje, że Jasper na pewno tego nie zrozumie.

– Aha – mówi z zamyśloną miną. – Nie mam pojęcia, co to jest zintegrowane podejście do emocjonalnego czegoś tam. A powinienem? Wzruszam ramionami.

– Ja też bym nie wiedziała, gdyby tata bez przerwy o tym nie opowiadał. Opracował test, za pomocą którego bada mały wycinek ludzkiej percepcji i to jest jakiś jeden z wielu aspektów jednego z wielu podejść do inteligencji emocjonalnej, które nazywa się „zintegrowanym”. Tak czy siak, zainteresował się badaniem inteligencji emocjonalnej – to coś jak IQ, tyle że dla uczuć – po tym, jak poznał moją mamę i totalnie się wkręcił, że jest medium, bo zawsze wiedziała, o czym on myśli. Wszystko potrafiła wychwycić.

\* \* \*

Szłam wieczorem do łóżka, kiedy na podłodze w sieni zobaczyłam zieloną ulotkę. Leżała przy drzwiach, pod szparą na listy, obok kolejnego menu z lokalnej knajpki azjatyckiej.

KOLEKTYW – głosił duży czerwony napis; pod nim były szczegóły jakiegoś wykładu: „Duchowość nauki, siódma wieczorem, 18 grudnia! Zobacz, co się dzieje na skrzyżowaniu wolności, wiary i nauki”.

– No proszę – powiedziała moja mama, czytając mi przez ramię. Skręciła swoje falujące włosy w supeł na karku. – Życie w mieście uniwersyteckim. Łatwo się dać ogłupić. Czasem to lubię, ale częściej chciałabym, żeby wszystkie ulotki reklamowały wyprzedaże garażowe.

Powiedziała to luźnym tonem, żebym pomyślała, że to zwykła reklama, jedna z wielu. To samo zrobiła, kiedy odwiedziłam ją w pracy i ktoś zatknął za wycieraczkę jej auta kolaż zdjęć z Bliskiego Wschodu. Na kolażu widniały czaszka i kości.

– To ma jakiś związek z twoim artykułem? – zapytałam, pamiętając o plastikowych lalkach.

Prawie półtora miesiąca po pierwszej dostaliśmy trzy kolejne.

– Nie sądzę – odparła, jakby jej to nawet nie przyszło do głowy.

– Co to jest duchowość nauki?

– Kto wie? – powiedziała już weselszym tonem i mocno mnie do siebie przycisnęła. – Dowód na to, że żyjemy w wolnym kraju. I Bogu dzięki za to.

– Więc to nic groźnego?

– Na pewno nie. Słuchaj, nad światem nie zapanujesz. Taka jest prawda. – Wzięła ode mnie ulotkę, złożyła ją w małą kostkę i schowała do tylnej kieszeni spodni, a na koniec pocałowała mnie w czubek głowy. – Na szczęście nie musisz się tym przejmować. Twój tata jej nie widział, prawda?

Pokręciłam głową.

– Nic mu nie mówmy – powiedziała. – Po plastikowych lalkach i strąceniu doktora Catona z Olimpu – mama wywraca oczami – boję się, że nawet od takiej błahostki głowa mu eksploduje.

– A właściwie czemu tata go zwolnił?

Los doktora Catona nie interesował mnie aż tak jak Gideona, ale całe to zajście wydawało się bardzo dziwne, niespodziewane i dramatyczne jak na mojego tatę, arcymistrza trzymania nerwów na wodzy. Tata w ogóle nie chciał o tym rozmawiać.

– Doktor Caton miał tak silną potrzebę niezależności, że nie chciał słuchać twojego taty, który jest nie tylko niezwykle utalentowanym naukowcem i bardzo inteligentnym człowiekiem, ale był też jego szefem – powiedziała mama. – Na pewno niełatwo jest wykonywać czyjeś polecenia, jeśli się ukończyło liceum w wieku piętnastu lat. Z tego, co mówił twój tata, na dodatek doktor Caton pochodził z niezmiernie zamożnej rodziny, w której jednak zaniedbano nieco naukę manier. Ludzie, którzy zawsze dostają to, czego chcą, często cierpią na krótkowzroczność. Tym bardziej się cieszę, że wysłaliśmy Gideona do szkoły z jego rówieśnikami.

– Nie powiedziałałabym, że Gideon ma dobre maniery.

– No cóż, robimy, co możemy – roześmiała się mama. – Chodzi mi

głównie o to, że czasem liczy się nie to, w co wierzysz, ale jak w to wierzysz.

\* \* \*

– To weź mi to wyjaśnij, żebyśmy zaczęli. – Sztuczny, pseudosurferski slang Jaspera sprawia, że momentalnie wracam do jeepa i otaczających nas ciemności. Przypomina mi też wszystkie powody, dla których go nie lubię.

– Co ci mam wyjaśnić?

– No z twoim ojcem.

– Co z moim ojcem?

– Jego badania. Mamy czas. A ja lubię naukę. No wiesz, w wersji dla prostaków.

Nabija się ze mnie. Może myśli, że to dlatego go nie lubię? Bo jest prostakiem? Wlepiam w niego wzrok, aż się poddaje i unosi w górę dłoń, po czym dodaje:

– Za wcześnie na żarty, wiem.

Nie chce mi się rozmawiać o pracy mojego taty, ale jeśli nie zajmę czymś myśli, to kto wie, dokąd mnie znowu zaciągną. Rozmowa to dobry pomysł. A badania taty to na pewno bezpieczniejszy temat niż związek Jaspera i Cassie.

– Robił bardzo dużo badań o inteligencji emocjonalnej, ale w tym konkretnym przyglądał się jednemu aspektowi IE, czyli odczytywaniu cudzych emocji. To właśnie oznacza słowo „percepcja”.

Jasper wzrusza ramionami.

– Nie powiedziałbym, że jestem mistrzem w czytaniu ludzi. Ale kumam, że niektórzy to umieją.

– To bardzo mały wycinek całej dziedziny. Nic, co by świat obserwował z niecierpliwością. Mój tata chciał sprawdzić, czy ludzie będą trafniej odczytywać emocje, obserwując rozmówcę na żywo, niż kiedy patrzą na zdjęcie jego twarzy, bo tak do tej pory się to sprawdzało.

– I co? – pyta Jasper, jakby się spodziewał jakiegoś wielkiego odkrycia, jakby oczekiwał, że badanie dało jakiś niesamowity wynik. Będzie rozczarowany, tak jak mój tata.

– Nic ciekawego – mówię. – Czegoś tam się dowiedział, ale nie wynalazł lekarstwa na raka ani nic podobnego.

– O kurde. Ładnie żeś mu przywaliła.

Ma rację. Jestem zbyt surowa. Ale tak się czuję: jestem rozdrażniona. Bardziej, niż myślałam. Wprawdzie wtedy tego nie wiedział, ale faktem jest, że poświęcił swoim badaniom mnóstwo czasu, który mógł spędzić z mamą. Zamiast być z nią i cieszyć się życiem, myślał tylko o jakichś głupich eksperymentach, które nigdy nikogo nie zainteresują. A teraz jej już nie ma. I choćby nie wiem jak się starał, nie nadrobi straconego czasu. Nie wynagrodzi go ani jej, ani nam.

Wzruszam ramionami.

– Dla niego to ważne. – Czuję, że Jasper cały czas mi się przygląda, i chciałabym, żeby przestał. Wolę zmienić temat, bo zaraz całkiem się rozkleję. – Po prostu żałuję, że inne rzeczy nie były dla niego ważniejsze.

Znowu wibruje mój telefon. Spodziewam się kolejnej wiadomości od taty, ale tym razem to Cassie. Nareszcie. **Zjazd 39C na drogę 203. Niedługo napiszę więcej.**

Moje serce bije szybciej, kiedy wstukuję odpowiedź: **Wszystko w porządku?? Co się dzieje?**

**Nie mogę teraz gadać. To niebezpieczne.** Przynajmniej coś odpisała. Choć nie to, na co miałam nadzieję.

– Co jest? – pyta Jasper.

– Mamy znaleźć zjazd 39C. – Sprawdzam GPS w telefonie. – To za jakieś czterdzieści minut.

– To wszystko? Nic więcej?

Znów słyszę tę złość w jego głosie. Jasper wprawdzie nie krzyczy, ale jego gniew jest wyraźny. Kryje się pod powierzchnią. Zastanawiam się, jak bardzo go przenika.

– Napisała, że się odezwie, bo teraz boi się pisać więcej.

– Czyli co? – pyta. – Mamy po prostu jechać przed siebie?

– A masz lepszy pomysł?

Przez chwilę Jasper milczy.

– Nie – mówi w końcu zrezygnowanym tonem. – Nie mam żadnych pomysłów. Nie wiem, co powinniśmy robić. Czasem mi się wydaje, że jej w ogóle nie znam.

Teraz mówi jak ja, co mnie pociesza i zarazem niepokoi.

– Wiem, co czujesz.

– Naprawdę uważam, że Cassie za tobą tęskni – mówi. – Nie przyznałaby się do tego, ale wiesz, jaka jest. Uparta do bólu.

Owszem, wiem. Ale trochę dziwnie jest usłyszeć to z ust Jaspera.

– Bez ciebie była mocno zagubiona – dodaje Jasper.

Mówi to niemal z zazdrością w głosie i staram się z tego nie cieszyć.

– Ostatnio chyba nie było najłatwiej się ze mną przyjaźnić – stwierdzam.

Wolę udawać, że to dlatego ze sobą nie rozmawiamy.

W przeciwnym razie nie uda mi się uniknąć prawdy i nie zdradzić Jasperowi, jak kiepskie mam o nim mniemanie.

– No nie wiem – mówi. – Czy nie po to mamy najlepszych przyjaciół? Żeby byli przy nas, kiedy jest nam ciężko?

Zaraz, zaraz, czy Cassie mu powiedziała, że to o n a nie mogła znieść m n ie? Czy on myśli, że to dlatego utraciliśmy kontakt? Mnie się wydawało, że postawiłam Cassie swoją granicę dla jej zachowania i że to z tego powodu już nie jesteśmy przyjaciółkami. Może prawda jest taka, że Cassie już od dawna miała mnie dość. Cała się czerwienię, bo widzę kątem oka, że Jasper na mnie patrzy, jakby oczekiwał, że przedstawię swoją wersję. Ale za szybko przeszłam od przekonania o własnej nieomyślności do bycia piątym kołem u wozu, żeby ciągnąć ten temat.

– O co się pokłóciliście? – zmieniam temat. – Może tu jest jakiś klucz do wszystkiego?

– Mam nadzieję, że nie – mówi Jasper skruszonym głosem.

– Zresztą to nie była tak naprawdę kłótnia. Ja krzyczałem, a Cassie płakała. – Kręci głową z niedowierzaniem. – Już wtedy, jak to się działo, miałem wrażenie, że to ktoś inny stoi przed stacją benzynową i wrzeszczy na swoją dziewczynę. Miałaś tak kiedyś? Coś takiego, że widzisz samą siebie, jak coś robisz, jakby z zewnątrz? – Jasper zerka na mnie kątem oka. Wygląda na to, że czeka na moją odpowiedź.

– Każdy tak czasem ma – mówię, choć mam nieprzyjemne wrażenie, że w ten sposób go rozgrzeszam, a to, o czym opowiadał, nie brzmiało najlepiej. – Ale pamiętaj, że ja nie wiem, co jest normalne.

Żałuję, że to ostatnie zdanie powiedziałam na głos.

– Ale trzeba być prawdziwym dupkiem, żeby krzyczeć na dziewczynę, która stoi tuż obok ciebie i płacze. Niezależnie od tego, co zrobiła. I wiesz co? Przez cały czas, jak się na nią darłem, myślałem sobie: „Dokładnie to samo robi mój brat. To samo robił mój... Ja tak nie robię”. – Jasper kręci głową. – W każdym razie dotąd tego nie robiłem.

Dlaczego mi się z tego zwierza? Przecież nie zacznę go dzięki temu lubić. A może mówi o tym błahym epizodzie, żeby ukryć jakiś dużo gorszy?

– Czemu na nią krzychałeś? – pytam. – Powiedziałaś, że coś zrobiła.

– Zdradzała mnie – mówi cicho i ze smutkiem. – Od dłuższego czasu. Jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Niemożliwe. – Prawie się zaśmiałam. Bo to kompletnie niedorzeczne. Jasper był dla Cassie megazdobyczą. Dzięki niemu uwierzyła w swoją wartość. Trudno mi to przyznać, ale to prawda. Niby czemu miałyby go zdradzać? – Dlaczego tak myślisz?

– Miałem przeczucie. Może nie jestem mistrzem w czytaniu ludzkich emocji, ale Cassie cały czas z kimś esemesowała i ukrywała to przede mną. Ale nie tylko dlatego się na nią wkurzyłem. Ostatnio zaczęła naprawdę świrować i chciałem, żeby się uspokoiła. Na co ona oszalała. Oskarżyła mnie, że próbuję ją kontrolować, a ja chciałem jej tylko pomóc.

– Jak to „świrować”?

– No wiesz, imprezki, te rzeczy – mówi.

– Imprezki? – pytam, jakbym nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Jakbym nie zamartwiała się dokładnie tym samym.

– Cassie za bardzo się upijała. Za bardzo i za często.

– I tobie to przeszkadzało? – Staram się nie drwić, ale kompletnie mi to nie wychodzi. Dodaję szybko, udając, że nie o to mi chodziło:

– Przecież ty też chodzisz na imprezy.

– Chodzenie na imprezy a jazda na urwanym filmie to dwie różne rzeczy.

– A Cassie urywał się film?

Chcę to usłyszeć z jego ust. Jakby to było dla mnie kluczowe. Bo jeśli Cassie wściekła się na Jaspiera za to, że on też jej to mówił, to

znaczy, że miałam rację.

– Totalnie. I cholernie się tego bałam. Na pewno też to widziałaś, nie?

Jest wyraźnie skołowany. Może się boi, że wszystko to sobie tylko wyobrażał? Ale choć bardzo mi pasuje, że Jasper zaczyna rozumieć, o ile lepiej od niego znam Cassie, to jednak nie chcę go teraz okłamywać.

Więc kiwam głową.

– Tak, widziałam. I też się cholernie bałam.

Jedziemy dalej w milczeniu. Pokonujemy chyba cały stan New Hampshire. Zjazdy z autostrady powoli zbliżają się do numeru 39C. Przez cały czas się zastanawiam, czy to dobrze, że Jasper zgadza się ze mną co do Cassie. Jednocześnie staram się nie myśleć o tym, jak długo jeszcze będzie działał w mojej głowie tymczasowy zawór bezpieczeństwa, zanim do świadomości dotrze fakt, że uciekłam z domu, a lęk znów mnie zaleje i wypełni mi płuca. Wiem, że gdzieś blisko mnie tyka jakiś zegar, odmierzający czas do zera. Pytanie tylko, co się stanie, kiedy wskazówka to zero osiągnie.

W najgorszym wypadku nie będę mogła zachować mojej paniki dla siebie. Wprawdzie ostatnio nauczyłam się kontrolować wymioty, ale pozostaje jeszcze ryzyko omdlenia.

Pierwszy raz odleciałam w przydrożnej restauracji, na rodzinnej wycieczce do Four Corners, latem przed ósmą klasą. W tamtym okresie ataki paniki w restauracjach były moją specjalnością. Samo wejście do knajpy sprawiało mi trudność, nie mówiąc już o jedzeniu. Drugi epizod zdarzył się w knajpce Gloria's Café w Arizonie. Czułam, że coś jest nie tak, ale dopiero kiedy wstałam, żeby pójść do toalety, zdałam sobie sprawę z tego, jak ze mną źle. Zdażyłam zrobić tylko parę kroków i podłoga ruszyła się gwałtownie w lewo, a przed oczami zrobiło mi się ciemno. Nie straciłam przytomności na długo, ale bardzo się tego wstydziłam i potem robiłam, co mogłam, żeby uniknąć powtórki. Mimo wszystkich wysiłków, od tamtej pory zdarzyło mi się to jeszcze co najmniej sześć razy. Nie chciałabym, żeby „szczęśliwa” siódemka przypadła na podróż samochodem z Jasperem.

Nareszcie pojawia się znak zjazdu 39C.

– Co teraz? – pyta Jasper.

Piszę esemesa do Cassie: **Jesteśmy przy 39C. Gdzie teraz?**

Na szczęście odpisuje od razu: **Skręćcie w drogę 203 i czekajcie.**

**Próbuję ustalić adres.**

**Cassie, musisz nam coś powiedzieć. Co się dzieje? Z kim jesteś?**

Czekam, ale nie dostaję odpowiedzi.

– Co jest? – odzywa się Jasper.



– Napisałam jej, że musi nam powiedzieć więcej.

– Dobrze. Masz rację.

W końcu dostaję wiadomość: **Oni nie – poczekaj.**

– Co ci odpisała?

– „Oni nie” – czytam – i „poczekaj”.

– Co to ma znaczyć? – Jasper patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami.

– Może faktycznie ktoś ją porwał? – Mówiąc to na głos, od razu czuję się gorzej. – Ewidentnie nie jest sama, skoro napisała „oni”.

Przed oczyma staje mi grupa jakichś zdziwaczalnych hippisów, do których Cassie mogła się przyłączyć. I może, jak już zabrali ją do swojej komuny, okazało się, że wcale nie są tacy fajni. Cassie pewnie będzie udawać, że im ufa. Jest dostatecznie bystra, żeby zachowywać pozory tak długo, aż nadarzy się sposobność ucieczki. Skupiam się na tej wizji, bo jest dużo lepsza niż chociażby scenariusz z udziałem wielkich, wytatuowanych mężczyzn przetrzymujących Cassie w jakiejś ciemnej norze.

– To nie brzmi dobrze – mówi Jasper i zatrzymuje samochód na samym dole zjazdu z autostrady.

W kompletnych ciemnościach jedynym znakiem życia jest blask bijący od stacji benzynowej ze sklepem i warsztatem samochodowym, na wzgórzu po prawej. Wygląda na otwartą – to dobra wiadomość, bo jest wpół do dziesiątej wieczorem, a my wiemy tylko tyle, że jesteśmy gdzieś w New Hampshire. Chyba. Nie widziałam znaków oznajmiających, że przekroczyliśmy granicę z Maine, ale równie dobrze mogłam je przeoczyć.

– Poczekajmy tam – proponuję. – W końcu Cassie będzie musiała podać nam adres, jeśli chce, żebyśmy ją znaleźli.

– Jeśli faktycznie tego chce – mruczy pod nosem Jasper i zerka na mnie, skręcając w prawo.

– Jak to?

– Nie obchodzi mnie, czy Cassie mnie zdradzała, o ile nic jej nie jest, ale nie sądzisz, że to wszystko jest mocno podejrzanę? – pyta. – Zwłaszcza fakt, że dziwnym zbiegiem okoliczności oboje mamy u niej przechłapanę. I teraz co? Trafiliśmy razem na jakieś zadupie. Może

Cassie chce, żebyśmy jej szukali i szukali, aż sami nie zabłądzimy.

– Nie zrobiłaby czegoś takiego – mówię, ale serce mi przyspiesza.

– Poza tym ja nie mam u niej przechłapanie. My się nie pokłóciłyśmy.

Przynajmniej tak mi się wydaje. Oczywiście nie było między nami idealnie, nawet kiedy do mnie przyszła po wypadku. Nasza przyjaźń była wtedy jak zombi – z daleka sprawiała wrażenie zdrowej, ale z bliska było jasne, że coś zgrzyta. I faktycznie kilka tygodni temu Cassie znowu się ode mnie oddaliła bez podania powodu. Jeśli mam być szczerą, to trochę mi wtedy ulżyło. Po wypadku nie było mi łatwo udawać, że jej obecność mi pomaga. Choć pewnie niczyja obecność by mi wtedy nie pomogła.

– Nie pokłóciłyśmy się – powtarzam. Nawet nie wiem, dlaczego to robię. Wydaje mi się po prostu, że muszę to podkreślić.

– To świetnie, ale wolałbym, żeby się okazało, że jest tak, jak ja podejrzewam. Mam złe przeczucia co do tej całej sytuacji.

Miałam nadzieję, że tylko ja się poważnie martwię. Bo moje złe przeczucia na ogół nic nie znaczą.

Jedziemy w stronę stacji. Mój telefon znowu dzwoni. Na ekranie wyświetla się TATA. Co będzie, jeśli funduję mu to wszystko tylko dlatego, że Cassie sobie z nami pogrywa? Nie zasługuje na takie traktowanie. Zresztą jesteśmy już za daleko, nie zatrzymamy się. Poza tym jak mu powiem, że nic mi nie jest, pewnie się trochę uspokoi.

– Cześć, tato. – Zupełnie mi nie wychodzi luźny ton. – Znaleźliście coś w domu Cassie?

– Wylie, gdzie jesteś? – On też próbuje zachować spokój, ale idzie mu jeszcze gorzej niż mnie. – Gideon mi powiedział, że był tu Jasper i że gdzieś z nim pojechałaś. Potem sama napisałaś, że Cassie się do was odezwała. Że poprosiła was o pomoc.

Cholera. Zapomniałam, że już to wie. Napisałam mu to, żeby się nie martwił, ale najwyraźniej nie podziałało. Nie powinnam była do niego pisać. I nie powinnam była odbierać tego połączenia. To oczywiste, że zapyta, gdzie jest Cassie. Tak samo oczywiste jest to, że cokolwiek teraz powiem, i tak będzie się martwił jeszcze bardziej. A już na pewno, jeśli powiem mu prawdę.

– Tak, nic się nie martw. Jasper kieruje. Niedługo wrócę – mówię, jakbyśmy pojechali na najzwyklejszą przejażdżkę. Ale jeśli zaczniesz mnie dopytywać o szczegóły, będę musiała się rozłączyć i udawać, że coś nam przerwało połączenie.

– I tak po prostu wyszłaś z domu?

Słyszę, że jest skołowany i nieco podejrzliwy, co jest zrozumiałe, bo moje postępowanie na pewno wydaje się bezsensowne dla kogoś, kto nie wie o rozpaczliwym apelu Cassie, żebym to właśnie ja jej pomogła.

– Przecież chciałeś, żebym wyszła.

– Owszem, Wylie, masz rację. – W jego głosie zabrzmiała teraz jakaś nowa nuta, której nie poznaję. Nie złość, ale jakaś powaga, może nawet uraza. Nie wzięłam tego pod uwagę. Tata od dłuższego czasu bezskutecznie mnie namawiał, żebym wyszła z domu, spotkała się z doktor Shepard i wróciła do szkoły. A tymczasem wystarczył jeden eśemes od Cassie, żebym wsiadła do samochodu z jakimś chłopakiem, którego nigdy nie widział na oczy. – Bardzo się martwię i wołałbym, żebyś była tutaj. Karen i ja możemy pojechać po Cassie. Powiedz mi, gdzie jest, i natychmiast wyruszmy. Ale chcę, żebyś ty zawróciła i przyjechała do domu.

Pewnie go nie uspokoję, jeśli powiem, że nie możemy tego zrobić, bo nie mamy pojęcia, gdzie jest Cassie. Poza tym tata chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jak daleko zajechaliśmy.

– Nie przejmuj się. Jesteśmy już w połowie drogi. Cassie wytłumaczy wszystko mamie, jak wróci do domu – mówię, bo chcę pokazać, że rozumiem jego obawy, ale że cała ta sytuacja nie dotyczy mnie, tylko Cassie. – Będę w domu za...

– Wracaj natychmiast – rozkazuje gniewnie. Głos mu drży.

– Tato, wrócę, obiecuję, tylko...

– Natychmiast! – Tym razem krzyczy tak głośno, że muszę odsunąć słuchawkę od ucha. – W tej chwili!

Serce mi wali i czuję ucisk w krtani.

– Tato, dlaczego na mnie krzyczysz?

Jasper zerka w moją stronę, wjeżdżając na mocno oświetlony, prawie pusty parking przy stacji benzynowej. Oprócz nas na stacji jest tylko jeden samochód – stoi przy dystrybutorach. Jasper go mija

i zatrzymuje się na końcu parkingu. Jakby chciał mi zapewnić komfort rozmowy. Tyle że on sam ciągle siedzi obok mnie. Patrząc na ścianę wysokich drzew skąpanych w świetle reflektorów naszego jeepa i mam wrażenie, że zaraz się rozplącę.

Mój tata bierze głęboki wdech, jakby próbował się uspokoić.

– Przepraszam. Nie chciałem. – Przynajmniej słyszę, że faktycznie mu przykro. – Ale martwimy się o Cassie, a teraz ja zacząłem się martwić o ciebie. W twoim stanie nie powinnaś...

– Czekaj, co?

Naprawdę to powiedział? „W twoim stanie”? Jakbym była chora. Uszkodzona. Tak o mnie myśli? Mama by tak ze mną nie rozmawiała. Nigdy nie widziała we mnie chorej. Oczy mnie szczypią i ściskam mocno telefon, patrząc na las. Nie jestem w stanie wypowiedzieć nawet słowa. Jeśli się odezwę, na pewno zacznę szlochać.

– Jest za wcześnie, żebyś mógł zgłosić twoje zaginięcie – ciągnie tata, jakby jego poprzednia uwaga nie wypaliła między nami wielkiej połaci ziemi. – Ale doktor Shepard może zadzwonić na policję. W tych okolicznościach na pewno się ze mną zgodzi, zwłaszcza jeśli jej powiem, co zrobiłaś ze swoimi wło...

– Nie mówisz serio – przerywam mu.

Z wściekłości i wstydu palą mnie policzki.

– Oczywiście, że mówię serio – kontynuuje tata. – Jeśli nie wrócisz do domu, to co innego mi pozostanie? Jeśli doktor Shepard zgłosi cię jako niebezpieczną dla siebie i otoczenia, policja zacznie cię szukać natychmiast. I jak cię znajdą, a na pewno cię znajdą, nie zawiozą cię do domu. Zabiorą cię prosto do szpitala. Wiesz to tak samo dobrze jak ja.

Owszem, wiem. A mój ojciec wie, że niczego tak się nie boję jak szpitala. Obraz babci umierającej na oddziale psychiatrycznym, przypiętej pasami do łóżka, nawiedzał mnie od wczesnego dzieciństwa. To dlatego od samego początku broniłam się przed pójściem na terapię. Uważałam, że od niej wiedzie już prosta droga do kaftana bezpieczeństwa.

– Tato! – krzyczę, bo nie wiem nawet, od czego zacząć. Ale musi przestać. Obudzić się i cofnąć wszystko, co powiedział.

– Wylie, uwierz mi: nie chcę do niej dzwonić. Wróc do domu.

Powiedz nam, gdzie jest Cassie.

Naprawdę jest w stanie to zrobić. Złamać mi serce, zdradzić mnie i upokorzyć tylko po to, żeby osiągnąć swój cel. Naraz czuję, że duszę się od furii.

– Jak zadzwonisz do doktor Shepard, nigdy nie wrócę – rzucam do słuchawki. I naprawdę tak myślę. Na zawsze go znienawidzę. Może nawet już go nienawidzę. Bo teraz mam ochotę tylko zadać mu ból, zranić go tak, jak on zranił mnie. – I wiesz co? Wiesz, czego najbardziej żałuję? Że to nie ty pojechałeś wtedy po mleko. Że to nie ty byłeś w tym samochodzie.

Przerywam połączenie, żeby nie zdążył odpowiedzieć. Gapię się na telefon, który trzęsie się w mojej dłoni. Wyłączam dzwonek. Sekundę później aparat zaczyna wibrować. Na ekranie wyświetla się TATA. Czekam, aż przełączy go na pocztę głosową. Dzwoni jeszcze dwa razy, ale obydwa połączenia ignoruję.

– Dobrze ci poszło – mówi Jasper po dłuższej chwili.

Lekko się uśmiecha, żeby poprawić mi nastrój, ale mu się nie udaje.

– No – przyznaję. Mój głos brzmi pusto, tak też się czuję. Jakby ktoś otworzył mi klatkę piersiową i wydłubał z niej wnętrze. – Rewelacyjnie.

– Chcesz, żebym powiedział coś, co cię rozweseli? – pyta prawie obojętnie. – Bo mogę.

Kręcę głową i patrzę mu w oczy.

– Skoro dotąd mnie nie okłamywałeś, to nie zaczynaj teraz.

Jasper przytakuje i wrzuca wsteczny bieg. Podjeżdża powoli do dystrybutora. Zatrzymuje się obok jedyne widocznego samochodu, wyglądającego na nowe subaru kombi z nowojorskimi tablicami. Wóz jest czarny i lśniący, a na klapie bagażnika ma naklejki z lewicowymi hasłami: „Hillary na prezydenta”, „Milion mam za kontrolą broni palnej” i „Eko jest spoko”. Moi rodzice mieliby podobne, gdyby tata nie miał takich oporów przed naklejaniem czegokolwiek na swojego starego gruchota.

– Wejdę do środka. – Pokazuję na sklep. Jest to jakiś cel, a ja potrzebuję świeżego powietrza i ruchu. Muszę wysiąść z jeepa Jaspera. –

Chcesz coś?

Jasper kręci głową.

– Nie, dzięki.

Kiedy wysiadam, mój telefon wibruje. Kolejny esemes, na szczęście nie od taty.

**Ciągle próbuję ustalić, gdzie jestem. Wy gdzie?**

**Zjechaliśmy na 39C, jak kazałaś. Teraz na stacji przy 203.**

**OK. Możecie tam chwilę poczekać? Niedługo powiem wam, co dalej.**

**Poczekamy, odpisuję, ale muszę dać jej do zrozumienia, że nigdzie się nie ruszymy, dopóki nie powie nam więcej. Ale wiesz, kim są ludzie, z którymi jesteś?**

**Myślałam, że wiem.**

Przeszywa mnie zimny powiew wiatru. Piszę do Cassie, bo ciągle mi czegoś brak. Chcę dostać choćby strzęp informacji, który powie mi coś o jej sytuacji. **Czy ci ludzie są niebezpieczni? Gdzie ich poznałaś? Ilu ich jest?**

Stoję na lodowatym wietrze i czekam na odpowiedź. Jakąkolwiek. Ale telefon milczy. W końcu chowam go do kieszeni i tuląc się z zimna, idę w stronę drzwi.

– Koszmar, co? – Odwracam się w stronę, z której dobiegł mnie obcy głos, i widzę kobietę stojącą przed subaru. Uśmiecha się do mnie, trzymając w ramionach opatulone niemowlę. – Jak wyjeżdżaliśmy z Brooklynu, było dużo cieplej.

Ma bladą cerę, długie rudawe włosy zebrane luźno przy szyi i niesamowite niebieskie oczy. Jest piękna, ale wygląda na kruchą, jak ptak na długich nogach. Patrzy na moje zniszczone włosy i, w przeciwieństwie do wszystkich innych, nie odwraca od nich wzroku. Kołysze lekko biodrami, nie boi się, nie jest zakłopotana. Za to spogląda na mnie tak, jakby rozumiała. Jakby sama nie raz zrobiła coś podobnego ze swoimi włosami. Chociaż patrząc na nią, tak zwyczajną i piękną, trudno mi w to uwierzyć.

Odwzajemniam uśmiech, ale mam wrażenie, jakby moje usta były zaklejone. To przez jej serdeczne spojrzenie i całą tę promieniującą od niej matczyną miłość. Gdybym się teraz do niej odezwała, na pewno nie udałoby się jej zrozumieć ani słowa. Ta zjawiskowa, niebieskooka kobieta oczywiście przypomina mi moją matkę. Gdyby mama żyła, w żadnym razie nie pozwoliłaby tacie, żeby mi groził. Ona sama nie musiałaby mi grozić, bo jej powiedziałabym całą prawdę. Od razu bym jej powiedziała, dokąd jadę. Uśmiecham się jeszcze szerzej do pani-mamy. W końcu odwracam się od niej i idę dalej. Do oczu napływają mi łzy.

– Doug, muszę jeszcze nakarmić małą! – woła kobieta do swojego męża. – Może wejdę do środka, co? Tu jest za zimno, a w samochodzie za ciasno. Dobrze, kochanie? – mówi wznoszącym się tonem. – Dużo za zimno.

Idę wzdłuż zamrożonego parkingu, tuląc się przed kolejnymi podmuchami, i słyszę, jak ta cudowna kobieta-ptak zaczyna śpiewać dziecku. Resztki mojego serca rozpadają się na drobne kawałki, które porywa wiatr.

W środku jest ciepło i wesoło. Atmosfera przypomina bardziej rodzinny sklepik niż przydrożny lokal. W każdym razie to miejsce nie ma nic wspólnego z tymi obskurnymi stacjami benzynowymi pod Bostonem, w których szyby kuloodporne nad kasami są tak wysmarowane odciskami palców, jakby odpierały ataki watah zombi. Na ścianie wisi nawet tablica ze zdjęciami zadowolonych klientów i odręcznie spisаныmi podziękowaniami. Za ladą stoi wysoki mężczyzna z gęstą siwą czupryną i idealnym uśmiechem na twarzy. Typ serdecznego człowieka, który prawdopodobnie zbudował tę stację własnymi rękami.

– Trochę zimno, co? – pyta, widząc mnie w progu.

Ostrożnie, myślę sobie. Nie mogę wzbudzić podejrzeń. Cały czas próbuję wierzyć, że mój tata tylko blefował, mówiąc o telefonie do doktor Shepard, ale nie mogę być tego pewna. Już niczego nie mogę być pewna.

– Tak – mówię i uśmiecham się jak osoba, która ma coś do ukrycia.

Chwilę później znikam za najbliższym regałem, co oczywiście nie jest nawet trochę podejrzane.

W połowie alejki staję przy starannie wyłożonych przekąskach: czipsach, precelkach i paskach suszonego mięsa. Są też snickersy, które przywodzą mi na myśl Gideona. O dziwo, wzbiera we mnie irytacja, ale też głupio mi, że zostawiłam go samego z ojcem zamartwiającym się znów o jego siostrę. A co, jeśli mój tata ma rację? Może faktycznie jestem zbyt stuknięta, żeby pomagać Cassie. Na przemian zaciskam i rozluźniam pięść, jakbym chciała wypompować z siebie wątpliwości. Bo nie mogę zboczyć z kursu tylko dlatego, że mój tata coś powiedział. Muszę się zabrać za udowodnienie mu, jak bardzo się myli.

Słyszę dźwięk otwieranych drzwi sklepu i przygotowuję się na widok kobiety z dzieckiem.

– Trochę zimno, co? – pyta znów kasjer tym samym, wesołym



tonem. Za drugim razem brzmi to dużo dziwniej. Jakby nie był do końca człowiekiem.

– Dokładnie – odpowiada Jasper. Robię krok do tyłu, żeby go zobaczyć. Stoi przy drzwiach i dmucha w dłonie. Ma na sobie czarną kurtkę mojego taty. Na jej tle jego zielone oczy lśnią mocniej niż zwykle. – Zawsze tak tu wieje w maju?

– Za ciepło, za zimno, za mokro, za wietrznie. Tutaj zawsze jest jakieś „za”.

– Macie toaletę?

– Jasne. Tam, na końcu.

Jasper wkłada ręce do kieszeni i idzie w moją stronę. Zastanawiam się, czy aby nie za wcześnie opuściłam gardę i nie za szybko go polubiłam. Jest bardziej szczery i bystrzejszy, niż myślałam. Ale to nie znaczy, że powinnam mu ufać. Wszystkie jego wady, o których wiem, bynajmniej nie zniknęły – jego wybuchowy charakter, Tasha, ten legendarny cios, a przede wszystkim rola, jaką odegrał w tym, co ostatnio działo się z Cassie.

– Może powinniśmy kupić mapę? Na wypadek gdybyśmy stracili sygnał w komórkach – mówi, podchodząc bliżej. Zdejmuje z najbliższej półki mapy Vermontu, New Hampshire i Maine i pokazując na przekąski, na które ciągle patrzę, pyta: – Kupujesz coś?

– Tak. – Biorę do ręki torebkę precli, choć na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. – Tylko to.

– Spotkamy się przy kasie – mówi Jasper. – Muszę iść do toalety.

– Daleka podróż? – pyta kasjer, widząc, że kładę na ladzie mapy i precle, na które nie mam ochoty.

Cała tężeję, choć wiem, że to tylko niewinna pogawędka. Wolałabym, żeby dał mi spokój.

Wzruszam ramionami i mówię:

– Odwiedzamy moją ciotkę. Mieszka tu niedaleko.

Momentalnie rozjaśnia mu się twarz. Co za idiotyczne kłamstwo.

– Tak? A jak się nazywa? – Jakże mógł nie zapytać. – Mało nas tutaj, więc na pewno ją znam.

– Nie, nie, ona mieszka dalej na północ, dużo dalej – odpowiadam

i modłę się, żeby nie zapytał, gdzie dokładnie. Nie jestem nawet pewna, jaki stan jest na północ stąd.

Na szczęście obok mnie pojawia się Jasper.

– Musimy iść – mówi z ustami blisko mojego ucha. Ma ściszony, napięty głos. – Już.

W jednej dłoni trzyma telefon, a w drugiej zgnieciony kubek do kawy. Ma szeroko otwarte oczy, nie mruga. Bierze do ręki mapy, precle i nawet zgarnia drobne z dłoni kasjera. Robi krok w stronę drzwi.

– No chodź już! – woła do mnie, widząc, że się nie ruszam.

Wraca, łapie mnie za rękę i pociąga w kierunku wyjścia. Kiedy jesteśmy na zewnątrz, z dala od ciekawskich oczu właściciela sklepu, wreszcie mu się wrywam.

– Jasper, puść! – krzyczę. Serce bije mi szybciej, ręka boli od jego uścisku. – Co się dzieje?

Nie odpowiada, tylko rzuca mi swój telefon i idzie dalej do samochodu. Mija piękną kobietę od subaru, która bacznie mu się przygląda. Bacznie się na m przygląda. Nie trzyma już dziecka na rękach, za to siłuje się z czymś zamocowanym na dachu auta. Odwracam wzrok od jej przejętej twarzy i patrzę na telefon. Jasper tymczasem wsiada do jeepa i włącza światła. Czytam esemesa:

**Jestem w Camp Colestah niedaleko miasteczka Seneca. To w Maine. Szybko. Chyba chcą mi zrobić krzywdę.**

Teraz już wiem, że to nie jest wymysł Cassie. Nawet ona nie posunęłaby się tak daleko.

– Wsiadaj! – woła Jasper przez swoje okno. Martwi się i zaczyna wariować. – Jedziemy!

– Wszystko w porządku? – pyta mnie kobieta. Ma miękki, słodki głos. Jak w kołysance.

– Tak, tak – odpowiadam i odwracam wzrok, bo do oczu znów napływają mi łzy. Nic na to nie poradzę. Jest taką klasyczną mamą, że mam ochotę zapłakać się na śmierć. – Wszystko okej.

– Nie wyglądasz okej. – Odwracam się do niej i widzę powagę w jej błękitnych oczach. – Potrzebujesz pomocy?

Ostrożnie dobiera słowa. Odnoszę wrażenie, że już kiedyś pomagała dziewczynom zamierzającym popełnić błąd i wsiąść do

samochodu z niebezpiecznym facetem. Zresztą w tej sytuacji jej intuicja może podpowiadać jej prawdę.

– Kochanie – mówi, teraz już wyraźnie zmartwiona. – Czy twoja mama wie, gdzie jesteś? Może powinnaś do niej zadzwonić.

Jasne. Zadzwonić do mamy. Jakież proste rozwiązanie. Po policzkach spływają mi gorące łzy. Wycieram je i idę dalej.

– Nic mi nie jest – mówię. – Ale dzięki.

Oczywiście po moim głosie można poznać, że coś mi jednak jest.

Robię jeszcze parę kroków. Jasper przekręca kluczyk w stacyjce. Jego jeep wydaje z siebie okropny dźwięk, taki sam, jaki słyszałam pod naszym domem. Ale tym razem na końcu słychać jeszcze ostry, metaliczny zgrzyt, który sprawia, że kobieta przy subaru nerwowo podskakuje. Jasper daje za wygraną i znów zapada cisza. Sekundę później próbuje jeszcze raz, ale z tym samym efektem. I znowu ten potworny zgrzyt. Przez przednią szybę widzę, że Jasper kładzie głowę na kierownicy i w tej pozycji jeszcze kilka razy próbuje uruchomić silnik. Jego ciało jest coraz bardziej napięte, jakby miało zaraz wybuchnąć.

Kobieta podchodzi bliżej.

– Nie musisz wsiadać z nim do samochodu. Możemy cię gdzieś podwieźć. – Rozgląda się. – Albo poczekać z tobą na twoich rodziców.

Patrzę na Jaspiera, który ciągle siedzi z czołem opartym o kierownicę. Jest nerwowy, to jasne. Ale bardzo chce odnaleźć Cassie. To jest fakt. Nikt nie jest aż tak dobrym aktorem. Nagle w mojej głowie rodzą się dwie sprzeczne myśli. Coś strasznego się stanie, jeśli z nim pojedziesz. Dużo gorzej będzie, jak zostaniesz.

– Po prostu martwi się o naszą przyjaciółkę – mówię do kobiety i całkowicie wierzę we własne słowa. Mimo to unikam jej wzroku.

– Szukamy jej – dodaję. Czy to dobrze, że tyle jej powiedziałam? „Czy twoja mama wie, gdzie jesteś?”. Ta miła kobieta sama może zadzwonić na policję. Ludzie tacy jak ona lubią interweniować. – To znaczy, ona nie zaginęła tak na serio – próbuję wyjaśnić. – Jest w jakimś obozie w Maine. Po prostu po nią jedziemy i teraz nasz samochód...

– No dobrze. – Kobieta patrzy na mnie, a w jej oczach dostrzegam coś na kształt troski pomieszanej ze współczuciem. Potem podchodzi do mnie i kładzie mi dłoń na barku. Znam to, zdają się mówić jej oczy. Nie

ocenię cię. Ale wiem, że kłamiesz. – Jeśli jesteś pewna...

– Jestem – mówię i zbyt energicznie kiwam głową. – Jestem pewna.

Nagle Jasper zaczyna bić pięścią w kierownicę. Raz, drugi, trzeci. Wygląda, jakby chciał ją zniszczyć. W końcu znowu kładzie na niej głowę. Jeśli chcesz, żebym zmieniła zdanie na twój temat, myślę sobie, to nie idzie ci teraz za dobrze.

– Może Doug coś na to poradzi. Wszystkim trochę opadną nerwy – mówi kobieta. – Tymczasem ty idź do środka i zapytaj, czy jest tu jakiś mechanik.

Patrzę na Jaspera, który gapi się w moją stronę. Ma zaciśnięte usta i szeroko rozwarte nozdrza. Wybuchowy charakter, to pewne.

– Dobrze – zgadzam się. – Pójdę zapytać o mechanika.

Odwracam się w stronę sklepu, a ona otwiera drzwi subaru i nachyla się do środka wozu. Dochodzą do mnie tylko strzępy rozmowy: „pomóż”, „nie odpala”, „no, proszę cię”. Mąż coś jej odpowiada. Nie słyszę dokładnie, ale jest wkurzony. Wyraźnie nie chce nam pomóc. Ale patrząc na wściekłego, zadyszanego Jaspera, wcale mu się nie dziwię. Któż by chciał?

– Wszystko w porządku? – Mężczyzna za ladą prawie krzyczy, kiedy wchodzi do środka.

Chwyta białą czapkę bejsbolową, jakby zamierzał rzucić się do akcji ratunkowej. Ale tylko ją wkłada, nie robi nic więcej. Nie wychodzi nawet zza lady.

– Nasz samochód nie chce odpalić. Może pan rzucić okiem?

Wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Mógłbym zadzwonić do Jimmy’ego, mojego mechanika – mówi niepewnie. Patrzy na zegarek. – Ale jest już po wpół do dziesiątej. Na pewno gra w karty. Jeśli tak, to jego dom mógłby nawet stanąć w płomieniach, a Jimmy i tak nie przerwie. Prędzej spłonie żywcem. Nawet nie usłyszy telefonu.

– A pan by go nie naprawił?

– Niestety. W nocy tylko sprzedajemy benzynę – wyjaśnia przepaszającym tonem. – Dobry ze mnie właściciel, ale kiepski mechanik. – Podnosi drżącą rękę. Pewnie ma artretyzm albo chorobę

Parkinsona, ale odnoszę wrażenie, że i bez tego byłby kiepskim mechanikiem. – Jimmy przychodzi do pracy bladym świtem, a niedaleko stąd jest motel. Może tamci mili państwo was podwiozą.

Motel? Cassie się boi, że stanie się jej krzywda. Nie możemy czekać do jutra. Nie możemy czekać ani chwili dłużej.

– Nie, nie. Nie rozumie pan – mówię, jakby moje słowa mogły cokolwiek zmienić. – Nie mamy czasu do stracenia.

– No to w następnym miasteczku jest wypożyczalnia samochodów. – Patrzy na zegarek i marszczy brwi. – Ale wątpię, żeby byli otwarci o tej porze.

Poza tym nikt nie pożyczy samochodu parze nieletnich. Wyglądam przez okno i patrzę na jeepa. Kłapa maski jest podniesiona i nad silnikiem pochyla się jakiś mężczyzna, pewnie mąż kobiety z dzieckiem. Jest jeszcze większy od Jaspera. Z gęstą brodą, flanelową koszulą i wytartymi dżinsami wygląda na prawdziwego hipstera, nie żadną podróbkę.

– Może jednak nie będziecie potrzebowali mechanika.

Kiedy wychodzę ze sklepu, brodacz wciąż pochyla się nad silnikiem. Jasper stoi obok niego z założonymi ramionami i przygląda mu się z takim napięciem w oczach, jakby miał zaraz eksplodować. Na mój widok odchodzi parę kroków od samochodu i machnięciem ręki przywołuje mnie do siebie.

– Przepraszam cię – mówi, kiedy jesteśmy trochę na uboczu. – Nie powinienem był na ciebie krzyczeć, a już na pewno nie ciągnąć cię za rękę. Wybacz. – Pociera dłonią głowę i ucieka wzrokiem. Jest skołowany, zmartwiony, smutny. Ale opuściła go złość. – Przez to wszystko cały jestem... – Patrzy znów na mnie i widzę, że ma szkliste oczy. – Chyba naprawdę ją kocham. Dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Nigdy wcześniej nikogo nie kochałem. Jeśli coś jej się stanie...

– Nic się nie stanie – mówię, bardziej dla swojego spokoju. – Pomożemy jej. – Patrzymy na siebie, żadne z nas nie wie, czy to prawda. Nic nie wiemy. – Może powinniśmy jednak zadzwonić na policję. Wiem, że Cassie tego nie chce, ale są gorsze rzeczy w życiu niż

szkoła z internatem.

– Jak więzienie? – pyta Jasper. – Bo ona o to właśnie się martwi. Dlatego nie chce, żebyśmy wzywali policję. Zaraz po Święcie Dziękczynienia Cassie była aresztowana.

– Aresztowana? – dziwię się. Wtedy jeszcze ze sobą rozmawialiśmy, co najmniej przez parę tygodni. Była aresztowana i nic mi nie powiedziała? – Za co?

– Kupowała zioło ze Stephanie. Od jakiegoś gościa z budki z hot dogami. Zamawiasz chyba jakiś specjalny dodatek i dostajesz gram trawy. – Wzrusza ramionami, jakby nie miał pojęcia o takich rzeczach. – Idiotyzm. W każdym razie obie dostały coś na kształt zawiasów.

– Czyli?

– Jeśli przez rok nie złamie prawa, areszt zostanie wymazany z jej akt. Ale wystarczy, że cokolwiek przeskrobie, już zawsze będzie go miała w swojej kartotece. Może nawet zmuszą ją do pobytu w jakimś ośrodku resocjalizacji czy coś.

– Aha – mówię i głupio mi, że Jasper wie o Cassie o tyle więcej niż ja. Ale bardziej martwię się o Cassie. Areszt? Kartoteka? Resocjalizacja? Jest z nią gorzej, niż myślałam.

– Przykro mi – mówi Jasper. Chodzi mu o to, że dowiaduję się od niego, a nie od Cassie. Chce być miły, ale przepraszanie mnie w jej imieniu jeszcze bardziej mnie przygnębia. – Tak czy siak, ale może zapytajmy ją jeszcze raz, czy nie lepiej by było wezwać policję albo zadzwonić do jej mamy. Trochę ją przycisnąć. Upewnić się, że myśli trzeźwo. Wpis do kartoteki to nie koniec świata.

– Może i tak – odpowiadam, ale nie jestem przekonana, czy Cassie ma jakąkolwiek możliwość, by spojrzeć trzeźwo na swoją sytuację. Może nawet nigdy tego nie umiała.

**Wiem, że mamy nie wzywać policji ani twojej mamy, piszę. Ale Jasper i ja uważamy, że teraz już trzeba. Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze.**

Cassie odpisuje natychmiast. I rozstrzyga kwestię raz na zawsze. **Nie dzwoń do mamy ani na policję. Jak to zrobisz, ci ludzie mnie zabiją.**

Kiedy wracamy, kobieta z dzieckiem uśmiecha się do mnie. Jej mąż ciągle majstruje przy silniku, a w mojej głowie odbija się echem słowo „zabijają”. Oczywiście Cassie nie odpowiedziała na moje pytanie, czy napisała to dosłownie. Ale wmawiam sobie, że na pewno nie.

– Tak w ogóle, to mam na imię Lexi. – Kobieta wyciąga delikatną dłoń. – Jesteśmy z Brooklynu, ale teraz wracamy z Gór Białych i jedziemy do Acadii<sup>1</sup>. – Wywraca zabawnie oczami. – Objazd przez góry był dla mnie. Acadia jest dla Douga. Jest astronomem, chcemy zobaczyć deszcz meteorów. A raczej on chce go zobaczyć. Ja z dzieckiem będziemy pewnie spać w jakimś motelu. – Uśmiecha się i przechyla głowę w kierunku męża. – I nie martwcie się. Doug na pewno uruchomi wasz samochód. Trudno uwierzyć, że ktoś, kto się wychował na Manhattanie, zna się na samochodach, ale to prawdziwy magik.

– Niestety, nie tym razem – odzywa się Doug i wychodzi z za jeepa. W silnej dłoni trzyma klucz. Ma podwinięte rękawy, które odsłaniają jego umięśnione ręce. Z bliska wygląda trochę bardziej niechlujnie. Przez brodę i koszulę w kratę kojarzy mi się z drwalem. I to bardzo. – Trzeba wymienić rozrusznik. Każdy mechanik ma rozrusznik na stanie. Bez niego nic nie poradzimy.

Cholera. Serce zaczyna mi mocniej bić. „Ci ludzie mnie zabijają”. Musimy jechać. Natychmiast. Patrzę na Jaspera i w jego oczach widzę bezradność. Rozglądam się po stacji, ale dookoła nas jest tylko ciemność i las. Mój wzrok pada na sympatyczną kobietę z dzieckiem i jej męża drwala. Nikt inny nam nie pomoże.

– Możecie nas zabrać ze sobą? – pytam. – Błagam.

– Ale dokąd? – pyta Lexi.

Nie chce dać po sobie poznać, że się denerwuje, ale widzę, że położyła dłoń na szybie swojego auta, za którą śpi w foteliku jej dziecko.

Doug też nie wygląda na zadowolonego. Stoi oparty plecami o jeepa i z założonymi rękami patrzy wściekle na profil swojej żony. Ani mi się waży, mówią jego oczy. Mój tata zawsze patrzył tak na mamę, tuż przed tym, jak robił, co mu kazała.

– Ktoś zabrał naszą przyjaciółkę do jakiegoś obozu niedaleko miasteczka Seneca. To jest w Maine – mówię, próbując dać do

zrozumienia, że sytuacja jest poważna, ale nie niebezpieczna i zupełnie nieskomplikowana. Uruchamiam telefon, żeby sprawdzić, jak daleko jesteśmy od celu. – To po drodze do Acadii. To znaczy, zależy od trasy. Może moglibyście podwieźć nas przynajmniej kawałek? Potem złapiemy następną okazję.

Złapiemy następną okazję? Co za nedorzeczność. Lexi wciąż patrzy na Douga. Ma głowę przechyloną na bok i uśmiecha się jak dziewczynka próbująca namówić rodziców na lody. Musi często tak robić, bo Doug unika jej wzroku. W końcu głośno wzdycha i kręci głową.

– To jest praca, nie hobby. Wiesz o tym, prawda? Mam do napisania pracę. I mam na nią termin.

– Ale kochanie, musimy tam być dopiero za dwa dni. Spójrz na nich. Czy nie wyglądają jak my w ich wieku? To będzie dobra karma. Wiem, że lubisz planować trasę z wyprzedzeniem, ale zdaje się, że nie będziemy musieli za bardzo zboczyć z drogi. – Znow się uśmiecha i podchodzi do niego, bo już wie, że wygrała. – Przez resztę weekendu ci to wynagrodzę.

Doug wypuszcza powietrze z płuc i podchodzi do drzwi kierowcy.

– Dobra – zgadza się.

– Wrzućcie swoje rzeczy na tył, mamy dużo miejsca. Pomogę wam. – Lexi otwiera bagażnik jeepa. – O rany, sporo tego macie. Naprawdę zamierzaliście rozbijać namiot w tej temperaturze?

– Nie – mówię, jakby to był kompletnie idiotyczny pomysł.

Ale podchodzę do samochodu Jaspera z zamiarem wzięcia wszystkiego, co tylko się da. Biorę kompas, zapalniczki, tabletki do oczyszczania wody i oczywiście bandaż.

– To na pewno dobry pomysł? – pyta Jasper.

– Który?

Pokazuje na Lexi i Douga. Chodzi mu o podróż z obcymi ludźmi i o to, żeby nie wzywać policji.

– To wszystko?

– Nie, a przynajmniej nie na pewno – mówię i wyjmuję z bagażnika wypchaną torbę. – Ale ja niczego nie wiem na pewno.



Samochód Douga i Lexi w niczym nie przypomina jeepa Jaspera. Ładnie pachnie i wygląda na nowy. Deska rozdzielcza jest w pełni skomputeryzowanym ekranem dotykowym, a silnik pracuje tak cicho, że ledwo go słycać. Jest tu też dużo cieplej. Para na przedniej szybie utrzymuje się tylko przez parę sekund i ogrzewanie załatwia sprawę wilgotnego chłodu.

– Wygodnie wam tam? – pyta Lexi przez ramię. Fotelik dla dziecka zajmuje całą lewą stronę tylnego siedzenia, więc jesteśmy z Jasperem mocno ściśnięci. – Nie ma za dużo miejsca, niestety.

– Jest dobrze – mówi przekonująco Jasper.

Może nie przeszkadza mu fakt, że nasze uda stykają się na całej długości. W sumie czemu miałyby się krępować? Ten tuzin kochanek to mogła być tylko plotka, ale na pewno uprawiał seks z wieloma dziewczynami (w tym z Cassie). Siedzenie tak blisko dziewczyny to dla niego codzienność. Ale moje uda dotykały jak dotąd ud tylko jednego chłopaka.

Poznałam Trevora w drugiej klasie i przez kilka miesięcy spotykaliśmy się po lekcjach. Lubiłam go, mimo że był zdecydowanie za chudy, a jego podbródek właściwie nie istniał. Był uroczy, zabawny i dziwny, ale dziwny w niegroźny sposób. Miał świra na punkcie Houdiniego i pamiętał mnóstwo niepowiązanych ze sobą faktów na temat pierwszej wojny światowej, a to oznaczało, że nie musiałam przy nim za dużo mówić.

Najczęściej te wspólne popołudnia spędzaliśmy na nauce albo rozmowach, ale od czasu do czasu się całowaliśmy. Bywało, że całkiem długo. Było fajnie. I przychodziło nam to tak naturalnie, że nawet Cassie była pod wrażeniem. Brałam to, co się między nami działo, za oznakę, że wreszcie zaczynam stawać na nogi.

Ale w którymś momencie Trevor po prostu to przerwał.

– Nie dlatego, że nie chcesz się ze mną kochać – tłumaczył, mimo że od miesiąca go zbywałam. – Ja też chciałem z tym poczekać, co było dziwne jak na faceta. – Powiedział to tak, jakby był idealnym okazem mężczyzny. – W końcu zacząłem się zastanawiać, dlaczego mi nie

zależy na seksie, i zrozumiałem: za dużo presji. Lubię cię, Wylie, ale bycie z tobą to... – szukał innego słowa, ale go nie znalazł – ...za duża presja. Boję się, że jeśli zrobię coś nie tak, to się wystraszysz i będziesz miała jakąś zapaść.

Przytaknęłam. Modliłam się, żeby się nie rozplakać. Później mogłabym to znieść. Ale nie przy nim.

– Jasne. Rozumiem.

I najgorsze w tym wszystkim było to, że naprawdę go rozumiałam.

Próbuję przysunąć się bliżej fotelika, żeby zmniejszyć nacisk mojej nogi na nogę Jaspera. Na niewiele się to zdaje. Fotelik jest ustawiony tyłem do kierunku jazdy i ma zasunięty daszek, więc widzę tylko koc owinięty wokół nóżek niemowlęcia. Modlę się, żeby przespało całą drogę, bo nie wiem, czy z bliska wytrzymam matczyne gruchanie Lexi. Obserwuję go pełne dwie minuty i nie słyszę najmniejszego dźwięku.

– Jest taki cichutki – mówię i zdaję sobie sprawę, że mój głos brzmi, jakby należał do szalonej opiekunki, która powinna mieć zakaz zbliżania się do dzieci.

– Cichutka – poprawia mnie Lexi, nie odwracając głowy. No jasne. Matka i córka. Papużki nierozłączki. Pewnie nawet wyglądają tak samo jak ja i moja mama. – Mam nadzieję, że się nie obudzi. Na pewno wam tam wygodnie? W sumie nie mamy wyboru.

– Jest okej – mówię. Na pewno nie będę narzekała. Jak wkurzymy Douga, to jeszcze zmieni zdanie i nas wyrzuci. – Jeszcze raz dziękujemy. W imieniu przyjaciółki też.

– Żaden problem – zapewnia mnie Lexi i dotyka ręki Douga, która spoczywa na dźwigni biegów.

Splata swoje palce z palcami męża, ale patrzy przed siebie. Wybaczy jej, ale jeszcze nie teraz. I znowu przypominają mi moich rodziców. Nie licząc tych kilku tygodni przed wypadkiem, bo wtedy ciągle się ze sobą kłócili.

Odwracam wzrok od ich splecionych dłoni i patrzę na ciemne kształty mijanych budynków. Wypożyczalnia sprzętu rolniczego, lodziarnia z zaciągniętymi okiennicami, sklep z narzędziami, targ mięsny. Wszystkie skąpane w ciemności i opuszczone. Niektóre może

zamknięte na dobre albo tylko na cały sezon. Dalej widzę długie i niskie zabudowania motelu, którego niewielki parking lśni trochę groźnie w świetle jedynej w pobliżu latarni. W jednym z pokoi migocze poświata telewizora, ale w pozostałych jest ciemno. Nigdy nie byłam w tej części New Hampshire. Wygląda mroczniej, niżbym się spodziewała. Wzdrygam się i kątem oka widzę, że Jasper na mnie zerka. Nie odwracam głowy w jego stronę, zamiast tego wbijam wzrok w wyświetlacz telefonu. Już zaczynam czuć ucisk w klatce piersiowej i brzuchu.

**Wszystko w porządku? – piszę do Cassie. Spowolniła nas awaria samochodu, ale już jedziemy. Będziemy niedługo. Bez policji.**

Czekam na odpowiedź, ale nie nadchodzi.

??? – piszę i wysyłam.

Czekam. Wciąż żadnej odpowiedzi. Może niepotrzebnie wspomniałam o awarii. Podnoszę głowę i na widok Jaspera od razu czuję się gorzej. On też się martwi. Nie tak jak ja – tutaj nie mam żadnej konkurencji – ale bardziej, niżbym chciała. Znow patrzę przez okno. Budynki zostały za nami, więc próbuję liczyć drzewa. Skupić się na szczegółach, nieistotnych detalach otoczenia. Ale niedługo robi się na to za ciemno. Las jest jedną, ciągłą masą czerni. Nie mam się już czego trzymać. Czy naprawdę sądziłam, że w tych wyjątkowych okolicznościach moje lęki po prostu przestaną istnieć? Co za głupia nadzieja. One zawsze żyły własnym życiem. I parły do przodu, nie bacząc na przeszkody.

– Jakie meteory będzie pan obserwował? – pyta Jasper.

Dobrze. Świetnie, rozmowa. Posłucham, zamiast myśleć o moich skrecających się wnętrznościach.

Doug zerka w lusterko i mruży oczy. Czyżby pytanie Jaspera go zirytowało? Trudno powiedzieć.

– Znasz się na astronomii?

Ostrożnie – mam ochotę powiedzieć – nie igraj z losem. Ale Jasper nie zauważa mojego napięcia. Patrzy za okno.

Jasper wzrusza ramionami.

– A czy posiadanie teleskopu w wieku siedmiu lat się liczy?

– I co przez niego widziałeś? Wielki Wóz? – pyta Doug.

– Nie no, proszę – mówi Jasper, szczerze się uśmiechając. – Trochę szacunku. Pas Oriona. I Kas coś tam. Nie pamiętam.

– Kasjopeja – podpowiada mu Doug już przyjemniejszym tonem.  
– Całkiem nieźle jak na siedmiolatka.

– Mieszkaliśmy na wzgórzu przy plaży. – W głosie Jaspера słychać tęsknotę. – Niebo ciągnęło się w nieskończoność.

– Jedziemy oglądać etę Akwarydy – odzywa się Lexi i gładzi Douga po karku. – Jeśli po zobaczeniu czegoś takiego nie uwierzysz w Boga, to nigdy nie uwierzysz.

– Jedziecie tam i co? Po prostu będziecie je obserwować? – pyta Jasper.

– Po prostu? – rzuca Doug, znowu jakby trochę poirytowany.

Mam ochotę powiedzieć Jasperowi, żeby się zamknął. To nie jest dobry moment na zgrywanie „zaskakująco, jak na swój wiek, ciekawego świata gościa”.

– Chodzi mi o to, czy szukacie czegoś konkretnego.

– Zawsze chciałeś być dla kogoś mentorem, Doug – mówi Lexi wesołym tonem. – Wygląda na to, że mamy tu początkującego astronoma.

– Nie do końca. Lubię astronomię, ale pójdę na prawo. Chcę być obrońcą z urzędu – chwali się Jasper, który najwyraźniej nie daruje sobie, jak nie zacznie nowego wątku. – Mój tata siedzi w więzieniu za coś, czego nie zrobił, bo miał fatalnego obrońcę.

– O kurczę – mówi Doug i patrzy na Lexi, a jego oczy mówią: W coś ty nas wpakowała? W końcu siedzimy obok jego dziecka. – Za co go skazali?

– Co to za pytanie! – oburza się Lexi. – Nie twoja sprawa.

– Nic nie szkodzi – uspokaja ją Jasper. – Za napaść. Ale jak mówię: był niewinny. Jego obrońca nie wezwał nawet połowy świadków. Popełniał elementarne błędy.

– Tym bardziej ci współczuję – mówi Lexi. Jest miła, ale nieco zażenowana. – Będzie w moich myślach.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz się za niego modlić? – pyta ją oschle Doug. – Wygląda na to, że bardziej by mu się przydał dobry obrońca przed sądem apelacyjnym niż kilka zdrowasiek.

– Racjonalista do szpiku kości. – Lexi odbija piłeczkę.

Czyli taki mają układ: ona jest mistyczką, on naukowcem.

I popisują się przed nami, jaki świetny tworzą związek mimo dzielących ich różnic. I dlatego podejrzewam, że wcale nie jest im ze sobą tak dobrze. Ale jeśli zależy im na publiczności, to okej, mogę nią być. Zrobię wszystko, byleby tylko wieźli nas w stronę Cassie.

– Mam swoją religię – mówi Doug. – Nazywa się „nauka”.

– Znana też jako „wysysanie radości z życia”. – Lexi macha mu palcem. – Niezmierzona głębia istnienia zredukowana do punkcików na wykresie.

– Mój tata jest podobny – odzywam się trochę wbrew sobie. – Nie wierzy w nic, na co nie ma dowodu.

– No to byśmy się polubili. – Doug zerka na mnie w lusterku.

Chyba naprawdę go ucieszyłam. – Jest naukowcem?

– Psychologiem.

Nie mówię, czym dokładnie się zajmuje, bo mam wrażenie, że straciłby w oczach Douga.

Karcę się w duchu za to, że w ogóle wspomniałam o ojcu. Bo teraz znowu myślę o „moim stanie” i znów dławi mnie wstyd, znów czuję się osamotniona. Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. Takich grózb się nie zapomina, choćby nie wiem co.

Za oknami samochodu jest jeszcze ciemniej, jakbyśmy zjechali w przepaść. Mam zresztą wrażenie, że to właśnie robimy. Bo jaki właściwie jest dalszy plan, skoro nie mamy samochodu? Mieliśmy błyskawicznie przybyć na ratunek, a wygląda na to, że czeka nas marsz na własnych nogach. Będzie nam potrzebne auto, to podstawa. Patrzę na Lexi i zastanawiam się, jak bardzo jest gotowa nam pomóc. Czy wynajęłaby dla nas samochód na swoje nazwisko? Potem spoglądam na Douga. Nie ma szans, żeby się na to zgodził. Podpisując taką umowę, wzięliby na siebie odpowiedzialność za auto, którego moglibyśmy nie zwrócić.

Muszę przestać o tym myśleć, bo tylko się stresuję tym, że nie widzę wyjścia z sytuacji. Mój wzrok wędruje do fotelika i nóżek niemowlęcia, otulonych jasnozielonym kocem.

Trochę to dziwne, że odkąd ruszyliśmy, stópki małej ani razu

nawet nie drgnęły. Lexi powiedziała, że córeczka powinna przespać całą drogę. Okej, rozumiem. Ale czy dzieci nie ruszają nogami przez sen? Może ten kocyk jest za duży i za mocno ją nim owinęli. Czy ja miałam tego pilnować? Czasem ludzie mają wobec innych oczekiwania, o których im nie mówią. Co, jeśli to dziecko przestało oddychać? Lexi jest taka beztrocka, a przecież nikt z nas nie może wiedzieć na pewno, czy komuś nie dzieje się coś złego. Przyznaję, że akurat ja myślę o takich sprawach częściej niż inni, ale to nie znaczy, że nie mam racji.

– Może posłuchamy muzyki? Mamy satelitę, milion stacji do wyboru, nawet na największym odludziu – mówi Lexi tonem, który zdradza, że tak naprawdę jest zirytowana. Pochyla się, żeby włączyć radio. – Pewnie nigdy nie słyszeliśmy muzyki, której wy teraz słuchacie. Tacy jesteśmy starzy, kochanie. Nawet nie wiemy, jaka muzyka jest teraz na topie.

Serce wali mi jak młot, tymczasem Lexi przeskakuje z jednej stacji na drugą, na każdej zatrzymując się tylko na parę sekund. Bardzo próbuję, ale nie udaje mi się nie myśleć o dziecku i jego oddechu lub raczej jego braku. Bo coś tu nie gra. Czuję to. W foteliku obok mnie jest jakaś pustka. Wielka, żarłoczna pustka.

– Mów za siebie – odpowiada jej Doug. – Ja nie jestem stary. I cały czas mam dobry gust muzyczny. Włącz jedną z moich playlist na Spotify.

– O nie, znowu będziemy słuchać Wilco? – pyta Lexi. Jej głos dociera do mnie jakby zza grubej ściany. – Wiesz, że za każdym razem, jak to robimy, coś we mnie umiera.

Moje serce bije jeszcze szybciej. Staram się skupić na „tu i teraz”, jak mawia doktor Shepard. Pod nogami mam siedzenie. Moje dłonie leżą na kolanach. Ale dłonie mi się pocą i myślę tylko o tym, że dzieci czasem przestają oddychać. Nagła śmierć łóżeczkowa, tak to się nazywa. I przychodzi bez ostrzeżenia. To powszechnie znana sprawa.

Boję się jednak znowu pytać o dziecko. Lexi już raz powiedziała, że nic małej nie jest. Jeśli kolejny raz poruszę ten temat, może pomyśleć, że uważam ją za złą matkę. Przecież mogę sama sprawdzić. Wystarczy, że się upewnię, czy jest ciepła, albo uszczypnę ją delikatnie w palec u stopy. Jeśli się rozplacze, szybko cofnę rękę i nikt nie będzie wiedział,

że to przeze mnie. Tak, właśnie tak zrobię. Mimo że to może być zły pomysł. Mimo że to nie przez dziecko mam trudności z oddychaniem. Ale wiedząc, że z małą wszystko w porządku, będę mogła chociaż trochę się odprężyć.

Nie odrywając wzroku od lusterka, powoli przesuвам dłoń w stronę fotelika. Lexi i Doug rozmawiają ciągle o playlistach Douga. Lexi nie może się zdecydować, która z nich jest najmniej szkodliwa.

– Ja nawet lubię Wilco – mówi Jasper, patrząc przez okno.

Moja ręka jest już bardzo blisko celu, jeszcze tylko kilka centymetrów i będę wszystko wiedziała. Wreszcie mi ulży. Najlepsze w tym moim wiecznym zamartwianiu się i w wieloletniej pracy z doktor Shepard jest to, że jakaś część mojej świadomości doskonale wie, że nie chodzi wcale o dziecko. To nie przez małą odchodzę od zmysłów. Boję się o Cassie, o to, kim się stał mój tata, o to, czy poradzimy sobie w tej sytuacji, a przede wszystkim o to, czy przeżyję stratę mamy. Bo tak właśnie działa mój lęk. Jest tylko zasłoną dymną. Nie mam wpływu na te wszystkie wielkie sprawy, więc przejmuję się czymś innym. Na przykład tym niemowlęciem, które z pewnością jest całe i zdrowie. Chociaż może akurat teraz coś jest z nim nie tak.

Palcami dotykam już fotelika, chwilę później czuję materiał koca. Przesuwam dłoń dalej, ale jakoś nie mogę znaleźć nóżek małej. Macam po omacku, ale natrafiam tylko na kolejne warstwy kocyków.

Jest ich zdecydowanie za dużo. Tak dużo, że coś mi tu nie pasuje. Bum, bum, bum – wali moje serce, gdy wpycham dłoń w sam środek fotelika.

Nie wyczuwam ciepła niemowlęcego ciała. Ale zimnego dziecka też tam nie ma. Fotelik jest pusty.

Zatrzymajcie się! Nie ma waszego dziecka!

Słowa cisną mi się na usta, które jednak się nie otwierają. Tętno gwałtownie mi skacze i przez chwilę mam zawroty głowy.

Nie, nic nie mów, myślę. Ani słowa.

Patrzę na Jaspera. Ma zamknięte oczy i głowę opartą o szybę. Wygląda, jakby spał, ale kiedy dźgam go knykciem w udo, podnosi głowę i odwraca się w moją stronę.

Delikatnie kręcę głową i otwieram szeroko oczy, żeby nie zapytał mnie na głos, co się dzieje. Pokazuję palcem na fotelik i bezgłośnie mówię:

– Nie ma dziecka.

Mam nadzieję, że zrozumie i nie zacznie zadawać pytań.

Bo jak tylko Doug i Lexi się zorientują, że my wiemy, stracimy naszą jedyną przewagę, czyli element zaskoczenia. Zresztą co takiego wydaje mi się, że niby wiem? W foteliku nie ma żadnego dziecka – ale dlaczego? I co to znaczy? To m y poprosiliśmy i c h o pomoc. Doug się wręcz opierał.

Może po prostu na takich ludzi się trafia w środku nocy na kompletnym odludziu. Ludzi, którzy przed czymś uciekają i którzy mają coś do ukrycia. Równie dobrze mogli ukraść ten samochód z sympatycznymi naklejkami na zderzaku i pustym fotelikiem dla dziecka w środku. Nawet nie chcę tego wiedzieć. Lexi i Doug mogą sobie zachować swoje tajemnice, nic mi do tego. Musimy tylko wydostać się z ich auta.

Po cichu wciągam w płuca dużą porcję powietrza, ale znów kręci mi się w głowie. Wzrok też mnie zawodzi – wszystko jest jakieś rozmazane i trochę żółtawe. Ale przynajmniej pole widzenia nie zwęziło mi się do ciemnego tunelu i jeszcze nie zaczęłam drętwieć. Jeśli nie będę się pilnowała, utrata świadomości będzie tylko kwestią czasu.

Lexi zerka na mnie przez ramię i posyła mi ten sam uśmiech, który widziałam już tyle razy, odkąd zobaczyłam ją na stacji, stojącą przy samochodzie i kołyszącą biodrami. Jeszcze minutę temu ten uśmiech wydawał mi się taki ciepły i serdeczny. Teraz na jego widok przeszywa



mnie dreszcz. Zaciskam palce na udach i też się do niej uśmiecham.

Nie wiem, co oni knują, ale nie ma to nic wspólnego z nami. Zaczęło się na długo, zanim zajechaliśmy z Jasperem na tamtą stację benzynową. Może są sympatycznymi ekoterrorystami albo politycznymi dysydentami, którzy uciekają przed policją, bo złamali prawo w imię zasad i dziecko jest tylko przykrywką. Nie każdy, kto ucieka, jest złym człowiekiem. Wiem to z doświadczenia. A mimo to muszę przyznać, że mam bardzo złe przeczucia.

– Ta wasza przyjaciółka... – zagaja Lexi, wybrawszy wreszcie piosenkę. – Jak ma na imię?

Patrzę na Jaspiera i kręcę głową. Nic jej nie mów. Ani słowa więcej. Jasper przez chwilę badawczo mi się przygląda.

– Victoria – mówi i dla mnie to dowód, że zrozumiał.

Otwieram mapę w telefonie, żeby sprawdzić, czy nie zboczyliśmy z kursu. Mała niebieska kropka, którą jesteśmy, dalej przesuwana się po drodze 203 w kierunku Seneki. Może Lexi i Doug mają coś do ukrycia, ale nadal nam pomagają. To wszystko wygląda bardziej na niefortunny przypadek niż śmiertelne zagrożenie. Ucisk w klatce piersiowej staje się trochę lżejszy. Ale i tak musimy wysiąść z tego samochodu.

Patrzę na telefon i widzę, że mam bardzo słaby zasięg. Niedługo pewnie w ogóle go stracę. Jestem zła na tatę. Mam wrażenie, że trwale zniszczył naszą relację. Ale od gniewu nadal silniejszy jest strach przed Lexi i Dougiem.

Piszę szybko esemesa do taty.

**Auto Jaspiera zepsuło się przy zjeździe 39C z autostrady 93 w New Hampshire. Jedziemy 203 w stronę Maine. W czarnym subaru kombi na nowojorskich numerach i z naklejką poparcia dla Hillary. Potrzebujemy pomocy. Możliwe, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ufam ci. Mam nadzieję, że nie nawalisz.**

– Victoria. Ładne imię – stwierdza Lexi takim tonem, jakby sama знаła niejedną Victorię. Jakby znając imię naszej przyjaciółki, wszystko o niej wiedziała. – Często wpada w takie tarapaty?

– Czasem – odpowiadam, ale zdecydowanie za głośno i zbyt wysokim głosem.

Zachowuj się normalnie, napominam się. Mów o Cassie, ona nie

jest kłamstwem.

– Trochę się gubi, a potem sprawy zaczynają się toczyć własnym torem i sytuacja ją przerasta – brnę dalej.

To tak jak wy, mówię w myślach. Widzisz? Wszystko rozumiem.

– Nie pierwszy raz poprosiła mnie o pomoc. Chcemy ją zabrać do domu, do jej mamy – wyjaśniam, starając się, żeby moje słowa zabrzmiały rzeczowo.

Moja przyjaciółka ma dom. Ma mamę. Są dobrymi ludźmi. My też jesteśmy dobrymi ludźmi. Powinniście nas puścić.

– To miłe, że jej pomagasz. Tym bardziej że to nie pierwszy raz – mówi Lexi z jakąś tęsknotą w głosie i odwraca głowę, żeby spojrzeć za okno. – Musicie być sobie bliskie.

– Jesteśmy. To moja najlepsza przyjaciółka.

Kwas buzuje mi w żołądku i próbuje podejść do krtani. Przed nami pojawia się niebieski szyld: znak stacji benzynowej, a obok widelec skrzyżowany z nożem. Restauracja. Dobra wymówka, żeby się zatrzymać i wysiąść. Żeby uciec. Pocieram dłonie o dzinsy i zaciskam je w pięści.

– Możemy się zatrzymać? Muszę iść do toalety. – Pokazuję na znak. – Tylko na chwilę.

Patrzę na Jaspera, który kiwa głową. Może nie wie dokładnie, co się dzieje, ale pójdzie za moim przykładem.

– Jasne, nie ma problemu – mówi Doug najspokojniej na świecie.

Najwyraźniej całe to zagrożenie było tylko wytworem mojej wyobraźni. Albo jest dużo gorzej, niż myślałam.

Kierunkowskaz tyka jak metronom, a lampka mruga równo w ciemności. Cały świat zwolnił, każdy dźwięk jest wzmocniony, każdy ruch wyolbrzymiony. Doug nie odrywa wzroku od drogi. Lexi patrzy w swój telefon. Wszystko wygląda tak zwyczajnie, co tylko potęguje we mnie przekonanie, że nic tu nie jest zwyczajne.

– O rany, tego się chyba nie da przegapić – mówi Lexi.

Wysoko nad ziemią wisi neonowy szyld z napisem U TRINITY, dwoma czerwonymi samochodami wyścigowymi i flagą w kratkę. Jest zdecydowanie za duży i kłuje w oczy na tle ciemnego lasu. Zwłaszcza że

sama restauracja mieści się w niewielkiej prostokątnej przyczepie. Nie będzie w niej łatwo zgubić Lexi i Douga. Sytuacja może szybko przybrać nieprzyjemny obrót. Muszę ostrzec Cassie, że przez jakiś czas nie będzie się mogła z nami skontaktować.

**Mamy problem. Na wszelki wypadek napisz do matki. Najważniejsze, żeby nic ci się nie stało. Powiedz jej, żeby nie wzywała policji. Posłucha. Wiem to.** Przynajmniej taką mam nadzieję.

Dopiero po wysłaniu wiadomości do Cassie zauważam czerwony wykrzyknik przy esemesie do taty. „Niedostarczona”, informuje komunikat obok. Tak długo rozważałam, komu powiedzieć o Cassie, a tymczasem okazało się, że ktoś inny podjął decyzję za mnie.

Kiedy wjeżdżamy na parking, odwracam się do Jaspera, pokazuję mu telefon i kręcę głową. Nie ma sygnału. Pojmuje w lot i patrzy na swoją komórkę. Jego twarz tylko na moment się rozjaśnia i po chwili też kręci głową. U niego to samo.

– Ja też pójdę, na wszelki wypadek – mówi. („Na wszelki wypadek”?). – Żebyśmy potem nie musieli się znowu zatrzymywać.

W restauracji zdecydujemy, co robić. Możemy powiedzieć komuś z obsługi albo poprosić o możliwość skorzystania z telefonu. W środku będziemy bezpieczni dzięki obecności innych ludzi. I po jakimś czasie Lexi i Doug pewnie po prostu odjadą ze swoimi tajemnicami, ale bez nas. Z radością się nas pozbędą. Jesteśmy dla nich niepotrzebną komplikacją. Na pewno im ulży. Nie mam powodu sądzić, że będzie inaczej. Tyle że słysząc chrzęszczący pod kołami żwir parkingu, ani przez chwilę nie wierzę, że tak właśnie będzie.

Doug zatrzymuje wóz w blasku bijącym z okien restauracji, obok nowiutkiego pikapa z przyciemnianymi szybami, lśniącymi kołpakami i jakimś stelażem na pace. Pewnie na strzelby, sądząc po naklejkach: „Maine nosi broń”, „Pozwolenie na odstrzał terrorystów”, a do tego logo NRA<sup>2</sup>. Paka jest przykryta zielonym brezentem, spod którego wystaje racica. Nie do końca taką pomoc miałam na myśli.

Ale kiedy zaglądam przez okno do środka restauracji, przy najbliższym stoliku widzę trzy dziewczyny w moim wieku wpatrzone w chłopca siedzącego naprzeciwko nich. Chłopak opowiada coś, obficie

gestykulując, a one słuchają go z uśmiechami na twarzach. Nagle milknie, pewnie tuż przed puentą, po czym wszystkie wybuchają głośnym śmiechem. Zwyczajne dzieciaki robiące zwyczajne rzeczy. One nam pomogą. Jestem tego pewna.

– W sumie chętnie napiję się kawy – mówi Doug i gasi silnik.  
– Ten objazd trochę przedłuży nam jazdę.

Brzmi to prawie przekonująco, jakby rzeczywiście chciał się napić kawy. Tak czy inaczej, w jego obecności dużo trudniej będzie mi porozmawiać z Jasperem.

– Na pewno sama tu nie zostanę – odzywa się Lexi i rozpina pasy. Wysiada z auta, zapominając o dziecku, które niby wiezie w foteliku z tyłu. Widzę, jak Doug rzuca jej wymowne spojrzenie, a ona chwilę się waha, po czym uświadamia sobie swój błąd. – Wezmę tylko małą  
– dodaje.

Na ołowianych nogach wchodzę po metalowych schodkach wiodących do drzwi restauracji. Jestem już prawie na górze, kiedy drzwi gwałtownie się otwierają i ze środka wychodzi rozkrzyczana grupka dzieciaków ze stolika przy oknie.

– O, przepraszam – mówi pierwsza dziewczyna, zatrzymuje się i wszyscy na siebie wpadają. Uprzejmie ścisząją głosy i przechodzą obok. – Przepraszamy.

Kiedy przejmuję drzwi od ostatniej dziewczyny, wydają się dziwnie lekkie, jakby to wszystko nie działo się naprawdę i jakbym zaraz miała się obudzić ze snu. Mam ochotę zawołać o pomoc, ale przy Dougu i Lexi nie mogę pisnąć ani słówka.

– Proszę – mówi wesoło dziewczyna, widząc, że się waham. Jest ładna i drobniutka, ma długie czarne włosy. Patrzę na nią i myślę: nie odchodź, błagam. Ale ona tylko się uśmiecha i biegnie za przyjaciółmi. Na dole schodów znów wybuchają śmiechem, po czym znikają za rogiem i nagle zostajemy sami, bez naszej najlepszej szansy na pomoc.

– Teraz to zjadłbym też hamburgera – rzuca ochoczo Doug.  
– Fe. – Lexi robi zniesmaczoną minę i wchodzi po schodach. W jednej ręce niesie fotelik z zasuniętym daszkiem, żeby nikt nie

zobaczył, że jest pusty. Nawet nieźle jej wychodzi udawanie, że jest ciężki, bo drugą ręką trzyma się poręczy. – Hamburger w takiej dziurze?

W przedsionku uderza mnie fala ciepłego, wilgotnego powietrza wydmuchiwanego przez grzejnik stojący obok automatu ze słodyczami. Wchodzę przez drugie drzwi do restauracji, która jest dużo czystsza i bardziej zatłoczona, niż się spodziewałam o tej porze. Sześć boksów wzdłuż głównego okna jest zajętych. Widzę kilkoro nastolatków, starszą parę i rodzinę z dwoma śpiącymi chłopcami. Pachnie boczkiem i szarlotką. Ściany są pomalowane jasnoczerwoną farbą.

Ale nie wszyscy goście restauracji są w dobrym nastroju. Na środku sali, w kręgu pustych stolików, siedzi para ponurych klientów. Ich twarze, ubrania, a nawet powietrze wokół nich wyglądają jak umorusane sadzą. Oboje milczą i siedzą niemal bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w blat stolika. Kobieta ma przed sobą talerz pełen jedzenia, którego nie tknęła, a mężczyzna powoli przeżuwa swoje, jakby próbował przegryźć kawałek gumy. Są jak zły omen.

Kiedy na nich patrzę, staje przed nami kelnerka. Ciemnoblond włosy spięła w kucyk. Jest ładna, pomimo zbyt dużych oczu i nierównych zębów. Ma na sobie firmowy T-shirt z napisem TRINITY i flagami po obu stronach.

– Stolik dla czworga? – pyta z uśmiechem i bierze do ręki cztery karty dań.

– Nie, weźmiemy coś na wynos – mówi Doug.

Czy mi się zdaje, czy jednak powiedział to trochę zbyt stanowczo, jakby wiedział, że coś się święci? Serce bije mi tak mocno, że chyba cała się kołyszę. Mam nadzieję, że Doug i Lexi tego nie widzą.

– Gdzie macie toaletę? – pytam. Liczę na to, że Jasper zrozumie i pójdzie za mną.

Tam będziemy mogli porozmawiać, wymienić się uwagami i obmyślić plan. Może uzna, że bezpieczniej będzie się przyznać, że wiemy o dziecku. Może powie mi, że mam paranoję. I może nawet mu uwierzę.

– Tam, skarbie, na końcu. – Kelnerka pokazuje na drzwi za długą ladą. – Damska jest na końcu korytarza.

– Dzięki. – Ruszam w tamtą stronę, unikając wzroku Lexi i Douga.

– Zaraz wracam – rzucam w ich stronę.

Lexi uśmiecha się do mnie i mówi:

– Nie spiesz się.

Czy jej głos też dziwnie zabrzmiał? Trochę drżał, jakby się bała, ale próbowała to ukryć. Idę po podłodze, która wydaje mi się wyłożona gąbką. Kiedy wreszcie docieram do drzwi, jestem cała odrętwiała. Widzę swoją dłoń na kłamce i drzwi uchylające się w moim kierunku, ale niczego nie czuję.

Po drugiej stronie jest krótki korytarz ze ścianami wyłożonymi boazerią. Toaleta męska po lewej, damska na wprost. Jest zimniej, ściany tutaj muszą być cienkie. Kładę dłoń na jednej z nich, żeby się podeprzeć, i boję się, że przebiję w niej dziurę. Jestem już przy drzwiach. Ciągle nie ma przy mnie Jaspera, ale nie mogę tak po prostu się tu zatrzymać i czekać na niego, bo w każdej chwili w drzwiach może stanąć Lexi albo Doug. Od razu się połapią, że coś knuję. Nie mam wyboru, muszę wejść do środka. Jasper zapuka, jak już przyjdzie. Będzie wiedział, gdzie jestem. Nie jest głupkiem.

Toaleta jest ohydna – w umywalce pełno włosów, na podłodze plamy i ani śladu papieru. Zupełnie jakby właściciele tej schludnej knajpy postanowili właśnie tutaj zebrać cały brud swojego lokalu. Temperatura jest tu niższa o kolejnych parę stopni. W rogach pomieszczenia laminat podłogowy jest odklejony i zwinięty. Zamykam za sobą drzwi i przyciskam do nich ucho. Słyszę dźwięki z jadalni: głosy rozmów i brzęk sztućców. Na pewno usłyszę wchodzącego Jaspera. Czekam jeszcze minutę. Ciągle cisza. Ale musi przyjść. Musi.

A jak już się zjawi, będziemy musieli wyjść tyłem. Wysoko nad sedesem jest okno, które daje się łatwo otworzyć. Jest dość duże, oboje z Jasperem się przez nie przecisniemy. Wystawiam głowę na zewnątrz i dostrzegam wysoki spadek. W ciemności trudno mi dokładnie ocenić dystans. Pewnie nie jest aż tak wysoko, żebyśmy podczas lądowania odnieśli poważne kontuzje, ale nawet z ewentualnymi drobnymi urazami nasza ucieczka będzie spowolniona.

Wciąż wychylam się przez okno, kiedy dobiega mnie dźwięk otwieranych drzwi z głównej sali. Jasper, nareszcie. Dzięki Bogu. Zeskakuję z sedesu i podchodzę do swoich drzwi. Nadal się łudzę, że

wybije mi z głowy ucieczkę.

Kładę dłoń na klamce, ale zamieram, bo słyszę drugi dźwięk. Znów otwierają się i zamykają drzwi z sali. Czyjeś kroki, tym razem szybsze.

I głos Jaspera:

– Dou...

Głuchy łomot. Doug. Jasper chciał wypowiedzieć jego imię. Przyciskam dłonie do drzwi, moje serce szaleje. Mam otworzyć? Kolejne dźwięki, szarpanina na podłodze, ktoś kopnął w ścianę. Rozpaczliwa walka? Jasper próbuje się wyrwać z uścisku Douga?

Szukam w kieszeniach telefonu, modląc się o to, żeby złapał zasięg. Zadzwonię na policję, bo teraz już nie mam wyboru. Ale oczywiście zasięgu nie ma. Wsuwam aparat do kieszeni, w której o coś zawadza. Scyzoryk mojej mamy.

Wyjmuję go. Jest zimny i ciężki. Zdrętwiałymi palcami otwieram krótsze ostrze. Gapię się na mały kawałek metalu, w uszach mi dudni.

– Puść – jęczy Jasper, z trudem chwytając oddech.

Muszę coś zrobić. Ten durny mały nożyk to moja jedyna broń. Będę musiała machnąć nim tak, jak mama uczyła mnie machać siekierą: włożyć w cios cały ciężar ciała.

Mocnym szarpnięciem otwieram drzwi i momentalnie serce podchodzi mi do gardła, bo widzę dokładnie to, co sobie wyobrażałam, a co jest zupełnie niewiarygodne, jak zły sen. Doug przyciska Jaspera do ściany, zaciskając dłoń na jego szyi. Jasper ma purpurową twarz i szeroko otwarte, przerażone oczy. Panicznie wierzga nogami.

Druga dłoń Douga jest oparta o ścianę dla utrzymania równowagi. Duży cel, dobre miejsce do zadania ciosu. Ten facet chce udusić Jaspera. Muszę coś zrobić, żeby przestał.

Rzucam się w przód i robię zamach. Kiedy ściągam ostrze w dół, przeszywa mnie ból – mój ból – bo trafiam w twardą jak kamień dłoń Douga. Mogłabym przysiąc, że uderzyłam w ścianę, gdyby nie widok krwi.

– Kurwa! – wrzeszczy Doug, zgina się wpół i łapie za dłoń.

Jasper mocno kaszle, po chwili rzuca się do drzwi. Ale ja skamieniałam. Tyle się dzieje. Tyle krwi, nie spodziewałam się takiej ilości. I jest tak jaskrawoczerwona.

– No chodź! – woła Jasper i ciągnie mnie do wyjścia.

Wbiegamy, zbyt głośno, do głównej sali. Hałas i nasz pośpiech sprawiają, że w jadalni zapada cisza i wszyscy odwracają głowy w naszą stronę. Kelnerka, która jeszcze przed chwilą była dla nas taka miła, nagle robi się podejrzliwa. Nie widzę Lexi. Nie ma jej przy wejściu. Nigdzie nie widać ani jej, ani fotelika.

Idziemy z Jasperem w kierunku wyjścia. Nie biegniemy, ale niewiele brakuje. Udajemy, że nie jesteśmy dwójką uciekinierów.

– Chwila, kolego! Czy to krew? – Czyjś głos za nami. Odwracam się i widzę Douga opartego o framugę drzwi do toalet. Obok niego stoi starszy mężczyzna, który trzyma rękę na jego ramieniu. Doug coś do niego mówi. – Łapcie ich! Ci dwoje go okradli! – krzyczy staruszek i macha ręką w naszą stronę.

Kelnerka podbiega do Douga z ręcznikiem. Ale Doug ani na sekundę nie odrywa wzroku od nas. Nawet nie mruga. To jego spojrzenie. Jakby chciał mnie zabić. Jakby naprawdę zamierzał to zrobić. Jakby to była tylko kwestia czasu.

– Uwaga! – woła starszy mężczyzna. – Ona ma nóż!

Dopiero wtedy patrzę w dół. Wciąż trzymam w zaciśniętej dłoni scyzoryk mamy. Na krótkim ostrzu i na moich palcach jest krew. Właśnie przestałam być stukniętą dziewczyną z szaloną fryzurą, a stałam się stukniętą dziewczyną z szaloną fryzurą i nożem w dłoni. Dziewczyną, która właśnie udowodniła, że jest niebezpieczna dla otoczenia.

Może faktycznie jestem? Czy na pewno musiałam go dźgnąć? Dlaczego najpierw nie krzyknęłam, żeby przestał? Dlaczego nie próbowałam wezwać pomocy?

Jasper znów mnie za sobą ciągnie. Biegniemy przez restaurację, ale mam wrażenie, że trwa to całą wieczność i nie ma sensu. Że z każdym krokiem drzwi oddalają się coraz bardziej.

– Hej, wy tam! Stójcie! – krzyczy do nas kelnerka. Stoi przed wyjściem z telefonem w dłoni. – Dzwonię na policję. Nie ruszajcie się. – Macha do dwóch roślących mężczyzn w boksie z tyłu sali. – Chodźcie tu. Nie mogą nam uciec!



– Wybacz, ale musimy iść. – Jasper odsuwa ją na bok, kulturalnie, ale stanowczo.

Otwieramy jedne drzwi, potem drugie. Zbiegamy po chwiejnych schodach. Kiedy odwracam głowę, widzę przez okno, że w środku formuje się już grupa pościgowa, możliwe, że wokół Douga. Nie widzę go. Kto wie, co im wmówi. Jest naprawdę dobrym kłamcą.

– Patrz – odzywa się Jasper, lądując na zwirowanej nawierzchni parkingu. – Tam.

Samochód Lexi i Douga stoi teraz po drugiej stronie, z włączonym silnikiem i maską skierowaną w stronę wyjazdu na drogę. Czyli Lexi pełniła w planie Douga funkcję kierowcy. Widzę, jak odwraca się powoli i patrzy w naszym kierunku.

– Zobaczyła nas – mówię.

Ale ona nie wyskakuje z auta, tylko długo się na nas gapi, a po chwili chowa twarz w dłoniach. Dlaczego? Co znaczy to dziwne zachowanie? Chowa się przed nami? Płacze? Na pewno nie z powodu tego, co zrobiłam Dougowi. Gdyby o tym wiedziała, biegłaby już do środka, żeby mu pomóc.

– Chodźmy – mówi Jasper i rusza sprintem na tył restauracji, w stronę lasu. – Zaraz tu będą.

Biegniemy w ciemności. Gałęzie smagają mnie po twarzy i ramionach. Wkrótce las staje się tak gęsty, że musimy zwolnić. Możemy co najwyżej szybko iść. Podnosimy nogi, żeby nie potknąć się o zwalone drzewa, co chwila wpadamy w dziury w ziemi. W tym tempie nie mamy szans przed nikim uciec.

Z każdym krokiem w głąb czarnego lasu i panującej w nim ciszy rośnie we mnie poczucie zagubienia. Gałęzie są jakby bardziej splątane, ścieżka mniej wyraźna. Ale nie mamy wyboru – musimy przeć dalej. Po jakimś czasie upuszczam scyzoryk, który znika w ciemności pod moimi stopami. Nie ma już dla nas drogi powrotu.

Pięć, dziesięć minut później – straciłam rachubę – las wreszcie rzednie. Ale nawet nie zdążyłam się z tego ucieszyć, bo między wysokimi drzewami na wprost pojawia się światło. Gwałtownie się zatrzymujemy. Nie pada z przodu, ale zza naszych pleców.

Latarki. Ktoś nas śledzi. Spodziewaliśmy się tego. To pewnie nie policja. Uplłynęło za mało czasu. Stawiam na Douga, o ile nie wykrwawił się na śmierć. Myślę, że pomagają mu jacyś ludzie z restauracji. Przychodzi mi na myśl ten pikap z naklejką NRA i martwym jeleniem. W lokalu byli ludzie z bronią palną. Ciekawe, czy prawo pozwala strzelić nam w plecy. W końcu miałam nóż i zadałam pierwszy cios. To ja stanowią zagrożenie dla innych.

Nawet w ciemności widzę na palcach krew Douga. I ciągle pamiętam to uczucie, kiedy nóż odbił się od jego dłoni. Kręcę głową, bo muszę się skupić. Ci, którzy nas gonią, są blisko. Ich głosy odbijają się echem od drzew.

Nie uciekniemy im. Owszem, mam spore doświadczenie w pokonywaniu leśnych tras, ale w niczym mi ono teraz nie pomoże. Las jest po prostu za gęsty. Potrzebny nam nowy plan. Wspiąć się na drzewo? To może być nasza jedyna szansa. Nie „może być” – jest.

Podchodzę do miejsca, w którym długi konar leży oparty o drzewo z kilkoma grubymi, rosnącymi nisko nad ziemią gałęziami. Spoglądam w górę, pień ciągnie się do samego nieba. Jedyna rzecz, jakiej moja mama nauczyła mnie w temacie wdrapywania się na drzewa, to że nie

jest to dobry sposób ucieczki przed niedźwiedziem. Ale potrafię znaleźć równowagę, wiem, jak szukać oparcia dla stóp. Wiem, że moje ręce są dużo silniejsze, niż mi się wydaje.

– Hej! – wołam szeptem. – Góra?

Jest tak ciemno, że nie widzę twarzy Jaspera. Jakaś część mnie ma nadzieję, że powie „nie”. Że wymyśli coś innego.

– O cholera, serio? – mówi.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie. Nie mam żadnego pomysłu.

Wspięcie się na drzewo okazuje się dużo trudniejsze, niż myślałam. Zupełnie nie jak wspinaczka skałkowa z mamą. Tam zawsze wdrapywałyśmy się w górę i spadałyśmy w dół, w górę i w dół. A tu trzeba ciągle iść do góry. Nie dotarliśmy wcale wysoko, a moje ręce już się trzęsą. Za to Jasperowi idzie świetnie, a ponieważ jest tuż przede mną, to motywuje mnie do wysiłku. W końcu mnie dogania i kładzie dłoń na mojej łydce.

Zatrzymaj się, mówi jego dotyk. Cicho sza.

Pod nami słychać jakieś dźwięki. Trzaskające gałęzie i szelest liści. Modlę się, żeby drzewo nas utrzymało, bo nagle dobiega nas bardzo wyraźny głos Douga:

– Nie ma tu żadnej ścieżki?

Cieszę się, że nie zraniłam go na tyle poważnie, by wymagał hospitalizacji, a z drugiej strony to źle, że jest w stanie nas tropić.

– Są szlaki trochę dalej, po prawej – mówi inny mężczyzna.

– Używaliśmy ich do naganiania niedźwiedzi. Pewnie właśnie tam idą. Musimy przeciąć im drogę, bo jak wejdą na szlak, znikną w okamgnieniu.

– Ale oni nie wiedzą o tych szlakach – zauważa cicho Doug. Stoi prawie dokładnie pod naszym drzewem. – Nie są stąd.

– Powinniśmy oddać strzał ostrzegawczy – odzywa się trzeci.

Młodszy, bardziej napalony. Ewidentnie szukający wymówki, żeby sobie postrzelać.

– Szeryf nakopie ci do tyłka, jak znowu zaczniesz strzelać poza...

Bam! Bam! Bam! Huk jest ogłuszający, strzały padają prawie przy

mojej głowie. Ledwo się trzymam pnia.

– Pieprzyć szeryfa – śmieje się głupio ten najmłodszy.

– Ty durniu! – krzyczy Doug. – Gdybym chciał tu policji, to sam bym zadzwonił.

Nie chce policji, bo on i Lexi mają coś do ukrycia. To dopiero zaskoczenie. Zamykam oczy, jeszcze bardziej trzęsą mi się ręce. Tak mocno przyciskam się do drzewa, że mam wrażenie, jakby moje dłonie zaraz miały zacząć krwawić. Serce bije mi tak szybko, że nawet jeśli Doug mnie nie zabije, to i tak zemdleję i spadnę na ziemię.

– Pocałuj mnie w dupę – rzuca ten młody i śmieje się z Douga. Chyba jest na haju. – To ty chciałeś, żebyśmy ci pomogli.

– W znalezieniu ich, a nie zabiciu, palancie!

– Słuchaj, kurwa...

– Ma rację – przerywa mu jego starszy kumpel. – Uspokój się. Nie zamierzam trafić przez ciebie do pierdła.

– Chodźcie – mówi Doug. – Znajdźmy ten szlak. Może znają ten teren lepiej, niż mi się zdaje.

Kiedy światła latarek i głosy wreszcie się oddalają, Jasper zaczyna zsuwać się na dół, a ja schodzę za nim. Już na ziemi cała się trzęsę z osłabienia.

– Dobry pomysł z tym drzewem – mówi Jasper, strzepując kawałki kory z ubrania. – No i dzięki za pomoc, tam w knajpie. To było... – Nie wie, co powiedzieć. – Nie bierz tego do siebie, ale nie sądziłem, że masz to w sobie.

Jakby dźgnięcie kogoś nożem stanowiło powód do dumy.

– Nie chcę o tym rozmawiać – mówię zgodnie z prawdą.

– Udawajmy, że to się nigdy nie stało.

– Okej, ale wiesz, że on by mnie zabił, prawda? Nie miałś wyboru.

– Każdy ma zawsze jakiś wybór.

A przynajmniej normalni ludzie.

– Dobra, jak chcesz. Możesz to sobie wyrzucać. – Jasper zamyka sprawę.

Jest poirytowany i zmęczony. Mną? Po prostu nie rozumie. Nie

słyszał, co mówił mój tata. Nie ma pojęcia, co się stanie, jak zostanie uznana za groźną dla otoczenia, nawet jeśli tym otoczeniem miałyby być Doug. Jasper zaczyna maszerować w głąb lasu, jakbyśmy właśnie zdecydowali, w którą stronę dalej iść.

– Widziałem tam światło, jak byliśmy na górze. Może pozwolą nam skorzystać z telefonu.

Idziemy dalej, znów przedzierając się przez gęsty las. W ciemnościach tracę rachubę czasu. Jestem świadoma wyłącznie szelestu liści i rytmu moich nierównych kroków. Co jakiś czas Jasper włącza latarkę w telefonie, ale tylko na chwilę, żeby się upewnić, czy nie idziemy w stronę urwiska. Jestem bez reszty skupiona na tym, żeby się nie potknąć, nie upaść, nie nadziać oka na wystającą gałąź, i bardzo mnie to uspokaja. W największym niebezpieczeństwie kolejny raz funkcjonuję najlepiej, jak umiem. Jakież to chore i żałośnie prawdziwe.

– Wylie – odzywa się w pewnej chwili Jasper. – Powinniśmy iść trochę bardziej w prawo.

Podnoszę głowę i widzę, że zboczyliśmy nieco w lewo od światła migoczących w oddali. Albo światła. Teraz wygląda to na pojedynczy dom. Nie wiem, czego się spodziewałam. Może małej wioski. Tak czy siak jestem mocno zawiedziona. Mam nadzieję, że tym razem trafimy na dobrych ludzi, a nie na takich, którzy coś udają.

Robię zaledwie kilka kroków, po czym docieram do jakiegoś zagłębienia, szerokiego pasa czerni, który może się okazać głębokim wąwozem.

– Zaświecisz? Tu jest chyba spadek, ale nie widzę, jak głęboki.

Jasper włącza telefon i rzuca snop światła na gałęzie, a potem na ziemię przed moimi stopami.

I wtedy je zauważam. Na granicy światła. Czyjeś buty. Z czyimiś nogami. Jeden z nich tuż obok. Na wyciągnięcie ręki.

– Jasper, wejmy! – krzyczę i rzucam się przed siebie w ciemność, a po chwili prawie bezwładnie ruszam w dół.

Sekundę później jestem już po drugiej stronie niewielkiej pochyłości, nie wąwozu. I biegnę ile sił w nogach, deptając patyki i liście. Czekam, aż któraś ze stóp gdzieś utknie i poczuję ból.

Ale nic się nie dzieje i światło, do którego się kierowaliśmy, jest coraz bliżej. Jasper biegnie za mną. A przynajmniej mam nadzieję, że to on. Szybko przebiera nogami, oddycha mocno i równo. Który to stał tam nad uskokiem? Raczej nie ten młody wariat. On pewnie z miejsca by do nas strzelał. I nie Doug. On miał chyba sportowe buty. Zostaje trzeci, najstarszy. On przynajmniej sprawiał wrażenie najmniej spragnionego krwi.

Zwalniamy dopiero przed starą, niepozorną chatką stojącą na niewielkiej polanie. Wygląda jak nawiedzony dom, ale najwyraźniej ktoś w niej mieszka, bo w środku świeci się lampa. Jasper wchodzi po schodkach i wali pięścią w drzwi. Nikt nie odpowiada, więc zagląda przez okna.

– Nikogo nie ma – mówi i wraca do drzwi, żeby spróbować je otworzyć. Naciska na klamkę, ale są zamknięte na klucz. – Moglibyśmy wybić szybę, ale nie widziałem w środku telefonu.

Nieopodal stoi przeżarty rdzą pikap. Może w stacyjce są kluczyki? Niesamowite, jak łatwo przychodzi do głowy pomysł, żeby ukraść samochód, kiedy wcześniej zaatakowało się kogoś nożem.

Podchodzę do pikapa i staję na palcach, żeby zajrzeć do kabiny przez otwarte okno od strony kierowcy. W słabym świetle lampy z chaty ledwo widzę stacyjkę. Nie ma w niej kluczyka. Powinnam sprawdzić pod dywanikiem i w skrytce. Ludzie, którzy mieszkają w lesie, zawsze trzymają kluczyki w aucie. Naciskam guzik przy klamce, ale muszę kilka razy szarpnąć, żeby zardzewiałe drzwi ustąpiły. Właśnie zaglądam do skrytki, kiedy Jasper mnie woła.

Ma jakiś dziwny głos. Chyba nie ma mi za złe, że próbuję ukraść pikapa? Bo takimi rzeczami już nie możemy się przejmować.

Nie zwracaj na niego uwagi, mówię sobie. Szukaj kluczyków.

– Wylie, wyjdź.

Tym razem w jego głosie słyszę strach. I nie chodzi o samochód.

– Wylie – powtarza. – Wsiądź. Już.

Ponownie jako pierwsze dostrzegam buty. Znowu ktoś stoi tak blisko mnie, że w każdej chwili może mnie chwycić. Oddziela mnie od Jaspera. Biorę głęboki wdech i podnoszę głowę, ale człowiek, którego widzę, nie jest przerażający. Owszem, wygląda dziwnie: jest strasznie

chudy i bardzo stary, ma białe włosy i skołtunioną brodę. Nie sędzę, żeby brał udział w pościgu. Tamci byli znacznie młodszy. Może to właściciel chaty? To by tłumaczyło jego postawę – jedną rękę trzyma na karku, a drugą podpira podbródek, jakby się zastanawiał, co począc z dwójką intruzów. Ciężko dyszy, to na pewno on przed chwilą za nami biegł. Przynajmniej jest drobny. Jasper dałby sobie z nim radę. Pewnie nawet ja bym go powaliła.

Ale w takim razie dlaczego Jasper ma taki strach w oczach i czemu twarz mu tak pobladła? Nagle mężczyzna poruszył ręką. Tą, którą – jak myślałam – trzymał za karkiem. Teraz ją widzę. Coś w niej ścisła i opiera to o bark. Coś długiego i cienkiego, z uchwytem. Wielkie, zakrzywione ostrze.

– Z tego, co wiem, to polowanie rekreacyjne jest tu ciągle nielegalne – warczy na mnie, jakby puentował jakąś naszą długą dyskusję. – Tak samo jak wtargnięcie na teren prywatny.

– Polowanie? – pytam, żeby skierować rozmowę na to, czego na pewno nie robiliśmy. Może dzięki temu wybaczy nam wtargnięcie.

– Te cholerne psy i słodycze. Wiem, jak wy to robicie. – Pokazuje swoim wielkim nożem w stronę lasu, po czym podsuwa czubek ostrza z powrotem pod moją twarz. Tak blisko, że mogłabym się lekko nachylić i dotknąć go nosem. – Łatwizna niegodna człowieka.

Nie mam zielonego pojęcia, o czym on mówi. Ale ważniejszy dla mnie jest teraz jego nóż.

– My tylko szukamy naszej przyjaciółki – mówię i podnoszę obie ręce. – Nie chcieliśmy panu przeszkadzać.

Zerkam na Jaspiera, który kiwa głową. Dobrze, mów dalej, wydaje się mi podpowiadać.

Ale mężczyzna mnie nie słucha.

– Wcześniej gównu mnie to obchodziło, jak mi Bóg miły. Martwe, żywe, dla mnie bez różnicy. A już na pewno miałem gdzieś, jak to robią. – Rozmawia sam ze sobą. – Ale gdyby nie te przeklęte pączki, niedźwiedzie nigdy by w te strony nie przylazły. „Oj, przepraszam”. Tak Sarah powiedziała, jak zobaczyła jednego z nich. Jakby ktoś szczał w krzakach. Wiecie, jaki głos wydaje z siebie człowiek, którego niedźwiedź zjada żywcem? – pyta, kręcąc głową. Twarz wykrzywia mu

gniew.

– My nie polujemy na niedźwiedzie. Niech pan na nas spojrzy – mówię. – Jesteśmy dziećmi z Bostonu. Nie znamy się na polowaniach ani na broni palnej. Ale przed chwilą widzieliśmy myśliwych w lesie.

Nie mam pojęcia, czy tamci ludzie polują na niedźwiedzie, a tym bardziej czy robią pułapki z pączków, ale prawie nas postrzelili. Nasłanie na nich tego staruszka nie wydaje mi się czymś złym. Jestem też prawie pewna, że nawet bez strzelby będzie miał nad nimi przewagę.

Mężczyzna wyraźnie się ożywia. Patrzy w stronę ciemnego lasu i pyta:

– Gdzie?

– Za restauracją – mówię. – Kierowali się w stronę szlaków myśliwskich.

– Skurwysyny – mamrocze gniewnie pod nosem i rusza w stronę drzew z nożem w ręce.

– Chwileczkę! – wołam za nim.

– Co ty robisz?! – wścieka się Jasper. – Zwariowałaś?

– Ma pan może telefon? – pytam.

– Nie – odpowiada stary, nie zwalniając kroku.

– A pikap? Możemy go użyć?

Tym razem się zatrzymuje.

– Też coś! – stęka, kręci głową i znów rusza w kierunku lasu.

– Mój pikap. Spieprzać.

– Wylie – mówi Jasper. – Zostaw go.

Ale potrzebujemy tego samochodu i mam jakieś dziwne przekonanie, że nam go da. Może bierze się stąd, że jesteśmy do siebie podobni – on też jest stukniętym paranoikiem.

– Niech pan poczeka. Moja mama nie żyje, a teraz jeszcze moja przyjaciółka... Ci ludzie ją mają i chcą jej zrobić krzywdę. Jestem taka szurnięta, że od trzech tygodni nie wychodziłam z domu, ale dzisiaj przyjechałam aż tutaj, bo moja przyjaciółka jest wszystkim, co mam. Jak ją stracę, to nie wiem, co się ze mną stanie.

Stary znów się zatrzymuje. Ale tym razem się odwraca i rusza szybkim krokiem w moją stronę, z głową pochyloną jak u szarżującego



byka. Nie takiej reakcji się spodziewałam. Zupełnie nie takiej. Ściska mocno uchwyt noża, jakby szykował się do zadania ostatecznego ciosu. Jedyne plus tej sytuacji jest taki, że idzie do mnie, nie do Jaspera. Jeśli ktoś ma zapłacić za moją lekkomyślność, to powinnam być ja. Jest coraz bliżej. Opieram się plecami o zimną karoserię pikapa. W końcu się zatrzymuje, z twarzą tuż przy mojej, na co odruchowo ściągam podbródek. Ma kwaśny oddech, jego ubranie cuchnie pleśnią. Czy tak to się kończy? – myślę i zamykam oczy, czekając na ból. Nie. Jeszcze nie.

– Hej – mówi niecierpliwie i kiedy wreszcie otwieram powoli oczy, nie widzę przed sobą wielkiego noża, tylko brudne palce trzymające kluczyki. – Spieprzajcie stąd, zanim się rozmyślę.

Jasper błyskawicznie odjeżdża z polany. Jedzie tak szybko po przecinającej las wyboistej drodze, że mam wrażenie, jakby pikap miał się zaraz rozlecieć na kawałki. Kiedy jesteśmy już w bezpiecznej odległości od chaty, Jasper wreszcie zatrzymuje wóz. Hamuje tak gwałtownie, że muszę się zaprzeć rękami o deskę rozdzielczą.

– Okej, i co teraz? – pyta, jakby zdarzenia toczyły się dotychczas według mojego planu.

– Dlaczego mnie pytasz? Skąd mam to wiedzieć?

Wyciągam telefon z nadzieją, że będę miała zasięg. Ale do kogo właściwie powinnam zadzwonić? Sama nie wiem. Do taty, do Karen, na policję? Wszystkie trzy możliwości są dobrym rozwiązaniem i zarazem wszystkie trzy odpadają. Na pewno nie możemy jechać dalej przed siebie, ale czy powinniśmy się zatrzymać? Wrócić do domu? A do czego ja właściwie mam wracać? Co się stanie, kiedy mój tata i doktor Shepard – może nawet i policja – dowiedzą się, że dźgnęłam kogoś nożem? Przecież nikt mi nie uwierzy, że to było konieczne. Zwłaszcza że ja sama nie jestem tego pewna.

– Kto to w ogóle był? – pyta Jasper.

– Jakiś stary wariat, którego żonę albo dziewczynę zjadł niedźwiedź. – Dziwne, ale wydaje mi się to jakieś zwyczajne. – Ale założę się, że już wcześniej był niezłym dupkiem.

– Nie on! – krzyczy Jasper. – Pytam o Douga. Kim on jest? Próbował mnie zabić. Chyba nie sądzisz, że to nie ma nic wspólnego z Cassie?

– To my ich poprosiliśmy o pomoc – mówię.

Mnie samej trzymanie się tej prostej prawdy pozwalało nie łączyć Douga i Lexi z tym, co spotkało Cassie. Wołałam uznać spotkanie na stacji benzynowej za nieszczęśliwy zbieg okoliczności. O tym, co sugeruje Jasper, nawet nie chcę myśleć.

– Czyli to czysty przypadek, że szukając Cassie, wpadamy na gościa, który bez powodu próbuje mnie udusić w toalecie restauracji. Tak?

– Nie – odpowiadam cicho i czuję już, że żołądek mi się skręca.

– Pewnie nie przypadek. Ktoś nie chce, żebyśmy ją znaleźli. Ale czemu?

– Patrzę na Jaspera, który nie odrywa wzroku od bitej drogi oświetlonej reflektorami pikapa. – Czy jest coś w tej całej sprawie, co przede mną ukrywasz? W co Cassie się wpakowała?

– Nie mam pojęcia. – Jasper odwraca głowę. – Przysięgam. Aresztowali ją, tylko tyle wiem. I to było kilka miesięcy temu. – Mówi prawdę, przynajmniej tak mi się zdaje. Chyba że jest doskonałym kłamcą. – Ale tak jak ci już mówiłem, działo się coś, o czym ze mną nie rozmawiała. Może jednak ktoś ją porwał i nie chce, żebyśmy go namierzyli.

– Porwał? – Brzmi to niedorzecznie. – Po co? Jej rodzice nie mają kasy.

– Niewolnictwo seksualne – mówi Jasper i wzrusza ramionami. – Są ludzie, którzy zmuszają dziewczyny do prostytucji. Słyszałem o tym w publicznym radiu. – Patrzy na mnie z wyrzutem. – Żebyś wiedziała: słucham publicznego radia. Nie, nie z własnej woli. Jeden z kucharzy w knajpie, w której pracuję, jest chyba jakimś pisarzem.

– Możliwe, że ją porwali – przyznaję, choć ciągle wydaje mi się to mało prawdopodobne. Chyba głównie dlatego, że nie chcę się z tym pogodzić. – Słuchaj, zgadzasz się, że trzeba do kogoś zadzwonić, prawda? – Gdy tylko wypowiadam te słowa, czuję przyływ ulgi. – Na policję, do jej mamy, nie wiem. Albo napiszmy do Cassie, żeby sama kogoś wezwała. Tak czy inaczej, potrzebny nam zasięg. Zacznijmy od tego. Jedźmy, dopóki nie złapiemy zasięgu.

Jasper patrzy przed siebie przez chwilę, ale w końcu przytakuje.

– Dobra – mówi, nie patrząc na mnie. Jakby ciągle bił się z myślami. Wreszcie wrzuca bieg. – Okej.

Bitą drogą kończy się przy trasie 203. Po lewej restauracja i Seneca, po prawej dom. Jeśli pojedziemy na prawo, jest pewne, że będziemy mieć zasięg, i to szybko. Jeśli skręcimy w lewo, będziemy jechać w stronę Cassie, ale trudno powiedzieć, kiedy uda się zadzwonić. Nie mówiąc już o innych, niemożliwych do przewidzenia komplikacjach.

– To co? – mówi Jasper, wiedząc dobrze, że jego pytanie tylko

wydaje się błahe. – W którą?

Żadna opcja nie jest dobra. Jasper gapi się zamyślony w kierownicę. Powinniśmy wracać do domu, myślę. Nawet jeśli czeka tam już na mnie policja. Nawet jeśli wyślą mnie do wariatkowa. Stało się już za dużo złego. Dopisało nam szczęście. Lepiej się wycofać, póki żyjemy.

Już mam to powiedzieć, kiedy Jasper skręca w lewo. Jedziemy w stronę Cassie.

– Aż złapiemy zasięg, dalej nie – mówi zdecydowanym tonem, jakbyśmy oboje to postanowili.

Przytakuję, choć wciąż uważam, że lepiej wracać. Bo prawda jest taka, że nie zostały nam już bezpieczne decyzje.

Jest jeden problem: jadąc dalej w stronę Cassie, będziemy musieli minąć restaurację. Na widok tego ich ogromnego neonu w oddali aż wstrzymuję oddech. Spodziewam się radiowozów, więc siadam niżej, tak żeby nie było mnie widać. Ale nie błyskają syreny. Zgodnie z życzeniem Douga, na miejscu nie ma policji. Może to dobry znak. Brak policji oznacza, że nie jestem poszukiwana.

Ale nie czuję ulgi. Nic a nic.

– Widzisz Lexi albo Douga? – pytam.

– Nie, chyba nie – mówi Jasper. – Nie widzę nawet ich samochodu.

To też mnie niepokoi. Z tonu jego głosu wnioskuję, że i Jaspiera nie napełniło to otuchą. Bo jeśli nie ma ich na parkingu, to mogą być wszędzie.

– Serio myślisz, że Doug chciał nas powstrzymać przed dotarciem do Cassie? – pytam, kiedy restauracja jest już za nami, i siadam znowu prosto.

– Tak – odpowiada Jasper bez wahania.

– I że ma to związek z prostytutką?

– Nie – mówi równie szybko.

– To z czym?

Jasper patrzy przed siebie.

– Nie mam pojęcia.

Jedziemy w ciszy, jakbyśmy oboje próbowali wymyślić jakieś lepsze, mniej przerażające wytłumaczenie dla ostatnich wydarzeń i znaleźć sensowny związek między naszymi poszukiwaniami a Lexi i Dougiem. Ale żadnemu z nas się nie udaje.

– Wiesz, że chciałem cię zabić, jak zatrzymałaś tego wariata?  
– mówi Jasper. – To niesamowite, jak go przekonałaś.

– No, szaleństwo – odpowiadam, bo to chyba kluczowe słowo.  
– Swoją swoją zawsze rozpozna.

– No nie wiem. Lexi i Douga też przejrzałaś. Ja, gdybym zobaczył pusty fotelik, pewnie coś bym podejrzewał, ale nie na tyle, żeby wysiąść z samochodu. Wyobraź sobie, co by było, gdyby Doug wywiózł nas na jakieś zadupie. Już bym nie żył. Na razie masz stuprocentową skuteczność.

– Jak wszystko wokół cię przeraża, to normalne, że od czasu do czasu trafiasz w dziesiątkę – mówię, ale jestem wkurzona. Czy jemu się zdaje, że wystarczy trochę mi pokadzić i nagle stanę na nogi?

– Może powinnaś myśleć bardziej pozytywnie. – Teraz to Jasper się zirytował. Chyba powinnam okazać mu wdzięczność, że próbuje mi pomóc. – Mniej byś się stresowała.

Zaraz mnie trafi szlag. A już prawie zapomniałam, dlaczego go nie lubiłam.

– A może powinnam była wesprzeć cię duchowo, jak próbowałaś oderwać kierownicę, tam na stacji? – mówię. – Umówmy się, że będę myślała pozytywnie, jeśli ty nauczysz się kontrolować swój gniew. Co ty na to?

Jasper patrzy na mnie ze szczerą urazą w oczach, czym tylko bardziej mnie wkurza.

– Chciałem tylko pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy. Pomóż Cassie.

Ze wstydu spuszczam wzrok i zerkam na telefon. Po co w ogóle się w to wdaję? Co mnie obchodzi Jasper? Sprawdzam, czy mam zasięg. Za nami restauracja znika w ciemności.

– Jest? – pyta Jasper jakimś odmienionym, chłodniejszym głosem. I chyba nawet się cieszę. Nie musimy się przyjaźnić.

– Nie – odpowiadam. Zastanawiam się, czy jest sens zadawać na

głos pytanie, które dręczy mnie od dłuższego czasu. Nie ma sensu, ale nie mam wyboru. – Myślisz, że nic jej nie jest?

– Tak – mówi, ale za szybko, żebym mogła mu uwierzyć.

– Dlaczego?

– A co mam myśleć?

Tym razem, gdy na mnie patrzy, jego oczy błyszczą w mroku.

– W sumie racja – odpowiadam i odwracam wzrok w stronę okna, za którym czernieje noc.

Dopiero teraz dociera do mnie, że to, co powiedziałam tamtemu dziwakowi, było prawdą. Nie wiem, co zrobię, jeśli stracę też Cassie. Jak mam przeżyć bez jej szalonej energii, która pozwala mi zobaczyć wszystko to, co przesłaniają mi moje ciasne lęki?

\* \* \*

– To co, pytałaś tatę? – Cassie spojrzała na mnie znad podręcznika do historii.

Przez ostatnią godzinę siedziała na pufie w rogu mojego pokoju i udawała, że się uczy. Ale ja wiedziałam, że za książką ma komórkę i pisze esemesy. Pewnie do Jaspera. Był dopiero początek października i jeszcze ze sobą nie chodzili, a ja nadal się łudziłam, że nie zaczną. Więc zachowywałam się tak, jakby Jasper nie istniał.

– O co miałam go zapytać? – Udałam, że nie wiem, o co chodzi.

Po części dlatego, że nie chciałam zawracać sobie tym głowy, ale też niespecjalnie byłam w nastroju, żeby wyświadczać Cassie jakiegokolwiek przysługi. Ale wiedziałam, że bardzo chciała zrobić sobie test mojego taty. Cassie miała kompleks Kopciuszka. Wiecznie karmiła się nadzieją, że odkryje w sobie księżniczkę.

– O jego test – powiedziała, wywracając oczami.

– Na pewno odmówi – odparłam. – Zwłaszcza że w tym tygodniu ma fatalny nastrój. Musiał zwolnić tego swojego asystenta, którego tak uwielbiał.

– Myślałam, że to niemożliwe – zdziwiła się Cassie, bo nawet ona słyszała jeden z niekończących się monologów mojego taty o tym, jak to wszyscy powinni naśladować mądrego i pracowitego doktora Catona.

– Cienka granica między miłością a nienawiścią. – Wzruszyłam ramionami. – Dlaczego tak ci zależy na zrobieniu tego głupiego testu?

– Bo czuję, że musi być coś więcej.

– W życiu?

Cassie momentalnie posmutniała.

– We mnie.

Zrobiło mi się głupio. Nie chciałam zepsuć jej humoru.

– Niepotrzebny ci test, żeby udowodnić swoją wartość

– powiedziałam. – Dla mnie jesteś ważna.

– Dzięki. Prawie ci się udało – odparła i puściła mi oko. – Ale i tak chcę spróbować.

Piętnaście minut później, kiedy cała moja rodzina siedziała przy stole, Cassie sama go zapytała. Miała tupet, musiałam to przyznać.

– Czy po kolacji mógłby pan przeprowadzić na mnie i Wylie swój test? Chociaż jakąś małą część?

Specjalnie mówiła piskliwym głosem, jak mała dziewczynka.

Mój tata zmarszczył brwi i nie odrywając wzroku od sałatki z buraków, powiedział:

– To nie jest najlepszy...

– Proszę, proszę – błagała Cassie, a ja podziwiałam to, z jaką beztrąską zignorowała jego początkowy sprzeciw. – Te wyniki bardzo się nam przydadzą w szkole.

– W szkole? – spytał Gideon, jak zwykle patrząc na Cassie tak, jakby jednocześnie ją kochał i nienawidził.

Cassie wyróciła oczami, jakby był jej bratem.

– No dobra, do użytku prywatnego. Nieważne – odparła.

Widziałam po wyrazie twarzy mojego taty, że nie ma najmniejszych szans, by się zgodził.

– Słuchaj, bardzo bym chciał... – zaczął.

– Oj, zgódź się już, Ben – wtrąciła się moja mama i rzuciła mu ten swój uśmiech, po którym zawsze przed nią kapitulował. – Od miesięcy w ogóle cię nie widują. Dzięki temu będą częścią tego, co im ciebie zabrało. Częścią ciebie.

– Częścią mnie? – Tata zamrugał, najwyraźniej w ogóle nie rozumiejąc, co miała na myśli. Naprawdę z każdym dniem stawał się coraz bardziej podobny do robota.

– Tak, kochanie. Mówię o dzieleniu się doświadczeniami ze swoimi dziećmi – powiedziała z wesołą zaczepką w głosie, ale stanowczo. – Wiesz, budowanie więzi, te rzeczy. Dzięki temu lepiej rozumieją, dlaczego twoja praca jest dla ciebie taka ważna.

– Nie zgodzi się, nie ma mowy – powiedział Gideon do Cassie.  
– Prosiłem go już setki razy.

– Oj, daj spokój, Ben. Szkoda życia. – Mama wstała, objęła tatę za szyję i pocałowała w ucho. – Niech zobaczą, co tak bezgranicznie kochasz. Będziecie mieli frajdę. Kiedyś często bawiłeś się z dziećmi, pamiętasz?

To prawda. Zawsze był świetny w wymyślaniu zagadek i organizowaniu rodzinnych podchodów, ilekroć wyjeżdżaliśmy razem na wakacje, a raz nawet przebrał się za mistrza Jedi. Nie był tak uczuciowy jak mama, ale miał własne pomysły na budowanie z nami więzi, które uwielbiałam. Aż do czasu, kiedy z jakiegoś powodu to konkretne badanie pochłonęło go bez reszty i zabrało nawet tę jego część, która należała do nas.

Gdy tylko mama oparła czoło o jego głowę, tata natychmiast zmiękł.

– No dobrze. – Odchylił się w krześle i rzucił serwetkę na stół. – Poddaję się.

– Co? – spytałam i aż zakręciło mi się w głowie. Nie mogłam uwierzyć, że się zgodził. Nie interesowało mnie badanie własnego umysłu. Mój małpi rozum nie miał już przede mną żadnych tajemnic.  
– Poważnie?

– Hura! – zatryumfowała Cassie.

– Jak to? – Gideon wyglądał, jakby go spoliczkowano.

– Wystarczyło, że Cassie cię poprosiła, i nagle się łamiesz?

– Nie uległem Cassie. Po prostu nie umiem odmówić twojej mamie. Pewnego dnia zrozumiesz. – Tata wstał od stołu. Pierwszy raz od bardzo dawna sprawiał wrażenie zadowolonego. – Wynagrodzę ci twoje cierpienia, okej? Pójdiesz na pierwszy ogień.

Laboratorium taty mieściło się w piwnicy naszego domu. Gideon, Cassie i ja siedzieliśmy sztywno na kanapie i patrzyliśmy, jak mój ojciec



się przygotowuje. Odkąd mama zmusiła go do pewnych ulepszeń, piwnica nie wyglądała źle. Na podłodze leżał kosmaty dywan, na ścianach wisiało kilka plakatów, jasną sofę rodzice kupili w Ikei. Tata spędzał tam tyle czasu, że mama martwiła się o jego samopoczucie.

– Podłączę wam elektrody, żeby mierzyć rytm serca, wydzielanie potu i tym podobne – powiedział. – Przeprowadzimy testy w parach. Dwoje z was będzie rozmawiać, a trzecia osoba będzie interpretowała. To fundament tych badań. Zrobimy okrojona wersję, ale przeprowadzimy też testy z opaską na oczach, dźwiękoszczelnymi słuchawkami i obiema rzeczami naraz, żebyście wiedzieli, jak wygląda też ta część.

– O czym mamy rozmawiać? – zapytał Gideon. Pewnie się bał, że wyjdą na jaw jego prawdziwe uczucia do Cassie.

Ja też trochę się denerwowałam. Bałam się, co będzie, jeśli badanie wykaże, że jestem jeszcze większą wariatką, niż myśleliśmy.

– Nie martw się, dam wam tematy. Są tak dobrane, żeby wywołać emocje, które będzie mógł wychwycić obserwator. Ale nie będą zbyt osobiste. – Tata ustawił trzy krzesła w trójkącie. – Cassie i Wylie porozmawiają jako pierwsze, a Gideon będzie interpretował. – Zaczął podłączać mojego brata do przewodów i nareszcie było widać, że jest w swoim żywiole. – Sprzęt, który mam tutaj, nie jest tak dokładny jak ten w laboratorium. Tamtejsze krzesła wyłapują najdrobniejsze zmiany w temperaturze ciała i nawet najmniejsze drgania mięśni. No, ale w badaniu chodzi o odczytywanie nie tylko tego, co ktoś myśli, że w danej chwili czuje, ale też tego, co faktycznie odczuwa.

Podszedł do mnie, żeby podłączyć mnie do tego samego zestawu kabelków. Byłam już tak spięta (zawsze jestem spięta), że bałam się, czy nie doprowadzę do jakiegoś zwarcia. Byłam wściekła na Cassie, że mnie w to wciągnęła.

Ale kiedy na nią spojrzałam, ona się do mnie uśmiechnęła i bezgłośnie mi podziękowała. Zdawało mi się, że z jej oczu bije prawdziwa miłość.

I pierwszy raz od dłuższego czasu pomyślałam, że może jednak nam się uda. Bo czyż nie miałyśmy być przyjaciółkami na zawsze?

\* \* \*

Telefon wibruje w mojej dłoni i serce lekko mi przyspiesza. Mam zasięg. Pewnie nie na długo. W jednej chwili dostaję wszystkie zaległe powiadomienia. Cztery nieodebrane połączenia i jeden esemes od taty. Trzy nowe esemesy od Cassie. Na ich widok robi mi się sucho w ustach.

Najpierw czytam wiadomości od Cassie. **Gdzie jesteście?** A potem, kiedy nie odpisałam: **Wszystko OK? Ile jeszcze? Boję się.** Ostatni zaledwie kilka minut temu: **Cofam, co mówiłam. Wezwijcie policję. Tu już nie jest bezpiecznie. Przepraszam, że cię w to wmieszałam. Ale nie pisz do mojej mamy. Ona nie pomoże.**

Dałabym głowę, że jeszcze niedawno marzyłam o tym, by Cassie pozwoliła nam kogoś zawiadomić. Ale nie spodziewałam się, o ile bardziej będę się martwiła, jak w końcu to zrobi.

– Cassie pisze, że w Senece mamy iść na policję. – Wstukuję nazwę miejscowości do mapy Google'a. Zanim znów stracimy zasięg, mam nadzieję zorientować się przynajmniej, jak daleko mamy do celu. – To całkiem blisko, jeszcze dziesięć minut tą drogą, potem pięćdziesiąt kilometrów czwórką i jeszcze piętnaście drogą 151.

– Nic jej nie jest? – pyta Jasper.

– Nie wiem. Jeszcze pół godziny temu mogła napisać esemesa. To chyba dobry znak.

– Ale wysłanie nas na policję już nie – mówi zmartwionym głosem Jasper.

Nic na to nie odpowiadam. Bo oczywiście ma rację. Zaszła jakaś zmiana, na tyle zła, że Cassie przestała się przejmować wpisem do kartoteki. O ile to był faktyczny powód, dla którego wcześniej zabraniała nam dzwonić na policję.

**Jedziemy**, piszę do niej. **Cierpliwości.**

Szybko wysyłam, póki mogę, po czym patrzę na cyfrę 4 przy folderze poczty głosowej. Cztery wiadomości, wszystkie od taty. Ale nie zniosę teraz dźwięku jego głosu. Zwłaszcza że pewnie nie dzwonił z przeprosinami. Na szczęście wszystkie połączenia są z telefonu domowego, czyli jeszcze nie zaczął nas szukać. Poza tym ostatniego esemesa wysłał już po tych nieodebranych połączeniach. To była ostatnia rzecz, jaką chciał mi przekazać. Nic więcej nie muszę wiedzieć.

O dziwo nad esemesem widnieje jego numer, a nie słowo TATA,

którym odznaczyłam go w kontaktach. To pewnie przez słaby zasięg. A może po jego groźbach zamknięcia mnie w szpitalu nawet mój telefon stanął po mojej stronie. Biorę głęboki wdech i otwieram wiadomość.

**Policja już cię szuka. Doktor Shepard ją wezwała. Nie dałaś nam wyboru. Jak cię znajdą, trafisz do szpitala. Po tym, co zrobiłaś w restauracji, nie będę w stanie temu zapobiec. Chyba że znajdę cię jako pierwszy. Powiedz, gdzie jesteś, a przyjadę. Razem znajdziemy sposób, żeby z tego wybrnąć.**

W drodze do Seneki Jasper pyta mnie dwa razy, czy wszystko w porządku. Ale wstydzę się mówić mu o szczegółach, o tym, że ojciec zamierza zamknąć mnie w szpitalu. Z drugiej strony ma prawo wiedzieć, że jakimś cudem mój tata dowiedział się o zajściu w restauracji, bo to oznacza, że zostałam zidentyfikowana. Jasper może też. Możliwe, że oboje jesteśmy ścigani.

– Mój tata jak to mój tata – mówię i w duchu obiecuję sobie, że zanim dotrzemy na komisariat, powiem mu więcej. – Nie może się pogodzić z tym, że wyjechałam.

– Możesz się wygadać, jak chcesz. Dobrze znam temat „beznadziejni rodzice”.

– Dzięki – mówię. – Ale wolę udawać, że nic się nie stało.

Jasper przytakuje i ze smutkiem w głosie mówi:

– Na tym też się znam.

Seneca okazuje się cudownym, malowniczym miasteczkiem. Wszystkie budynki w niewielkim centrum są białe z zielonymi okiennicami, pięknie okalają skromny rynecek. Jest tu nawet starannie przycięty trawnik z białą pagodą, być może służącą za scenę koncertową. Trochę dalej stoi nieoświetlony kościół z wysoką wieżą i cały rząd lokalnych sklepików z nazwami wymalowanymi w podobnym stylu na witrynach. Minęła jedenasta, więc wszystko jest pozamykane, oprócz baru w budynku przylegającym do hotelu Fiddler’s Inn. Mały drewniany szyld na zewnątrz informuje nas, że w środku mieści się pub. Oprócz niego jedyny budynek, w którym świeci się światło, wygląda na siedzibę ratusza czy czegoś w tym rodzaju. Jest to największa budowla w okolicy. Jej front zdobią trzy flagi: amerykańska, stanowa i trzecia, na której są chyba tylko niedźwiedzie.

– Może tam jest komisariat – mówię, pokazując na budynek z flagami.

Czuję ulgę, że wkrótce ktoś nam pomoże w poszukiwaniach Cassie, ale wejście do środka jest dla mnie ryzykowne. W końcu jestem tą szaloną dziewczyną, która dźgnęła nożem mężczyznę w przydrożnej

restauracji. Dziewczyną, którą jej własna psychoterapeutka uznała za niebezpieczną dla siebie i innych.

– Co im powiemy? – pyta Jasper, zatrzymując samochód na rynku, jednak nie bezpośrednio przed budynkiem ratusza, jakby ciągle wierzył, że uda się ochronić tajemnice Cassie przed policją.

– Wszystko – mówię. Mój czas się skończył. Nie mogę dłużej taić prawdy przed Jasperem tylko dlatego, że się wstydzę. Zwłaszcza że ta prawda dotyczy też jego. – Muszę ci coś powiedzieć. Oni już wiedzą o incydencie w restauracji. O nożu, Dougu. O wszystkim.

– Kto wie? – dziwi się Jasper. – I skąd?

– Nie wiem, ale mój tata wspomniał o tym w esemesie. Pewnie policja skojarzyła fakty. Mój ojciec już wcześniej do nich zadzwonił, bo uważa, że jestem nie zrównoważona. – Tyle powinno mu wystarczyć.

– W każdym razie możesz ucierpieć na tym, tym moim... Może lepiej, żebyś nie wchodził. Na wypadek gdyby tutaj też już o tym wiedzieli. Mogę to załatwić sama.

– Nie zrównoważona? – Jasper robi zdziwioną minę. Wygląda wręcz na osobiście dotkniętego. Po chwili uruchamia silnik. – Dzięki, ale zaryzykuję. Nie byłaś tam sama.

Komisariat jest mały i jasny. Składa się z sześciu metalowych stołów w jednym pomieszczeniu bez ścian. Trzej mężczyźni siedzą przy jednym z nich i grają w karty. Dwaj wyglądają młodo, mają pewnie niecałe trzydzieści lat. Trzeci jest starszy od mojego taty, ma może około pięćdziesiątki. Kiedy wchodzimy, odwracają się w naszą stronę bez śladu zaskoczenia. Wyglądają na niespecjalnie zainteresowanych naszym pojawieniem się, co może dziwić – w końcu jesteśmy parą nastolatków wchodzących do komisariatu policji po jedenastej w nocy.

– W czymś pomóc? – pyta ten starszy, nie przerywając gry. Ma czarno-białe włosy i wygląda, jakby był napompowany; trochę jak ciężarowiec, któremu po latach sflaczały mięśnie. Ostentacyjnie zerka na zegar ścienny, mrużąc przy tym oczy. – Zgubiliście się?

W jego głosie pobrzmiewa jakieś zniecierpliwienie. Może by chciał, żebyśmy się zgubili, zamiast zawracać mu głowę.

– Nie – mówię i oboje z Jasperem podchodzimy do kontuaru.

Słysząc, że jestem zdenerwowana i mam coś do ukrycia. Odchrząkuję, żeby oczyścić krtań. – Szukamy naszej przyjaciółki? – dodaje pytającym tonem.

– Przyjaciółki, tak? – odzywa się młodszy policjant, siedzący z twarzą zwróconą w naszą stronę. Ma świdrujące oczy i dziobatą twarz. Teraz widzę, że jest naprawdę młody, niewiele starszy ode mnie i Jaspera. Jego usta wykrzywiają się lekko w ledwo skrywanym uśmiešku. – Gdzieś ją zgubiliście?

Tym razem uśmiecha się szerzej, jak wilk. Czekam, aż ten starszy skarci go spojrzeniem. Ale tylko trzeci z nich wykonuje jakikolwiek ruch. Zaczyna zbierać karty ze stołu. Ani razu nie spojrzął w naszą stronę.

– Napisała do nas esemesa, że potrzebuje pomocy – tłumaczy Jasper. – Przyjechaliśmy aż z Bostonu.

Dodaje to chyba po to, żeby dostrzegli w nas dobrych, oddanych przyjaciół. Jakby chciał, żeby przymknęli oko na cały pasztet, który narobiła Cassie, przynajmniej częściowo ze swojej winy.

Starszy glina w końcu podnosi się ciężko z krzesła i podchodzi do nas, wyraźnie poirytowany. Na pewno nic go nie obchodzi, co się stało z tą naszą przyjaciółką. Pewnie w duchu już uznał, że nic jej nie jest. Z bliska widzę wyraźnie jego odznakę. Sierżant Randolph Sternbuck. Podnoszę wzrok i zdaję sobie sprawę, że się na mnie gapi. A właściwie na moje włosy. Ma ściągnięte brwi i jest wyraźnie zgorszony.

– Niech zgadnę. Wasza przyjaciółka przyjechała tu poimprezować – mówi, nie odrywając wzroku od moich włosów.

Nawet nie udaje, że go nie interesują. Dotykam głowy, jakby to mogło ukryć rozmiary szkód, jakie im wyrządziłam.

– Poimprezować? – pytam piskliwym głosem. Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa.

Sierżant ciężko wzdycha, sięga po notes i coś do pisania, po czym rzuca obie rzeczy na kontuar.

– Tak, poimprezować. Z metamfetaminą. – Patrzy na mnie, mrużąc oczy. – Wiem, wiem. Nigdy tego wcześniej nie robiła i nigdy więcej nie zrobi.

Nawet przewraca lekko oczami. Pierdu, pierdu – nie mówi tego na

głos, ale to ma na myśli. Ze zdziwienia otwieram szerzej oczy. Nie zachowuje się jak typowy policjant.

– Metamfetaminą? – pyta Jasper, jakby sądził, że się przesłyszał.

– No tak. Proszkiem, fetą, szmatą, persilem – rzuca ten dziobaty.

Stanął obok swojego przełożonego. W przeciwieństwie do niego jest wyraźnie ucieszony, że może o tym porozmawiać. Wręcz podekscytowany. Trochę też nas drażni.

– Żartujecie, tak? – mówi Jasper. – Jesteśmy w liceum, nie dajemy w żyłę.

Zerkam w jego stronę. Słowa, których użył, brzmią sztucznie, zbyt sztucznie. Zabrzmiało to trochę tak, jakby udawał, że nie ma pojęcia o narkotykach.

– Są różne sposoby, chłopcze. Większość nie wymaga igły

– odpowiada mu sierżant tonem sugerującym, że nie ma wątpliwości, iż Jasper dobrze o tym wie. – Uwierzcie mi, nie jesteście pierwszymi, którzy tu przyjechali szukać kogoś znajomego. Wykolejonych dzieciaków, które zamieniają nasze miasteczko w osadę ćpunów, mamy tu w nadmiarze.

– Zwykle świnie – mówi dziobaty z błyskiem w oku, który zdradza, że trochę go to podnieca. – Jak na przykład te brudasy niedawno.

– Mhm – potwierdza sierżant, nie patrząc na podwładnego, jakby nie do końca pochwalał jego słowa, ale nie chciał go uciszać.

– Jeden wbił drugiemu widelec w oko. – Dziobaty wystawia dwa palce w kierunku swoich oczu, a potem w naszym. – Jakaś idiotyczna kłótnia o jajko niespodziankę. Widelec w oko za czekoladkę. Podobno chłopak był tak naćpany, że nawet nie wiedział, że mu coś wystaje z oka. – Teraz już głośno się śmieje. – Przez cały czas nie przestawał nadawać.

W końcu sierżant mu przerywa:

– Nie masz nic do roboty, O’Connell?

– Niespecjalnie – odpowiada dziobaty, cały czas patrząc na mnie i Jaspera. – Chyba że chcesz znowu dostać manto w oszusta.

– Spadaj – mówi sierżant.

– Tak jest, szefie.

O’Connell unosi obie dłonie i uśmiecha się jeszcze szerzej.

Zastanawiam się, czy aby sam nie jest na haju. Wyjątkowo dobrze się bawi. Przeciągle gwizdże, obraca się na pięcie i odchodzi w stronę tylnego wyjścia. Przed drzwiami bierze z najbliższego stołu kawałek papieru, zwija go w kulę i rzuca w głowę trzeciego policjanta, który ciągle siedzi zwrócony plecami do nas.

– Dwa punkty! – woła O’Connell.

Papierowa kula odbija się od potylicy jego kolegi, który z łatwością ją przechwytuje i wrzuca do kosza na śmieci. Wygląda to na sekwencję, którą obaj powtórzyli już tysiąc razy.

Sierżant znów wzdycha z niezadowoleniem.

– Musicie wybaczyć funkcjonariuszowi O’Connellowi. Jest... Właściwie to jest sobą. – Kręci głową, jakby dalsze tłumaczenie było zbędne. – Ale opowieści z widelcem nie wymyślił. Może nie chcecie tego słyszeć, ale jeśli wasza przyjaciółka wylądowała w tych stronach, to metamfetamina jest bardzo prawdopodobnym powodem. I to wcale nie musi oznaczać, że nie jest dobrą dziewczyną. To ścierwo zniszczyło życie niejednej przyzwoitej osoby.

Metamfetamina. W końcu to słowo do mnie dociera. Wiedziałam o alkoholu i nawet niespecjalnie mnie zdziwiło aresztowanie Cassie za marihuanę. Ale metamfetamina? To jakby porównywać lekką stłuczkę do karambolu na autostradzie. Ale niestety nie jest to całkiem wykluczone. W każdym razie nie tak, jak bym chciała. Tłumaczyłoby na przykład, dlaczego Cassie nie chce nam powiedzieć, co dokładnie się z nią dzieje. Bardziej zrozumiałe byłoby też pojawienie się Douga i jego zawziętość w powstrzymaniu nas przed odkryciem meliny, w której jego kumple przetrzymują naszą Cassie. Wreszcie metamfetamina to świetny środek na błyskawiczne chudnięcie.

– To całkiem możliwe – mówię.

– Co? – dziwi się Jasper. – Cassie nie zażywa metamfetaminy. Co ty wygadujesz?

– Nie twierdzę, że tak jest, ale że może być. Ty masz pewność?

W tym momencie pragnę tylko jednego: żeby kategorycznie wykluczył, jakoby Cassie ćpała, i żeby miał na to niezbite dowody. Ale on zamyka oczy i kręci głową, a w końcu kładzie zaciśniętą pięść na kontuarze.



– Już niczego nie jestem pewien – mówi cicho.

Drugi z młodszych policjantów, ten, w którego dziobaty rzucił kulą z papieru, wreszcie się podnosi i idzie w naszą stronę. Jest zaskakująco przystojny, ma gęste czarne włosy i głęboko osadzone piwne oczy. Ale w nim też kryje się jakiś ból – trochę to dziwne jak na kogoś o takiej urodzie i takim wzroście. Dziwne jak na policjanta.

– To funkcjonariusz Kendall – przedstawia go sierżant. – Często się zajmuje sprzątaniami po narkomanach. – Brzmi to trochę obelżywie, jakby jego podwładny był śmieciarzem. – Czy wasza przyjaciółka powiedziała, gdzie jest? Są miejsca, które możemy sprawdzić, ale jest ich sporo. Dobrze byłoby wiedzieć, gdzie zacząć poszukiwania.

– Camp Colestah? – mówię.

Sierżant zerka na funkcjonariusza Kendalla, który nic jeszcze nie powiedział. Obaj wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– Colestah to jedno z tych miejsc – tłumaczy sierżant. – Dach nad głową, odludzie. Wszystko, czego ćpun potrzebuje do szczęścia. Oni są jak szczury. Odganiamy ich, ale zawsze wracają. Ale robiliście tam dzisiaj rundę z O’Connellem, nie? I co, było czysto?

Kendall marszczy brwi i potakuje, po czym spogląda w stronę drzwi, za którymi chwilę wcześniej zniknął jego partner. Jakby chciał powiedzieć: Tak, ale z nim to kto wie.

– Może warto rzucić okiem jeszcze raz – ciągnie sierżant.

– Większość pozostałych ośrodków jest dobrze strzeżona. Ich właściciele dostali szybką naukę i zatrudnili ludzi, żeby ci mieszkali na terenie poza sezonem. Ale Wynnów, do których należy Camp Colestah, dawno tu nie było. Ostrzegalem ich prawnika, że ośrodek długo się nie utrzyma, ale nie chcą go sprzedać. Najwyraźniej nie dbają nawet o własne finanse. – Sierżant patrzy na zegarek. – Muszę lecieć, ale funkcjonariusz Kendall sprawdzi tamto miejsce jeszcze raz. Poszuka waszej znajomej.

W jego głosie pobrzmiewa jednak jakiś dziwny ton. Jakby pod rozkazem wydanym Kendallowi kryło się drugie dno, jakby sugerował podwładnemu, że wie, co ma robić. Może i uzależnieni od metamfetaminy są jak szczury, ale dlaczego uznali, że akurat Seneca jest dla nich idealnym azylem? Czyżby ktoś – na przykład dilerzy – opłacał

tutejszą policję?

Patrzę, jak funkcjonariusz Kendall wraca do swojego biurka po kluczyki od radiowozu. Już zaczynam się zastanawiać, co poczuję, kiedy wróci i oznajmi nam, że w Camp Colestah nie ma śladu Cassie. Nie uwierzę, że w ogóle jej szukał. Po prostu nie ufam tym policjantom.

– Pojedziemy z panem – mówię.

Sierżant kręci głową.

– Nie ma mowy, żeby...

– Błagam. – Wychodzę na zdesperowaną i stukniętą, ale nic mnie to nie obchodzi. – Nie będziemy przeszkadzać. Zrobimy, cokolwiek pan...

– Nie ma mowy, zapomnij o tym. – Sierżant surowo mi się przygląda. – Posłuchaj, wyglądamie mi na dobre dzieciaki i widzę, że naprawdę się martwicie o waszą przyjaciółkę, ale nam nie wolno zabierać cywilów w teren. A już zwłaszcza nieletnich.

Ma po swojej stronie rozsądek. Policjanci na ogół nie zabierają zwykłych obywateli na patrole. Nawet ja to wiem. Będzie mi potrzebny lepszy argument.

– Jeśli będzie tam grupa ludzi, to skąd będzie pan wiedział, czy jedną z tych osób jest nasza znajoma? – pytam.

Sierżant zaciska szczęki. Jest wkurzony – może dlatego, że nie znajduje dobrej odpowiedzi. Nie wiem, czy to dlatego, że wątpi, by Cassie faktycznie tam była, czy może cała ta sprawa w ogóle go nie obchodzi.

– Macie jej zdjęcie w telefonie?

– Nie – zaprzeczam, pewnie za szybko. – Możemy zostać w samochodzie, jak już będziemy na miejscu. Zrobimy, co tylko...

Sierżant unosi dłoń, żeby mnie uciszyć.

– Nie przeginaj. – Jego twarz zdaje się mówić: bo zaraz stracę cierpliwość.

To mnie przekonuje. Jeśli będę go naciskała, zapyta o moje nazwisko, wpisze je do bazy danych i dowie się o zajściu w restauracji i o policjantach, którzy mnie szukają po zgłoszeniu przez doktor Shepard. Bo jak na razie wygląda na to, że o niczym nie wie.

– Jeśli będą tam jacyś ludzie, wszystkich tu zwieziemy i spisujemy

za nielegalne wkroczenie na posesję. Co najmniej. Wtedy sami zobaczycie, czy jest wśród nich wasza znajoma. – Sierżant kiwa głową, dając do zrozumienia, że temat jest zamknięty, a ja się zastanawiam, jak funkcjonariusz Kendall ma przywieźć tu grupę ludzi jednym radiowozem. Może sierżant już wcześniej mu powiedział, że ma ich zostawić w spokoju? – Jakies pięć kilometrów stąd jest stacja benzynowa, a przy niej Dunkin’ Donuts. To jedno z niewielu miejsc w okolicy, gdzie jest dobry zasięg. Funkcjonariusz Kendall na pewno zadzwoni do was, jak już sprawdzi ośrodek.

Sierżant patrzy na swojego podwładnego, który potwierdza jego słowa skinieniem głowy.

– Chodź – mówi Jasper. – Zjemy po pączku.

– Nie mam ochoty na pączki – syczę przez zaciśnięte zęby.

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Owszem, Wylie, masz.

Na zewnątrz jest jeszcze zimniej, a ja czuję się dużo gorzej niż przed wizytą w komisariacie. To chyba przez świadomość, że mogę tylko czekać i nic ponadto. Czekać na wieści od Cassie, czekać na to, czy tutejsza policja dowie się, kim jestem. Czekać na koniec tej całej afery. Kiedy dochodzimy do pikapa, patrzę na Jaspiera. Wymachuje kluczykami i wygląda na zupełnie spokojnego.

– Co cię tak cieszy? – pytam ze złością.

– Cieszy? – Jasper podchodzi do drzwi kierowcy. – O co ci chodzi?

Dobre pytanie. O co mi chodzi? I co to za różnica, jak się teraz czuje Jasper? Nie wiem, czemu tak mnie to interesuje, ale nic na to nie poradzę i strasznie mnie to wkurza.

– Co żeś tam tak milczał? – pytam, stając przy swoich drzwiach.

Jasper unosi wysoko brwi.

– A co miałem mówić?

– Nie wiem, cokolwiek. Wyglądało tak, jakbyś był po ich stronie.

Tak naprawdę wcale tak nie uważam. Może tylko pod koniec miałam takie wrażenie, kiedy szybko i bez protestu wyszedł z komisariatu, tylko dlatego, że sierżant tak zarządził.

– Po ich stronie? – pyta zranionym tonem.

– Nawet teraz jesteś w stanie tylko powtarzać to, co ja mówię!  
– krzyczę tak głośno, że moje słowa odbijają się echem po pustym rynku. – Czy ty w ogóle miewasz jakieś własne przemyślenia?

Jasper zaciska szczęki i odwraca głowę, patrzy gdzieś w dal.  
Zadanie wykonane: jest na mnie wściekły, ale stara się opanować emocje.

– Nic nie mówiłem, bo dobrze sobie radziłaś i nie chciałem ci przeszkadzać. Dopiero pod koniec zaczęłaś svirować i uznałem, że tylko nas pogrążasz. Więc bardzo przepraszam, że okazałem im odrobinę szacunku. Jeśli to oznacza, że jestem dupkiem, to spoko – mówi Jasper i szarpie za drzwi pikapa. – Nic mnie nie cieszy, możesz być pewna. Ale czy czuję się lepiej? Oczywiście, że tak. Pójście na policję to nasza pierwsza dobra decyzja, odkąd to wszystko się zaczęło.

– Ja się czuję gorzej.

– Może dlatego, że jesteś zawodową pesymistką – odpowiada nieprzyjemnym tonem. – Ty się zawsze źle czujesz.

Wywracam oczami.

– To mi miało poprawić nastrój?

– Nie – mówi, patrząc na mnie ze złością w oczach.

Nagle widzę, że Jasper zauważył coś za moimi plecami. Odwracam głowę. W naszą stronę idzie funkcjonariusz Kendall. Rozgląda się, jakby sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje. Czyżby w końcu się o mnie dowiedzieli i wysłali go, żeby mnie zatrzymał?

– P-p-przyj-j-dźcie na t-t-tył – mówi, kiedy jest już blisko nas. – Za r-rogiem.

Mocno się jąka. Może dlatego w środku milczał. Ale jękanie nie oznacza, że nie może mnie aresztować.

– A co? – pytam, siląc się na luźny ton. (Nie jestem wyluzowana. Ani trochę).

– M-m-m-możecie po-po-jechać z-z-ze mną – duka. – Mia-a-łem d-d-dobrego kumpla, k-k-który prze-e-dawkował. R-rozumiem was. T-t-t-tylko nie m-m-mówcie mojemu sze-e-fowi.

Nigdy wcześniej nie jechałam radiowozem, ale domyślałam się, że ten jest w lepszym stanie niż większość policyjnych aut. To nowy ford explorer ze skórzanymi obiciami siedzeń. Nawet pachnie nowością, co przywodzi mi na myśl samochód Lexi i Douga. Może narkotyki faktycznie rujną Senecę, ale najwyraźniej nie znajduje to odbicia w stanie radiowozów tutejszej policji. Jak dla mnie to kolejny dowód na to, że wojna narkotykowa nie toczy się tu pełną parą.

Przez większą część piętnastominutowej drogi do Camp Colestah cała nasza trójka milczy. Co jakiś czas Jasper zerka na mnie, jakby czekał na znak, że ma coś powiedzieć. To oczywiście moja wina. W końcu nawet pokazuje pytająco na funkcjonariusza Kendalla. Cała ta nasza ukradkowa komunikacja sprawia, że Kendall w końcu patrzy w lusterko. Kręcę głową i wyglądam przez szybę.

Im dłużej jedziemy, tym robi się ciemniej, a we mnie narasta lęk. W końcu pewną ulgę przynosi mi fakt, że skręcamy w bitą drogę. Niedługo powinniśmy coś wiedzieć.

– To t-t-tu – mówi policjant, kiedy mijamy rozpadające się kamienne kolumny i przekrzywiony drewniany znak z ledwo widocznym napisem CAMP COLESTAH. – K-kiedyś to b-b-było bardzo ładne m-m-miejsce. B-b-bogate dzie-e-ciaki z B-b-ostonu.

– Czemu je zamknęli? – pytam.

Już zadając pytanie, czuję, że stało się tu coś strasznego. Mam tylko nadzieję, że bardzo dawno temu.

– S-s-syn właścicieli utonął w b-b-basenie – odpowiada Kendall. – Zaczepił się o k-k-kratkę odpływu na g-g-głębokiej wodzie. Z-z-znałem go. Fajny chł-ł-łopak. R-r-rodzice potem w-w-wyjechali na zachód.

Żwir chrzęści pod kołami, a światła reflektorów padają na wysokie, nagie drzewa. Droga skręca w prawo, a po chwili znowu w lewo. Kilkadziesiąt metrów dalej Kendall zatrzymuje wóz.

– N-nie w-w-wysiadajcie – mówi. Wrzuca bieg parkingowy i pokazuje na las. – M-m-muszę zajrzeć do k-k-każdego domku. Najstarsze są t-t-tam. W nich n-n-najczę-śc-c-ciej się spotyka-a-ją.

Myślałam, że będę chciała z nim iść, ale teraz zdecydowanie wolę

zostać w samochodzie. Jasper najwyraźniej w ogóle się nie boi.

– Na pewno nie chce pan, żebyśmy...

– Z-z-zostańcie tutaj – mówi Kendall, już znacznie bardziej stanowczym tonem. – Cie-e-szcie się, że w-w-ogóle w-was z-za-a-brałem.

Siedzimy w ciszy na tylnym fotelu i patrzymy na snop latarki Kendalla skaczący między drzewami. Kiedy mój wzrok dostosowuje się wreszcie do ciemności, widzę, że Kendall kieruje się w stronę czterech małych domków na niewielkim wzniesieniu. Najpierw idzie w kierunku chatki wysuniętej najdalej w prawo.

– Nie podoba mi się to – mówi Jasper, gdy światło latarki znika wewnątrz pierwszego domku. To pierwsza negatywna rzecz, jaką powiedział, odkąd wyjechaliśmy z Bostonu.

– Myślałam, że jesteś optymistą. – Wbijam mu szpilę w zemście za nazwanie mnie zawodową pesymistką, mimo że to wcale nie jest najgorsza obelga. – Gdzie twoja szklanka, ta do połowy pełna?

– Może wszystko wypijaś. – Jasper patrzy na mnie rozbawiony, ale kiedy chwyta za klamkę, mina mu rzednie. Drzwi się nie otwierają.

– Zamknął nas.

– To w końcu radiowóz – stwierdzam, jakby niemożność opuszczenia policyjnego wozu była dla mnie oczywistością.

Jednak wcale nie było to dla mnie oczywiste i żałuję, że Jasper mi to powiedział. Bo teraz jestem w stanie myśleć tylko o tym, co będzie, jeśli funkcjonariuszowi Kendallowi przytrafi się jakieś nieszczęście. Co, jeśli ludzie, którzy porwali Cassie, zaatakują nas na tym kompletnym odludziu?

Z szybszym biciem serca patrzę na światło latarki penetrujące wnętrze domku. W pewnej chwili zauważam, że coś zwisa z okna. Moskitiery? Jesteśmy za daleko, nie mam pewności. Ale wygląda to jak siatki przeciw owadom, zerwane przez kogoś, kto w pośpiechu uciekał. Dopiero kiedy Kendall kończy przeszukiwać ostatni domek i rusza z powrotem w stronę samochodu, zdaję sobie sprawę, w jakim napięciu na niego czekałam.

– Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać – mówię do Jaspera.

– Dlaczego? Tu, czyli do ośrodka?

– Nie wiem.

Mówię prawdę. Nie wiem, co miałam na myśli. Ale bez wątplenia takie mam teraz wrażenie.

– Hej. – Jasper bierze moją dłoń w swoje i lekko ją ściska.

Uzmysławia mi tym gestem, jak sztywne mam palce. – Wszystko będzie dobrze. Nic się jej nie stanie.

– Nie wiesz tego – mówię.

– Może i nie. Ale nie zamierzam przestać w to wierzyć.

– P-pusto – oznajmia Kendall i wsiada do radiowozu. – T-t-tylko jakieś ś-ś-śmieci, papierki, p-puszki po p-p-piwie.

– Czyli ktoś tam był – zauważam.

– Zawsze k-k-ktoś tu jest. Z-z-zajmują któryś d-d-domek przez chwilę i idą d-d-dalej.

Później powtarzamy tę samą sekwencję, domek za domkiem. Jedziemy kilkanaście metrów, stajemy. Jedziemy, stajemy. Policjant wysiada. Sprawdza domek. Wraca. Kręci głową. Jedziemy, stajemy. Jedziemy, stajemy. Kendall znajduje tylko śmieci: celofan po cukierkach, puste puszki po piwie i niedopałki. W jednym z domków leżała nieodpakowana rolka folii spożywczej, której obecności Kendall nie umiał wytłumaczyć. Nie chciałam nawet, żeby próbował.

W dalszej części ośrodka budynki są w gorszym stanie. Do niektórych wręcz nie da się wejść, a jeden jest ledwie stertą drewnianych płyt. Kendall oświetla go latarką, jakby sądził, że Cassie może leżeć pod spodem. Przynajmniej sprawia wrażenie kompetentnego i szczerze zaangażowanego w poszukiwania, przez co myślę, że powinnam była zadzwonić do Karen i powiedzieć jej, co wiemy, i chociaż podać nazwę miejscowości, do której trafiliśmy. Nie zrobiłam tego, bo Cassie zabroniła nam kontaktować się z jej matką, nawet po tym, jak pozwoliła wezwać policję. Ale szczerze mówiąc, nie zadzwoniłam przede wszystkim dlatego, że nie chciałam rozmawiać z ojcem. Ciągle nie mogę uwierzyć, że zagroził mi szpitalem, i nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek odezwę się do niego. A teraz jest już za późno na telefon do Karen. Tutaj nie mam szans złapać zasięgu w komórce.

Wreszcie zatrzymujemy się na końcu dróżki, u podnóża kolejnego wzniesienia. Jest tu okrągły plac parkingowy. W pobliżu stoją trzy nieco większe domki i czwarty budynek wielkości dwóch albo nawet trzech chat. Tak jak pozostałe, te tutaj też są całkiem czarne, ale na jaśniejszym tle polanki widać je trochę lepiej. Nawet z oddali wyglądają na dobrze utrzymane.

– To główne b-b-budynki ośrodka – tłumaczy Kendall. – Ale ćpuny na-a ogół z-z-zajmują te dalsze, bo łatwiej d-d-do nich w-wejść.

Jasper robi ciężki wydech. Kręci głową i zerka w moją stronę.

– Nie wygląda to za dobrze.

Ma rację. Co zrobimy, jeśli Kendall w żadnym z tych budynków nie znajdzie Cassie? Nie mam odpowiedzi na to pytanie. Patrzę jeszcze raz na wszystkie cztery budynki. Nie jestem narkomanką, ale gdybym przyjechała tu ćpać, to wybrałabym właśnie to miejsce. Musimy sprawdzić każdy zakamarek. Cassie może tu gdzieś być.

– Z-z-zobaczę – mówi Kendall. – S-są też inne o-o-ośrodki. Potem t-t-tam poje-edziemy. M-m-może p-p-pomyliła jej się n-nazwa.

Jest miły, nie traci nadziei. To dobrze, bo ktoś musi być optymistą, skoro Jasper nie ma już na to sił.

Parkujemy tak, że przód radiowozu jest zwrócony w stronę trawnika między domkami. Księżyc stoi prawie w pełni, więc jest niemal jasno, ale tym razem Kendall zostawia włączone reflektory i w drodze do pierwszego budynku przecina dwa snopy światła. W jego złotawym blasku wydaje się jeszcze przystojniejszy i śmielszy. Staram się dostrzegać w tym dobry znak. W pewnym momencie widzę, że nagle się zatrzymuje, żeby przyjrzeć się czemuś na ziemi. Jego dłoń wędruje do kabury.

– Na co on patrzy? – pytam, mrużąc oczy.

Z tej odległości niewiele zobaczę.

– Nie wiem. – Jasper przyciska twarz do metalowej siatki odgradzającej tył radiowozu od kabiny kierowcy. Policjant trąca znaleźisko nogą. – Jakaś sarta, może drewno. Czy to dym?

– Gdzie?

Jeszcze mocniej mrużę oczy, serce mi przyspiesza. W końcu widzę, co Kendall kopnął, bo ku niebu wznosi się smuga dymu.



– O cholera – mówi Jasper. – Ktoś tu jest.

– Albo był – dodaję.

Staram się nie odczuwać zbyt dużej ulgi, ale też nie przejmować się za bardzo. Bo na myśl o tym, że ktoś naprawdę tu jest, ogarniają mnie sprzeczne uczucia: nadzieja i strach. Wciągam głęboko powietrze, jestem już lekko oszołomiona.

Sekundę później Kendall wkłada głowę do radiowozu i sięga po radio.

– Trzy-zero-sześć. Pro-o-szę o wsp-a-arcie – mówi. – Camp Colestah. Możliwe dwa-zero-siedem. – Nikt nie odpowiada. Może to normalna procedura, że na takie zgłoszenie się nie odpowiada, a może sierżant i O’Connell zamknęli komisariat i pojechali do swoich domów. W takim miejscu jak Seneca to chyba całkiem możliwe. Kendall patrzy w naszą stronę. – Ktoś tu był, ale p-podejrzewam, że j-j-już go nie ma. Na wszelki w-w-wypadek spra-awdzę b-budynek.

Tym razem oczekiwanie w zamkniętym radiowozie jest jeszcze gorsze. Na szczęście Kendall pierwsze dwa domki przeszukuje w miarę szybko, za to w trzecim ginie na dłużej. Widzimy przez okno snop jego latarki. Skacze gwałtownie z miejsca na miejsce, jakby policjant bawił się z kotem.

Minutę później wraca do samochodu. Tym razem znacznie szybszym krokiem. Znalazł coś. Coś niepokojącego.

– Musicie p-p-pójść z-z ze mną – mówi, otwierając drzwi z mojej strony. Ja chciałabym je z powrotem zatrzasać. – Zna-alazłem coś, co m-m-możecie r-rozpoznać.

Zwłoki Cassie? Tylko to przychodzi mi do głowy.

– Co to takiego? – pytam.

– Jakieś u-ubrania i t-t-torba. Nowe i drogie, nie j-jak u nar-r-rkomanów. Muszę wiedzieć, czy t-t-to waszej z-znajomej. Nie wziąłem ich ze s-s-sobą, bo nie chcę niczego r-r-ruszać na wypadek... – Nie kończy zdania. Na wypadek gdyby się okazało, że stało się tu coś strasznego – to pewnie chciał powiedzieć. Wszystko, co jest w środku tego domku, może stanowić dowód rzeczowy zbrodni. Kendall rozgląda się dookoła radiowozu i patrzy w stronę lasu, jakby coś rozważał. –

W-wolałbym po-o-oczekać na wspa-arcie, ale t-t-to może potrwać.

A my nie mamy czasu. C a s s i e nie ma czasu.

Wysiadamy z radiowozu. Powietrze ma gorzki smak. Chłód gryzie mnie w płuca i kiedy robię wydech, moją twarz spowija biała chmura. Kendall rusza żwawym krokiem przez trawnik i macha do nas, żebyśmy poszli za nim. Rozgląda się na boki. Upewnia się, że nic nam nie grozi. Jesteśmy coraz bliżej domku wysuniętego najbardziej w prawo. Mijając pozostałe budynki, widzę, że moskitiery nie są pourywane, a drzwi wiszą stabilnie na zawiasach. Ale nie napawa mnie to optymizmem, wręcz przeciwnie. Gdyby jacyś ludzie chcieli ukryć coś albo kogoś, to te domki nadałyby się do tego idealnie. Zaciskam pięści. Może ból, jaki sprawiają paznokcie wbijające się w dłonie, sprawi, że zejdzie ze mnie część napięcia. Ale powinnam przede wszystkim oddychać. Wiem o tym. To naprawdę podstawowa konieczność. Tyle że łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

– Boję się – mówię szeptem do Jaspera.

– Ja też – odpowiada.

– Sz-szybciej – popędza nas Kendall. Ewidentnie uważa, że na środku otwartej przestrzeni jesteśmy zagrożeni. – Wasza znajoma nie m-m-mówiła wam n-nic o tych ludziach? Żadnych szczegółów?

Teraz naprawdę chce usłyszeć naszą odpowiedź. Wcześniej go nie interesowaliśmy. Razem z sierżantem uznali Cassie za zwykłą narkomankę. Może nawet byli z kimś w zмовie, żeby na podobne przypadki przymykać oko.

– Wiem tylko, że wpakowała się w coś, za co jej mama byłaby na nią wściekła – mówi Jasper i nerwowo się rozgląda. – Potem nagle stwierdziła, że ktoś może zrobić jej krzywdę.

A to oczywiście znaczy, że miała przy sobie telefon. Wiedziałam to od początku, ale wcześniej jakoś się nad tym nie zastanawiałam. Jakim cudem pozwolili jej korzystać z komórki? Może faktycznie przyjechała tu „poimprezować”, jak powiedział sierżant. I impreza wymknęła się spod kontroli.

– Trzymajcie się lewej – mówi Kendall, gdy stajemy przed schodami wiodącymi do chaty. – W podłodze po prawej stronie jest duża

dziura. Widzę pudła i meble. Z samą latarką dużo więcej nie zobaczę.

Wchodzimy za nim po schodach. Coraz mocniej kręci mi się w głowie. Chwytam za poręcz, żeby nie stracić równowagi. Oddychaj, nakazuję sobie. Coś jest bardzo nie tak. Coś nowego, większego, ponad to wszystko, co już się stało – coś poza Lexi i Dougiem, mężczyznami goniącymi nas przez las, rzeczami Cassie leżącymi na podłodze jakiejś narkomańskiej meliny. Mam wrażenie, że zostawiłam coś za sobą – plecak, telefon, część swojego ciała – ale jeszcze nie w pełni zdałam sobie z tego sprawę. Oddychaj. Zrób wdech, policz do czterech, wypuść powietrze. Kendall stoi po mojej prawej i trzyma otwarte drzwi. Świeci latarką w lewo.

Cała drzę, gdy wchodzę do środka. Kątem oka widzę zarys biurka pod ścianą i szafkę w rogu. Pewnie było tu biuro ośrodka. Wnętrze wypełnia zapach kurzu i pleśni, ale można wytrzymać. Nie jest to zapach śmierci. I to wydaje się ważne, ale i tak wyczuwam w powietrzu coś jeszcze, jakiś dodatkowy, dziwny swąd. Nie potrafię go zidentyfikować.

– Tam, na podłodze pod oknem – mówi Kendal i światłem latarki zatacza na deskach okrąg.

W końcu dostrzegam to, co nam pokazał, i serce na chwilę mi nieruchomieje. Kilka kroków ode mnie leży torba Hobo, z którą Cassie nigdy się nie rozstaje. Jest tam też jej czerwona bluza z dziurą w prawym rękawie. Podbiegam do niej, bo jeśli nie znajdę tej dziury, to będzie znaczyło, że bluza należy do kogoś innego. Te torby też są dość popularne.

– Niczego nie dotykaj! – krzyczy policjant.

Kucam z założonymi rękami przy bluzie. No i widzę tę cholerną dziurę. Cassie tu była i gdzieś przepadła. Ktoś ją stąd zabrał. Kazał wszystko zostawić – Cassie uwielbiała tę bluzę, a torebkę kupiła za własne pieniądze, prawie sto dolarów, które zarobiła w lodziarni. Kątem oka dostrzegam coś jeszcze, kilka centymetrów obok. Różowy kamuflaż. Przyglądam się uważniej i rozpoznaję bokserki w chłopięcym stylu z napisem „Prześpij się ze mną” z tyłu. Bielizna Cassie.

Wstaję trochę za szybko i przed oczami tańczą mi ogniki. Kręci mi się w głowie, ale to nic. To tylko niskie ciśnienie krwi. Ściany domku są nieruchome. Łaskotanie w dłoniach tylko sobie wyobrażam.

– Rozpoznajesz którąś z tych rzeczy? – pyta mnie Kendall.

Bez żadnego zająknięcia. Jego głos nawet nie drży, jest równy i spokojny. Od jak dawna? W radiowozie się jąkał, tyle pamiętam. A kiedy stanęliśmy pod tą chatą? Nie pamiętam. Ale teraz na pewno się nie jąka. Właśnie to mi nie pasowało.

Podnoszę wzrok znad bielizny Cassie i widzę w szybie odbicie Jaspera. Nie jąka się, myślę, ale boję się to powiedzieć. Nie jesteśmy bezpieczni. Słyszę w uszach bicie serca. Dźwięk ma lekki pogłos, jakbyśmy byli pod wodą. Nagle pokój się zwęża i ciemnieje i mam wrażenie, że patrzę przez tubę.

I wtedy dobiega mnie jeszcze jeden odgłos. Donośny. Od strony drzwi. Jakieś trzaśnięcie? Potem cień po lewej, potem piekący ból i upadek, potem...

– Wylie, wszystko w porządku? – Głos. Nie wiem czyj.

Próbuję otworzyć oczy, ale powieki są zamknięte na fest. Usta też. Złamałam żuchwę? Nie, po prostu są sklezione od wewnątrz. Woda, potrzebuję wody. Ale jak tylko się ruszę, głowę przeszywa mi ból. Jest jeszcze ostrzejszy, kiedy rozchyłam lekko oczy.

Nadal jest ciemno. Noc, ale coś tam widać. Przez okno wpada bladoszare światło. Księżyc? Pod dłońmi wyczuwam chropowaty materiał. Leżę na kanapie – zakurzonej, zapleśniałej i nierównej. Chata, ośrodek, Cassie – powoli wszystko sobie przypominam. Jej bielizna tutaj, ona gdzieś indziej.

– Straciłaś przytomność.

To Jasper. Podpieram się na łokciach, w głowie mi dzwoni. Jasper siedzi na podłodze, parę metrów dalej, oparty plecami o ścianę. Gapi się na mnie. Jest zmartwiony. Nie, gorzej. Boi się.

– Uderzyłaś głową o kant komody. – Pokazuje na duży mebel stojący niedaleko drzwi. – Próbowałem cię złapać, ale nie zdążyłem. Nic ci nie jest?

– Czasem mdleję, jak jestem zestresowana – mówię na tyle lekkim tonem, na ile się da. – Już dawno mi się to nie zdarzyło. Nie chciałam cię wystraszyć.

– Spoko. – Jasper spuszcza wzrok. – Chyba nie rozcięłaś sobie głowy. – Pokazuje na swoją. – Sprawdziłem. Ale masz dużego guza.

Robi mi się ciepło na twarzy na myśl, że kładł mnie na kanapie i dotykał mojej głowy. To poniżające, ale muszę przyznać, że zarazem bardzo słodkie.

– Dzięki – mówię i siadam, krzywiąc się z bólu. – Czeka, a gdzie... – Rozglądam się. Nie pamiętam jego nazwiska. Przez chwilę się zastanawiam, jak mocno się uderzyłam. – Gdzie jest ten policjant?

– Nie wiem – odpowiada cicho Jasper. W słabym świetle widzę, że zerka na drzwi. – Jak do ciebie podbiegałem, za nami coś trzasnęło i nagle drzwi się zamknęły. Pewnie ktoś go złapał albo...

– Złapał? – Z każdym słowem ból głowy narasta. – Przecież to policjant – mówię, jakby to oznaczało samo przez się, że jest nietykalny.

W końcu przypominam sobie, że w którymś momencie policjant przestał się jąkać. Rozważam, czy powiedzieć o tym Jasperowi, ale boję się, że jak wypowiem moje myśli na głos, to jeszcze bardziej się zestresuję. Może to przyływ adrenaliny wygładził mu mowę? Może pod tym względem jest podobny do mnie: w sytuacji zagrożenia funkcjonuje lepiej niż zwykle. Tyle że to mi się wydaje mało prawdopodobne.

– Pewnie są tak naćpani, że nawet się nie zorientowali, kim jest – mówi Jasper, ale sam w to nie wierzy.

To dość ponura wizja. Ludzie na takim haju, że nie są w stanie trzeźwo myśleć.

– Mi się wydaje, że to jąkanie było na pokaz – odzywam się z trudem. – Zauważyłeś, że przestał, jak tylko zbliżyliśmy się do chaty?

– Jesteś pewna? – pyta Jasper, jakby naprawdę sądził, że mogło mi się to tylko wydawać. – Niby po co miałyby udawać?

Ciekawe, czy teraz tak już będzie, odkąd powiedziałam mu o telefonie mojego taty na policję. Czy Jasper będzie wątpił w każde moje słowo?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam.

Wciąż patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Tak czy siak mamy teraz inny problem.

– Jaki? – pytam z gulą w gardle.

– Drzwi są zamknięte na klucz.

– Co?

Wstaję z kanapy i rzucam się do wyjścia. Nie, nie, nie. To niemożliwe. Klamka daje się lekko obrócić i przez chwilę myślę, że Jasper się mylił, ale kiedy próbuję pchnąć, drzwi ani drgną, nawet o milimetr. Jakby po drugiej stronie były zaryglowane. Łup, łup, łup – bije moje serce, a ja podchodzę do okna, pod którym Jasper wciąż siedzi na podłodze. W okiennych ramach są osadzone przezroczyste szyby. Przykładam dłoń do zimnego szkła i myślę o tych wszystkich oderwanych moskitierach w pozostałych domkach. To okno nie jest nawet zakurzone. Wygląda na nowe.

Jasper patrzy na mnie. Połowę jego twarzy zasłania cień.

– To jest zamknięte – mówi. Wstaje, żeby podejść do okna po drugiej stronie pokoju. Tamto też nawet nie drgnie. To samo z dwoma na

tylnej ścianie domku. Jasper przysuwa twarz do ostatniego. – Chyba zabili je gwoździami od zewnątrz – mówi po chwili.

– W takim razie trzeba wybić szybę – stwierdzam, kiedy Jasper staje obok mnie.

W sytuacji zagrożenia naprawdę mogłabym coś takiego zrobić. Wybić okno, przecisnąć się przez wystające odłamki szkła i znów rzucić się biegiem przez las.

Ale Jasper kręci przecząco głową.

– Spójrz. – Pokazuje na okno.

To, co wzięłam za cienką siatkę moskitiery, okazuje się dużo grubszym, metalowym drutem. Jak w ogrodzeniu. Nie jesteśmy zamknięci w domku letniskowym. Jesteśmy uwięzieni w klatce.

– Co to ma być? – pytam szeptem.

Jasper bierze głęboki wdech, jakby chciał dodać sobie otuchy.

– Musi być stąd jakieś wyjście – mówi, nie odpowiadając na moje pytanie. Może kolejny raz stara się zachować swój optymizm. Mam nadzieję, że tak jest, bo wszystkie moje myśli są bez wyjątku mroczne i straszne. I wszystkie kończą się naszą klęską.

Jasper idzie na tył chaty i wtyka głowę w coś, co przypomina szafę. Pociąga za sznurek i w środku zapala się żarówka. Plama światła na podłodze wokół jego stóp ma kształt złotawego prostokąta i rozjaśnia trochę całe pomieszczenie. Czuję ulgę, ale tylko przez chwilę.

– Jest prąd? – dziwię się. Czy to dobry znak? Bo wcale mnie nie cieszy. – Myślałam, że ten ośrodek jest opuszczony.

– Faktycznie, trochę to dziwne. – Jasper macha do mnie ręką, żebym podeszła. – Ale nie tak dziwne jak to.

W szafie stoi wiadro, a obok niego leży rolka papieru toaletowego. Jest nawet płyn do dezynfekcji rąk. Prowizoryczna toaleta.

– Wiedzieli, że przyjedziemy – mówię.

– My albo ktoś inny – dodaje Jasper i wraca do okna.

Patrzę na niego, ale on nie odwraca głowy.

– Co to za ludzie? – pytam go, choć wiem, że nie ma pojęcia.

– Raczej nie ci, którzy dźgają się widelcami w oczy po kłótni o słodycze. – Kiedy do niego podchodzę, patrzy mi w oczy. – Prawda?

Oczywiście, że prawda. Wszystko to jest zbyt dobrze

zorganizowane i przemyślane, żeby mogła za tym stać banda ćpunów.

– Czekaj, czy to jest człowiek? – Jasper pokazuje na sąsiedni domek, ale ja widzę tylko cienie. – Coś się tam poruszyło.

Nachylam się i mrużę oczy, ale nie rozpoznaję żadnych kształtów. Coś innego przykuwa moją uwagę.

– Spójrz – mówię z odrobiną nadziei w głosie. – Radiowóz ciągle tu stoi.

– Tak, ale ktoś wyłączył światła. – Z jego tonu wnioskuję, że uznaje to za zły znak. Przez chwilę oboje patrzymy w milczeniu na policyjny wóz. – Naprawdę uważasz, że Cassie mogła brać metamfetaminę? – pyta Jasper, nie odrywając wzroku od auta.

– I wszystko to kręci się wokół jej nałogu?

– Nie mam pojęcia. – Odwracam się i osuwam z plecami opartymi o ścianę. Zajmuję miejsce Jaspera na zimnej, brudnej podłodze.

– Ostatnio Cassie robiła sporo rzeczy, o które wcześniej nigdy bym jej nie posądzała. – Znowu jestem zła na Jaspera. Być może to przez Tęczową Koalicję Cassie zaczęła imprezować, ale to przy nim wchodziła w to coraz głębiej. – Te wszystkie imprezy. Może na którejś spróbowała amfetaminy. Ty powinieneś wiedzieć. Byłeś z nią.

– Jak to? Myślisz, że ja poszedłbym na imprezę, gdzie jest metamfetamina? – pyta i zniesmaczony kręci głową. – Naprawdę wierzysz, że to ja ją wciągnąłem w narkotyki?

– Nie powiedziałam, że to twoja wina. – Przewracam oczami, żeby mu pokazać, co sędzę o jego pozie niewiniątka. – Mówię tylko, że mogłeś się w tym lepiej odnaleźć.

– „W tym”, czyli w ćpaniu, tak? – pyta, ale nie czeka na moją odpowiedź i ciągnie: – Słuchaj, najwyraźniej ci się wydaje, że wszystko o mnie wiesz. Że w ogóle na wszystkim się znasz. A ja nawet nie piję. Nigdy nie piłem. Narkotyków w życiu nie próbowałem. Mój tata był naćpany, jak pobił tamtego człowieka. Prawie go zabił. Tak, tak, zrobił to. W dodatku nie pierwszy raz. Po prostu pierwszy raz zrobił komuś taką krzywdę, że wylądował w więzieniu. Skłamałem, jak mówiłem o tym Dougowi i Lexi, bo niektórzy ludzie uważają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby wiedział, że ja jestem jedną z tych osób. – I czasem się boję, że mają rację. Dlatego



jestem ostrożny. Nie zbliżam się do narkotyków, to po pierwsze. Nigdy nie byłem na haju i nie zamierzam być. I ani razu nie widziałem Cassie na haju. Wiedziała, co o tym myślę, więc robiła to za moimi plecami. Ale tak, wiedziałem, że pali zioło, i wkurzało mnie to.

– Okej. – Podnoszę obie dłonie. – Rozumiem. Przepraszam.

Naprawdę mi głupio. Bo może rzeczywiście jestem jedną z tych osób od jabłek i jabłoni. Jasper ma rację – nie powinno się tak myśleć.

– Fakt, ostatnio dziwnie się zachowywała. – Jasper krzyżuje ramiona i dalej patrzy przez okno. – Tak jak mówiłem, podejrzewałem, że mnie zdradza. Ale może ukrywała nałóg. I może brała metamfetaminę. Nie wiem. Na pewno by mi o tym nie powiedziała. Bałaby się mojej reakcji. Ale jeśli myślisz, że kłamię, to nic na to nie poradzę.

– Nie myślę tak – zapewniam go. – Nie chciałam cię...

– A skoro już jesteśmy przy tym, jak fatalnie mnie oceniasz – ciągnie Jasper ze złością – to Cassie mówiła mi, że twoim zdaniem zrobiłem coś złego Tashy. Nie żeby to była twoja sprawa, ale z Tashą byliśmy przyjaciółmi. Czasami udawała, że jestem jej chłopakiem. Mi to nie przeszkadzało. – Przerywa na chwilę i kręci głową. – Ale byłem za głupi, żeby pomyśleć, co ona poczuje, jak znajdę sobie prawdziwą dziewczynę. Naprawdę to przeżyła.

– Mówiłeś o tym Cassie? – pytam. Jestem pewna, że by mi o tym powiedziała, gdyby wiedziała.

– Nie. Pytała o Tashę, ale to była moja sprawa. Słuchaj, ja wiem, że nie jestem doskonały. Pewnie się zastanawiasz, to ci powiem, że tak, to prawda: złamałem nos temu chłopakowi. Zdzieliłem go tak, że nakrył się nogami. Czy chciałem uderzyć go tak mocno? Nie wiem, możliwe. Gadał coś o moim ojcu i straciłem panowanie nad sobą. Nie jestem z tego dumny, to był błąd. Ludzie popełniają błędy. – Jasper odwraca wzrok w stronę okna, zaplata ramiona na piersi. – Może gdybyś to zrozumiała, byłabyś trochę szczęśliwsza.

Z rozgrzanymi policzkami patrzę na jego przystojną, chłopięcą twarz. Nie mogę się pogodzić z tym, jak trafnie mnie ocenił.

– Zobacz! – Jasper pokazuje za okno.

Skaczę na równe nogi. Coś albo ktoś w cieniu jednego z domków.

Chwilę później zapala się latarka i snop światła zaczyna tańczyć na trawniku, poruszając się w naszym kierunku. Kendall. Nareszcie. Przynajmniej tak mi się wydaje – ten sam blask latarki, ta sama sylwetka. Pewnie po nas wraca. Możliwe, że wybiegł, żeby coś sprawdzić, i drzwi same się zatrzasnęły. Możliwe też, że nie są zamknięte, a tylko się zaklinowały. Nasza sytuacja jest nadal zła, bo nie znaleźliśmy Cassie, ale może nie tak zła, jak nam się wydawało.

Ale zamiast sunąć dalej w stronę naszego domku, snop światła nagle skręca w kierunku radiowozu. Czyli to jednak nie Kendall? Sekundę później, kiedy światło nie pada już prosto na nas, widzę wyraźnie osobę, która trzyma latarkę. Tak, to na pewno Kendall. Idzie do samochodu. Oddala się od nas.

Zamykam oczy. Mam nadzieję, że to tylko zwidy. Ale kiedy je otwieram, on ciągle idzie w kierunku auta.

Jasper puka w szybę okna.

– Hej! – krzyczy. – Co ty robisz?!

Kendall nawet nie drgnął.

– Zostawia nas tu – mówię szeptem, bo nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Krew pulsuje mi w głowie.

– Eeej! – Jasper znowu woła, widząc, że policjant wsiada do swojego SUV-a.

Tym razem wali w okno pięścią, tak mocno, że się boję, czy nie zrobi sobie krzywdy, jeśli szkło pęknie.

– Jasper, przestań. – Kładę mu dłoń na ramieniu.

Opiera pięść o okno i oboje patrzymy na odjeżdżający radiowóz. Stoimy tak w milczeniu, aż tylne światła znikają za zakrętem.

– Kurwa – mówi cicho Jasper i siada z powrotem na podłozce.

Przez chwilę mu się przyglądam – jest kompletnie zrezygnowany. Jeżeli on stracił nadzieję, to już po nas. Ale weźmie się w garść. Nie ma wyboru. Muszę tylko dać mu trochę czasu. Odwracam się w stronę okna.

Nagle widzę twarz. Tuż przy mnie. Po drugiej stronie szyby. Mężczyzna o przerażających, martwych oczach. Patrzy prosto na mnie.

– O cholera!

Jasper wstaje.

– Co jest?

Ten straszny człowiek, wychudły, z długą brodą i upstrzoną plamami skórą patrzy na Jaspera i podnosi do ust brudny palec. Śśśś – taki dźwięk usłyszelibyśmy, gdyby stał po naszej stronie okna. Serce skacze mi do gardła, bo widzę, że mężczyzna podnosi coś jeszcze. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, co to jest. Karabin. Wreszcie go opuszcza i koszmarny uśmiech spełza z jego ust. Robi groźną minę i znika nam z oczu.

– Kurwa – mówi znowu Jasper, nie odrywając przerażonych oczu od okna. – Musimy się stąd wydostać. I to już.

Dzielimy pomieszczenia na części, rozdzielamy je między siebie i każde z nas szuka drogi ucieczki. W którymś momencie Jasper przesuwa kilka pudeł, tworząc coś na kształt ogrodzenia dookoła rzeczy należących do Cassie. Cieszy mnie to, bo boję się, że jeśli spojrzę na nie z bliska, zauważę coś strasznego, na przykład krew.

Jeszcze raz sprawdzam okna, ale wszystkie są zabite gwoździemi i na każdym rozciągnięta jest metalowa siatka. Jasper szuka w ścianach obłuzowanych desek i pękniętych uszczelnień. Obydwoje przeczesujemy podłogę w poszukiwaniu choćby najmniejszych oznak słabości konstrukcji. Może w którymś rogu da się zrobić otwór? Znajduję tylko dziurę, o której mówił Kendall, ale jest za mała, żeby się przez nią przecisnąć.

Robimy to wszystko w milczeniu. Żadne z nas nie spekuluje na temat tego, kim są ludzie, którzy nas tu uwięzili, i co nimi kieruje ani dlaczego Kendall odjechał. Bo jedyne odpowiedzi, jakie mogą nam przyjść do głowy, sprawiają, że sytuacja – nasza i Cassie – wyda nam się beznadziejna.

– Myślisz, że nic jej nie jest? – pyta Jasper po jakimś czasie. Chce się upewnić, że Cassie żyje. Wyczuwam to w jego głosie.

Nie chcę słuchać takich pytań. Wolę, żeby miał pewność, że nic się jej nie stało i nic się nie stanie. Tak jak wcześniej.

– Nic jej nie jest – mówię, tak jak on parę godzin temu. – Na pewno.

Stawiam krzesło pod ścianą, żeby zbadać otwór wentylacyjny przy suficie, choć i tak jest za mały, żebyśmy się w nim zmieścili.

– Zobacz, coś tu chyba jest. – Jasper mnie przywołuje. – Pomóż mi odsunąć tę komodę.

Jest tak ciężka, jakby była zrobiona z betonu. Mimo że Jasper włożył wszystkie swoje siły, przesunęliśmy ją zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Ale to wystarczyło, żeby odsłonić spory kawałek sklejki, jakiś metr na pół metra, przymocowany do ściany, ewidentnie w celu zasłonięcia otworu. Otworu prawdopodobnie wystarczająco dużego, żeby się przez niego wydostać. Jasper kuca, żeby obejrzeć z bliska krawędzie sklejki. Wzdłuż każdego boku i w rogach widać śruby.

– Musimy je wykręcić – stwierdza Jasper i zakreśla ręką szeroki łuk. Znajdź jakieś narzędzie, mówi ten gest.

Ma rację, że powinniśmy być cicho. Lepiej nie zwracać uwagi człowieka pilnującego drzwi.

Ostrożnie i delikatnie otwieram po kolei szuflady komody. W jednej znajduję złamany ołówek i cztery jednocentówki, a w innej kilka brudnych teczek z żółtego papieru. Jasper stoi przy wysokiej szafce na dokumenty i stara się bezgłośnie otwierać i zamykać metalowe szuflady. Patrzy z obrzydzeniem na coś, co leży w drugiej z nich. Pochyliła się, żeby przyjrzeć się temu z bliska, a chwilę później wyjmuje ze środka ogromną, wypchaną sowę. Stawia ją na szczycie szafki, skąd ptak gapi się prosto na mnie.

– To dla ciebie – mówi z uśmiechem i cieszę się, że przynajmniej jedno z nas zachowało jeszcze poczucie humoru. – Hej – odzywa się szeptem sekundę później.

Patrzę w jego stronę, spodziewając się kolejnego absurdalnego znaleziska, ale Jasper trzyma w dłoni metalową linijkę. Taką, która może posłużyć za śrubokręt.

Próbujemy z pierwszą śrubą i z niedowierzaniem stwierdzam, że wkręt zaczyna się obracać. Jasper patrzy na mnie z nadzieją w oczach. Modlę się, żeby to faktycznie oznaczało szansę ucieczki.

Dziesięć minut później staje się jasne, że trochę to potrwa. Jasper odkręcił trzy śruby z jednej strony i dwie kolejne poluzował, ale zostało ich jeszcze dwanaście.

– Daj, spróbuję – proponuję, widząc, że brakuje mu sił.

Nawet w słabym świetle z szafy jego dłonie są wyraźnie zaczerwienione.

– Poradzę sobie – mówi, mimo że linijka wyslizguje mu się z rąk.

Czekam jeszcze parę minut, aż staje się oczywiste, że Jasper pracuje dużo wolniej niż na początku. Nie możemy sobie na to pozwolić, choćby nie wiem co. Nie mamy czasu do stracenia – ani my, ani Cassie. Gdziekolwiek teraz jest.

Delikatnie dotykam jego dłoni.

– Daj. Odpocznij chwilę.

W końcu daje za wygraną i ustępuje mi miejsca przy ścianie. Zabieram się za pierwszą śrubę i okazuje się, że odkręcenie jej jest dużo trudniejsze, niż mi się wydawało. Ale udaje mi się ją ruszyć. Wykręcam ją do końca i przechodzę do następnej. Trochę to dziwne, myślę, że ludzie, którzy włożyli tyle pracy w przygotowanie tego pomieszczenia – nowe szyby w oknach i siatka, prowizoryczna toaleta, zabita deską dziura w ścianie – popełnili głupi błąd, zostawiając tu tę linijkę.

– Mieliliśmy szczęście z tą linijką, co? – mówię.

Może moje złe przeczucia były na nic. Od samego początku.

A z drugiej strony, jeśli człowiek przejmuje się wszystkim, to prędzej czy później okaże się, że miał rację.

– Może i tak – odpowiada Jasper, ale widzę, że mnie nie słucha.

Nie martwi się, że znalezienie linijki to aż za duży fart. Jego wzrok jest wbity w moje dłonie, jakby Jasper chciał wyrwać mi linijkę z rąk.

– Chodzi mi o to, że to podejrzane. – Przerывam pracę i patrzę mu w oczy.

Jasper przytakuje i zerka na sklejkę. Kiedy wyciąga rękę, wygląda to tak, jakby sugerował, że powinniśmy na chwilę przerwać i dobrze to przemyśleć. Tymczasem on zabiera mi linijkę i wraca do odkręcania śrub. Tym razem idzie mu to szybciej.

Z zasobem nowych sił po krótkim odpoczynku, z następnymi dwiema śrubami poradził sobie szybko. Jest już w stanie odchylić sklejkę od ściany na jakieś dziesięć centymetrów. Kiwa głową w stronę otwartej szpary.

– Sprawdź, czy dziura jest na wylot – mówi do mnie szeptem.

Chce, żebym włożyła tam rękę, ale ja mam opory. Z wielu

powodów. Przede wszystkim jestem przekonana, że jak to zrobię, stanie się coś strasznego. W najlepszym razie ktoś mnie złapie od drugiej strony. Ale Jasper czeka. Ciężko się napracował, powinnam mu pomóc. Cały czas trzyma sklejkę odsuniętą od ściany. Uda ci się, Wylie, próbuję sobie dodać otuchy. Spróbuj.

W końcu robię krok do przodu. Biorę ostatni wdech i wkładam rękę w szparę. Wstrzymuję oddech, czekając na zęby wbijające mi się w skórę albo na nóż przepoławiający moją dłoń. Ale czuję tylko chłód i wilgoć. Coś płacze się między moimi palcami i po chwili zdaję sobie sprawę, że to pewnie ta wysoka trawa, która rośnie dookoła domku.

– Na wylot – mówię z ulgą.

W tej samej chwili na zewnątrz rozlega się jakiś dźwięk. Zgrzyt zamka, otwierane drzwi. Wyciągam rękę z dziury w ścianie, ale podwiniętym rękawem zahaczam o deskę, którą Jasper odruchowo puścił. Sklejka uderza mocno o ścianę, a ja szarpie mocniej, żeby się uwolnić. Oboje biegniemy na środek pokoju, tak daleko od komody, jak tylko się da.

Drzwi rozchylają się do końca. Rękę przeszywa mi piekący ból, od którego do oczu napływają łzy. Tyle łez, że niewiele widzę. W końcu ktoś wchodzi do środka. Energicznie mrugam zapłakanymi oczami i mam nadzieję, że to, co widzę, to nie halucynacja.

Przede mną, cała i zdrowa, stoi Cassie.

Gdy tylko Cassie, powłócząc nogami, wchodzi do środka, zamykają się za nią drzwi.

Wygląda okropnie. Ma kredowobiałą skórę, a w jej splątanych kasztanowych włosach pełno jest liści i gałązek. Jakby ją wleczono za nogi po ziemi. Jej ręce są brudne. Kolana, odsłonięte przez krótką spódnicę, też. Ale najgorsze jest to, że sprawia wrażenie kompletnie oszołomionej. Do tego porusza się sztywno i niezdarnie, jakby doznała rozległych poparzeń.

Ale żyje. Żyje. Dopiero teraz sobie uzmysławiam, jak bardzo się bałam, że okaże się inaczej.

– Cassie! – Jasper podbiega do niej i bierze ją w ramiona. – Dzięki Bogu, nic ci nie jest!

Nie opiera mu się. Nie jęczy z bólu, kiedy jej dotyka. Ale jest zeszywniała. Z wyprostowanymi rękami, w jego objęciach, wygląda, jakby ją ukrzyżowano. Przychodzi mi na myśl jej bielizna na podłodze. Zastanawiam się, jak mogła tam trafić. W miejscu takim jak to tylko coś naprawdę złego mogło sprawić, że dziewczyna straciła swoją bieliznę.

– Wszystko w porządku? – pyta Jasper i odsuwa się, żeby spojrzeć jej w oczy.

Ja też podchodzę bliżej. Cassie nie ma żadnych widocznych siniaków ani skaleczeń. Chciałabym jednak, żeby się odezwała. Żeby coś powiedziała. Cokolwiek. Ale ona tylko kręci głową. (Nie, nie wszystko w porządku. Czy: nie, nic mi nie jest?). Nagle odwraca się w moją stronę i wtula się we mnie.

– Już dobrze. – Głaszczę ją po włosach, a ona szlocha tak głośno, że brzmi jak zwierzę, które umiera w moich ramionach. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Wstyd mi, że mówię coś takiego. Bo to ewidentne kłamstwo.

– Cassie, co się stało? – pyta Jasper, kiedy jej płacz się trochę uspokaja. – Co to za miejsce?

– Nie wiem – odzywa się i w końcu mnie puszcza.

Opada bezwładnie na kanapę.

Patrzemy po sobie z Jasperem. Nie wie? Może ktoś podsunął jej

jakaś pigułkę na imprezie albo w barze, w którym nie powinna była się znaleźć. Może straciła przytomność i obudziła się już tutaj.

Przesuwam pudła, żeby bielizna Cassie znalazła się znów na widoku.

– Nic ci się nie stało? – pytam i pokazuję na jej majtki. – Ktoś się do ciebie dobierał?

– Nie, nie. – Pociąga nosem i wyciera twarz wierzchnią częścią dłoni. – Nic mi nie zrobili. Tylko mnie tu trzymają.

Zrobili. Trzymają. Trochę mnie to niepokoi. Jakby tych „ich” było dużo więcej niż nas. Siadam na kanapie obok Cassie.

– Karen do nas przyjechała. Powiedziała, że się pokłóciłyście, a potem poszłaś do szkoły. Jak się tu dostałaś?

Cassie kiwa głową i spuszcza wzrok.

– Znowu mówiła, że mnie wyśle do tej szkoły terapeutycznej, czyli do więzienia. Wściekłam się i użyłam słowa na „k”. I wtedy ona zwariowała. Zaczęła na mnie wrzeszczeć. Miałam tego dość, więc pojechałam autobusem do szkoły, ale wysiadłam dopiero w centrum. Nic nie robiłam, siedziałam sobie na ławce i w którymś momencie podszedł do mnie jakiś facet i powiedział, że przysłała go moja matka. Nie miał munduru policjanta, ale zamachał mi przed oczami jakąś odznaką i pomyślałam, że może był z kuratorium. – Cassie patrzy na Jaspera. – Musiałam z nim pójść, bo nie chciałam ryzykować... No wiesz.

Zerka to na niego, to na mnie. Jasper, ty wiesz o moich problemach z policją, mówią jej oczy.

– Powiedziałem Wylie, że cię aresztowali – mówi Jasper i spleta przed sobą ramiona. Powiedział to szybko i rzeczowo, jakby odrywał plaster. – Przykro mi, ale w tej sytuacji nie miałem wyboru.

– Aha. – Cassie rzuca mi przelotne spojrzenie, po czym znów spuszcza wzrok. – No w każdym razie, jak już wsiedliśmy do jego samochodu, to przyznał, że jest z tej szkoły z internatem, i powiedział, że muszę z nim pojechać, bo inaczej odda mnie w ręce policji. – Do oczu znów napływają jej łzy. Cassie mruga i patrzy na sufit. – Tym ludziom nie można odmówić. Jak będą musieli, to zarzucą ci worek na głowę. Myślałam o ucieczce, ale bałam się, że tylko pogorszę swoją sytuację.

– I to jest właśnie to miejsce? – pyta Jasper i rozgląda się



z niedowierzaniem po obskurnym domku. – Jakaś szkoła o zaostrzonym rygorze?

Mnie też nie chce się w to wierzyć.

– Tak myślałam, aż nie zamknęli mnie w jednej z tych gównianych chatek. – Zamiast smutku słyszę w jej głosie gniew, co jest pocieszające.

– Bo ewidentnie nie jest to żadna szkoła, nawet dla ćpunów. Więc zaczęłam wariować. Wrzeszczałam aż do zdarcia głosu.

Dla ćpunów. Ciekawy dobór słów, zważywszy na cały wątek metamfetaminy. Ciągłe mam wrażenie, że Cassie nie mówi prawdy, że coś przed nami ukrywa. Może wcale nie siedziała sobie niewinnie na ławce, zajmując się sobą, kiedy podszedł do niej ten człowiek.

– Czyli to wszystko nie ma nic wspólnego z narkotykami? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– Z narkotykami? – Cassie zerka na Jaspera, jakby chciała powiedzieć: Widzisz? Właśnie to miałam na myśli. Ona wiecznie mnie ocenia. – Dlaczego? Bo raz w życiu kupiłam zioło?

– Nie dlatego – Jasper wstawia się za mną, aczkolwiek niechętnie. – Na komisariacie powiedzieli nam, że do tych ośrodków przyjeżdżają tylko narkomani.

– Narkomani? – Cassie wybucha śmiechem i patrzy ze złością to na Jaspera, to na mnie. – Więc teraz myślicie, że jestem...

– Nie my. Policja – mówię na swoją obronę. – Ty nic nam nie chciałaś powiedzieć, to co mieliśmy sobie myśleć?

– Nie wiem, ale może nie od razu coś najgorszego. – Głos Cassie się załamuje. – Czasem jesteś jak moja mama.

Au! Coś najgorszego? Muszę przyznać, że coś w tym jest. Czyżby faktycznie łatwiej mi było uwierzyć w wersję z metamfetaminą niż w tę ze szkołą z internatem?

– I to wszystko? – pyta Jasper. – Nic więcej ci nie powiedzieli?

– Jest jeszcze jeden koleś. Nie ten dupek, który mnie tu przywiózł, i nie ten wariat za drzwiami – mówi Cassie. – Był nawet miły.

Powiedział, że mam się nie przejmować i że jestem tu, bo grozi mi niebezpieczeństwo. Nie z ich strony. Od kogoś innego. Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tą ich specjalną szkołą... – Jest jasne, że dla niej to też nie trzyma się kupy – Ale chyba faktycznie mnie przed kimś chronią.

– Przed kim? – pytam.

– Może przed sobą samą? Tylko to ma jakiś sens. – Cassie wzrusza ramionami. – Nie mam pojęcia. Więcej ponoć nie mógł mi powiedzieć.

– Ale dlaczego twoja mama to wszystko przemilczała? – dziwię się.

– Bo pewnie jest jej głupio. Raczej nie sądziła, że to miejsce będzie tak wyglądało. Widziałam broszury reklamowe.

Jeśli Karen ją tu umieściła, to rzeczywiście mogła to przemilczeć, kiedy prosiła nas o pomoc. Wydaje się to prawdopodobne.

– Czemu nie opisałaś tego wszystkiego, jak do nas esemesowałaś?

– Bo się bałam, że wtedy nie przyjedziecie.

Chciałabym ją zapewnić, że przyjechałabym bez względu na wszystko, ale to byłoby kłamstwo.

– Poza tym nie miałam czasu, żeby się tłumaczyć. Nie wiedzieli, że mam telefon. – Cassie pokazuje na swój biustonosz. Zawsze chowała do niego różne rzeczy: banknoty, szminkę, nawet komórkę. Ja z moją płaską klatką piersiową mogłam o czymś takim tylko pomarzyć.

– I musiałam stawać na krześle, żeby złapać zasięg. Nie chciałam, żebyście powiedzieli mojej mamie. Uznałam, że jeśli jednak wiedziała, jak to miejsce wygląda, to na bank im powie, że mam przy sobie komórkę. Wiesz, że ona nigdy nie przyzna się do błędu. Zresztą w końcu i tak mnie przyłapali. Powiedzieli, że wysyłając esemesy, narażam siebie i innych. I zabrali telefon.

– I naprawdę mówili, że cię zabiją? – pytam, myśląc o wiadomości, którą dostaliśmy w sklepie przy stacji.

– Jak to? – Cassie jest szczerze zdziwiona.

– Wysłałaś esemesa, żebyśmy nie wzywali policji, bo cię zabiją.

Cassie kręci głową i spuszcza wzrok.

– To już oni musieli napisać.

– Czyli to nie ty kazałaś nam iść na policję?

– Nie.

– Ciągłe mówisz „oni” – wtrąca się Jasper. – Ilu ich tu jest?

Cassie podnosi głowę, zastanawia się przez chwilę, po czym liczy na palcach.

– Ponad dziesięć osób.

– Ponad dziesięć?

Jasper patrzy nerwowo na drzwi. Nawet on nie poradziłby sobie z taką przewagą liczebną.

– Może więcej. Większość z nich widziałam tylko przez okno. Jest wśród nich kilka kobiet. Wszyscy wyglądają normalnie, co w sumie jest chyba jeszcze bardziej przerażające.

Milczymy przez minutę, która zdaje się trwać wieczność.

– No dobra – odzywa się wreszcie Jasper i klaszcze w dłoń jak kapitan drużyny sportowej. – Spadamy stąd.

Podchodzi do Cassie i podaje jej rękę. Ona ujmuje jego dłoń, ale na jej twarzy malują się tylko smutek i żal.

– Śmiało – mówi cicho Jasper. – Nic ci nie grozi. Wszystko będzie dobrze.

Wreszcie Cassie trochę się odpręży i nawet lekko uśmiecha.

Niesamowicie, jak mu się udało poprawić jej nastrój, nie robiąc właściwie nic. To pewnie miłość. Coś, o czym nie mam najmniejszego pojęcia.

Chwilę później stoimy z Cassie za plecami Jaspera, który zabiera się za ostatnie rzędy śrub.

– Co to jest? – pyta Cassie.

– Droga wyjścia – mówi Jasper i teraz w jego głosie jest taka pewność, że nawet ja zaczynam w to wierzyć.

– I co potem? – Cassie patrzy zmartwiona na okno.

– Potem biegniemy – tłumaczy Jasper.

– A co, jeśli nas złapią? – Cassie nie kryje strachu. – Tam stoi facet z karabinem, pamiętasz? A jeśli mówili prawdę i faktycznie mnie przed czymś chronią? Może tu jesteśmy bezpieczniejsi.

– Niby przed czym? – pytam, patrząc jej w oczy. – Myślałam, że w to nie wierzysz.

– Sama nie wiem – mówi, nie odrywając wzroku od okna. – Może naprawdę coś mi grozi. Ci ludzie właściwie nic mi nie zrobili. Chyba nie są tacy źli.

Wyglądam przez okno i czuję ucisk w żołądku. Muszę przyznać, że okolica jest dość przerażająca.

– Kimkolwiek są ci ludzie, mają na usługach tutejszą policję, a przynajmniej jednego gliniarza – mówi Jasper. – Zgarnęli cię z ulicy, a teraz wszystkich nas tu uwięzili. Więcej mi nie trzeba. Musimy stąd wiać.

Cassie długo mi się przygląda, jakby nie wiedziała, czy się z nim zgodzić. W końcu patrzy na moje dłonie i bierze je w swoje zimne palce.

– Wylie, co ci się stało? – pyta.

Mam krew na przedramieniu od trzech głębokich zacięć pod rękawem podciągniętym do łokcia, a do tego kilka szerokich, różowych zadrapań. Poczulałam ból, kiedy wyciągałam rękę z za sklejki, ale potem już nie. Ściskam ramię palcami jak opaską uciskową, co tylko budzi ból na nowo.

– To od drewna – tłumaczę i pokazuję na ścianę. – Za szybko szarpnęłam. Nic mi nie będzie.

Cassie wciąż patrzy na moją rękę.

– Dziękuję, że przyjechałaś – mówi. – Zwłaszcza po naszych wszystkich... – Bierze mnie za rękę, splatając swoje palce z moimi. – No wiesz.

– No pewnie, że przyjechałam – mówię i zerkam na Jaspiera pochłoniętego pracą. – Po to są przyjaciółki.

\* \* \*

Leżałyśmy z Cassie na kanapie, dotykając się stopami. Wsparte na poduszkach odrabiałymy pracę domową, jak niemal codziennie przez prawie dwa miesiące, które minęły od pogrzebu. I każdego dnia chciałam jej powiedzieć, że nie musi do mnie przychodzić i udawać, że się przyjaźnimy. Ale bałam się swojej reakcji, gdyby faktycznie przestała się u mnie zjawiać.

Za pierwszym razem obie zignorowałyśmy dzwonek do drzwi. Ja na pewno nie zamierzałam otwierać. Nawet gdyby to były kwiaty albo zapiekanka od sąsiada. Bo istniało też prawdopodobieństwo, że to kolejny dziennikarz. Nie wiem, co ich najbardziej pociągało w tej tragedii: gorzka ironia pośmiertnej nominacji do Nagrody Pulitzera czy fakt, że mama przeżyła tyle niebezpiecznych sytuacji w pracy, a zginęła kilometr od domu. A może to, że była piękna. W każdym razie dziennikarze zjawiali się jeden za drugim, bez względu na to, ile razy

mówiliśmy im, że mają się trzymać od nas z daleka.

Cassie też to wiedziała. I kiedy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci, nie wytrzymała. Żaden sąsiad z zapiekanką nie byłby tak wytrwały.

– Pozbędę się ich – powiedziała, wstając z kanapy. Minutę później rozległo się skrzypienie drzwi, potem przez chwilę było cicho, a następnie usłyszałam ściszony głos Cassie: – Co to ma być? – I jej ciężkie kroki na schodach werandy. – Hej! Wracaj tu, ty skurwysynu!

Niechętnie podniosłam się z sofy, żeby sprawdzić, co się stało. Frontowe drzwi domu były otwarte na oścież, a Cassie gdzieś zniknęła. Stałam na progu z oczami załzawionymi od marcowego chłodu. I wtedy zobaczyłam Cassie na ulicy. Stała przy ciemnozielonym samochodzie, w swoim kusym swetrze, krótkiej spódniczce i jasnych rajstopach w romby. Jej wciąż trochę kręcone, kasztanowe włosy unosiły się nad głową w podmuchach wiatru, przez co wyglądała jak rozwścieczona Meduza. Jedną rękę oparła na masce samochodu, drugą trzymała uniesioną wysoko w górę. Dopiero po chwili zobaczyłam, co trzyma w prawej dłoni – plastikowe niemowlę. Dostaliśmy ich w sumie sześć, ale ani jednego od wypadku mamy.

– Przecież umarła – wyszeptałam, stojąc w drzwiach. – Macie, czego chcieliście.

Cassie potrząsała lalką nad swoją głową.

– Wysiadaj, zjebie! – krzyczała. – Myślisz, że możesz im to ciągle robić?!

Już prawie zapomniałam o tych plastikowych niemowlętach. Chciałam tylko, żeby mama zjawiała się u mojego boku. Żeby wzruszyła ramionami i pokręciła głową: Nie masz wpływu na cały świat. Tak bardzo tego pragnęłam, że moje serce było bliskie pęknięcia. Nawet bym nie żałowała, gdyby pękło. Mimo całej mojej depresji nie myślałam o samobójstwie. A w każdym razie nie na poważnie. Ale czy chciałam umrzeć? Każdej minuty, każdego dnia.

Ten, kto siedział w aucie – zakładałam, że był to mężczyzna, chociaż nie widziałam za dobrze – musiał powiedzieć coś wyjątkowo wkurzającego, bo Cassie dosłownie oszalała.

– Wysiadaj, skurwysynu! – wrzasnęła i wskoczyła na maskę samochodu, a potem zaczęła uderzać w nią plastikowym dzieckiem.

Cieszyłam się. Chciałam, żeby rozbiła mu szybę, sięgnęła do środka i chwyciła go za gardło. Nagle ten facet w aucie – po prostu jakiś idiota, który nienawidził mojej matki za to, co jego zdaniem mówiły jej zdjęcia – stał się w moich oczach odpowiedzialny za jej śmierć. Na widok Cassie wymachującej lalką jak wariatka zapłonął we mnie mały płomyk nadziei, że kiedyś cały ten smutek, który mnie przepętnia, też wybuchnie i zamieni się w snop bezlitosnego ognia.

Kiedy tata zajechał przed dom, Cassie jeszcze stała na masce tamtego auta. Zatrzymał się z piskiem opon i wyskoczył z samochodu. Wyglądał, jakby zaraz miał się rzucić z pięściami na gościa od lalki. Boże, jak ja chciałam, żeby to zrobił. Ale on nawet nie spojrzał w jego stronę, tylko spokojnie przekonał Cassie, żeby zeszła z maski. Gdy tylko stanęła na ziemi, tamten odjechał. Mój tata rzucił lalkę na ziemię i tam leżała, aż ktoś – śmieciarz, sąsiad, przechodzień – ją podniósł i zabrał ze sobą.

– Co on powiedział? – spytałam Cassie, kiedy siedziałyśmy znowu na kanapie.

– Twój tata ma rację. To bez znaczenia – zbyła mnie. – To był wariat.

– Dla mnie to ma znaczenie. – Nie odrywałam od niej wzroku.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Powiedział: „Strzeżcie się fałszywych proroków”. – Cassie przewróciła oczami. – Nie wiem, jak twoja mama radziła sobie z takimi ludźmi. Ale możesz być spokojna, ta gadzina prędko tu nie wróci. Jak wlałam na jego samochód, to chyba się posikał.

Wiedziałam, że Cassie i mój tata mają rację. Ten człowiek, kimkolwiek był, nie miał znaczenia. Tak jak wszyscy, którzy nienawidzili mojej matki i jej zdjęć. Może nawet powinnam była być im wdzięczna, bo w pewnym sensie ich nienawiść utrzymywała ją przy życiu.

\* \* \*

– Prawie kończę – mówi szeptem Jasper. Zostały mu już ostatnie śruby, jedna w rogu i dwie wzdłuż krótszego boku. – Przytrzymajcie płytę, żeby nie spadła na podłogę, jak już wszystkie wykręcę. Będziemy musieli szybko biec. Najlepiej chyba w tamtą stronę. – Pokazuje na

przeciwległą ścianę domku, tę najbliżej lasu. – Bez zatrzymywania się, choćby nie wiem co. Nawet jakbyśmy mieli się rozdzielić. Każdy musi biec.

Naprawdę to robimy? Serce mi wali jak oszalałe. Jestem cała napięta, gotowa do ucieczki. Tak. Na to się zanosi. Wiem, że dam radę. Robiliśmy to z Jasperem ledwie parę godzin temu. Podchodzę bliżej, żeby złapać za sklejkę. Ale Cassie stoi nieruchomo i kręci głową.

– Nie wiem, czy powinniśmy... – urywa.

– Cassie, daj spokój. Po prostu się boisz – mówi Jasper. – Nie myślisz trzeźwo.

Nagle od drzwi słychać jakiś dźwięk. Znowu ktoś przekręca klucz i otwiera drzwi.

– Szybko – mówi Jasper.

Rozchodzimy się na trzy strony, z dala od ściany i deski ze sklejki – świadka naszej niedosłej ucieczki. Przynajmniej płyta jest na swoim miejscu. Jest nadzieja, że nikt nie odkryje naszego planu.

Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na to, kto pojawi się w drzwiach. Modłę się, żeby nie był to ten straszny człowiek z za okna. Nie chcę go zobaczyć z bliska. Ale przez próg przechodzi ktoś inny. Młody, normalnie wyglądający mężczyzna. Może o kilka lat starszy od nas. Ma kędzierzawe czarne włosy i ciepłe oczy schowane za okularami w kanciastych, ciemnych oprawkach. Ubrany jest w granatowe dżinsy, sznurowane buty i pomarańczową kamizelkę puchową na flanelowej koszuli. Ale nawet w tym stroju wygląda bardziej jak człowiek z wielkiego miasta niż myśliwy z Maine.

– Czołem – mówi głosem, który zdradza zakłopotanie, wręcz zdenerwowanie. Może zdaje sobie sprawę z tego, jak dziwna jest ta cała sytuacja. To dobry znak. – Mam na imię Quentin.

Przyniósł wodę w butelkach i batoniki z musli. Trzyma je niezręcznie w dłoniach i kiedy kładzie wszystko na stole, butelki momentalnie staczają się na podłogę, a on w pośpiechu zaczyna je zbierać.

– Nie wiem, na co się pisała matka Cassie, ale na pewno nie na to – mówi Jasper i robi krok w jego stronę. Trzyma ręce przy sobie, ale dłonie ma zaciśnięte w pięści. – A rodzice moi i Wylie nie godzili się na

nic. Nie możecie nas tu trzymać. To nielegalne pozbawienie wolności.

Kiedys Jasper będzie świetnym obrońcą. Jest bardzo przekonujący. Szkoda tylko, że nie mamy czym podeprzeć naszych gróźb. Quentin unosi w górę obie dłonie i otwiera szeroko oczy.

– Jesteście zdezorientowani i ja to rozumiem. Właśnie miałem wam... – Nagle gaśnie światło w szafie i wszyscy się wzdrygamy. – No i znów padł agregat. Zaczekajcie chwilę. – Quentin wystawia głowę za wciąż otwarte drzwi i wraca z dwiema lampami naftowymi. Wypełniają wnętrze domku ciepłym, żółtym światłem. – Teraz lepiej. Siedzenie po ciemku nikomu nie służy. Słuchajcie, żeby była jasność: trzymamy was tutaj dla waszego bezpieczeństwa. Spróbujcie nam zau...

– Żartujesz sobie? – Jasper robi jeszcze jeden krok do przodu. Jest dużo większy od tego całego Quentina. – Nie mamy nawet pojęcia, kim ty jesteś. Niby czemu mielibyśmy ci zaufać?

– Wszystko tam w porządku, Quentin? – Nosowy głos wywołuje jego imię tonem podwórkowego łobuza. To na pewno ten bezzębny wariat przypomina nam, że ciągle stoi za drzwiami. Z karabinem.

Quentin kręci głową i przewraca oczami.

– Tak, Stuart. Wszystko w porządku.

– Czyli to nie jest żadna szkoła z internatem? – pytam.

– Nie – odpowiada cicho Quentin, po czym zaciska usta i znów kręci głową. – I wszystkim nam tu przykro, że was okłamywaliśmy. Naprawdę mieliśmy nadzieję, że zdąży przyjechać i wszystko osobiście wam wytłumaczyć.

– Że kto zdąży przyjechać? O kim ty mówisz? – pytam.

– Jak to? – Quentin jest wyraźnie zbity z tropu. Patrzy to na mnie, to na Jaspiera i Cassie. – Twój tata, Wylie.



– Mój tata – słyszę swój własny głos. Nie pytam. Po prostu mówię coś, co nie ma sensu.

– Nie martw się. Nic mu nie jest – dodaje szybko Quentin. – Nie chciałem, żebyś pomyślała, że jest jakiś problem. Pewnie jedzie jakąś dłuższą trasą.

– Dlaczego mój tata tu jedzie? – Znowu czuję tętno w uszach.  
– Skąd go w ogóle znasz?

– Aha – mówi Quentin. Jest teraz jeszcze bardziej zdezorientowany i nawet trochę spięty. – Ty w ogóle nie wiesz, o czym ja mówię, tak?

– Co się tu dzieje?! – krzyczę tak głośno, że sama się boję.

– Spokojnie, spokojnie. – Quentin podnosi obie dłonie. – Twój tata wolał, żebyś została w domu, ale jak już Cassie... – Pokazuje na nią i niezręcznie się uśmiecha. – To znaczy, jak już wiedzieliśmy, że... Kazał nam sprowadzić was tutaj, żebyście byli bezpieczni. To jest najważniejsze.

– Nieprawda – mówię drżącym głosem, ledwo go z siebie dobywając.

Nie mogę w to uwierzyć. Bo to by oznaczało, że mój tata od początku wiedział, co się stało z Cassie. Stał niewzruszony w naszym salonie, a tymczasem Karen odchodziła od zmysłów. Karen i ja. Udawał, że nie ma o niczym pojęcia. Sprawiał wrażenie, jakby chciał pomóc, a tymczasem był współodpowiedzialny. Jakim trzeba być potworem, żeby coś takiego zrobić? I po co?

A jednak czuję podskórną, że jakiś klucz wreszcie trafił do właściwego zamka. Jestem przerażona tym, co się stanie, kiedy ktoś go przekreśli.

\* \* \*

– Ben, zdecydowałeś się w końcu, co zrobisz? – Mama zapytała o to tatę przy kolacji. W ostatnim dniu swojego życia.

Nie wiedziałam, o czym mówi. Czułam tylko, że szykuje się między nimi kolejna kłótnia, jedna z wielu, jakie w ostatnim czasie prowadzili w naszej obecności, nie tłumacząc nam, o co w nich chodzi. Ale sądząc po jego ściągniętych brwiach, tata doskonale wiedział.

I wcale mu się to nie podobało.

– Co miał zdecydować? – zapytałam. To nie mogło dotyczyć jego badań, bo już je ukończył i ich wyniki czekały na publikację. – Co się stało?

Tata rzucił mamie oskarżające spojrzenie. (Widzisz, co narobiłaś?).

– Mieliśmy na uczelni kilka włamań do sieci komputerowej – powiedział i zerknął w moją stronę. – Ale doktor Simons poprosił kolegę z wydziału informatyki, żeby zabezpieczył moje dane, dopóki uniwersytet nie ustali przyczyn problemu.

Mama założyła ręce.

– I to wszystko? – spytała. – Nie masz nic do dodania?

– Tak. Mam nadzieję, że to tyle. – Teraz to on patrzył ze złością na mamę.

Przestałam jeść. Nie wiem, o co się spierali, ale na pewno nie o bezpieczeństwo danych na uczelni. Spojrzałam na Gideona, ale on był pochłonięty pracą domową z chemii. Nigdy nie wiedziałam, czy nie dostrzegał kłótni naszych rodziców, czy po prostu go one nie obchodziły.

– Czyli wciąż nie rozmawiałaś z Simonsem o outlierach<sup>3</sup>? – naciskała mama. – Obiecałeś, że poruszysz z nim ten temat przy najbliższej okazji.

Tata wziął głęboki wdech, odłożył sztućce i spojrzał mamie prosto w oczy.

– Co to są outlierzy? – spytałam w nadziei na to, że jak mi to wytłumaczy, przestanę się martwić ich niechybnym rozwodem.

– To osoby, które przechodzą test taty z opaskami na oczach i w słuchawkach – powiedział Gideon, nie odrywając wzroku od zeszytu. Znał na wylot pracę naszego taty. Przeczytał wszystkie jego rozprawy naukowe i zawsze zasypywał go pytaniami. Częściowo wynikało to z jego fascynacji nauką, ale myślę, że chciał też po prostu poznać lepiej swojego ojca. – Ci z ESP<sup>4</sup>.

– To nie jest żadne ESP! – wrzasnął tata.

Gideon się wystraszył, poczerwieniały mu policzki. Przez chwilę myślałam, że się rozpłacze.

Ojciec zamknął oczy i ponownie wziął głęboki wdech.

– Przepraszam. Ale wiesz, jak nie cierpię tego porównania. Tylko

pomniejsza wagę moich badań. – Wyciągnął rękę do Gideona, ale go nie dotknął. – Nie powinienem był krzyczeć. Wybacz.

Na jego obronę muszę powiedzieć, że nawet ja wiedziałam o zakazie używania w naszym domu słów „postrzeżenie pozazmysłowe”. Nie byłabym w stanie zliczyć wszystkich przypadków, kiedy tata tłumaczył różnym ludziom, że nie zajmuje się takimi rzeczami. Ilekroć musiał to robić, słyszałam w jego głosie głęboką rezygnację.

– W takim razie czym są? – spytałam jeszcze raz, bo nie chciałam dłużej czekać na odpowiedź.

– Outlierzy to badani, których wyniki nie mieszczą się w rozkładzie normalnym. I tyle – powiedział tata. – Występują w najróżniejszych badaniach.

– Ale nie wszyscy outlierzy są równi w oczach Pana – rzuciła mama. – Mam rację, Ben?

Usłyszałam jakiś osobliwy ton, z jakim wypowiedziała jego imię. Jakby outlier było innym określeniem kochanki albo prostytutki.

– Percepcja pozazmysłowa to dosłownie czytanie w myślach, Gideon – powiedział tata, nie zwracając uwagi na słowa mamy.

– W starych testach dawali badanemu obrazek z jakimś kształtem, na którym miał się bardzo mocno skupić i myśleć tylko o nim – niebieski trójkąt, niebieski trójkąt i tak w kółko. A potem prosili drugą osobę, żeby zgadła, o czym ta pierwsza myśli. A tego nikt nie potrafi. Te badania nie miały nic wspólnego z inteligencją emocjonalną. Do pewnego stopnia ESP jest spokrewnione z aspektem postrzegania w badaniach nad inteligencją emocjonalną, bo w obu przypadkach chodzi o interpretowanie ludzkich zachowań. Osoby, które ja badałem, potrafiły odczytywać cudze emocje i umiejętność ta wzrastała, kiedy zamiast nieruchomych obrazków obserwowali rozmowy toczony na żywo. Outlierzy mieli zupełnie wyjątkowe zdolności, które wykraczały poza obszar moich badań. Rozpoznawali emocje, mimo że w trakcie testów mieli zasłonięte oczy i dźwiękoszczelne słuchawki na uszach. Na pewno warto się temu przyjrzeć bliżej.

– Musisz badać i badać, zanim cokolwiek komuś powiesz, dobrze mówię, Ben?

Znowu ją zignorował, ale jego twarz wyraźnie stężała.

– Na twoim miejscu badałbym tylko outlierów – powiedział Gideon, który ewidentnie nie dostrzegał napięcia między naszymi rodzicami. – Chciałbym zrozumieć, jak to robią, żeby samemu się tego nauczyć. Wtedy mógłbym zapanować nad światem.

Wpakował sobie do ust więcej jedzenia i szeroko się uśmiechnął.

– Nie da się tego nauczyć. To tak jak z IQ: możesz rozwinąć swoje umiejętności odczytywania cudzych emocji, ale tylko do pewnego stopnia – odparł tata, ale teraz już ciszej, prawie ze smutkiem. – Poza tym osobiste angażowanie się w prowadzone badania jest niebezpieczne i nieetyczne. Właśnie za to zwolniłem doktora Catona. To, czego chce naukowiec, jest nieistotne. Liczy się tylko prawda.

– Dobra, Jezu – powiedział cicho Gideon i wrócił do nabijania makaronu na widelec. – Żartowałem.

– Liczy się tylko prawda? – zapytała ostrym tonem mama i wstała, żeby napęlnić dzbanek wodą. Po czym, odwrócona do nas plecami, dodała: – Co za ironia, nie uważasz, Ben?

\* \* \*

– Zaraz, zaraz, czyli to ojciec Wylie kazał wam sprowadzić nas tutaj dla naszego bezpieczeństwa? – słyszę głos Jaspera, dochodzący jakby z daleka. – A niby co nam grozi?

Skup się, mówię sobie. Muszę się wziąć w garść i skoncentrować. Odpowiedź na to pytanie jest ważna. Tylko ja będę wiedziała, czy ma jakikolwiek sens.

Quentin jest coraz bardziej zakłopotany.

– Z tego, co wiem, to ludzie z jakiejś firmy. Jakiś koncern zbrojeniowy. – Na ostatnim słowie jego głos idzie do góry, jakby to było pytanie. – Nie znam szczegółów. Ale wiem, że interesują ich wyniki badań twojego taty. A może chcą jego pomocy. Zdaje się, że przed niczym się nie cofną, żeby osiągnąć swój cel. Nawet przed wyrządzeniem komuś krzywdy. Własnymi rękami. – Patrzy na swoje dłonie, jakby nie potrafił sobie czegoś takiego wyobrazić. – Może nawet za pomocą broni. Ludzie z koncernu zbrojeniowego pewnie mają broń, nie? Ale jak mówię, nie jestem ekspertem.

Czy moja matka o tym wiedziała? Czy to właśnie o to kłócili się

z tatą? Zabawne, jak człowiekowi czasem się zdaje, że chce tylko poznać prawdę, ale potem się okazuje, że aby cokolwiek naprawdę zrozumieć, musi się zapuścić w dużo głębsze i mroczniejsze obszary, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał.

– Przecież pisał do mnie, że mam wrócić do domu – mówię.

– Bo tego chciał, i to bardzo. Pierwotnie nie planował, że tu przyjedziecie. A w każdym razie nie wszyscy – tłumaczy Quentin, zerkając jednocześnie na Cassie. – I nagle się okazało, że ty i Jasper jesteście już w drodze. A to już było niebezpieczne.

– Zaraz, chwila – przerywa mu Jasper. – Co to znaczy „w każdym razie nie wszyscy”? Dlaczego spojrzaleś przy tym na Cassie?

Cieszę się, że to nie były tylko moje zwiady, ale jednocześnie boję się usłyszeć odpowiedź Quentina. Spoglądam na Cassie, która ma teraz bardzo dziwny, beznamiętny wyraz twarzy.

– Słuchajcie, to są skomplikowane sprawy, a ja już i tak jestem na głębokiej wodzie. Ja tu nie pełnię żadnej ważnej funkcji. – Quentin robi zamaszysty gest. Odnoszę wrażenie, że powiedział to z satysfakcją w głosie. – To doktor Simons tutaj wszystkim...

– Doktor Simons tu jest? – wchodzę mu w słowo.

– Tak. W głównym budynku – mówi Quentin z wyraźną ulgą.

Ale ja się wcale nie cieszę. Bo jeśli doktor Simons jest w tym ośrodku, to nie ma już żadnej szansy, żeby to wszystko okazało się wielkim nieporozumieniem, z którym mój ojciec nie ma nic wspólnego.

– Znasz go? – pyta podejrzliwym tonem Jasper. – Tego doktora Simonsa?

Kiwam twierdząco głową i wyjaśniam:

– To przyjaciel mojego taty.

– No to zaprowadź nas do niego, żeby nam wytłumaczył, co tu się dzieje – mówi Jasper i robi kilka kroków w kierunku drzwi.

– Jasne – odpowiada mu Quentin i momentalnie się czerwieni.

– Wiem, że to zabrzmia trochę głupio, ale ponieważ wysiadł prąd, to nie mogę was tam zabrać wszystkich naraz. Ci ludzie, o których wam wspominałem... Razem na otwartej przestrzeni będziemy dla nich zbyt łatwym celem?

Wszystko, co mówi, brzmi jak pytanie.

– Celem? – pyta Jasper. Jest zły, ale też trochę wystraszony. – Żartujesz?

Quentin kręci głową.

– To znaczy nie wiemy, czy już tu są, ale próbowali nas znaleźć. Tego jesteśmy pewni. Wylie, mogę cię teraz zaprowadzić do doktora Simonsa? Potem wrócę po resztę.

Kręciłam głową, jeszcze zanim skończył mówić. Nie, nie, nie. I nie jestem w stanie przestać nią kręcić, mimo że wszyscy się na mnie gapią. Nie chcę iść do doktora Simonsa. Za bardzo się boję tego, co powie o moim ojcu.

– Nie? – pyta Jasper, jakby nie mógł zrozumieć, co zresztą jest zrozumiałe.

– Nie – mówię w końcu na głos.

Jakaś część mnie karmi się nadzieją, że uda mi się stąd wyjechać, zanim poznam prawdę o tym, co się tutaj dzieje.

– W takim razie ja pójdę – proponuje Jasper.

– Nie – mówi głośno Cassie. – Zabierz mnie. To mnie tutaj celowo sprowadziliście. Powinam móc z nim porozmawiać.

– Wolałbym pójść pierwszy. – Jasper ścisną delikatnie dłoń Cassie i ponownie rusza w stronę drzwi. Na wypadek gdyby faktycznie ktoś w nas celował, to chciał powiedzieć. Albo gdyby się okazało, że to jakaś inna pułapka. – Nie martw się, poradzę sobie – zapewnia ją.

Od dobrych kilku minut gapimy się z Cassie na zamknięte drzwi.

– Badania mojego taty? – mówię w końcu. – Nikt nigdy się nimi nie interesował. Widziałaś, jak zręcznie ominął to pytanie? Myślę, że tylko ciebie tak naprawdę tu chcieli. Dlaczego?

Cassie kręci głową i wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

W ogóle nie jest zła na mojego ojca. W każdym razie nie tak zła, jak bym chciała.

Bo ja jestem wściekła. „W twoim stanie”. Jak śmiał tak powiedzieć, skoro wiedział, że za wszystkim stały te jego idiotyczne badania? Teraz chciałabym tylko znów mu wykrzyczeć, jak bardzo żałuję, że to nie on tamtego wieczoru kierował samochodem. Nie mogę

się pogodzić, że z dwojga moich rodziców to właśnie z nim muszę żyć dalej. Z kłamcą, który jest tak pochłonięty swoją głupią pracą, że nie ma nawet czasu, by ostrzec nas przed grożącym nam niebezpieczeństwem.

– Wiesz, że twoja mama była totalnie przerażona, jak do nas przyszła? A mój tata cały czas udawał, że nie ma o niczym pojęcia – mówię na wypadek, gdyby Cassie nie była jeszcze w pełni świadoma tego, jakim potworem jest mój ojciec.

– I co? Moja matka zasłużyła sobie na przerażenie. – Cassie znów wzrusza ramionami. – Nie sądzisz, że powinniśmy poczekać, aż się dowiemy, o co w tym wszystkim chodzi? Może twój tata nam to wszystko wyjaśni.

– Ach, jakaś ty wspaniałomyślna – rzucam kąśliwie, bo Cassie zaczyna mnie wkurzać. Własnej matce nigdy by nie dała takiego kredytu zaufania.

– Po prostu nie chcę, żebyś się martwiła – mówi. Nie chodzi jej o zwykłe martwienie się. Ma na myśli zamartwianie się, do jakiego tylko ja jestem zdolna. Jej wzrok wędruje w górę, do moich włosów. Jakby moja fryzura potwierdzała słuszność jej podejrzeń. Oczywiście wiem, że potwierdza. – Coś ty zrobiła? – pyta.

– Wyglądałam za bardzo jak ona – wyjaśniam jej. Wyjawienie komuś tej żalostnej prawdy przynosi mi ulgę. – Jak patrzyłam w lustro, widziałam tylko ją. Już nie mogłam tego znieść.

Cassie przytakuje. Wciąż patrzy na moje włosy, ale teraz bardziej rzeczowo niż z troską.

– Czekaaj, mam pomysł – mówi i podchodzi do swojej torby, ciągle leżącej na podłodze.

Widzę, jak podnosi swoje majtki i dyskretnie wkłada je do środka. W końcu wstaje i szeroko się uśmiechając, podnosi w górę dwie gumki do włosów.

– To twoja jedyna nadzieja. Siadaj.

Robię, co mi każe, a ona zaczyna przeczesywać moje włosy palcami w poszukiwaniu punktu zaczepienia.

– Co twoja bielizna robiła na wierzchu torby? – pytam, bo nie mogę przestać o tym myśleć. Bo czy to znaczy, że teraz niczego na sobie nie ma?

Nawet jeśli to wszystko rzeczywiście ma związek z badaniami mojego taty, to i tak jest jeszcze ten obrzydliwy człowiek pilnujący drzwi. Czy to on grzebał w jej rzeczach, wśród których z jakiegoś powodu była zapasowa para majtek? Cassie nie odpowiada, co mnie tylko bardziej martwi. Nie przestaje zajmować się moimi włosami. Podnoszę wzrok i kładę dłoń na jej dłoni.

– Cassie, proszę cię.

Przez chwilę tylko zagryza dolną wargę, a kiedy wreszcie na mnie patrzy, widzę, że ma zaszklone oczy.

– Jak mnie zgarnęli, nie byłam w mieście tylko po to, żeby uciec z domu. Poszłam tam, żeby się z kimś spotkać. Z jednym facetem. Plan był taki, że zamieszkałam u niego przez kilka dni i wkurzę tym matkę. Więc wzięłam ze sobą trochę ubrań. Majtki pewnie wypadły, jak wyciągałam bluzę z torby.

– Aha – bąkam, próbując nie dać po sobie poznać, że jestem zawiedziona jej niewiernością wobec Jaspera.

– Nie spotykaliśmy się długo – ciągnie Cassie. – Może kilka miesięcy.

Kilka miesięcy? Nawet z Jasperem nie była dłużej.

– Wiesz, co w tym było najbardziej porąbane? – pyta Cassie.

Nie, myślę, głośno zaś mówię:

– Co?

Jakby nic nie mogło być dla mnie za bardzo porąbane. W końcu jestem jej super-ekstra-najlepszą-nieoceniającą przyjaciółką.

– Zrobiłam to chyba dlatego, że Jasper jest taki fajny. Na początku miałam go za dupka, tak samo jak ty. A nawet ja zasługuję na dupka.

– Ale to nieprawda – oponuję, bo teraz również to wiem.

– Nie. Jest wyjątkowo dobrym człowiekiem. Z zasadami. – Cassie wyciera łzy z oczu. – Wiesz, że do dzisiaj wysyła wszystkie zarobione pieniądze do człowieka, którego jego ojciec prawie pobił na śmierć? Wyobrażasz sobie stanie na zmywaku w jakiejś knajpie i pozbywanie się całej forsy?

– Nie.

– Ja też nie. – Przez chwilę Cassie patrzy w milczeniu na swoje palce. – No i co taki wspaniały chłopak mógł we mnie widzieć? Oprócz,



wiesz... – Pokazuje na siebie; ma na myśli swój wygląd. – Ale praktycznie musiałam go zmuszać do seksu, bo on ciągle mówił, że nie ma pośpiechu, nie ma pośpiechu. To było aż za doskonale. Więc co zrobiłam? – Cassie imituje gestem eksplozję.

– Wszyscy popełniamy błędy – stwierdzam, co przywodzi mi na myśl słowa Jaspera i napełnia jeszcze głębszym współczuciem.

– Ale nikogo aktywnie nie szukałam – ciągnie Cassie, jakby to była okoliczność łagodząca. – Po prostu miałam dyżur w pracy, robiłam swoje i któregoś dnia ten koleś po prostu się zjawił.

– To, że poznałaś kogoś, kogo lubisz bardziej niż Jaspera, nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem.

Mam rację, ale byłoby dużo lepiej, gdyby zerwała z Jasperem, zanim zaczęła się spotykać z tym drugim.

Cassie kręci głową i patrzy na swoje dłonie, które zwinęła w pięści.

– To już nieaktualne. Totalnie źle go oceniłam. – Łzy płyną teraz po jej policzkach. – Jest strasznym, naprawdę strasznym człowiekiem. Teraz już to wiem. – Uśmiecha się smutno. Jest sobą zniesmaczona.

– Wszystko w porządku? – pytam, bo nie zabrzmiało to za dobrze, nawet biorąc pod uwagę jej skłonność do przesady. Jednak teraz nie udaje. Widzę w niej szczerą rozpacz. – Co się stało?

Szuka w moich oczach czegoś, czego najwyraźniej nie znajduje, bo tylko zaciska mocniej wargi i spuszcza wzrok.

– Powiem ci, ale jeszcze nie teraz – mówi, pokazując na domek. (Nie tutaj, nie teraz, kiedy to wszystko się dzieje). Ale w jej głosie jest coś jeszcze, jakiś ton, który sugeruje, że powiedziałam coś nie tak albo że nie do końca ją rozumiem. Cassie drapie się po mokrych policzkach. – Powiedziałabym ci o nim już wcześniej, ale wtedy ze sobą nie rozmawialiśmy. Może nawet się cieszyłam, że nie zobaczę znowu tego twojego zawiedzionego wyrazu twarzy.

– Nie byłabym...

– Oj, proszę cię. Nawet teraz tak na mnie patrzysz.

Ma rację. Sama czuję, że zrobiłam tę minę. To silniejsze ode mnie.

– Nieważne, co ja myślę – mówię. – Spójrz na mnie. Ledwo ogarniam. I nic nie wiem.

– Wiesz więcej, niż ci się zdaje, Wylie – odpowiada cicho Cassie

i rzuca mi wymuszony uśmiech. – Choć niekoniecznie o fryzjerstwie.

Wraca do układania moich włosów. Cmoka sobie przy tym i nuci, a ja momentalnie wracam myślami do dnia wypadku, kiedy Cassie przyszła do mnie do domu i zaplotła mi warkocze. Jest coś w tym jej geście, który teraz powtarza, co sprawia, że chce mi się płakać.

– Doskonale – mówi w końcu i robi krok w tył, żeby ocenić swoje dzieło. – Chodź, zobacz.

Macha do mnie, żebym podeszła do okna, i podnosi lampę naftową, pokazując mi moje odbicie w szybie. Tym razem miałam za krótkie włosy, żeby porządnie je zapleść i przygotować na nadchodzącą walkę. A mimo to udało się jej tego dokonać. Moje włosy są nadal bardzo krótkie i postrzępione, ale Cassie zaplotła mi francuza na skos przez czubek głowy i zebrała wszystkie luźne kosmyki. Wygląda trochę jak w stylu boho-chic i prawie mi z nim do twarzy. Może nawet ładniej niż przed moimi szalonymi samodzielnyymi postrzyżynami.

– Nieźle – kwituje Cassie, choć w jej głosie pobrzmiewa smutek.

– Dziękuję.

Normalniejszy wygląd od razu poprawił mi nastrój, choć wiem, że nigdy nie będę się czuła normalna.

– Nie. To ja tobie dziękuję. – Cassie mocno mnie przytula od tyłu.

– Za to, że zawsze przybywasz mi na ratunek.

Cassie stoi ciągle z twarzą wtuloną w moje włosy, kiedy otwierają się drzwi. Quentin wygląda na zmieszanego, kiedy się orientuje, że nam w czymś przeszkodził.

– Przepraszam, chciałem... – Nagle w szafie znów zapala się żarówka i Quentin oddycha z ulgą. – O, super. Teraz mogę zabrać was obie jednocześnie. Jesteście gotowe?

Próbuję wziąć wdech i czuję w gardle kwaśny smak. Nie, nie jestem gotowa.

– Tak – odpowiada Cassie.

Kto wie? Może ma rację. Może powinnam poznać wszystkie fakty, zanim uznam moją tatę za winnego. W końcu robię krok w przód i staję obok niej.

– Gotowe – mówię.

Idziemy w milczeniu za Quentinem. Jest środek nocy, na pewno minęła północ, ale dzięki światłu bijącemu od głównego budynku zrobiło się jaśniej. Mimo to idę przez otwarty teren z nieprzyjemnym uczuciem bycia obserwowaną. Niebezpieczni ludzie z firmy zbrojeniowej – z jednej strony brzmi to idiotycznie, a z drugiej wydaje się być całkiem prawdopodobne. To by tłumaczyło epizod z Lexi i Dougiem. Zwłaszcza Doug mógł być zawodowym zabójcą. Jeśli na naszym tropie są kolejni podobni do niego osobnicy, to nie wyobrażam sobie, żeby doktor Simons i jego ludzie mogli stawić im czoła.

Ale kiedy oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, czy nie okrąża nas jakiś oddział wojska, widzę tylko Stuarta z karabinem, przechadzającego się wte i wewte przed domkiem, z którego właśnie wyszliśmy.

– Przepraszam za niego – odzywa się Quentin. – Mamy ograniczone możliwości, jeśli idzie o środki bezpieczeństwa. Twój tata na pewno się nie ucieszy na jego widok.

Mój tata nie wie o bezzębnym strażniku uzbrojonym w karabin? Może to nie jest jedyna rzecz, o jakiej nie ma pojęcia. Może nie wie, że Cassie już tu była, kiedy Karen zjawiała się w naszym domu. A może

tylko rozpaczliwie szukam jakichkolwiek dowodów na to, że mój ojciec nie jest kłamcą.

– A tamten policjant? – pytam.

– Funkcjonariusz Kendall? Z kimś się tutaj przyjaźni, nie jestem pewien, z kim – odpowiada Quentin. – Ale to dobry człowiek. Pomógł nam oczyścić obóz i obiecał przez kilka dni pilnować, żeby nikt się tu nie zjawił. Potrzebne nam było dobrze ukryte miejsce. Przynajmniej na czas rozeznania się w sytuacji.

– To czemu nam tego od razu nie powiedział? – pytam, gdy dochodzimy do schodów głównego budynku.

Quentin nie ma czasu odpowiedzieć, bo drzwi się otwierają i z domu wychodzi dwóch mężczyzn ubranych w luźne dżinsy. Pierwszy jest niski, ostrzyżony na jeża, z ciemnymi kręgami pod oczami. Na wewnętrznej stronie przedramienia ma wytatuowaną kratkę z kilkoma kółkami – przypomina to jakąś grę planszową. Drugi jest dużo wyższy, ma duże policzki i taki sam tatuaż, ale na szyi. Każdy niesie pod pachą laptop. Wyglądają młodo, ale są starsi ode mnie i Cassie. I od Quentina również.

– O, czołem – mówi do nich Quentin, trochę przestraszony i zdenerwowany. Wyraźnie udaje wyluzowanego, ale nie jest w tym dobry. – Jeszcze raz dzięki, że przyjechaliście. Wiem, że to dla was nietypowe.

– Fakt – burczy pod nosem ten z krótkimi włosami, nie zwalniając przy tym kroku. – Dosyć nietypowe.

– Na razie – rzuca jego kumpel i zbiega po schodach.

Patrzemy, jak zapalają papierosy i idą dalej podjazdem dla samochodów, a w końcu znikają w ciemnościach.

– Kto to był? – pytam.

– Haktywiści? – odpowiada Quentin, a gdy kończy wymawiać to słowo, ton jego głosu wędruje do góry jeszcze mocniej niż zwykle.

– Chociaż oni chyba nie lubią, jak się tak na nich mówi. Zdaje się, że mało co lubią.

– Haktywiści? – prychna Cassie, a ja nie rozumiem, dlaczego właśnie to wydało się jej w całej tej sytuacji aż tak niedorzeczne.

– Level99 – ciągnie Quentin. – Choć oni pewnie by się do tego nie

przyznali. Są jak CIA, tylko z tatuażami. – Wzrusza lekceważąco ramionami. – Ale zgodzili się przyjechać, żeby sprawdzić, kto wykradł dane twojego taty, i zabezpieczyć nasze smartfony. Mamy tu taki chaos, że nie chcieliśmy ryzykować robienia tego zdalnie. Na jakiś czas odcięli nam wszystkie połączenia i dlatego kiedy się zjawiliście, Kendall nie mógł się do nas dodzwonić, żeby zapytać, ile powinien wam powiedzieć. A z powodu awarii agregatu nie wiedzieliśmy, że to on, dopóki nie przyszedł do głównego budynku. Na wszelki wypadek wszyscy się ukrywaliśmy.

– Mój tata faktycznie wspominał coś o włamaniu do jego systemu.  
– Z lekką ulgą stwierdzam, że przynajmniej te dwa kawałki układanki do siebie pasują, nawet jeśli to oznacza, że mój ojciec jednak ma z tym wszystkim coś wspólnego. – Ale twierdził, że to dotyczyło całej uczelni.

– Bo tak mogło być – mówi Quentin, choć jest oczywiste, że sam w to nie wierzy. – Wielu rzeczy jeszcze nie wiemy.

W środku główny budynek w niczym nie przypomina chaty, w której byliśmy zamknięci. Meble są stare, ale pomieszczenie jest jasno oświetlone i nieskazitelnie czyste. Długie stoły piknikowe i ławy ustawione są w dwóch równiutkich rzędach. Okna wyglądają na nowe. Kilka jest otwartych i na wietrze powiewają wypłowiałe zasłony. Nigdzie nie widzę siatki przeciw komarom. Na końcu sali stoi większy stół przykryty zielonym obrusem, a na nim dwie urny kawowe z nierdzewnej stali. Obok stos białych kubków. Jakby miała się tu zjawić duża grupa ludzi, a tymczasem nie ma nikogo.

Stoję z Quentinem i Cassie przy drzwiach. Z przeciwnej strony do pokoju wchodzi stara kobieta. Wygląda na kruchą, ale porusza się energicznie. W żyłastych rękach niesie stertę poskładanych ręczników.

– Cześć, Miriam! – woła do niej Quentin, ale jakoś ostrożnie, jakby nie chciał jej wystraszyć.

– Ojej! – Miriam i tak podskakuje i przyciska dłoń do kościstej klatki piersiowej. – Nie widziałam cię.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Widziałaś gdzieś doktora Simonsa z młodym mężczyzną?

– Przed chwilą tu byli – odpowiada kobieta i rozgląda się dookoła.

Nie dostrzegłszy ich, zagląda pod stół, jakby mogli się tam skrywać. – Zaraz, zaraz, już pamiętam. Doktor Simons zabrał tego chłopaka do biura, żeby pokazać mu coś w komputerze.

– Okej, dzięki – mówi Quentin i delikatnie się uśmiechając, idzie w stronę drzwi. – Miriam była sanitariuszką podczas wojny w Wietnamie. Opowiada niesamowite historie.

– I zna mojego tatę? – pytam zdziwiona, bo mój ojciec nie ma przyjaciół. Ale może znajomość z tymi wszystkimi ludźmi to po prostu kolejne z jego wielu kłamstw.

– Jego albo doktora Simonsa, nie pamiętam. Każdy tutaj zna któregoś z nich albo kogoś, kto ich zna. Miriam jest archiwistką w bibliotece uniwersyteckiej, może stamtąd się znają. – Biblioteka to ulubione miejsce mojego taty na całej uczelni. – Są tu prawie sami profesorowie albo doktoranci, z wyjątkiem mnie i Miriam. Doktor Simons był moim wykładowcą w Stanfordzie, zanim mnie stamtąd wyrzucili.

– Aha – bąkam, starając się nie okazać rozczarowania.

– Tak. Okazuje się, że wolą tam studentów, którzy uczęszczają na wykłady. Ale dzięki doktorowi Simonsowi dali mi przynajmniej szansę, żebym odszedł dobrowolnie. Teraz studiuję w Massachusetts. Może to nie ten prestiż, ale przynajmniej wiem, że dostanę dyplom.

Cassie, która do tej pory stała przy drzwiach, wreszcie podchodzi bliżej.

– Możemy poszukać Jaspera? – pyta zniecierpliwionym tonem.

– Muszę z nim porozmawiać.

Mam nadzieję, że nie zamierza w tych okolicznościach przyznać się do romansu. Powiedzieć mi to jedno, ale wyznać prawdę Jasperowi to zupełnie co innego.

– Nie wolisz z tym poczekać, aż wrócimy do domu?

– Nie ma problemu – mówi Quentin, oczywiście nie rozumiejąc kontekstu. – Chodźmy.

W tym samym momencie w drzwiach na tyłach sali staje starszy, niski mężczyzna z kręconymi siwymi włosami dookoła głowy i łysiną na czubku. Ma na sobie spodnie khaki i warkoczowy sweter w burgundowym kolorze, który opina jego obfity brzuch. Doktor

Simons. Wszystkie jego zdjęcia, jakie widziałam, były stare, ale łysina na czubku głowy i ten sweter pozostały bez zmian.

– Doktorze Simons, to jest Wylie – Quentin zwraca się do niego takim tonem, jakbym była prezentem.

– Wylie! – woła doktor Simons i twarz mu się rozjaśnia. – Mój Boże, twój tata wspominał, że jesteś wysoka, ale nie wiedziałem, że wyższa ode mnie!

Ojciec uwielbia chwalić się przed ludźmi moim wzrostem, mimo że wcale nie jest ponadprzeciętny. Pewnie to dlatego, że w jego mniemaniu tylko pod tym względem rozwijam się prawidłowo, więc może o tym swobodnie mówić.

Dłoń doktora Simonsa jest ciepła i mocna.

– Usiądźcie – mówi, pokazując na najbliższy stół. – Przepraszam za tę całą maskaradę. Twój tata i ja robimy wszystko, żeby opanować tę... – bierze głęboki wdech i zerka na drzwi – niemożliwą do opanowania sytuację.

– Jasper jest w biurze? – pyta Quentin. – Cassie chciała z nim porozmawiać.

– Tak, oczywiście – odpowiada Simons po chwili wahania, jakby nie pamiętał, gdzie go zostawił. Zastanawiam się, czy aby nie jest na tym samym poziomie umysłowym co Miriam. – Adam pokazuje mu właśnie materiały testowe.

– Chodź, zaprowadzę cię – zwraca się Quentin do Cassie.

Cassie patrzy na mnie załzawionym, zmartwionym wzrokiem.

– Chyba że chcesz, żebym z tobą została – mówi.

– Nie, możesz iść – zapewniam ją, mimo że wolałabym mieć ją przy sobie. Dla swojego dobra i jej. Jasper nie ucieszy się na wieść o tym, że jego podejrzenia były słuszne. – Ale zastanów się, czy nie lepiej z tym poczekać. Prawda nie ucieknie.

– Okej – mówi i podchodzi, żeby uścisnąć moją dłoń. – Zastanowię się.

Ale kiedy idzie w stronę drzwi biura, widzę, że już zagryza dolną wargę. Z niczym nie zamierza czekać.

– Przed chwilą rozmawiałem z twoim tatą. Jest jeszcze dość daleko stąd – mówi doktor Simons i siada na krześle. Rzuca okiem na zegarek.

Jeśli próbuje ukryć zaniepokojenie, to słabo mu idzie. Zegar na ścianie pokazuje wpół do czwartej rano. Jest później, niż myślałam. Boję się zapytać, o której miał się zjawić mój ojciec. – Z oczywistych względów musiał pojechać nieco okrężną drogą.

– Dla mnie one nie są oczywiste – mówię, sadowiąc się naprzeciwko niego. – Nie chcę być niemiła, ale nic tutaj nie jest oczywiste.

– No tak, rozumiem. Jak chcesz, możesz do niego zadzwonić.

– Doktor Simons rozgląda się za telefonem. – Tutaj mamy zasięg, sygnał jest wzmocniony. Twojemu tacie jest bardzo przykro, że cię okłamał, gdy przyszła do was Karen. Wszystko to go mocno zaskoczyło. A co do późniejszych esemesów... on naprawdę nie chciał, żebyś się w to wmieszała.

– I dlatego kazał panu podawać się za Cassie i pisać, że ktoś ją zabije?

– Na obronę twojego taty powiem, że ta konkretna wiadomość to był mój pomysł. – Doktor Simons bierze głęboki wdech i pociera dłonią czoło. – Zdaję sobie sprawę, że niepotrzebnie cię wystraszyłem, ale byliście wtedy w drodze, a chcieliśmy sprowadzić was tutaj jak najszybciej. Mogłem to zrobić w jakiś inny sposób, teraz to rozumiem. Zapytaj o to tatę. Kiedy się dowiedział o moim esemesie, nie był zadowolony.

Wyjmuję komórkę z kieszeni. Mam zasięg i nową wiadomość od taty.

**Przepraszam. Za wszystko.**

Moje głupie serce na chwilę przyspiesza. Czyli jednak nie znienawidzę swojego ojca na zawsze? Chyba mam taką nadzieję. Większą, niżbym się spodziewała.

**Gdzie jesteś?** – odpisuję zamiast dzwonić. Boję się, że jeśli usłyszę jego głos, znowu się na niego wścieknę. Że w jakiś sposób uda mu się zniwelować całe wstawiennictwo doktora Simonsa. **Kiedy wreszcie tu dojedziesz?**

**Jeszcze kilka godzin**, nadchodzi szybka odpowiedź. **Musiałem się na chwilę zatrzymać. Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię, jak będę na miejscu. Ale pytaj o wszystko doktora Simonsa. Możesz mu zaufać.**



**Cieszę się, że nic ci nie jest. Kocham cię, Kłębku. Tata.**

Kłębek. Przewisko, które wziął z moich ulubionych dziecięcych książek o wylęknionym kocie, który pokonuje swój strach dzięki werwie i z pomocą przyjaciół. Tata już od lat mnie tak nie nazwał. Musi mu być naprawdę przykro.

**OK**, odpisuję. Tyle wystarczy, bo choćby nie wiem jak słodkie przewiska sobie przypomniał, nie jestem jeszcze gotowa wszystkiego mu wybaczyć.

– Udało się? – pyta doktor Simons.

Kiwam głową.

– Przez kilka ostatnich tygodni twój ojciec się zastanawiał, czy nie ostrzec ciebie i Gideona o ludziach z North Point. Ale nic nie wskazywało, że niebezpieczeństwo, jakie stwarzali – przynajmniej wobec was dwojga – było wiarygodne lub bliskie. Ze względu na twój stan nie chciał cię niepotrzebnie martwić.

Mój stan. Dokładne słowa taty. Najwyraźniej tak o mnie mówi swoim znajomym. Już prawie byłam gotowa, żeby mu wybaczyć, a on znów udowadnia, jaki z niego dupek.

Splatam ramiona i odzywam się najspokojniejszym tonem, na jaki mnie obecnie stać, bo zła jestem na ojca, nie na doktora Simonsa, a wiem, że jeśli będę dla niego niemiła, nie dostanę tego, czego chcę: informacji.

– Co to jest North Point?

– Firma zbrojeniowa. Głębokie powiązania z wojskiem, jeszcze głębsze kieszenie. I ewidentnie nieograniczona determinacja. Marzy im się pełny dostęp do wyników badań twojego ojca.

– I to oni są tym zagrożeniem, o którym wszyscy tu mówią?

Doktor Simons przytakuje.

– Ale żeby była jasność: nie mamy pewności, czy już nas namierzili. Na wszelki wypadek zachowujemy wyjątkową ostrożność.

Przychodzi mi na myśl czerwona twarz Douga, to spojrzenie, które mi rzucił w restauracji, jakby chciał mnie zabić. Przypominam sobie, z jaką łatwością gonił nas przez las, mimo że tak mocno krwawił. Obecność doktora Simonsa i Quentina nie sprawia, że czuję się spokojna o nasze bezpieczeństwo, kiedy ci z North Point w końcu nas znajdą.

A już raz im się udało.

– Myślę, że są bliżej, niż się wam wydaje – mówię.

Doktor Simons otwiera szeroko oczy i pyta:

– Jak to?

– Nasz samochód się zepsuł i poprosiliśmy jakichś ludzi o podwiezienie. – Będę musiała się streszczać, jeśli chcę opowiedzieć mu całą historię. – Udawali, że mają małe dziecko, i jak się zorientowałam, że fotelik samochodowy jest pusty, próbowaliśmy uciec. Facet miał na imię Doug, a przynajmniej tak się przedstawił. Rzucił się na Jaspera i musiałam go... Ledwo udało się nam zwać.

Nie potrafię się zmusić do powiedzenia o nożu. Zwłaszcza że doktor Simons już i tak uważa, że jestem w jakimś „stanie”.

– To rzeczywiście mogli być oni. Wiedzieliśmy, że skorzystają z każdej okazji, żeby cię przechwycić i w ten sposób zmusić twojego tatę do współpracy. Dlatego tak ważne było, żebyś jak najszybciej tu trafiła – mówi cicho doktor Simons i patrzy na mnie swoimi smutnymi piwnymi oczami. – Wcale nie jestem pewien, że wasza prośba o pomoc była całkiem dobrowolna. Ci ludzie są niesamowicie inteligentni. I bardzo dobrze wyszkoleni.

Zamykam oczy i naraz wszystko sobie przypominam.

– Przez parę minut oboje byliśmy w sklepie, a oni stali przy samochodzie – mówię. Wtedy z łatwością mogli uszkodzić rozrusznik w naszym jeepie. – Ale na stacji benzynowej byli przed nami. Skąd mogli wiedzieć, że się tam zatrzymamy?

– Prawdopodobnie przechwytywali esemesy od Cassie. Dzięki naszym hakerom to się więcej nie powtórzy. Jej instrukcje mogły im wystarczyć do przewidzenia, gdzie zrobicie postój. W innych miejscach mogli na was czekać inni.

Chyba jednak dobrze zrobili, że w końcu zabrali Cassie telefon, bo swoimi wiadomościami mogła nam bardzo zaszkodzić.

– Ale po co przywoziliście tu Cassie? I dlaczego mój tata udawał przez telefon, że nie wie, gdzie ona jest? Z tego, co mówił, wynikało, że tylko ja to wiem. I że mam mu powiedzieć.

– Mogę cię zapewnić, że wszystko, co robił twój ojciec, miało na celu zapewnienie ci bezpieczeństwa. Nie chciał, żebyś miała cokolwiek

wspólnego z tą historią. Pewnie podejrzewał, że dostajesz fałszywe wiadomości od kogoś, kto podszywa się pod Cassie. Pamiętaj, myśmy nie wiedzieli, że Cassie ma swoją komórkę. Nie mogliśmy wiedzieć, że będzie do ciebie pisała. Myślę też, że nie chciał mówić za dużo przez telefon. Wiedzieliśmy, że ktoś uzyskał dostęp do naszej korespondencji. Aż do teraz nie była zabezpieczona. Twój tata bał się ujawnić coś ważnego.

– To i tak się nie trzyma kupy – mówię. Poszczególne elementy może do siebie pasują, ale nie wyłania się z nich żaden sensowny obraz. – I dlaczego akurat badania mojego taty? Dotąd nikt się nimi nie interesował.

Doktor Simons marszczy brwi.

– Czy twój ojciec mówił ci o outlierach?

– Tak. Chociaż nie, niezupełnie. – Bo to Gideon mi to wytłumaczył. Nie ma potrzeby przypisywać tej zasługi tacie. – To ci nienormalni.

Simons przytakuje.

– Całkiem trafna definicja. Outlierzy to grupa badanych, którzy wykazali jednoczesną zdolność do niewzrokowej i niesłuchowej percepcji uczuć – klaruje. – Innymi słowy, ludzie, którzy umieją odczytać cudze emocje z zasłoniętymi oczami i ze słuchawkami na uszach. Nie było ich wielu, stanowią raczej przypadkowy efekt uboczny badań. Ten segment osób badanych miał stanowić grupę kontrolną. Twój ojciec zajmował się percepcją uczuć w przypadku rozmów toczonych na żywo. Nie przyszło mu nawet do głowy, że znajdą się ludzie, którzy bez jakichkolwiek sygnałów wzrokowych i słuchowych będą w stanie dokonać trafnych ocen. Odkrycie takich jednostek może mieć niewyobrażalne skutki.

– Jakie? – pytam i przetykam ślinę, bo czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Na przykład wywiad amerykańskiej marynarki wojennej od lat próbuje zastosować intuicję na polu bitwy i takie odkrycie stanowiłoby przełom w ich badaniach – mówi Simons. – Podejrzewam, że North Point interesuje się outlierami z tego samego powodu. Ich celem jest zapewne opracowanie na ich podstawie jakiejś nowoczesnej strategii

albo technologii wojskowej.

– To czemu sami nie odtworzą tych badań, żeby znaleźć swoich własnych outlierów?

– Próbowali, ale bezskutecznie. W badaniach twojego taty outlierzy byli niezamierzonym, przypadkowym efektem ubocznym. Informację o nich zawarł tylko w przypisach statystycznych.

– To znaczy?

– Byli wypadkiem przy pracy – tłumaczy doktor Simons. – Jak dotąd wiemy o istnieniu tylko trojga outlierów. Co ciekawe, wszyscy byli poniżej minimalnego założonego wieku dla osób badanych. Żaden nie miał osiemnastu lat. Dwoje z nich znalazło się w opublikowanym raporcie tylko dlatego, że dane z eksperymentów zostały błędnie wprowadzone przez asystenta twojego ojca.

Zatem to wszystko wina doktora Catona, który popełnił głupi błąd? To by tłumaczyło, dlaczego mój tata był na niego taki zły.

– Chodzi o doktora Catona? – pytam.

– Właśnie. – Doktor Simons bierze głęboki wdech i kładzie obie dłonie na blacie stołu, jakby chciał podkreślić wagę następujących zdań.

– Ponieważ tym z North Point nie udało się odtworzyć badania, uznali, że jedynym wyjściem jest znalezienie twojego ojca, który nie tylko wie, że wiek badanych jest kluczową cechą charakterystyczną outlierów – bo to wie kilka osób, w tym ja – ale przede wszystkim zna nazwiska całej trójki.

Po wyrazie jego twarzy orientuję się, że to jest właśnie ta najważniejsza wiadomość, którą zamierzał mi przekazać, że tu kryje się klucz do zrozumienia naszej obecnej sytuacji.

– Zaraz, zaraz. To znaczy, że ci ludzie dosłownie chcą się dobrać do mojego ojca?

Simons przytakuje.

– Tak uważamy. Ale, jak już mówiłem, powzięliśmy wszelkie środki ostrożności. Dopiero niedawno zdaliśmy sobie sprawę z ich zamiarów. Zaraz potem twój tata ruszył w drogę.

– Super – rzucam z przekąsem, bo ta wiadomość bynajmniej mnie nie pocieszyła. – A co z Gideonem? Jeśli tamci polują na tatę i na mnie, a on siedzi teraz sam w domu...

– Nasi hakerzy pomogli nam przechwycić wiadomości między ludźmi North Point, więc wiemy, że przynajmniej na razie nikt nie kieruje się w stronę waszego domu – uspokaja mnie doktor Simons.  
– Ale na wszelki wypadek pilnuje go znajomy funkcjonariusza Kendalla z policji bostońskiej.

Teraz mam wyrzuty sumienia, że wyjechałam z domu. Tata jednak miał rację, namawiając mnie, żebym wróciła.

– Czy wiesz, że my się już poznaliśmy? – Doktor Simons zmienia temat, pewnie na widok strachu w moich oczach. – Mieliście z Gideonem nie więcej niż pięć lat. Wasi rodzice przyjechali z wizytą do Kalifornii. Potem chyba odwiedziliście Disneyland. – Podnoszę wzrok i widzę, że się do mnie uśmiecha. – Domyślam się, że jeśli masz jakieś wspomnienia z tamtej podróży, to dotyczą one raczej Myszki Miki niż mnie.

Nie pamiętam doktora Simonsa, ale z tamtego wyjazdu pochodzi moje ulubione zdjęcie mamy. Jest na nim taka młoda i szczęśliwa. Ma włosy splecione w dwa warkocze i dłonie w kieszeniach ogrodniczek. Jedno wspomnienie utkwilo w mojej głowie – ja i mama nad brzegiem oceanu w Carmel, otoczone morzem piesków preriowych. Zawsze spokojna i opanowana, wtedy uciekała z wrzaskiem, gdy te małe gryzonie zaczęły się wychylać ze swoich nor. Ja stałam w miejscu jak urzeczona i nie mogłam oderwać od nich wzroku.

– Widzisz, Wylie? – powiedziała potem mama, dławiąc się ze śmiechu. – Są różne rodzaje odwagi.

Ale czy faktycznie to pamiętam? Może to tylko opowieść, którą kazałam jej powtarzać tyle razy, że w końcu przyswoiłam sobie jej słowa jako własne. W ostatnim czasie wszystko, co dotyczy mojej matki i jest z jakiegoś powodu ważne, wydaje mi się być mającym się lada chwila rozpląnąć w niebycie wspomnieniem wewnątrz innego wspomnienia.

– Nie pamiętam nawet Disneylandu – mówię, bo doktor Simons wyraźnie czeka na moją odpowiedź.

– No cóż, to było bardzo dawno temu, byłaś wówczas małą dziewczynką. – Mimo tych słów czuję, że jest zawiedziony. Robi głęboki wydech, żeby się otrząsnąć, po czym znów kładzie dłonie na stole. Jego palce są grube i wyglądają jak rząd spuchniętych kielbasek.

– Zależy mi na tym, żebyś czuła się tu bezpiecznie. Nie chcę, abyś się czymkolwiek martwiła. – Chodzi mu o moje ataki paniki. Mam nie dyszeć, nie wymiotować i nie tracić przytomności. – Jak mówiłem, jesteśmy aż nadto ostrożni. Cassie też nic tu nie grozi.

Cassie. No właśnie. Zapomniałam o niej. Przywieźli ją tu celowo.

– Jak to: Cassie nic tu nie grozi? – pytam.

Wspomniał, że jest troje outlierów. Powiedział, że nazwiska dwojga z nich pojawiły się w badaniu przez błąd doktora Catona. To by znaczyło, że trzeci przypadek nie figuruje w żadnym rejestrze, jest anonimowy.

– Kto jest trzecim? – pytam, a moje serce bije mocniej i szybciej.

Przypomina mi się ten głupi eksperyment w piwnicy naszego domu. I to, jak szybko tata poinformował nas, że nasze wyniki były poniżej średniej. Jak bardzo się niecierpliwił, kiedy Cassie próbowała wyciągnąć z niego szczegóły, bo nie mogła się rozstać ze swoim szklanym pantofelkiem Kopciuszka.

– Tak, Cassie jest outlierem. Ale w zaistniałych okolicznościach musimy postępować bardzo rozważnie. Trzeba jej o tym powiedzieć w możliwie delikatny sposób – oświadcza doktor Simons. Jego głos wyraźnie zdradza, że na tę część rozmowy czekał z niepokojem. – Nie chcę jej niepotrzebnie straszyć. Już i tak się nacierpiała przez to, w jaki sposób ją tu sprowadziliśmy. Byłoby dużo lepiej, gdyby twój tata sam ją przywiózł, ale mieliśmy dowody, że jest śledzony, a potem okazało się jeszcze, że ktoś się włamał do jej komórki. Boję się, jak Cassie zareaguje. Każdy byłby zaskoczony, dowiadując się czegoś takiego o sobie, ale uświadomić sobie zarazem, że taka zdolność jest źródłem zagrożenia... To ją może poważnie zaniepokoić.

– Jakiego zagrożenia? – pytam, ścisząc głos niemal do szeptu. – Myślałam, że oni szukają mojego taty.

– Owszem, ale z ich punktu widzenia wyodrębnienie outliera bezpośrednio byłoby jeszcze korzystniejsze. – Wyodrębnienie. Jak z chorobą. Albo słabym zwierzęciem w stadzie. – Wylie, widzę, że jesteś zła, i wcale ci się nie dziwię. Każdy miałby problem z przyswojeniem takiej ilości nowych informacji – ciągnie doktor Simons, patrząc mi prosto w oczy. – Ale jesteś tu bezpieczna. Cassie i twojemu tacie też nic

nie grozi. Po tym, co się stało twojej mamie, zapewniam cię, że nikt nie będzie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

P o t y m , c o s i ę s t a ł o t w o j e j m a m i e. Do twarzy napływa mi fala gorąca, a wzdłuż kręgosłupa przebiega lodowaty dreszcz. Łup, łup, łup, wali moje serce.

– Mojej mamie?

O t o . N a d c h o d z i . P r a w d a. Wszystkie dzwonki alarmowe w mojej głowie uruchamiają się jednocześnie. Wyją tak głośno, że mam ochotę zakryć uszy.

– Wylie, usiądź, proszę – mówi doktor Simons. – Wszystko będzie dobrze, ale musisz zachować spokój.

Kiedy ja wstałam? Bo nagle widzę, że stoję po drugiej stronie ławy. Za moimi plecami pojawili się Quentin i Cassie. Cassie stoi zaledwie parę kroków za mną. Obejmuje się mocno ramionami i wygląda, jakby straciła kolejne trzy kilogramy. Jakby powoli znikąca. Niedługo zostanie po niej tylko wspomnienie. Jak po mojej mamie.

– Co się stało z moją mamą?

Głos mi drży. Czy to ja drzę? Obiema stopami dotykam podłogi, ale zaczęłam się kołysać w rytm walącego serca.

– Ci ludzie odpowiedzą za to, co jej zrobili – mówi doktor Simons.  
– Twój ojciec tego dopilnuje.

Co jej zrobili? Co jej zrobili. C o j e j z r o b i l i. Trzy słowa przesywają moją głowę, a ja biegnę, żeby im uciec.

Powietrze. Potrzebuję powietrza. I muszę się oddalić od tych ludzi. Od tych słów w mojej głowie. Słów, których nikt nie wypowiedział, a które – wiem to na pewno – są prawdą. Śmierć mojej matki nie była przypadkowa.

Chwilę później jestem już na zewnątrz, w ciemności. Biegnę po mokrej trawie w stronę lasu.

– Hej! – krzyczy Stuart, kiedy mijam domek, którego pilnuje.  
– A ty dokąd?!

Stuart. Stuart i jego karabin. Ale on mnie nie powstrzyma. Nie strzeli. Teraz to wiem, bo jestem córką mojego taty. A choćbym go teraz nie wiem jak bardzo nienawidziła, ci ludzie są jego znajomymi. W razie czego mnie obronią. Nie mają wyboru. Muszą mnie chronić przed konsekwencjami tego zamętu, który wywołał. Co jej zrobili. Co o n jej zrobił. Taka jest prawda. Bo jeśli jej śmierć miała jakikolwiek związek z jego badaniami, to znaczy, że moja mama umarła z jego winy.

Biegnę tak szybko, że ledwo dotykam stopami ziemi. Mam wrażenie, że mogłabym pofrunąć.

– Hej! – woła jeszcze raz Stuart, ale jego głos jest tylko echem na wietrze.

Ale nawet jeśli nikt mnie nie zatrzyma, to co właściwie zrobię? Nie mogę zostawić Cassie i Jaspiera. Poza tym nigdzie nie będę bezpieczna. Nie znajdę miejsca wolnego od kłamstw. To nie był wypadek. To nie był wypadek.

Kiedy docieram wreszcie do lasu, już o tym nie myślę. Nie chcę myśleć o niczym prócz ucieczki, bo tylko ona daje mi wytchnienie. To nie był wypadek. Ciągłe do tego wracam, deptając wilgotne liście i łamiąc leżące na ziemi gałązki. Słyszę w myślach głos taty, który mówi: Nawet pięknym ludziom zdarzają się straszne rzeczy. Naprawdę to kiedyś powiedział, siedząc na krawędzi mojego łóżka, parę tygodni po śmierci mamy. Jakby nikt nie był winny tego, że zginęła. A tymczasem winowajcą był on, on i jego praca.



Biegnę dalej w głąb lasu, potykając się o korzenie, gałęzie i kamienie. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy uciekaliśmy z Jasperem przed Dougiem. Ale teraz jest gorzej. Przepelnia mnie beznadziejna rozpacz, bo wiem, że prędzej czy później prawda mnie dogoni.

Mimo to próbuję uciec myślom o mojej mamie wpadającej samochodem w poślizg na zamarzniętej drodze. Czy rzeczywiście była oblodzona? Może na barierkę zepchnął ją inny samochód. Czy jej auto faktycznie samo stanęło w płomieniach, czy może ktoś je podpalił, żeby dokończyć dzieła? Wiedziała, co ją czeka? Bała się?

Chciałabym polecieć teraz przed siebie tak jak ona. Upaść i uderzyć głową o ziemię. Dzięki temu pozbyłabym się wszystkich wspomnień i straciła świadomość. Nie musiałabym odtwarzać w myślach każdej sekundy wypadku ze świadomością, że można ją było uratować.

\* \* \*

– Co za bzdury – powiedziała mama, wychodząc tego ostatniego wieczoru z laboratorium ojca w piwnicy. – Chowanie głowy w piasek jest w twoim przypadku wykluczone.

Była dziewiąta wieczorem, minęła zaledwie godzina od ich ostatniej kłótni. Po kolacji każde oddaliło się na jakiś czas do swojego narożnika. Ale teraz znowu się spierali i kolejna runda nastąpiła po znacznie krótszej przerwie niż zwykle. Miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnie coś, co kumulowało się przez dobrych kilka tygodni.

Byliśmy w kuchni we dwoje, z Gideonem, ale mój brat, jak zwykle, nie interesował się tym, co mówili rodzice. Za to ja stałam, wstrzymując oddech; w jednej ręce trzymałam ciastko z kawałkami czekolady – mama robiła je po powrocie z każdej podróży służbowej – a w drugiej karton mleka. Bałam się, że tym razem rodzice wreszcie pokłócą się na dobre. Nastąpiła chwila ciszy, po której tata coś powiedział. Nie słyszałam, co to było, bo znajdował się za daleko ode mnie.

– Wszelkie środki ostrożności?! – krzyknęła mama w stronę piwnicy. – Ben, czy ty się w ogóle słyszysz? Wiesz, jak to brzmi? Nie jesteś naukowcem, jesteś robotem. – Kolejna długa pauza. – Nie, to już przestało być takie proste. I nie obchodzi mnie, że to twoje badania i ty masz wszystkie informacje. Moje zdanie też się liczy.

Kiedy usłyszałam kroki na najwyższych stopniach schodów, przechyliłam karton, udając, że chcę nalać mleka do szklanki. Z kartonu kapnęło zaledwie kilka kropel; był pusty.

– O kurde, słabo – powiedział Gideon i stanął obok mnie ze szklanką pełną mleka w jednej dłoni i ciastkiem w drugiej. – Wygląda na to, że ktoś musi kupić mleko.

– Ja pojadę – rzuciła mama, wchodząc do kuchni ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Była wściekła na tatę. Widziałam to w jej oczach.

– Nie trzeba – odparłam. – Nie muszę pić mleka.

– Ale to żaden problem – upierała się mama. Położyła mi dłoń na ramieniu i się uśmiechnęła. Z bliska zobaczyłam, że przepełnia ją głęboki smutek. – Przyda mi się odrobina świeżego powietrza. I parę minut dla siebie.

Godzinę później miała odejść na zawsze.

\* \* \*

– Wylie!

Wciąż biegnę, ale teraz słyszę za plecami czyjś głos. I to całkiem blisko. Zatapiając się w myślach, zwolniłam kroku i ktoś mnie dogonił.

Próbuję biec szybciej, ale gdy tylko zwiększam prędkość, potykam się o korzeń albo gałąź. Naraz moja stopa zostaje w miejscu, a ciało podąża dalej do przodu. Sekundę później czuję ostry ból w dłoniach i lewym kolanie.

– Wylie! Nic ci nie jest?

Chwytam się za kolano. Jasna cholera. Co za idiotka. Zatrzymałam się. Ciągle żyję. Ciągle oddycham. Ciągle tu jestem. Ale teraz już nigdy nie dogonię odpowiedzi, które ściagałam. Nigdy nie dogonię jej.

– Nic ci nie jest?

Quentin klęka obok mnie.

– Nic, jestem cała – cedzę przez zaciśnięte zęby. Na szczęście nie krwawię, mam tylko zadrapania i jestem cała brudna. I paraliżuje mnie wstyd. Jak to możliwe, że mam ojca, który tak mnie okłamuje?

– Chciałam tylko odetchnąć świeżym powietrzem.

– I trochę pobiegać – dodaje cicho Quentin. Nie oczekuje jednak na moje wyjaśnienia. – Bardzo boli?

Kłucie w dłoniach przybrało na sile, ból kolana też narasta, ale wciąż nie widzę krwi.

– Nie, spoko – odpowiadam obolała i zakłopotana.

– Wołałem cię po imieniu – mówi Quentin, cały czas klęcząc obok mnie. Jest wyraźnie zmieszany. – W lesie nie jest bezpiecznie. Co kilka godzin wysyłamy kogoś, żeby się rozejrzał, ale nie jesteśmy ekspertami w zabezpieczaniu terenu. – Rozgląda się dookoła i patrzy głębiej w las. – Ci ludzie są doskonale wyszkoleni.

– Wiem. Naprawdę – mówię. – Nie musiałeś za mną biec.

Quentin sprawia wrażenie miłego chłopaka, ale nie prosiłam go o ratunek. W głębi duszy nawet chciałabym, żeby ci z North Point ulżyli mi w cierpieniu, bo jakoś przeżyłam śmierć mamy w wypadku samochodowym, ale na pewno nie przeżyję informacji o tym, że mój tata mógł temu zapobiec.

– Współczuję ci... – Quentin znów rozgląda się dookoła, potem patrzy na mnie i wstaje – ...że twoja mama umarła i że teraz wpadłaś w sam środek tego chaosu. To nie za fajne.

– Nie za fajne? Dobrze powiedziane – mówię, pewnie zbyt drwiącym tonem.

Quentin w niczym nie zawinił, ale ja nie mam teraz siły udawać, że jego słowa dodają mi otuchy.

– Faktycznie, może to niezbyt fortunne określenie. – Quentin kręci głową. – Mój tata umarł, jak miałem dziesięć lat, i wtedy mój świat się zawalił. A w każdym razie chciałem, żeby się zawalił. Do dzisiaj życie wydaje mi się jakieś wyblakłe. – Zerka na mnie kątem oka i szybko ucieka wzrokiem. Wiem, co chciał powiedzieć. Nic już nigdy nie będzie takie samo. – Nie twierdzę, że wiem, co czujesz. Sam nie znoszę, jak ludzie tak mówią. Ale może rozumiem więcej niż inni.

Gdzieś dalej, w głębi lasu rozległ się głośny trzask.

– Co to było? – pytam i serce mi przyspiesza, bo do głowy przychodzi mi jedna myśl: strzał z broni palnej.

– Nie wiem. Może myśliwi? – Widzę, że Quentin też się boi.

– Lepiej tu nie siedźmy. – Kolejny huk, tym razem głośniejszy. – Chodź.

Wyciąga do mnie rękę i pomaga mi wstać. Idąc za nim w stronę ośrodka, czekam na następny strzał, ale słyszę tylko szelest liści pod

naszymi stopami.

– To pewnie nie byli ludzie z North Point – stwierdza Quentin po wyjściu z lasu.

– Skąd wiesz?

– Bo oni raczej nie pudłują – odpowiada z półuśmiechem.

– Muszę ci podziękować. Ta mała wycieczka nauczyła mnie czegoś bardzo ważnego.

– Tak? Czego?

Odwraca głowę w moją stronę.

– Że niebezpieczeństwo mi nie służy.

– Jak umarł twój tata? – pytam, gdy idziemy przez otwartą polanę przed głównym budynkiem.

Wiem, że nie wszystkie sieroty są ulepione z tej samej gliny. Choroba, nałóg narkotykowy, lata rozłąki – cierpienie bywa eksplozją albo przewlekłym bólem. Moje przypomina nuklearną zimę.

I wcale nie jest tak, że jeden rodzaj tragedii jest gorszy od innego. Chociaż nie, to kłamstwo. To tylko moja wielkoduszność. Bo nie mam wątpliwości, że to, co ja przeżyłam – nagła, niespodziewana strata, bez pożegnania i możliwości przygotowania się na ból – jest najgorsze. W dodatku wygląda na to, że czeka mnie wątpliwa przyjemność przeżycia śmierci mamy po raz drugi. Najpierw kłamstwo, potem prawda.

– Był w sklepie za rogiem, niedaleko naszego domu w Dorchester – mówi Quentin. – Jakiś facet przyszedł okraść właściciela i zaczął bić staruszkę. Mój ojciec interweniował i tamten postrzelił go w szyję. – Quentin kręci głową i spuszcza wzrok. – Chcesz wiedzieć, co w tym wszystkim jest najgorsze?

– Tak – odpowiadam i chyba słychać w moim głosie jakąś dziwną radość, że w jego opowieści jest jeszcze gorsze zakończenie.

– Poszedł do tego sklepu kupić sok pomarańczowy. D l a m n i e. Jeżą mi się włosy na karku.

– Co ty powiedziałaś?

Quentin podnosi wzrok.

– Kupował dla mnie sok pomarańczowy.

– Moja mama zginęła w drodze po mleko dla mnie.

– Serio? – Quentin wbija wzrok w ziemię; chyba mi nie wierzy.

– Nie wiedziałeś? – pytam trochę podejrzliwie. – Doktor Simons ci nie powiedział?

– Nie – odpowiada i teraz mam wrażenie, jakby sądził, że zmyślam. – Zresztą on nie wie o tym soku. Mało kto o nim wie.

Przez chwilę oboje milczymy, zadziwieni zbiegiem okoliczności, który jest równie dziwny, co pocieszający.

– Przykro mi, że straciłeś ojca – mówię już przy schodach do głównego budynku. – Mimo że moje współczucie nic ci nie da. Wiem to z własnego doświadczenia.

– Normalnie bym się z tobą zgodził. – Quentin patrzy na mnie tak, jakby dla niego to też była nowa sytuacja. – Ale tym razem trochę mi to jednak daje.

W środku panuje zgiełk i ruch, mimo że jest czwarta rano. Na widok obecnych tu osób nagle ogarnia mnie zmęczenie. Najwyraźniej bieg przez las pomógł mi zrzucić twardą skorupę lęku, pod którą kryło się kompletne wyczerpanie.

Ale ludzie krzątający się po izbie głównego budynku nie wyglądają na śpiących, co tylko potwierdza powagę sytuacji. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku, od dwudziesto- do sześćdziesięcioparolatków, stoją w małych grupkach, najczęściej parami, rozmawiając i przeglądając jakieś papiery. Wysoki, szczupły facet w bordowej bluzie z kapturem i emblematem Harvardu siedzi obok ładnej, młodej dziewczyny z równo obciętymi włosami pod włochatym fioletowym beretem. Trochę dalej, pod ścianą, stoją dwie kobiety w wieku mojej mamy, w obcisłych czarnych spodniach z lycry i bluzach z polaru. Przy stoliku obok starszy pan rozmawia z siwiejącą kobietą, a w najdalszym rogu sali Miriam obsługuje stanowisko z kawą. Łącznie z Quentinem i Stuartem jest tu dziesięć osób. Doktora Simonsa na szczęście nie widzę. Nie jestem gotowa na rozmowę z nim, zwłaszcza jeśli znów chciałby wspomnieć o mojej mamie.

– Od dawna to planowaliście? – pytam.

Jeśli okaże się, że tak, to będzie znaczyło, że mój ojciec jest jeszcze lepszy w ukrywaniu prawdy, niż myślałam.

– Doktor Simons zadzwonił do mnie parę dni temu i spytał, czy mogę mu poświęcić trochę czasu. Nie wiem, jak było w przypadku innych. – Quentin pokazuje na chłopaka w bluzie Harvardu i dziewczynę z fioletowym beretem. – Adam to chyba ten, który tu dorastał i zna funkcjonariusza Kendalla. Doktoryzuje się z kognitywistyki na Harvardzie. Jego dziewczyna, ta w berecie, ma na imię Fiona. Oboje przyjechali najpóźniej tydzień temu.

– A one? – pytam, pokazując na kobiety w bluzach z polaru.

– Beatrice i Gladys wykładają na tutejszych uczelniach. Beatrice była chyba kiedyś dziewczyną doktora Simonsa. – W końcu Quentin pokazuje na parę starszków przy stole. – No i oni... – Waha się, jakby próbował sobie przypomnieć ich imiona. – Robert i Hillary. Robert jest

profesorem psychologii na... – robi pauzę i mruży oczy – Uniwersytecie Bostońskim. Co do niej, to nie mam pewności. Nie nadażam za wszystkimi.

– Co oni robią?

Wszyscy ci ludzie wyglądają, jakby nad czymś pracowali: notują, analizują wykresy, Adam i Fiona mają przed sobą otwarty laptop, Robert i Hillary również.

– Przygotowują pierwszą wersję protokołu do następnej fazy badań twojego taty – wyjaśnia Quentin. – Jeśli uda mu się wyjaśnić fenomen outlierów i podać wyniki do publicznej wiadomości, firmy takie jak North Point będą miały pecha.

– I co? Wszyscy tak po prostu zgodziliście się tu przyjechać, żeby kręcić się wśród obcych ludzi i ryzykować życie? – pytam nieprzyjemnym tonem.

Nie wiem, czemu tak mnie drażni widok tych ludzi. Może uważam ich za współwinnych. Gdyby mu nie pomagali, mój tata musiałby powiedzieć prawdę.

– Nie no, miałem parę pytań – mówi Quentin z nutą wstydu w głosie. – Ale doktor Simons tak to wszystko przedstawił, że wydało mi się ważne, by chronić twojego tatę i jego badania. Zwłaszcza przed tymi sukinsynami, którzy zbijają fortunę na wojnie.

– Czyli pomagasz, bo jesteś pacyfistą? – Teraz już jestem wredna jak ostatnia suka. Ale może nią jestem. W mojej ciasnej głowie nigdy nie było miejsca na szczytne ideały.

Quentin zaplata ręce.

– A co? Ty lubisz wojnę?

– Nie. – Kręcę głową. – Oczywiście, że nie. – Zdaje się, że naprawdę wychodzę na jakąś okropną egoistkę. – Po prostu wydaje mi się, że dużo ryzykujesz dla własnych przekonań.

Quentin wzrusza ramionami.

– W coś trzeba wierzyć. Inaczej nic się nie liczy – oświadcza.

Prawie się wzdrygam.

– Mój tata mówi dokładnie to samo! – wyrzucam z siebie. A może tylko mi się zdaje i pamięć płata mi figle.

– Serio? – pyta Quentin i się uśmiecha. – Pewnie przez to tylko

straciłem w twoich oczach.

– Niezupełnie, tylko...

– Wszystko w porządku?

Odwracam się w stronę, z której dobiegł głos, i widzę Cassie. Przez chwilę czuję ulgę, ale jej twarz jest znowu blada. Tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz ją tu zobaczyłam. Outlier. Może faktycznie nim jest. Nigdy nie uważałam jej za specjalnie przenikliwą, jeśli idzie o obserwację ludzkich zachowań, ale z drugiej strony ten niezwykle talent tłumaczyłby, czemu prawie zawsze była w takim kiepskim stanie.

– Powiniennem powiedzieć doktorowi Simonsowi o strzałach w lesie – mówi Quentin. – Przynieść wam coś do jedzenia? Nie mamy dużego wyboru, ale są jakieś paluszki i batoniki z musli.

– Pewnie, dzięki – odpowiadam, bo ku swojemu zaskoczeniu wreszcie zgłodniałam.

– Świetnie. – Quentin jest wyraźnie ucieszony z powodu tego, że dostał zadanie do wykonania. – Zaraz wracam.

– Strasznie się martwiłam, jak wybiegłaś – mówi Cassie i mocno mnie przytula. – Przepraszam cię za wszystko.

Kiedy mnie puszcza, odpowiadam:

– Nie ty powinnaś mnie przeproszać, tylko mój ojciec.

– Ale to ja chciałam zrobić sobie ten głupi test – protestuje Cassie z niesmakiem. Najwyraźniej doktor Simons powiedział jej, że jest outlierem. Pewnie zaraz po tym, jak uciekłam do lasu. – To wszystko się dzieje tylko dlatego, że naciskałam twojego tatę.

– Okej, badanie to twoja sprawka. – Uśmiecham się i ściskam lekko jej rękę. – Ale powinien był ci powiedzieć o twoich wynikach. No i nie wiem, jak mógł nie wspomnieć ani słowem o tym wszystkim – dodaję, zataczając dłonią szeroki łuk.

– No tak – potakuje Cassie. – Masz rację.

– Czekał, a gdzie Jasper? – pytam, bo nagle dotarło do mnie, że od dłuższego czasu go nie widziałam.

Cassie odwraca się z powrotem w moją stronę. Jej twarz drży, a do oczu napływają łzy. Powiedziała mu o tym drugim mężczyźnie. I nie zareagował dobrze. Oczywiście.

– Co się stało?



– Miałaś rację – odzywa się w końcu. Wygląda na zdruzgotaną.  
– Nie powinnam była mu mówić. Strasznie się wściekł. – Cassie bierze głęboki wdech i patrzy na sufit. – A potem sobie poszedł.

– Jak to: poszedł? – pytam i ze zdziwieniem zauważam, że to ja czuję się porzucona.

– Po prostu się stąd zabrał. – Cassie pokazuje ręką w stronę lasu.

– No coś ty!

Jakie to dziwne. Naprawdę mam do niego żal, że się ze mną nie pożegnał.

– Serio – mówi Cassie i patrzy mi w oczy, jakby chciała powiedzieć: To był m ó j chłopak i to ja powinnam być smutna.

Dobrze ją rozumiem. Wyglądam przez okno. Na zewnątrz jest jeszcze ciemno.

– Na piechotę? – pytam. – Po prostu wyszedł i zniknął?

– Na to wygląda. – Cassie zakłada ręce. Jest zła. – Nie powiedział mi dokładnie, co zamierza.

Jeszcze niedawno Quentin nie chciał, żebyśmy nawet chodzili między domkami bez specjalnych środków ostrożności, a teraz Jasper zwyczajnie sobie poszedł do lasu? Przypominam sobie te odgłosy, które mogły być strzałami.

– Przecież tam jest niebezpiecznie – rzucam, mimo że widzę już irytację w oczach Cassie.

– Wylie, czy możemy się umówić, że przynajmniej Jasper nie będzie obiektem twoich obsesji? Daj już spokój. Cokolwiek postanowił, nie miało to nic wspólnego z tobą.

– Dobrze.

Robi mi się gorąco na twarzy. Cassie ma rację. Jasper był jej chłopakiem, nie moim.

– To miłe, że za tobą pobiegł – mówi, kiwając głową w stronę Quentina, który pomaga Miriam w składaniu ręczników, potakując posłusznie, gdy stanowczym tonem udziela mu instrukcji. Pewnie nie chce nam przeszkadzać w rozmowie.

– Fakt – przyznaję. – Wiesz, że jego tata też zginął?

– Naprawdę?

W jej głosie znów pobrzmiewa rozdrażnienie. Może jest

zazdrosna? Jakoś mi się nie wydaje. A z drugiej strony, czy można się jej dziwić? W ciągu ostatnich kilkunastu godzin została zgarnięta z ulicy, powiadomiona o swoich nadnaturalnych umiejętnościach i o szaleńcach próbujących ją dorwać z powodu tychże umiejętności, a na koniec rzucona przez własnego chłopaka. W takich okolicznościach powinna mieć prawo czuć to, na co tylko ma ochotę.

Tak bardzo chciałabym dać jej ukojenie, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Jasper wróci – zapewniam ją, choć nie mam pewności.

– Naprawdę cię kocha.

Ale w sile jego uczucia do Cassie kryje się zarazem słabość. To, co doskonałe, nigdy się nie gnije, lecz pęka na pół.

Cassie przytakuje, choć bez przekonania.

– Może i tak.

– A tak w ogóle, to miałaś rację. Faktycznie jesteś wyjątkowa.

Umiesz czytać w myślach. Jak medium – mówię tak, mimo że mojemu tacie bardzo by się to nie spodobało.

Cassie rzuca mi wymuszony uśmiech.

– Tak. Prawdziwe ze mnie medium. Szkoda, że nie przewidziałam całej tej afery.

– Ale czy coś... ? Nie wiem. Jak to jest? Nic nie czujesz? – pytam.

– Nic a nic. – Cassie wzrusza ramionami i patrzy na Quentina, który zmierza w naszą stronę. – Chociaż kto wie? Teraz mam wrażenie, że mało co rozumiem.

– Wszystko w porządku? – pyta Quentin.

Podaje mi torebkę mieszanki studenckiej, którą natychmiast otwieram. Po zjedzeniu pierwszej garści zdaję sobie sprawę, że byłam bardziej głodna, niż sądziłam.

– Tak, wszystko okej – mówi Cassie, nie patrząc na niego.

– Dzięki.

– Poza tym, że Jasper zniknął – dodaję, a Cassie rzuca mi wściekłe spojrzenie. Oczywiście było, że nie chciała, by ktokolwiek ruszył za nim w pościg. Ale ja tak się o niego martwię, że muszę coś powiedzieć.

Nawet jeśli to oznacza, że Cassie będzie na mnie zła. – Czy ktoś mógłby go poszukać? Sprawdzić, czy nic mu się nie stało?

– On nie chce, żebyśmy go szukali – mówi Cassie z coraz większą złością. – Chciał odejść.

– To przynajmniej ktoś mógłby go podwieźć do miasteczka. – Nie poddaję się. – W lesie nie jest bezpieczny, prawda?

Szukam wsparcia u Quentina.

– Na pewno możemy go poszukać – stwierdza. – Ale nie podwieziemy go, bo nie mamy tu samochodu.

– Nie macie samochodu? – dziwię się. Nie mogę w to uwierzyć.

Quentin kręci głową.

– To decyzja doktora Simonsa – oświadcza i pokazuje na drzwi biura. – Chodziło o ochronę przed obserwacją z powietrza. Ale nie martw się, i tak możemy go poszukać. Stuart nie nadaje się może do wielu rzeczy, ale w tropieniu jest niezastąpiony. Rzucimy okiem i dam wam znać.

Kiedy odchodzi w stronę wyjścia, zerkam kątem oka na Cassie. Spodziewam się jej wlepionego we mnie wzroku, a tymczasem ona patrzy gdzieś w kierunku Quentina, ale nie na niego.

– Wiem, że się pokłóciliście, ale bałam się, że... – zaczynam.

– Nieważne. Nic nie szkodzi – mówi Cassie. Quentin zniknął za drzwiami. – Wszystko rozumiem. – W końcu patrzy w moją stronę i kiwa głową, jakby się ze mną zgadzała. – Naprawdę. Nie ma sprawy.

Moja komórka wibruje w kieszeni. To pewnie mój tata. Błagam, powiedz, że nic ci nie jest – to moja pierwsza myśl. A druga? Ty dupku. I faktycznie, na ekranie wyświetla się jego numer.

**Chyba ktoś mnie śledzi. Znowu musiałem zmienić trasę. Będę tak szybko, jak tylko się da. Ale powiedz doktorowi Simonsowi, że może być za późno. Oni już jadą.**

– Twój tata? – pyta Cassie i staje obok mnie, żeby zajrzeć mi przez ramię.

Kiwam głową i odpisuję: **Nic ci nie jest?**

Potem czekam i czekam, ale nie dostaję odpowiedzi.

– Przyjedzie tu, prawda? – Cassie podchodzi jeszcze bliżej. Jakby chciała mi wyrwać telefon z dłoni. – Powiedz. On tu musi przyjechać.

– Na pewno wie...

– Wszystko w porządku? – pyta doktor Simons.

Pokazuję mu swoją komórkę.

– Tata kazał mi panu powiedzieć, że „oni już jadą”. – Mówię to z przekąsem, nic na to nie poradzę. – Nie brzmi to za dobrze.

Doktor Simons bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze z płuc jednym, długim strumieniem.

– Przyznam, że nie jest to wymarzony rozwój wypadków – mówi spokojnym tonem. – Ale byliśmy na to przygotowani. Mamy plan. Miałem nadzieję, że nie będzie trzeba wprowadzać go w życie, ale wiemy, co robić.

Nagle Cassie opada prawie bezwładnie na jedną z długich ław. Ma zapadnięte ramiona i pochyloną głowę.

– Cassie, nic ci nie jest? – Podchodzę do niej.

Bez słowa chwyta mnie za rękę, ściąga w dół, żebym usiadła obok niej, i chowa twarz w moich włosach.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszam ją i głaszczę po głowie. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Ci ludzie nam pomogą. A niedługo przyjedzie mój tata. Zobacysz, wszystko się ułoży.

– Boję się – szepcze Cassie. – Bardzo się boję.

To zupełnie zrozumiałe. Kto wie, co ludzie z North Point z nią zrobią, jeśli ją w końcu dopadną? Co zrobią z nami wszystkimi?

– Obiecuj, że twój ojciec przyjedzie teraz. Dobra? – prosi i w końcu mnie puszcza.

– Okej. Obiecuję. – Mówię to, mimo że esemes taty ewidentnie przeczy moim słowom.

Cassie wyciera łzy z twarzy. Przez chwilę patrzy w ziemię, jakby się nad czymś zastanawiała. W końcu potakuje w milczeniu, a ja boję się zapytać, co postanowiła.

– Zaraz wracam. – Pokazuje na swoją zapłakaną twarz. – Muszę iść do łazienki.

– Nic jej nie będzie? – pyta mnie doktor Simons.

– Mam nadzieję. Jeszcze zanim to wszystko się zaczęło, nie była w najlepszym stanie. Lepiej było poczekać na mnie, zanim powiedzieliście jej, że jest outlierem.

– Tak, tak. Masz rację. To był błąd – mówi. Za szybko. Mam wrażenie, że wcale tego nie żałuje. – Chyba chciałem zyskać jej

zaufanie. W grze jest bardzo wiele różnych sił, działają różne frakcje.

– Frakcje? Jak to? – Słowa doktora Simonsa zabrzmiały tak, jakby trwała już wojna. W sumie sama nie wiem, dlaczego się dziwię, że znów odsłania się przede mną kolejne dno. – Myślałam, że kryjemy się przed jedną firmą.

– North Point to w tej chwili nasz największy problem – przyznaje doktor Simons. – Ale są inne czynniki.

– Jakie znowu czynniki? – Mimowolnie podnoszę głos.

– Wylie, to ważne, żebyś zachowała spokój – mówi, jakbym straciła nad sobą panowanie. Czy słusznie? Rozglądam się i widzę, że wszyscy wokół przerwali swoją pracę i patrzą w moją stronę. Czy to możliwe, że cały czas krzyczałam, nie zdając sobie z tego sprawy? – Jak już wspominałem, rząd federalny też się interesuje badaniami twojego taty.

– Rząd? – Prawie parskam śmiechem.

Rzeczywiście o tym wspominał? Mam wrażenie, że pierwszy raz o tym słyszę, ale kto wie.

Co gorsza, słowo „rząd” uruchomiło w mojej głowie inny alarm.

\* \* \*

W miesiąc po pogrzebie nadal nie miałam siły otwierać drzwi. Tego dnia też bym tego nie zrobiła, ale mężczyzna stojący przed naszym domem zauważył mnie, kiedy patrzyłam przez okno. I od razu pokazał mi odznakę. Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Był wysoki jak tyczka i prężył pierś niczym bęben pod tanim, szarym garniturem. Okulary w złotej oprawie zupełnie nie pasowały do jego twarzy.

– Możesz zadzwonić do mojego biura i zweryfikować dane – zawołał, bo wciąż nie chciałam mu otworzyć.

W końcu wepchnął całą odznakę przez szparę na listy. Upadła na podłogę z głuchym plaśnięciem. Wzięłam ją do ręki. Wyglądała na prawdziwą. Była trochę wytarta, a fotografia jej właściciela straciła nieco na aktualności. Zresztą jaki oszust wybrałby Departament Bezpieczeństwa Krajowego? Zwykła odznaka policyjna byłaby łatwiejsza do podrobienia.

– Chciałbym porozmawiać z Benjaminem Langiem – rzucił jak kapral na musztrze, kiedy otworzyłam drzwi.

– Nie ma go – odparłam i od razu pożałowałam, że nie skłamałam. Mogłam powiedzieć, że się kąpie, czy coś w tym stylu.

– Kiedy się go spodziewasz?

Spodziewasz? Dziwnie to zabrzmiało. Jakoś za elegancko jak na agenta federalnego.

– Yyy... – Powiedz coś takiego, żeby nie chciał wchodzić do środka, przemknęło mi przez głowę. – Możliwe, że nieprędko. – Tylko niech nie pomyśli, że jesteś w domu sama bez opieki, kontynuował głos w mojej głowie. – Ale niedługo wraca mój brat.

To go zdziwiło – bo co go obchodził mój brat? – więc tylko skinął krótko, jak w wojsku, i podał mi swoją wizytówkę: doktor Frederick Mitchell, NIH<sup>5</sup>. Czy on aby nie miał być z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego? Nie wyglądał mi na lekarza. Ale też nie przypominał agenta służb specjalnych. Bardziej kojarzył mi się z olbrzymem udającym normalnego człowieka.

– Poczekam w samochodzie – powiedział.

Kiedy kilka minut później wyjrzałam przez okno, doktor Frederick Mitchell siedział za kierownicą. Nie czytał, nie patrzył w telefon. Tylko siedział ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jak robot.

Wysłałam tacie esemesa: **Jakiś dziwny doktor z Bezpieczeństwa Krajowego albo NIH czeka na ciebie przed domem. Nie wiem, o co chodzi.**

**A, no tak. Zapomniałem, że ma przyjść. Przepraszam. Niedługo będę w domu.**

Po powrocie tata zaprosił tego dziwaka do środka i zaprowadził do laboratorium, jakby nie było w nim nic osobliwego. Nasłuchiwałam pod drzwiami, ale ich rozmowę tłumili schody do piwnicy. Wiedziałam też, że po jego wyjściu ojciec nie powie mi, o co chodziło. Od wypadku mamy nie mówił mi niczego, co mogłoby choćby potencjalnie wytrącić mnie z równowagi, co oczywiście jeszcze bardziej wytrącało mnie z równowagi.

– Co to za człowiek? – zapytałam i tak, kiedy za szemranym gościem zamknęły się drzwi.

– Rutynowa kontrola wykorzystania dotacji – powiedział tata rozczarowanym tonem, jakby spodziewał się czegoś bardziej

interesującego. – Biurokracja ponad wszystko.

\* \* \*

Przez chwilę rozważam, czy powiedzieć doktorowi Simonsowi o tym dziwnym człowieku, który odwiedził tatę w domu, ale nie chcę tego robić. Nie ma sensu mnożyć zagrożeń.

– Wylie, naprawdę mi przykro, że dowiedziałaś się o swojej mamie w ten sposób – mówi Simons. – Kierowało mną błędne przekonanie, że twój tata już ci to wytłumaczył. Tak czy inaczej, był to niewybaczalny błąd. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

Wzruszam ramionami.

– Nic się nie stało – mówię wbrew sobie. Bo stało się bardzo dużo. Przynajmniej wszyscy w pomieszczeniu wrócili do swoich czynności i nie jestem już w centrum uwagi.

– Powinnaś też wiedzieć, że twój ojciec dopiero niedawno zaczął brać pod uwagę tę ewentualność, iż śmierć twojej mamy nie była przypadkowa. Na pewno nie jest tak, że to przed tobą ukrywał.

– Że długo to przede mną ukrywał, to chciał pan powiedzieć – mówię, odwracając wzrok.

Czy powinnam wyciągać od doktora Simonsa szczegóły wypadku mamy? Nie mam czasu na podjęcie decyzji, bo otwierają się drzwi domku. Quentin już wrócił? To ile oni szukali tego Jaspera? Quentin idzie szybkim krokiem w naszą stronę i niesie coś w ręce. Robi mi się niedobrze, kiedy się orientuję, co to jest.

Kurtka mojego taty.

– Jasper miał to na sobie – mówię, a Quentin robi zmartwioną minę i podnosi kurtkę do góry. Jest brudna i oblepiona pokruszonymi liśćmi. Ale najgorsze, że jeden rękaw jest w połowie oderwany. Na jego widok skaczę na równe nogi. – Gdzie ją znalazłeś?

– Stuart natknął się na nią w lesie, niedaleko podjazdu. – Quentin patrzy mi w oczy. – Już nie jest tak zimno, może jej nie potrzebował.

To nieprawda. Poza tym co z oderwanym rękawem? Widzę, że on sam nie wierzy w swoją teorię.

Serce bije mi szybciej, bo naraz przypominam sobie scenę z restauracji, kiedy Doug przyciskał Jaspera do ściany.

– Musimy go znaleźć. Jeśli dopadną go ci ludzie ze stacji, to go

zabiją – oświadczam stanowczo.

Doktor Simons i Quentin patrzą na mnie, jakbym mocno przesadzała. Ale oni nie widzieli furii w oczach Douga.

– Mówię serio. Zabiją Jaspera bez chwili wahania.

– Wylie, poczekaj – mówi doktor Simons takim głosem, jakby miał do czynienia z kompletną wariatką. – Jasper powiedział Cassie, że odchodzi. To, że go nie ma wśród nas, nie oznacza, że coś mu się stało. A dzięki naszym hakerom i pracy innych osób wiemy teraz kilka rzeczy, które pozwalają mi zachować spokój. Po pierwsze, zgodnie ze swoim własnym protokołem, North Point rzadko kiedy podejmuje działania w terenie w ciągu dnia, a jest już prawie świt. – Ale doktor Simons dobrze wie, że do wschodu słońca zostało jeszcze dużo czasu. – Poza tym jaki byłby sens w przechwyceniu Jaspera i pozostawieniu w spokoju nas wszystkich? Przecież jego zniknięcie tylko zwiększa naszą czujność. Gdyby go złapali, powinni byli natychmiast nas zaatakować.

– Nie wiem. Może chcą, żebyśmy spanikowali? Mój tata napisał, że są w drodze. Więc wiemy, że zamierzają tu dotrzeć! – krzyczę. Teraz już na pewno wyglądam na stukniętą. Ale chyba mnie to nie obchodzi.

– Poza tym co z Cassie? Przecież to ona jest ich celem. Nie możemy po prostu siedzieć i czekać, aż po nią przyjdą. Musimy uciekać. Wszyscy. Natychmiast.

– Stuart może jej pilnować – mówi doktor Simons, ale szybko zdaje sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało, więc dodaje: – Oczywiście zachowując pewien dystans. Ale nie możemy opuścić obozu, to za duże ryzyko. Nasze samochody stoją ponad kilometr stąd.

I czyj to był pomysł? – myślę, ale nie mówię tego na głos.

– Ryzykiem jest siedzenie tu z założonymi rękami – protestuję, siląc się na spokojny, wyważony ton.

Nie obchodzi mnie, ile stopni naukowych ma doktor Simons ani ile wie na temat North Point. Ja widziałam oczy Douga. Czekanie na niego, aż się zjawi i dokończy to, co zaczął, jest pomysłem najgorszym z możliwych.

– Może Wylie ma rację – odzywa się Quentin. – Nie jestem ekspertem, ale chyba trudniej jest trafić w ruchomy cel.

– Albo jeśli wszyscy chcecie tu zostać, to pójdę tylko ja i Cassie.



Umiem sobie radzić w lesie. We dwójkę bez problemu się ukryjemy, nawet za dnia.

Mówię z taką pewnością siebie, że prawie sama sobie wierzę.

– Jak już powiedziałem, mamy gotowy plan, który zapewni nam bezpieczeństwo. Nie pozwolę ci odejść, Wylie. Nie bez zgody twojego taty. – Doktor Simons jest zmieszany, ale stanowczy. – Pod jego nieobecność jestem twoim prawnym opiekunem.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Nie użyje więcej tej groźby, chyba że go do tego zmuszę. Nie wiem nawet, czy faktycznie ma nade mną taką władzę. Ani czy to w ogóle ma znaczenie. W końcu mógłby powiedzieć: Spróbuj odejść, a zatrzymamy cię siłą.

– No to spytajmy mojego tatę – proponuję.

Jest szansa, że dostrzeże sens w moim pomyśle. Jest mi to winien.

**Cassie i ja musimy stąd odejść, piszę. Sam mówisz, że oni niedługo tu będą. W ośrodku nie jesteśmy bezpieczne. Możemy wyruszyć pieszo. Poradzimy sobie.**

**Nie**, odpisuje od razu mój tata. Czyżby ciągle miał postój? Pisał wcześniej, że musiał się zatrzymać, ale teraz zaczynam się martwić, czy aby przypadkiem nie esemesuje w trakcie jazdy. Wprawdzie jestem na niego zła, ale nie chcę, żeby przez nasze esemesy on również zginął w wypadku samochodowym. **Tam jesteś bezpieczna. Poza ośrodkiem życie Cassie będzie zagrożone. Działamy zgodnie z planem. Proszę cię, tym razem mnie posłuchaj. Rób, co każe doktor Simons.**

Długo patrzę na jego odpowiedź. Tak bardzo chciałabym mu powiedzieć, żeby spadał na bambus, ale kiedy ostatni raz zignorowałam jego wskazówki, Jasper prawie zginął z rąk Douga.

– Wylie? – pyta w końcu delikatnie doktor Simons. – Co odpisał? Już zna odpowiedź.

– Że tu jesteśmy bezpieczniejsze – mówię i staram się w to uwierzyć.

Quentin podchodzi bliżej i kładzie kurtkę mojego taty na stole, a potem staje obok mnie. Jakby chciał mi pokazać, że nadal trzyma moją stronę. Doktor Simons jest poirytowany, ale próbuje to ukryć.

– Jeśli i tak zechcesz iść, to pójdę z wami – mówi Quentin, a mnie przepełnia wdzięczność.

– A może zadzwonimy na policję? – proponuję. Nie wiem, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Nie obchodzi mnie już nawet, czy to się skończy zamknięciem mnie w szpitalu.

Ale doktor Simons znów kręci głową.

– Jak sama się przekonałaś, funkcjonariusz Kendall jest tu jedynym policjantem godnym zaufania. Jeśli wciągniemy w tę sprawę innych, mogą nas stąd usunąć, bo w świetle prawa zajmujemy cudzy teren. A to by nas tylko naraziło na większe niebezpieczeństwo.

– No to zadzwońcie do FBI, nie wiem – mówię.

– No tak, agenci federalni – przytakuje doktor Simons, ale z jakimś żalem w głosie. – Oni nie są niestety neutralni. – Czyli wbrew temu, co wtedy powiedział mój tata, wizyta człowieka z NIH mogła wcale nie być rutynowa. – Oczywiście nie cały rząd jest w to zamieszany, ale nie mamy pewności, które agencje wpadły na trop tych badań.

Informowanie którejkolwiek z nich byłoby zbyt ryzykowne. Nie mówiąc już o tym, że macki North Point sięgają bardzo daleko. Myślisz, że dlaczego nikt nie wszczął śledztwa w sprawie tego dźgnięcia nożem w restauracji? Taka firma jak North Point może zapłacić za własną wersję wydarzeń.

Serce znów bije mi szybciej i czuję napływające do twarzy ciepło.

– Wiecie o dźgnięciu nożem?

Nawet nie wiem, czemu mnie to dziwi. Jeśli mój tata o tym wie, to doktor Simons naturalnie też już o tym słyszał. Mimo to czuję się przyłapana. I jest mi wstyd. Rozglądam się, żeby zobaczyć, czy inni na mnie patrzą. Spotykam się wzrokiem tylko z Miriam, która jak zwykle serdecznie się uśmiecha.

– Oczywiście, że wiemy. W tym świecie nie ma żadnych tajemnic.

Kiedy wychodzimy wreszcie na dwór, jest krótko po ósmej rano. Stoję na werandzie głównego budynku. Słońce weszło już dawno, ale wiszące nisko chmury sprawiają, że na świecie jest szaro. Zrobiło się też wilgotno i ciepło. Jak się okazuje, plan działań na wypadek zwiększonego zagrożenia był przygotowany ze szczegółami i, w przeciwieństwie do kurtki Jaspera, wiadomość od mojego taty, że „już tu jadą”, wystarczyła, by go uruchomić.

Nikt nie potrzebował dokładnych instrukcji, każdy oddalił się do przydzielonych sobie zadań. Zastanawiam się, czyby nie podpytać paru osób o ten plan, ale nie bardzo wiem, jak się za to zabrać, bo jak dotąd wymieniałam ze wszystkimi tylko zdawkowe pozdrowienia. Chyba najlepiej będzie na razie tego nie zmieniać, nie ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi. Zwłaszcza że od teraz już tylko gram na czas i czekam na dogodny moment, by stąd zwać.

Bo postanowiłam, że ci tutaj mogą sobie robić, co chcą, ale ja i Cassie dajemy nogę.

Adam i Fiona idą podjazdem i niosą łopaty. Za rzędem domków Gladys z Beatrice i Robert z Hillary chodzą do lasu po patyki i układają je w stertę na środku trawnika. Jestem pod wrażeniem ich spokoju i gotowości połączonej z akceptacją. Są tacy ufni. Z całą pewnością nie panikują, nie szukają drogi ucieczki. Ewidentnie znali ryzyko, kiedy tu jechali, żeby pomóc mojemu tacie, i teraz są gotowi ponieść niezbędny koszt, bez względu na to, jak duży się okaże.

– Po co nam tyle patyków? – pytam doktora Simonsa, który stanął właśnie obok mnie.

– Nic szczególnego. Kilka kontrolowanych pożarów, które pomogą nam uciec w stronę lasu. Na wypadek gdyby komuś udało się nas namierzyć, co, podkreślam, nadal nie jest pewne.

Patrzy w stronę domku, w którym wcześniej zamknęli mnie z Jasperem. Wyraz jego twarzy nagle się zmienia i widzę, że w naszym kierunku idzie Cassie. Przebrała się. Ma teraz na sobie dżinsy, sweter i przydługi wełniany płaszcz. Żaden z elementów nie pasuje do reszty, ale na niej całość robi dobre wrażenie. Z wyjątkiem dziwnej,

jasnopomarańczowej czapki, która nie zdziwiłaby mnie u myśliwego, ale na głowie Cassie jest ewidentnie nie na miejscu. Na pewno ją od kogoś pożyczyła.

– Myślałam, że Cassie się położyła – mówię.

To doktor Simons przekonał mnie, żebym zostawiła ją w spokoju, kiedy wszyscy wzięli się do swoich prac.

– Tak mi powiedział Stuart – odpiera doktor Simons, który sam wygląda na zaskoczonego.

Z bliższej odległości widzę, że Cassie ma dziwny wyraz twarzy. Sekundę później zauważam papierosa w jej dłoni, ale tym razem jej nie oceniam. Gdyby mnie ktoś powiedział, że jestem outlierem, pewnie też bym zaczęła palić. Ale najdziwniejszy jest sposób, w jaki go po chwili wyrzuca. Jakby nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, że go trzymała. Za nią widzę Stuarta, który stoi przed naszą pierwszą chatką. Sztacha się długo swoim papierosem i wypuszcza dym do góry, nad głowę. Jest daleko od nas, ale odnoszę wrażenie, że robi to na pokaz, żebyśmy wiedzieli, że on i Cassie ze sobą rozmawiali.

Złość i niepokój są w przypadku Cassie zrozumiałe. Ale czy jest na tyle wściekła, żeby przymilać się do Stuarta i wyciągać od niego szlugi? Jeśli tak, to jest z nią gorzej, niż myślałam.

– Wszystko w porządku? – pytam, kiedy wreszcie się do nas zbliża, i momentalnie mi głupio, bo słyszę w swoim głosie oskarżycielski ton. – Gdzie byłaś?

– Na spacerze – odpowiada i zakłada ręce, odwracając wzrok.

Wcześniej przytłaczała ją kłótnia z Jasperem i informacja o tym, że jest outlierem, ale teraz mam wrażenie, że jest roztrzęsiona i zła.

– Musisz uważać – mówi doktor Simons i cieszę się, że mnie w tym wyręcza. – Takie samotne przechadzki są niebezpieczne.

Cassie rzuca mi wściekle spojrzenie i przez chwilę wydaje mi się, że coś mu odwarknie. Nawet bym tego chciała. Ale ona tylko zagryza wargę i znów ucieka gdzieś wzrokiem.

– Wylie, może weź Cassie i zanieście te patyki na podjazd. Powinnyście znaleźć Fionę gdzieś w lesie. Użyjemy chrustu do zbudowania zapory z ognia. Trochę już go tam leży, ale trzeba przynieść więcej z lasu za domkami – mówi doktor Simons. – Przydałaby się

wasza pomoc. No i trochę wysiłku dobrze wam zrobi.

Patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: zaopiekuj się nią. W końcu poklepuje mnie serdecznie po ramieniu i wraca do środka. Dobrze – myślę – zaopiekuję się nią, zabierając ją jak najdalej od ciebie i twojej ekipy.

– Ekstra – mamrocze Cassie pod nosem i nie patrząc na mnie, rusza w kierunku sterty patyków na trawniku.

– Wszystko będzie dobrze – mówię, zrównawszy się z nią. Ale czy jestem przekonująca? Mam nadzieję, że tak. Zerkam za siebie, żeby się upewnić, czy doktor Simons mnie nie słyszy. Pochylam się w jej stronę i dodaję: – Ale musimy wiać. I to już. Pobiegniemy przez las. Nie możemy tu czekać.

Powinnam powiedzieć, że grozi jej zbyt duże niebezpieczeństwo, ale nie chcę jej przestraszyć.

– Weź ten chrust, Wylie – odpowiada. – Słyszałaś, co powiedział. Każdy powinien się czymś zająć.

– A czy ty słyszałaś, co j a powiedziałam? – pytam. Jest zła, rozumiem to. Ale musi się wziąć w garść i skupić. – Musimy się stąd wydostać. Jeśli będziemy ostrożne, nikt nas nie zatrzyma.

Cassie się zatrzymuje i odwraca w moją stronę. Z jej oczu bije trująca mieszanka strachu, furii i smutku.

– Nie – cedzi przez zaciśnięte zęby, po czym odwraca się do mnie plecami i odchodzi.

– Cassie! – krzyczę za nią. Jestem zła, ale chyba jednak bardziej urażona.

Patrzę, jak odchodzi. Najwyraźniej nie ufa mi na tyle, żeby pójść za mną.

W końcu ruszam się z miejsca i biorę na ręce naręczce patyków. Przyciskam je mocno do piersi i nagle przypominam sobie ten moment w garażu u taty, kiedy trzymałam się kurczowo sprzętu obozowego mamy. A to wspomnienie z kolei przywodzi mi na myśl Jaspera. Szkoda, że Cassie postanowiła mu wszystko wyznać. On umiałby ją przekonać do ucieczki. Jestem tego pewna.

Ruszam w stronę podjazdu, ale czuję na sobie czyjś wzrok.

Spodziewam się zobaczyć gapiącego się na mnie doktora Simonsa albo – co gorsza – Stuarta, ale kiedy się odwracam, widzę spoglądającego w moją stronę Quentina. Stoi na końcu długiej werandy i trzyma przy boku jakieś narzędzie. Mój żołądek się kurczy, kiedy spotykamy się wzrokiem i Quentin do mnie macha. Nagle z przeciwnego krańca polany słyszę czyjś podniesiony głos.

– Przecież wiem! – To Stuart krzyczy na doktora Simonsa, który kręci spuszczoną głową. – Myślisz, że jestem idiotą?

Czyżby doktor Simons zganiał go za poczęstowanie Cassie papierosem? Może i tak, ale sytuacja wygląda na poważniejszą. Cały czas mam wrażenie, że Cassie coś przede mną ukrywa. Nie wykluczam, że ten fakt i kłótnia Simonsa ze Stuartem są ze sobą jakoś powiązane.

Kiedy odwracam się z powrotem w stronę Quentina, ten ciągle na mnie patrzy. Uciekam wzrokiem. Jestem speszona. Albo dlatego, że coś się między nami dzieje, albo po prostu krępuję się z zasady. Sama nie wiem, czy potrafiłabym dostrzec różnicę.

Gdy jestem mniej więcej w połowie podjazdu, zdaję sobie sprawę, że straciłam Cassie z oczu. Kilka razy przebiegam wzrokiem po pierwszym rzędzie drzew, zanim po prawej rzuca mi się w oczy pomarańczowa plamka. Ta jej dziwna czapka.

– O, jesteś.

Kiedy się odwracam, spostrzegam stojącą obok mnie Miriam. Mój widok najwyraźniej ją zaskoczył, ale zarazem jej spojrzenie sugeruje, że właśnie mnie szukała. Skąd ona się tu w ogóle wzięła? Jeszcze przed chwilą była na górze i organizowała posiłek. Czy już mi się całkiem pomyliło?

– Szukałaś mnie? – pytam.

Uśmiecha się z serdecznym błyskiem w oku, trochę słodkim, a trochę nieobecny.

– Nie, kochanie – odpowiada, po czym ujmuje mój łokieć swoją papierową dłonią i leciutko ściska. – Ale wszystko dobrze?

– Tak. A co?

Czyżby Miriam wiedziała coś, czego ja nie wiem? Potrafi przeniknąć spojrzeniem przez moją skórę i zobaczyć przewracające się

wnętrznosci? W końcu była kiedyś pielęgniarką.

– Po prostu wyglądasz na zmęczoną – tłumaczy z uśmiechem.

– A jesteś bardzo ważna. Musimy na ciebie uważać.

– Bardzo ważna? – dziwię się. – Niby czemu?

Bo opiekujesz się Cassie, to miała na myśli.

– Nadchodzą duże zmiany i będzie nam potrzebna pomoc.

Mówi o outlierach. Przynajmniej tak mi się wydaje. Pewnie powinnam przytaknąć, uśmiechnąć się i zostawić ją w spokoju z tym jej niekontaktującym mózgiem i promienną twarzą. Ale nie podoba mi się to, że opisuje naszą sytuację, jakby chodziło o wniebowzięcie. Bo jeśli się nie mylę, to na początku wniebowzięcia wszyscy umierają.

– Duże zmiany? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– No tak – mówi Miriam, wyraźnie zdziwiona, że nikt mi o nich nie powiedział. – Po tym, jak Cassie podzieli się z nami swoim darem, a my przekazemy go innym. To będzie dla nas jak ponowne narodziny. A wszystko to dzięki twojemu ojcu.

Kto wie, może Cassie jest drugim wcieleniem Chrystusa, a mój tata królem? To by oznaczało, że ja jestem królową. Szkoda tylko, że nigdy nie chciałam nią być. Niestety nie zmienia to też faktu, że musimy stąd wiać.

– A, no tak – mówię, widząc, że Miriam czeka, aż się z nią zgodzę.

Po moich słowach jeszcze raz się do mnie uśmiecha i w końcu odchodzi. Patrzą na chrust, który trzymam w ramionach, i widzę, że patyki drżą. Bo słowa Miriam wcale nie dodały mi otuchy. Jedynie utwierdziły mnie w przekonaniu, że trzeba uciekać jak najdalej stąd. Jak najdalej i jak najszybciej. Muszę tylko przekonać do tego Cassie.

Idę przez las za pomarańczową plamką jej czapki, aż w końcu doganiam ją i Fionę. Między nimi leży czerwony kanister z benzyną, a Cassie strząsa brud z nogawek i płaszcz. Obie są mokre. Nawet z odległości kilku kroków czuć zapach benzyny.

– Ale mi głupio – mówi Fiona. Czuję, że nie pierwszy raz.

Chwyta za swój fioletowy beret, jakby była czajnikiem, z którego ma zaraz wykipieć wrzątek.

Z bliska jest dużo ładniejsza, niż myślałam. Ma jasnobrązowe oczy

i piegowaty nos. Jest jedną z niewielu obecnych tu osób, do których podeszłam tak blisko. Wszystkie te krzątające się po ośrodku pary trzymają resztę na dystans, jak wyspy w archipelagu.

Fiona robi krok do przodu i zdejmuje beret, jakby chciała nim wytrzeć ubranie Cassie.

– Nie wiem, jak to zrobiłam. Ale ze mnie idiotka.

– Nic nie szkodzi – mówi Cassie, ale słyszę, że jest bliska płaczu.

– Co się stało? – pytam, wciąż trzymając swoje patyki.

– Potknęłam się o ten kamień i wypuściłam kanister – tłumaczy

Fiona. – Akurat musiałam nieść benzynę.

– Pójdę się osuszyć – mówi Cassie.

– Pożyczę ci swoje ubrania – oferuje Fiona. – Mam nawet zapasową kurtkę. Są w czerwonej torbie w naszym domku.

– Okej, dzięki.

Cassie rusza w stronę budynków.

– Pójdę z tobą. – Uśmiecham się do Fiony i upuszczam chrust na ziemię. – Nie przejmuj się. Każdemu się mogło zdarzyć.

– Ale ona już i tak była w złym nastroju – mówi Fiona ze zbolałym wyrazem twarzy. – Musi być przytłoczona. Podekscytowana, ale też przytłoczona.

– Chyba bardziej to drugie – stwierdzam.

Fiona przytakuje i się uśmiecha. Pięknie, spokojnie. Może odrobinę za spokojnie, zważywszy na okoliczności.

– Ale jak już to wszystko się skończy, to zobaczy, jakie to niesamowite. Wszyscy będziemy mogli zacząć na nowo.

– Cassie, poczekaj! – wołam, prawie ją doganiając na końcu podjazdu, ale ona się nie odwraca, nawet nie zwalnia kroku. Odnoszę nawet wrażenie, że lekko przyspiesza. – Cassie, proszę cię, zaczekaj!

W końcu się zatrzymuje. Stoi plecami do mnie i ze spuszczoną głową. Muszę podbiec, żeby się z nią zrównać, i w końcu kładę dłoń na jej ramieniu, żeby znów mi nie uciekła.

– Cassie, musimy stąd wiać. I to już – mówię szeptem, patrząc na jej profil, bo nadal nie chce na mnie spojrzeć. – Boję się, że ci ludzie, to całe North Point, mają już Jaspera. Quentin znalazł w lesie jego kurtkę.



– Trochę się obawiam, jak to nowe poczucie winy, które na pewno wywoła w niej ta informacja, wpłynie na już i tak kotłujące się w Cassie emocje. W końcu to przez nią Jasper opuścił teren ośrodka. Ale bardziej mnie martwi, co będzie, jeśli Cassie się nie ocknie i nie zrozumie, jakie grozi nam niebezpieczeństwo. – Możliwe, że teraz wyruszą po ciebie.

Cassie odwraca głowę w moją stronę. Nie wstrząsnęła nią ani wiadomość o Jasperze, ani moja uwaga o zagrożeniu, w jakim się znajduje. Jest jeszcze bardziej zrezygnowana. Jakby już się poddała.

– Będziemy musiały iść przez las, ale to lepsze niż bezczynne czekanie – ciągnę, widząc, że nie zamierza nic powiedzieć. Ale przynajmniej słucha, dobre i to. Wiem, że to moja ostatnia szansa, żeby ją przekonać. – Znam las. Mama często mnie zabierała na piesze wycieczki, pamiętasz? I dobrze sobie radzę w sytuacjach zagrożenia. Dużo lepiej niż na co dzień.

– Nie chodzi o to, że nie chcę iść z tobą – mówi Cassie z tym dziwnym, martwym wyrazem twarzy. – Po prostu tego nie zrobię i już. Oni mają rację. To zbyt niebezpieczne.

– Cassie, nie możemy słuchać...

– Wylie, czy ty mnie słyszysz? – Podchodzi bliżej i teraz patrzy na mnie ze złością. – Skup się. Nigdzie nie idziemy. Nie mów o tym więcej, okej? Ściągnij tu swojego tatę. Muszę się przebrać. Zaraz wracam.

Cassie odchodzi w kierunku jednego z domków, gdzie Fiona trzyma swoje rzeczy. Odprowadzam ją wzrokiem i czuję rosnącą panikę, która zagłusza urazę. Co teraz?

Quentin nadal pracuje nad czymś przed głównym budynkiem. Ruszam w jego stronę.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Wyglądało to na poważną rozmowę.

– Cassie jest przerażona. Trudno się dziwić.

– No tak. Musi być jej ciężko – mówi Quentin i przygląda się kablom wewnątrz czarnej plastikowej skrzynki. – Bycie outlierem mogłoby być fajne, gdyby świat nie był taki porąbany.

Światu przydałby się restart, to fakt. Przypominają mi się Fiona i Miriam z tą ich filozoficzną gadką o nowym początku.

– Czy Fiona jest profesorem? – Chcę się upewnić, bo moim

zdaniem nie wyrażała się jak naukowiec.

– Tak mi się wydaje. Au! – Quentin cofa palec i wkłada go do ust, jakby się skaleczył. – Chyba wyklada historię sztuki czy coś takiego. Albo uczy rysunku. A co?

Patrzy na mnie pytająco i poprawia okulary. Jest typem mola książkowego, ale w dobrym tego słowa znaczeniu.

Wzruszam ramionami.

– Nic. – Teraz wydaje mi się to trochę głupie, żeby martwić się sposobem mówienia Miriam i Fiony. – Naprawdę trudno mi uwierzyć, że mój tata robił to wszystko, nic nam nie mówiąc.

– Na pewno nie spodziewał się takiego przebiegu wypadków. – Teraz to Quentin wzrusza ramionami. – Niby skąd miałyby wiedzieć? To trochę tak, jakby natknął się na drobną szczelinę w rzeczywistości. A może z bliska to wcale nie jest szczelina? Ja na pewno nikomu bym o czymś takim nie mówił, dopóki sam bym tego nie rozgryzł. Zresztą sama zobacz: jacyś psychopaci z firmy zbrojeniowej już chcą mu to wykraść. Mimo że ciągle nikt tak naprawdę nie wie, czym to „coś” jest.

– Powinien był przynajmniej powiedzieć Cassie, jak jej poszedł test – mówię. – Może zdążyłaby się przyzwyczaić do myśli, że ma ten wyjątkowy talent, zanim zmusił ją do ucieczki.

– Masz rację. – Quentin podnosi obie dłonie. – Żeby była jasność: jestem po twojej stronie. I na miejscu Cassie na pewno bym tu nie został. Choćby nie wiem, co mi mówili.

Cieszę się, że poruszył temat ucieczki.

– Właśnie powiedziałam to samo Cassie. Ale nie mów doktorowi Simonsowi, dobra?

Quentin przewraca oczami.

– Jest moim profesorem, nie księdzem. Nie muszę mu się ze wszystkiego spowiadać.

– Przepraszam. Po prostu... On uważa, że to nie byłoby bezpieczne, ale siedzenie tutaj to jakieś...

– Szaleństwo. – Quentin przyznaje mi rację. – Nie martw się. Nikomu nie powiem.

Mówi to w taki sposób, że trochę mi głupio. Jakbym była małą dziewczynką proszącą o pozwolenie. Mam szesnaście lat, nie sześć. Co

zrobi doktor Simons? Zwiąże nas obie? Chociaż na początku zamknęli nas w chacie. No, ale na pewno są granice, których by nie przekroczyli.

– To zresztą nieważne – mówię i pokazuję na domek, do którego poszła Cassie. – Ona nie chce iść.

– Serio? – Quentin nie rozumie. – Boi się uciekać bez Jaspera? Zdaje się, że jemu się udało.

– Skąd to wiesz? – pytam i już czuję nadchodzący ból brzucha.

– Kendall zadzwonił do doktora Simonsa i powiedział, że zniknął pikap, którym przyjechaliście. – Quentin pociera czoło. – Chociaż teraz wcale nie jestem pewien, czy to dowodzi, że Jasperowi nic się nie stało. Ale to chyba dobry znak.

– No tak – potakuję, choć wcale mnie nie pocieszył. – Powiem to Cassie. Ale nie wiem, czy to o niego jej chodzi.

– Jeśli uda ci się ją przekonać, zabiorę się z wami. Oczywiście jeśli chcesz.

– Dzięki. – Naprawdę jestem mu wdzięczna za tę propozycję.

– Dam jej jeszcze kilka minut na ochłonięcie i spróbuję jeszcze raz.

– Pokazuję na czarne pudełko, nad którym pracuje Quentin. – Co to jest?

– Akumulator samochodowy, który chcę przerobić na przenośną stację ładowania – wyjaśnia. – Na wypadek gdyby załatwili nasz agregat.

– Imponujące.

– Zgadza się – mówi z uśmiechem. – Pod warunkiem, że mi się uda. Latem, kiedy zginął mój ojciec, miałem wypadek i przez kilka tygodni leżałem w łóżku. Liznałem wtedy trochę teorii. – Quentin przesuwa dłonią po włosach i kładzie ją na karku. – Ale zapomniałem, że miałem wtedy dziesięć lat, więc to nie mogły być zbyt skomplikowane rzeczy. No i nawet wtedy nie byłem żadnym orłem.

– Co to był za wypadek? – pytam, bo bardzo mnie interesują takie sprawy.

Quentin podciąga nogawkę i pokazuje co najmniej dziesięciocentymetrową bliznę biegnącą wzdłuż łydki.

– Lekarze myśleli, że stracę stopę. Ale trzy operacje później była jak nowa. Przynajmniej jak dla kogoś tak niewysportowanego jak ja.

Wypadek samochodowy. To moja pierwsza myśl.

– Jak to sobie zrobiłeś? – dopytuję go.

– Yyy... – Najwyraźniej nie chce mi powiedzieć. Ale to tylko pobudza moją ciekawość. – Jak byłem mały, miałem różne fobie. Po śmierci taty tylko mi się pogorszyło. I miałem naprawdę twardego dziadka, który kiedyś postanowił wyleczyć mnie z lęku przed ruchomymi schodami. – Quentin bierze głębszy wdech i próbuje się uśmiechnąć, jakby opowiadał zabawną historię. Ale jest oczywiste, że nie będzie śmieszna. – Nie zamierzałem poddawać się bez walki. Nogawka się zaczepiła i wciągnęło mi nogę.

Mimowolnie wydaję z siebie stłumiony okrzyk. Makabryczna wizja.

– No. Mówię ci, nie ma nic gorszego, niż przeżyć na jawie swój najgorszy koszmar – stwierdza Quentin.

Na dźwięk tych słów zapiera mi dech w piersiach. Już drugi raz mam wrażenie, że czas się zapętlił, bo na ostatniej sesji z doktor Shepard powiedziałam dokładnie to samo: o przeżyciu swojego najgorszego koszmaru. Zawsze strasznie się bałam, że stracę mamę, i tu Quentin ma rację: po czymś takim świat nabiera wyjątkowo ciemnych barw. I jestem prawie pewna, że jest to nieodwracalna zmiana.

Ale stojąc na środku tego rozpadającego się ośrodka wypoczynkowego, nagle czuję delikatną ulgę. Pierwszy raz od śmierci mojej mamy mam wrażenie, że ktoś jednak mnie zrozumie. Może nie tak, jak mama mnie rozumiała. Może nawet nie będzie to Quentin i może nie stanie się to dzisiaj. Ale kiedyś owszem.

– A ty jak? – pyta Quentin. – Masz jakieś ukryte talenty z dzieciństwa, które są bardziej realne od moich zdolności konstruktorskich?

Przez chwilę nic mi nie przychodzi do głowy, jakbym nigdy w życiu nie zrobiła niczego ciekawego.

– Kiedyś interesowałam się fotografią – mówię w końcu.

– Kiedyś?

– Tak. Moja mama była fotografem, więc...

– Rozumiem. – Quentin kiwa głową i jestem mu wdzięczna, że nie muszę tłumaczyć, jak ciężko byłoby mi teraz wziąć aparat do rąk.

– Może wejdziemy do środka i czegoś się napijemy? – Stuka kombinerkami w czarną skrzynkę. – Przyda mi się przerwa.

– Okej – mówię. Mnie też się przyda. Przerwa od wszystkiego.  
– Dobry pomysł.

Wnętrze głównego budynku jest puste. Quentin rzuca kurtkę na jeden ze stołów i podchodzi do lodówki. Ja zatrzymuję się przy stercie papierów po drugiej stronie pokoju. Są tu kopie kwestionariuszy, instrukcje do testów, protokół szkolenia. Przeglądam strony, wyłapując tu i ówdzie znajomo brzmiące słowa i hasła. Niektóre dotyczą podobnego testu jak ten, który przeprowadził na nas mój tata, ale inne wyglądają inaczej. Mój ojciec nie mówił nigdy o żadnym protokole szkolenia, tego jestem pewna. Wygląda na to, że Gideon miał rację: można się tego nauczyć.

Quentin staje obok mnie i podaje mi puszkę coli. Zimna, ciężka puszka w dłoni daje mi ulgę. Jak pamiątka po dawno utraconej cywilizacji. Mimo to widok wydrukowanych arkuszy sprawia, że narasta we mnie niepokój.

– Jak myślisz, co zrobią z Cassie, jeśli ją dopadną?

– Nie wiem – odpowiada Quentin, nie odrywając wzroku od stołu.

– Może doktor Sim...

– Ale co t y myślisz? – przerywam mu. – Nie trzeba być naukowcem, żeby mieć wyobraźnię.

Quentin przez chwilę patrzy mi w oczy, po czym odwraca się, wzruszając ramionami.

– Będą chcieli wszystkiego się dowiedzieć – mówi w końcu.

– Zrozumieć, jak ona to robi. Jeśli to nie jest kwestia wzroku ani słuchu, to czego? Przeprowadzą też pewnie badania z rezonansem magnetycznym. W końcu sami chcieliby się tego nauczyć.

– Nauczyć? – pytam.

– Wszystkiego można się nauczyć. Może nie każdy zagra na wiolonczeli jak Yo-Yo Ma, ale przy odrobinie wysiłku da się opanować podstawy. Niewykluczone, że wiele osób ma podobny potencjał co Cassie i wystarczyłoby tylko pomóc im go w sobie odkryć.

– Może masz rację – zgadzam się. – A z drugiej strony możesz trenować koszykówkę całe życie, ale bez odpowiedniego wzrostu nigdy nie wsadzisz piłki do kosza.

– Myślę, że oni chcą też ustalić, ilu jest takich ludzi jak Cassie.

Twój ojciec zbadał jakieś trzysta osób, tak? Jeśli znalazł troje outlierów, to daje jeden procent. Jeśli ta liczba odzwierciedla proporcje dla całej populacji, oznaczałoby to, że podobne umiejętności ma kilkadziesiąt milionów osób.

Strach jeszcze mocniej ściska mój żołądek. Bo co się stanie, jeśli rezonans magnetyczny niczego nie wyjaśni? Wyobrażam sobie, jak ci ludzie z North Point otwierają Cassie czaszkę i podłączają jej mózg do monitorów, podtrzymując funkcje życiowe organizmu za pomocą skomplikowanej aparatury. Aż się wzdrygam na tę myśl.

– Ej, wszystko będzie dobrze – odzywa się uspokajająco Quentin i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Obiecuję.

Odwracam się w jego stronę i już mam mu powiedzieć, że nikt nie może składać takich obietnic, gdy nagle za nami rozlega się jakiś hałas. Otwierają się drzwi i do środka wchodzi kilka osób, które coś niosą. Kogoś. Fionę.

– Połóżcie ją! Połóżcie ją! – woła Adam.

Odchodzi od zmysłów, patrząc, jak ściągają obrus ze stołu i delikatnie układają ją na podłodze.

– Ostrożnie, ostrożnie – radzi doktor Simons.

Wydaje się teraz dużo starszy, wręcz cherlawy. Ma zmierzwione włosy i stoi trochę z boku, jakby się bał pomóc. Niezbyt pocieszający to widok.

– Nic mi nie jest – mówi Fiona i próbuje się podeprzeć na łokciach.  
– Bez przesady.

– Bez przesady? Zostałaś postrzelona! – krzyczy na nią Adam.

– Nie podnoś się!

– Co się stało? – pyta Quentin i idzie szybkim krokiem w jej stronę.

– Adam – dyszy ciężko Fiona. Udaje, że nie cierpi, mimo że ból musi być ostry. – Naprawdę nic mi nie jest.

– Ktoś ją postrzelił w nogę! – Adam krzyczy na Quentina, jakby to on zawinił.

Strzał. Kula. Cassie. Gdzie jest Cassie?

Rozglądam się, ale wiem już, że nie ma jej w tym pomieszczeniu. Nie powinnam była zostawiać jej samej, nawet na chwilę. Nawet po to,

żeby mogła się uspokoić. Z walącym sercem idę do drzwi, ale muszę być ostrożna. Nie mogę dać się teraz złapać. Ruszamy prosto do lasu za domkami. W przeciwną stronę od miejsca, w którym postrzelono Fionę. Ja poprowadzę, Cassie pójdzie za mną. I przeżyje.

– Gdzie jest Miriam?! – woła Adam. – Trzeba opatrzyć ranę.

To moja szansa. Muszę ją wykorzystać.

– Widziałam ją przed chwilą. – Podchodzę szybkim krokiem do drzwi. – Pójdę po nią.

Nie skłamałam. Faktycznie widziałam ją na dworze, już jakiś czas temu.

– Ja sprawdzę w biurze – mówi ktoś inny.

– Położmy Fionę na kanapie – proponuje Adam, nie podnosząc głowy. – Noga musi być wyżej.

Docieram do drzwi, moje serce wariuje. Cassie musi być w jednym z dalszych domków. Tam, gdzie są ubrania Fiony. To prosty bieg przez trawnik. Wstrzymuję oddech, ale nikt nie blokuje mi wyjścia.

Jestem na zewnątrz. Rozglądam się na prawo i lewo i schodzę po schodach z werandy. Chmury zabarwiły się groźnie wyglądającą czernią i idąc szybko przez trawnik, mam okropne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, że gdzieś w zaroślach kryje się kilkunastu najemników North Point. Ale nie dostrzegam nikogo, nawet Stuarta.

– Wylie! – Odwracam się i widzę zbiegającego po schodach Quentina. – Znaleźliśmy Miriam. Była w środku.

Złapana. I co teraz?

Skłam – to najlepsze wyjście. Lubię Quentina. Nawet zaproponował, że ucieknie ze mną, ale po wypadku Fiony mógł zmienić zdanie.

– Idę po Cassie, żeby dołączyła do nas w głównym budynku. Poszła się przebrać.

– Już ją przenieśli. Do domku, w którym byliście na początku. To najbezpieczniejsze miejsce w ośrodku. – Pokazuje w tamtą stronę. Chata ma ciemne okna, w pobliżu nie widać żywej duszy. – Stuart pełni wartę.

Znów patrzę na domek.

– Nie widzę go. W ogóle nikogo nie widać.



– I o to chodzi – stwierdza Quentin. – Nikt nie ma wiedzieć, że w środku ktoś jest. Tam Cassie będzie najbezpieczniejsza. Pod warunkiem, że nie będziemy tu stali, patrząc w tamtą stronę.

Skończyły mi się kłamstwa. Nie mam wyboru – muszę zdławić w sobie wszystkie wątpliwości i mu zaufać.

– Cassie i ja musimy stąd wiać – mówię wprost. – I to już.

– Zgadza się – Quentin odpowiada bez wahania, a ja czuję taką ulgę, że mogłabym się rozplakać. Nawet nie muszę go przekonywać.

– Ale nie same, dobrze? Wezmę tylko kurtkę i telefon i pójdę z wami.

Oglądam się za siebie i zerkam jeszcze raz na zaciemnioną chatkę. Mogłabym pobiec do niej i zawołać Cassie, ale Quentin będzie mi potrzebny, żeby odwrócić uwagę Stuarta. Poza tym prawda jest taka, że się boję. A co, jeśli zaciągnę Cassie do lasu i nagle się załamię? W moim stanie ucieczka może się okazać za dużym obciążeniem. Mój tata mógł mieć rację.

– Pospiesz się, dobra? – mówię.

– Okej, ale wejdź ze mną do środka. Stojąc tutaj, nie jesteś bezpieczna. Poza tym wszyscy zaczną cię szukać. Mówię ci, tak będzie lepiej. Nie wzbudzisz podejrzeń.

Przytakuję i idę za nim. Wejść do środka. Wrócić po Cassie. Uciec. Po kolei.

W środku nie ma już nikogo. Na podłodze leży tylko zakrwawiony obrus, a obok kilka poplamionych kawałków gazy. Ale zza drzwi biura dobiegają podniesione głosy. A właściwie jeden podniesiony głos. Adam krzyczy coś za Miriam, która wychodzi z biura, niosąc tacę z przyborami medycznymi. Jak zwykle coś do siebie mówi pod nosem. Nie patrzy w naszą stronę, chyba nawet nas nie zauważa. Jej twarz zdaje się mówić: cicho, cicho. Gdyby nie miała zajętych rąk, pewnie kiwałaby palcem.

– Poważna ta rana? – woła do niej Quentin z drugiego końca sali.

– Ojej, nie widziałam was. – Miriam jak zwykle aż podskakuje.

– Miriam, czy Fiona dojdzie do siebie?

Quentin ma zdecydowanie mniej cierpliwości dla jej rozkojarzenia, co zrozumiałe.

– A... Tak, tak. – Miriam macha ręką. – To tylko draśnięcie

– mówi tak, jak mógłby powiedzieć ktoś, kto widział wojnę na własne oczy. – Kilka szwów i do wesela się zagoi.

– Możesz tu przyjść? – woła ktoś zza drzwi. Męski głos, którego wprawdzie nie poznaję, ale wydaje mi się znajomy. Może. Jesteśmy za daleko, więc nie jestem pewna. – Jesteś potrzebna.

Głos rozlega się bliżej, ale nadal jest stłumiony przez ściany. I ostrożny, jakby ten mężczyzna nie był pewny swojej pozycji w grupie.

Próbuję sobie przypomnieć i wysiłek zabiera mi powietrze z płuc. Kiedy tamten wreszcie się pojawia, jestem tak oszołomiona, że mieni mi się przed oczami. Ale widzę, że ten człowiek jest większy od wszystkich pozostałych. Ma ogromną sylwetkę, którą już gdzieś widziałam.

Nie. Nie chcę go widzieć. Zamykam oczy i długo ich nie otwieram, może dzięki temu zniknie. Ale on ciągle tam stoi, a ja widzę go wyraźniej, niżbym chciała.

– Przepraszam – mówi niepewnie do Miriam i macha ręką, jakby sprawdzał, czy aby nie jest głucha. – Wołają cię.

Dopiero ten jego gest rozwiewa wszystkie moje wątpliwości: mężczyzna ma zabandażowaną dłoń. Opatrunek zakrywa miejsce, w które go dźgnęłam.

Doug.

Łup, łup, łup – wali moje serce. Quentin nadal patrzy w stronę Miriam.

– To on, ten z North Point, który nas zaatakował!!! – krzyczę bezgłośnie.

Miriam musiała go wpuścić, kiedy inni nie uważali. Bóg jeden wie, jak ją do tego przekonał. Nie ma już potrzeby szykować się na atak ludzi z North Point. Oni już tu są.

Cassie. A jeśli już ją mają? Nie powinnam była wchodzić z powrotem do środka. Źle zrobiłam, słuchając Quentina, nawet jeśli chciał tylko pomóc. Trzeba było... Doug będzie chciał się na mnie zemścić. Tak. To będzie dla niego najważniejsze.

– Idę, już idę! – woła Miriam, pocierając kościste dłonie. – Muszę tylko ogrzać ręce pod gorącą wodą, zanim zabiorę się do zakładania szwów. W przeciwnym razie zostanie paskudna blizna.

– To on – udaje mi się w końcu wyszeptać. – Ten, którego

dźgnęłam nożem. Musimy iść po Cassie.

Wstrzymuję oddech i czekam, aż Quentin się odwróci, złapie mnie za rękę i zacznie biec. Tymczasem on nie odrywa wzroku od Douga. Ma napiętą, absolutnie nieruchomą twarz.

Jest zły? O to chodzi? Może zamiast uciekać, rzuci się na Douga. Tyle że Doug jest silniejszy, niż wygląda. Silniejszy od Jaspera. I na pewno silniejszy od Quentina.

Patrzę znów w jego stronę i orientuję się, że jest już za późno – Doug nas zauważył i gapi się na nas. Na mnie. Rozpoznał moją twarz. To pewne. Robi kilka kroków do przodu i staje na środku sali. Ręce trzyma przy sobie, ale dłonie ma zaciśnięte w pięści, jakby szykował się do ataku.

Przez kilka następnych sekund, które dłużą się w nieskończoność, z sali uciekają resztki tlenu. Moje myśli pojawiają się i znikają jak błyskawice. Za szybko, żebym zdołała je schwycić i zrozumieć.

Zresztą i tak w mojej głowie kłębią się tylko pytania. Co się stanie, jeśli Quentin rzuci się na Douga? Czy Doug spróbuje go udusić, tak jak Jaspera? Czy zasłoni się Miriam? Czy jest uzbrojony? Na pewno ma broń. Pracuje dla firmy zbrojeniowej, z pewnością był w wojsku. Ktoś mi to powiedział, prawda? Ma pistolet albo i dwa. A jeśli tak, to jak możemy przeżyć?

No i Cassie. Jest za daleko, by ją ostrzec. Nie uratuję jej. Jak szybko ją znajdą? Co zrobią, żeby dostać się do jej mózgu? O ile już się do niego nie dobrali.

Zastanawiam się, jakie to będzie uczucie, kiedy Doug wbije mi nóż w rękę albo w szyję. Doskonale pamiętam nienawiść w jego oczach, kiedy trzymał się tej zakrwawionej ściany. Będzie chciał się zemścić. Oko za oko. Ale na razie tylko tam stoi, nieruchomo, z wbitym we mnie wzrokiem. Myśliwy i zwierzyna. Zastygli w tej jednej jedynej sekundzie, w której ucieczka jest jeszcze możliwa.

Biegnij! – krzyk w mojej głowie – biegnij po Cassie! Ale za bardzo kręci mi się w głowie. Jeden krok i upadnę na ziemię.

Ciszę przerywa Miriam. Patrzy na Douga ze środka sali i oczywiście dziwi się, dlaczego ten sympatyczny mężczyzna gapi się z taką furią w oczach na mnie i Quentina. Wiem przecież, jaki Doug

potrafi być sympatyczny. Prawdziwy z niego kameleon. Tym łatwiej mu było omamić Miriam, która żyje we mgle na wpół rozmytych wspomnień. Pewnie często udaje, że kogoś zna, tylko dlatego, że ten ktoś zdaje się znać ją.

Miriam podchodzi do Douga i przygląda mu się z wesołą konsternacją. Odejdź od niego, myślę. On nie jest tym, za kogo się podaje. Ale boję się otworzyć usta. Nie chcę dać mu pretekstu do rzucenia się na Miriam. Jest taka stara. Niewiele by trzeba, żeby ją skrzywdzić, może nawet zabić.

– O, zobacz. Myliłam się. Wylie nigdzie nie wyszła, jest tutaj. Mogłabym przysiąc... – Miriam wystawia w moją stronę swój krzywy palec, a zaraz potem macha ręką. – Zresztą nieważne. Wylie, poznaj Douga. On i jego żona, Lexi, byli za sprawunkami, kiedy przyjechałaś. Bardzo się cieszyli na spotkanie z tobą.

Po tych słowach klepie Douga po jego masywnym ramieniu i wraca na zaplecze z tacą narzędzi medycznych w rękach.

Sprawunki. Miriam zna Douga. Nie jest obcym, który się tu wdarł. W ogóle nie jest obcym. Rzeczywistość się zagina, moje pole widzenia ciemnieje po bokach, kiedy odwracam się w kierunku Quentina. Co? Jak to?

Quentin nie przestaje wpatrywać się w Douga. Trwa to kilka nieznośnych sekund.

– Wylie – mówi w końcu i odwraca głowę. Robi wielkie oczy i podnosi obie ręce, jakbym była dzikim zwierzęciem, które trzeba poskromić. – Wszystko ci wyjaśnię.

Quentin zna Douga. Doug próbował nas zabić.

Nie muszę wiedzieć nic więcej. Wydostać się na zewnątrz. Znaleźć Cassie. Teraz.

Odwracam się w stronę drzwi i ruszam biegiem. Serce bije jak oszalałe. Sekundę później już przy nich jestem, ale dłoń ślizga się na klamce. Raz, drugi. W końcu chwytam ją i ciągnę, ale drzwi nawet nie drgną. Tuż nad moją głową przytrzymuje je czyjaś ręka. Doug. Widzę bandaż, centymetry od mojej twarzy. Zamykam oczy i szykuję się na ból. Na jego pięść uderzającą mnie w tył głowy. Na cios nożem.

Ale nic takiego się nie dzieje. Czuję tylko bicie serca i krew napływającą do głowy.

– Proponuję, żebyśmy się wszyscy uspokoiли i usiedli – mówi Quentin, który stoi tuż za mną. – Zwłaszcza że zaraz wrócą tu pozostali i wszystko się niepotrzebnie skomplikuje.

Jego głos brzmi teraz zupełnie inaczej. Pasuje do mężczyzny, który panuje nad sytuacją. I jest starszy. Czy tylko mi się to wydaje? Powoli puszczam klamkę. Nie mam wielkiego wyboru. W reakcji na mój ruch Doug opuszcza rękę i robi krok wstecz.

Odwracam głowę i przekonuję się, że Quentin nie tylko mówi, ale i wygląda inaczej. Po sympatycznym molu książkowym nie został nawet ślad, a jego miejsce zajął dorosły mężczyzna, który sprawia wrażenie dużo wyższego i silniejszego. Wygląda jak ktoś, kto nigdy w życiu w siebie nie wątpił. Co w niego wstąpiło?

Quentin zdejmuję swoje najwyraźniej niepotrzebne okulary i kładzie je na stole.

– Doug, może zaczniemy od tego, że powiesz Wylie to, co masz jej do powiedzenia.

Przez chwilę Doug patrzy na mnie ze złością w oczach.

– Przepraszam – wydusza z siebie w końcu i splata ramiona przed klatką piersiową. – Obojgu nam, mnie i Lexi, jest bardzo przykro.

– Pokazuje skinieniem na zaplecze, sugerując, że jego żona gdzieś tam jest. – Chcieliśmy tylko bezpiecznie was tu przywieźć. Zgodnie z planem Quentina.

– Czyli on nie pracuje dla North Point? – pytam Quentina, bo nie zamierzam rozmawiać z Dougiem.

– Nie, nie. North Point stanowi realne zagrożenie, na które musimy być gotowi, ale Lexi i Doug pracują dla mnie – mówi Quentin z takim wyrazem twarzy, jakby uważał, że ta informacja przyniesie mi gigantyczną ulgę. – Zatrudniłem ich, żeby dostarczyli cię do mnie w jednym kawałku. – Rzuca Dougowi groźne spojrzenie. – A nie po to, żeby cię nastraszyli. To było niefortunne i niewybaczalne. Na obronę Douga mogę powiedzieć, że nie ma dużego doświadczenia w tego typu zleceniach. Twój ojciec nigdy nie rozumiał, jak bardzo motywująca dla ludzi jest chęć zysku. Nie bierz tego do siebie – zwraca się do Douga, który wygląda tak, jakby miał go zaraz zabić. – Kendall też został opłacony, choć jeśli mam być szczery, to wcale nie jestem pewien, że chodziło mu tylko o pieniądze. Cały czas mi się wydawało, że ma jakieś swoje ukryte powody.

– Chcę porozmawiać z doktorem Simonsem – mówię.

Nie ma mowy, żeby to wszystko działo się za jego zgodą. Próba zabicia Jaspera? Nie, nie wierzę. Cokolwiek teraz spróbuje powiedzieć Doug, jakkolwiek się wytłumaczyć, ja i tak wiem, że to właśnie próbował zrobić tam, w restauracji.

Quentin bierze głęboki wdech i drapie się w czoło.

– Dobrze, ale najpierw mnie wysłuchaj, okej? – Podchodzi do jednego ze stołów. – Usiądź na chwilę. Im szybciej naświetlę ci sytuację, tym wcześniej będziesz mogła wrócić do Cassie.

Ręce mi się trzęsą, a moje serce bije w przyspieszonym rytmie. Ale muszę do niego podejść, bo chcę przynajmniej stworzyć wrażenie, że jestem po ich stronie. Że ich słucham. W przeciwnym razie nawet na chwilę nie spuszczą mnie z oka.

Siadam naprzeciwko Quentina, a Doug staje przy drzwiach do biura na zapleczu. Co chwila zerka przez ramię, żeby się upewnić, czy nikt nie nadchodzi. Inni muszą już wiedzieć, co to za „sytuacja”. Ale wygląda na to, że nie wie o niej doktor Simons. Ani mój tata. Czy on w ogóle jeszcze tu jedzie? Prosto w tę pułapkę? Kto wie, co oni mu zrobią, jak już tu dotrze.

– To bez wątplenia mili ludzie. – Quentin pokazuje ruchem głowy

na pokój za drzwiami. Ma na myśli pozostałych. – Ale musiałem ich przyjąć z całym dobrodziejstwem inwentarza. Na przykład Miriam jest zupełnie nieprzewidywalna. – Quentin wzdycha. – Za to jako grupa byli zdecydowanie zbyt ufni. Poznałem ich, przedstawiłem doktorowi Simonsowi, a on wyjaśnił, że przyjaźni się z twoim ojcem. Trzy krótkie spotkania później... – Pstryka palcami. – Ludzie tęsknią za przywódcą. Chcą komuś wierzyć, taka jest ludzka natura. Zobacz, jak niewiele trzeba było, żeby przekonać ciebie: Harvard. Powiedziałem ci, że Adam tam wykłada, no i ma na sobie bluzę z logo uniwersytetu. Wystarczą dwa niezależne źródła informacji i zaakceptujemy każdy fakt, nawet jeśli nie da się go sprawdzić.

– Adam nie wykłada na Harvardzie – mówię powoli.

Quentin kręci głową.

– Pracuje w dziale pomocy technicznej w sklepie z elektroniką. Ale jest zaskakująco dobrym informatykiem.

Quentin ma rację. Uwierzyłam w każde jego słowo. Ani razu nie zapytałam Adama wprost, czy to prawda. A jak już uwierzyłam w kłamstwo na jego temat, łatwiej mi było przyjąć kolejne.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – pytam. Jest już dla mnie oczywiste, że żadna z tych osób nie zna mojego ojca.

– Cały „duchowy” aspekt ich grupy okazał się dużo mniej kłopotliwy, niż się spodziewałem. Kolektyw był mi potrzebny do stworzenia jakiegoś sensownego kontekstu – wyjaśnia Quentin. – Ale wiesz, Wylie, to mi uświadamia, jakiego rodzaju ludzie są zainteresowani badaniami twojego ojca. Kolektyw jest jeszcze w miarę niegroźny, ale inne grupy już takie nie będą. Właśnie dlatego musimy być czujni.

Kolektyw... Kolektyw... K o l e k t y w. Duchowość nauki. Zielona ulotka pod naszymi drzwiami. Ale ja zaufałam Quentinowi ze względu na doktora Simonsa. Przecież tyle o nas wiedział, pamiętał naszą podróż do Kalifornii, moje stany lękowe. Ziemia zaczyna mi się usuwać spod nóg. Włamanie do systemu, Level99. Czy mogli to wszystko przeczytać w mailach mojego taty?

– Ten mężczyzna to nie jest doktor Simons, prawda? – pytam.

Ostatni raz widziałam go, gdy byłam dzieckiem. Nawet zdjęcia,

które oglądałam, pochodziły z dawnych lat. Uwierzyłam, że to faktycznie on, bo wyglądał podobnie i dużo o mnie wiedział. No i mój tata powiedział, że mam mu zaufać.

Quentin kręci głową.

– Nazywa się Frank Brickchurch. To jego najlepsza i najlepiej płatna rola w długiej, dość marnej karierze aktorskiej. Oczywiście przekazałem mu trochę informacji, ale i tak musiał sporo improwizować – mówi cicho i patrzy na mnie z żalem w oczach. – Przepraszam za ten podstęp, ale chciałem, żebyśmy się zdążyli lepiej poznać i żebyś podeszła do mnie bez uprzedzeń.

Bez uprzedzeń?

– Kim ty jesteś? – pytam.

– Kimś, kto ma bardzo emocjonalny stosunek do pracy twojego ojca – odpowiada z nadzieją w oczach, jakby się cieszył, że nasza znajomość nareszcie dotarła do tego punktu. – Kimś, kto uważa twojego tatę za mentora i przyjaciela. Oddałbym wszystko, byleby był bezpieczny, a jego badania znalazły zasłużone uznanie. W kilku sprawach kłamałem, ale teraz mówię prawdę.

Wyraz jego twarzy jest tak szczery, a zarazem tak przerażający, że po plecach przebiega mi dreszcz.

– Kim jesteś? – pytam jeszcze raz. – Gdzie jest Cassie?

– W bezpiecznym miejscu, słowo – mówi Quentin. – W swoim domku, jak mówiłem.

– A co z moim tatą? – Jestem pewna, że o niczym nie wie. Ani o Kolektywie, ani o Quentinie. – Naprawdę tu jedzie?

– Tak, oczywiście – potwierdza Quentin i znów odnoszę wrażenie, że sprawia mu to przyjemność. – Powinien tu wkrótce dotrzeć. I mam nadzieję, że on też podejdzie do wszystkiego z otwartą głową.

– Zapomnij.

– Naprawdę w to wierzę – odpowiada Quentin ze spokojem. – Ostrzegałem go, że jego dane i skrzynka pocztowa nie są bezpieczne i że ktoś będzie próbował wykorzystać jego badania w niewłaściwy sposób. Ale jego nie interesowały takie sprawy. Chciał, żeby jego praca była absolutnie czysta. Sęk w tym, że świat działa inaczej. Jako jego asystent uważałem, że moim obowiązkiem jest zwracać mu uwagę na



tego typu zagrożenia. Niestety zwolnił mnie, zanim zdążyłem to zrobić.

Jego asystent. Podłoga pod moimi nogami nagle zaczyna falować. Doktor Caton. Fanatyk. Niezrównoważony. Niespełna rozumu. Tak mówił o nim raz po raz mój tata.

– Zwolnił cię – powtarzam jego słowa jak echo.

Quentin marszczy brwi i przytakuje.

– Z początku byłem zdruzgotany. Bardzo lubiłem twój tatę. Mój ojciec nie zginął od kuli, powstrzymując napad na sklep, ale umarł dawno temu. Przyznam, że twój tata był dla mnie kimś w rodzaju opiekuna. Kimś takim, kim dla niego jest doktor Simons. I sądziłem, że on czuje się ze mną podobnie związany. Dużo mi o was opowiadał, o tobie i Gideonie. Stąd właśnie wiedziałem, że kiedy byłaś mała, nazywał cię Kłębkiem. Byliśmy sobie bliscy. A przynajmniej tak mi się zdawało. Szczerze mówiąc, zrobiło mi się przykro, kiedy się dowiedziałem, że uważał mnie wyłącznie za swojego pracownika.

Biorę głęboki wdech i z drżeniem wypuszczam powietrze.

– Chcę porozmawiać z Cassie – oświadczam.

Muszę się na tym skupić. Na niej.

– Dobrze, zaprowadzimy cię do Cassie – zgadza się Quentin, ale nie wykonuje żadnego ruchu. – Ale najpierw muszę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz.

Ma dziwny wyraz twarzy. Kryje się w nim coś podobnego do ekscytacji, ale trudniejsze do zdefiniowania.

– To wszystko, co ci mówiłem o moim nieżyjącym ojcu, moich lękach i ruchomych schodach, to była prawda. Może nie w szczegółach, ale naprawdę zawsze byłem mocno wycofany, zupełnie jak ty. Ta jedna cecha nas łączy – mówi, a mnie robi się niedobrze. Bo Quentin ma rację, rzeczywiście coś nas łączyło. – A teraz to, co tobie i mnie tak bardzo ciążyło przez całe życie, możemy zmienić w wielki dar. Jeśli twój tata mi nie uwierzy, udowodnię mu to wynikami moich własnych badań. Problem w tym, że gdy nie jest się już związanym z żadną uczelnią, dużo trudniej jest znaleźć osoby do badań. Dzięki twojemu tacie ja mam teraz taki właśnie problem. – Zaciska szczęki, ale widzę, że odrzuca swoją złość. – Ale to wszystko przestanie mieć znaczenie, jeśli mi pomożesz. W twoich rękach znajduje się klucz do wszystkiego.

Podziw. Nareszcie rozumiem. Właśnie to widziałam przed chwilą w jego oczach. Podziw, którego obiektem jestem ja. Robi mi się od tego niedobrze.

– Nie – szepczę.

Zakrywam uszy dłońmi.

Zabawne jest to moje przekonanie, że w ten sposób zatrzymam pędzący prosto na mnie pociąg i Quentin nie powie mi tego, co według niego powinnam wiedzieć.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nie powiedział ci twój tata – mówi, kładąc obie dłonie na blacie stołu. Patrzy mi prosto w oczy, jakby chciał dać do zrozumienia, że to jest ten najważniejszy sekret, który muszę wreszcie poznać. W końcu padają te słowa: – To nie Cassie jest outlierem, lecz ty.

Chlup, chlup – to krew uderza mi do głowy. Chwytam się krawędzi ławy, żeby nie upaść na podłogę.

– Nie – mówię. Tym razem dużo głośniej.

Kręcę mocno głową, nie mogę się powstrzymać.

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć. – W głosie Quentina jest spokój, prawie współczucie. – Ale twój tata chciał cię chronić. Naprawdę w to wierzę. Po prostu nie wiedział, że przyjdzie mu zapłacić za to aż taką cenę.

Doug odprowadza mnie z powrotem do domku, w którym wszystko się zaczęło. Cały czas dzwoni mi w uszach. Zabrali mnie z głównego budynku, kiedy przestałam reagować na ich słowa. Postanowili mnie ukryć, zanim pozostali zobaczyliby wyraz mojej twarzy i zrozumieli, że coś poszło nie tak. Zanim ktokolwiek z Kolektywu zdołałby interweniować. Czyżby podejrzewali, że zorganizuję bunt? Jak mogłabym wykonać taki ruch, skoro w mojej głowie dźwięczy tylko jedno słowo: outlier, outlier, outlier.

Mimo to jakimś cudem udaje mi się iść po wilgotnej trawie tego szarego poranka. Bo prowadzą mnie do Cassie. Tak przynajmniej powiedzieli. Staram się na tym skupić. Na dotarciu do niej. Na ucieczce. Mamy jeszcze kawałek do przejścia, a Doug ciągle nie powiedział ani słowa o dźgnięciu nożem. Ale nie musi – zamiast mówić, trzyma mocno dłoń na moim barku.

– Hej! – woła ktoś do nas głośnym szeptem, kiedy docieramy do środka polanki.

Doug jeszcze mocniej ściska moje ramię, aż się krzywię z bólu. Ale okazuje się, że to tylko Lexi idzie w naszą stronę.

– Do cholery – warczy na nią Doug i rozgląda się dookoła. Jesteśmy całkowicie odsłonięci. – Miałem ją odprowadzić w tajemnicy przed resztą.

– Ojej, przepraszam – odpowiada i zauważa jego dłoń na moim barku.

Jest zakłopotana. Może nawet więcej niż zakłopotana. Czuję to wszystko, bo mam jakiś szósty zmysł? Nie sądzę. Jest tylko jedna cecha, której zawsze miałam w nadmiarze w porównaniu do innych: skłonność do lęków.

– Tak się cieszę, Wylie, że nic ci nie jest – mówi Lexi.

– Zaatakowała mnie nożem, pamiętasz? – przypomina jej Doug przez zaciśnięte zęby. – Powinnaś się martwić o mnie, a nie o nią.

– Zrobiła to ze strachu. Bo pewnie w i e d z i a ł a, że coś jest nie tak.

Lexi patrzy na mnie, jakby czekała, że potwierdzę jej słowa. Jej

zdaniem rzuciłam się na Douga, dlatego że jestem outlierem.

Najwyraźniej nie powiedział jej o tym, że dusił Jaspera.

– Gadasz jak oni wszyscy, Lexi – mówi Doug. – Weź się w garść.

– Nie mów tak o nich. Są bardzo mili. – Lexi wydaje się urażona w ich imieniu. – Poza tym Quentin nie jest jednym z nich. I wierzy w Wylie.

– Błagam, on jest z nich wszystkich najgorszy – obrusza się Doug.

– Mamy robotę do wykonania. Za konkretną forszę. Nie daj się ogłupić tymi bredniami.

– Chcieli nam zabrać dom i wtedy Doug poznał Quentina. – Lexi patrzy prosto na mnie. Jest mocno zmieszana. – Musieliśmy stracić wszystkie oszczędności, żeby w końcu zrozumieć, jak bardzo właściciele psów nie potrzebują dla swoich pociech batoników energetycznych.

Tacy z nas ludzie biznesu. Nawet nie mamy psa.

– A macie dziecko? – pytam.

Lexi obejmuje się rękoma i kiwa potwierdzająco głową.

– Delilah. Ma osiem miesięcy.

Nawet się trochę uśmiecha. Może się cieszy, że przynajmniej w tej jednej kwestii okazała się nie być kłamczuchą. Ale widzę też, że się boi. Może nie jest pewna, czy zobaczy swoją córeczkę. Ale jest jeszcze coś, co ją przeraża. Akurat to naprawdę wyczuwam. To wręcz z niej promieniuje.

– W ten weekend jest z moimi rodzicami. Nie chcieliśmy, żeby cierpiała przez nasze... To nie jest miejsce dla małego dziecka.

– Nie musisz jej opowiadać naszego całego życiorysu – rzuca ze złością Doug. – Dokończmy to już i zgarnijmy to, co się nam należy.

– Wiedzieliśmy, że się zorientowaliście, kiedy Jasper nazwał Cassie zmyślonym imieniem. Victoria. – Lexi najwyraźniej nie może się powstrzymać przed rozmową ze mną. Może chce usłyszeć, że jej wybaczam. Wie, że są wobec mnie nie w porządku, i żałuje swojego udziału w całej tej maskaradzie. – Baliśmy się, że uciekniecie do lasu i coś się wam stanie. To dlatego Doug poszedł za wami do toalety. Potem wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Wymknęło się spod kontroli? – pytam. Może jeśli uda mi się skłócić ją z Dougiem, pojawi się szansa na ucieczkę. – Doug dusił

Jaspera. Dlatego go zaatakowałam.

Lexi patrzy na Douga i robi wielkie oczy. Prawie się zatrzymuje.

– Mówiłeś, że to on napadł na ciebie?

Doug jeszcze mocniej ściska mnie za ramię. Wiem, że jeśli posunie się za daleko, udowodni tym samym, że mam rację.

– Lexi, oni chcieli zwać – mówi do niej poirytowany. – Naszym zadaniem było sprowadzenie Wylie do ośrodka, tak? A tak w ogóle to powiedziałaś, że przekonasz ją do zostawienia Jaspera na stacji, pamiętasz? Nic więcej nie musiałaś robić. – Doug podniósł głos, Lexi unika jego wzroku. – I co? Wpakował się nam do samochodu razem z nią. Ja tylko próbowałam ich rozdzielić, żeby Wylie pojechała z nami sama. Chciałem załatwić sprawę tak jak zawsze.

– No tak, jasne – przyznaje Lexi i spuszcza głowę.

Nie tworzą zgranej drużyny. Wiem to, bo jestem outlierem? Czy to możliwe, że właśnie tu kryje się klucz do zrozumienia mojego napędzanego lękiem umysłu? Że te wszystkie stany lękowe to tylko cudze uczucia w mojej głowie, a nie moje własne demony?

Nie.

Tak.

Nie wiem.

– Witamy z powrotem – mówi Stuart i ostentacyjnie przekłada karabin do lewej ręki, żeby prawą otworzyć drzwi domku i zaprosić mnie do środka. – Ucieszą się z twojego przybycia, bo we dwójkę potwornie się nudzili.

We dwójkę? Jediną osobą, jaką widzę, jest Cassie. Stoi oparta o ścianę po drugiej stronie izby. Nie wiem, jak jej się to udaje, ale wygląda ładnie w bladym świetle wpadającym przez okna. Tyle tylko, że mocno obejmuje się ramionami, jakby szykowała się na przyjęcie ciosu.

– Wylie, przepraszam. Tak mi głupio – mówi drżącym głosem znizonym do szeptu.

– To nie twoja wina.

Robię krok do przodu i słyszę dźwięk zamykanych drzwi, a zaraz potem odgłos przesuwanego rygla.

– Nie powiedziałbym.

Ten głos... Staję jak wryta tuż przed Cassie. Odwracam się i widzę Jaspera, który siedzi w cieniu pod dalszą ścianą.

– Jasper! – Podbiegam do niego, czując rozlewającą się w sercu ogromną ulgę. Jakby jego widok oznaczał, że jest już po wszystkim. Ale sekundę później jego twarz wyłania się z półmroku. Jest posiniaczona i opuchnięta. Nad okiem ma rozciętą skórę. – Co ci się stało?

– Doug – mówi i pokazuje na swoją twarz. – Tym razem zaufałem bardziej swoim pięściom.

– Dlaczego nie pozwolili ci odejść? – Wiem, że to bardzo zły znak. Dla nas wszystkich. – Przecież nic jeszcze nie wiedziałeś.

– Bo wcale nie próbowałem odejść – tłumaczy Jasper. – Po tym, jak mi Cassie powiedziała... – Ucina, jakby nie był w stanie nawet dokończyć tego zdania. – Byłem wkurzony i chciałem odetchnąć świeżym powietrzem, ale nie zamierzałem uciekać. W samym środku tego wszystkiego? Doug mnie kompletnie zaskoczył. Nadrobił to, czego nie zdążył załatwić wcześniej.

– Co za sukinsyny – mówię do siebie.

Wyciągam dłoń, żeby dotknąć jego twarzy, ale Jasper odruchowo cofa głowę.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – uspokaja mnie nieprzekonującym tonem. – Naprawdę myślałaś, że odejdę bez słowa pożegnania?

Zerkam na Cassie. Nie chcę jej zdradzać, ale to ona mi to powiedziała. I to kilka razy. Może miała nadzieję, że faktycznie już go nie zobaczy.

– Musiałam coś źle zrozumieć.

– To chyba ostatnio jakaś epidemia. – Jasper patrzy wściekle w stronę Cassie. – Może jej powiesz o wszystkich waszych nieporozumieniach?

Nie brzmi to dobrze. Chyba nie chcę wiedzieć więcej.

Cassie zamyka oczy i opiera głowę o ścianę. Wreszcie zaczyna nią kręcić, wykrzywiając twarz.

– Gdybym tylko wiedziała... – Głos jej się łamie.

– Był inny facet. Dobrze podejrzewałem – mówi Jasper.

– Prawdziwy książę z bajki, nie ma co.

No dobra, o jej kochanku wiedziałam. Może nie będzie w tym nic

nowego. Ale brzuch i tak mnie boli. I to wcale nie dlatego, że jestem jakimś tam outlierem. Po prostu znam Cassie. Z nią zawsze jest jakieś drugie dno.

– O czym on mówi? – pytam ją.

– Poznałam go tak, jak ci opowiadałam – odzywa się wreszcie Cassie. Mówi tak cicho, że ledwo ją słyszeć. – Wszystko to była prawda. Przyszedł do knajpy, jak pracowałam, zamówił koktajl czekoladowy i usiadł przy barze. Trochę gadaliśmy.

– To wszystko, jak jeszcze byliśmy razem – dodaje Jasper i wstaje, żeby podejść do okna. W bladym świetle jego twarz wygląda jeszcze gorzej. Cassie zamyka oczy i spuszcza głowę, ale nie protestuje.

– Przepraszam, mów dalej. – Jasper pokazuje na nią i mówi do mnie:

– To dopiero początek.

– Dopiero jak powiedział... – zaczyna Cassie.

– Zaczekaj. Kto? O kim ty mówisz? – przerywam jej pytaniem.

Jest już dla mnie jasne, że to jest ten kluczowy fakt.

Cassie otwiera oczy i długo na mnie patrzy.

– Quentin – mówi szeptem, a po policzkach spływają jej łzy.

– Poznałam Quentina.

Nie, myślę, ale nie jestem w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Nie.

Mam ochotę zakryć uszy i wybiec na zewnątrz.

– Nieźle, co? – rzuca Jasper, nie odrywając wzroku od okna.

Tym razem to jego głos się łamie.

– Najpierw udawał, że to czysty przypadek, ale później przyznał, że mnie szukał. Powiedział, że twój tata go zwolnił, bo pokłócili się o to, czy mówić mi o moich wynikach. On uważał, że powinnam je poznać.

– Cassie wygląda na kompletnie załamana. – Nie wiem, czemu mu uwierzyłam. Ale faktycznie zdawał się dobrze znać twojego tatę. I mówił rzeczy, które chciałam usłyszeć. Że jestem niedoceniana i tym podobne. Że mam wyjątkowy dar.

– Dar – prychnął z niesmakiem Jasper, ciągle patrząc przez okno.

– Możecie się wściec – mówi Cassie. – Oboje. Powinniście mnie znienawidzić, wcale się nie zdziwię. Bo jestem samolubną kretynką i ciągle popełniam jakieś błędy. Ale przysięgam, że przez cały czas,

kiedy kazał mi pisać do ciebie esemesy...

– Zaraz, poczekaj – przerywam jej. Czuję, że moje serce przyspiesza. Nie, Cassie, tylko nie to, błagam ją w myślach. – Ty mu pomagałaś? Kazał ci do nas pisać? Nie zabrali ci telefonu?

Cassie kręci głową.

Nie wierzę. Jak mogła narażać nas na niebezpieczeństwo dla jakiegoś gościa, którego ledwo znała?

– A ten tekst: „Ci ludzie mnie zabiją”, to też ty pisałaś? – pytam.

Cassie przytakuje.

– Chryste. – Jestem tak wściekła, że aż pali mnie w gardle. Może i ma rację, może trochę ją znienawidziłam. – Jak mogłaś? Jakiś przypadkowy koleś mówi ci to wszystko, a ty mu wierzysz?

– Ty też mu uwierzyłaś. – Przez chwilę Cassie patrzy na mnie wyzywająco, ale w końcu robi wydech i znów pochyla głowę. – Quentin jest przekonujący, musisz to przyznać. Poza tym o twoim tacie powiedział mi dopiero, jak już tu przyjechaliśmy. A jeszcze później się przyznał, że ty masz mu tylko pomóc w ściągnięciu twojego ojca. I potem przez cały czas mówił o tym tak, jakby chciał go tylko chronić.

– Cassie milknie na kilka sekund. Odtwarza sobie coś w myślach.

– W samochodzie przeprowadził na mnie mały test i pewnie wtedy się domyślił, że twój tata pozamieniał wyniki. Że to ty jesteś outlierem, a nie ja. Powiedział mi to dużo później, jak już tu byłaś. Wtedy jeszcze próbował to przede mną ukryć, ale żebyś tylko widziała, jak na mnie patrzył po tym teście. Jakby był mną zniesmaczony.

– Czekał, czyli pomogłaś mu nas tu zwabić? Celowo? – pytam, bo cały czas nie mogę w to uwierzyć. – Pisałaś, że się boisz i potrzebujesz pomocy, bo on ci tak kazał?

– Tak. – W jej oczach błyszczy strach podkreślony jeszcze przez łzy. Cassie pokazuje dłonią na Jaspera i zatacza nią krąg dookoła siebie.

– To wszystko moja wina. Ale przysięgam, Wylie: nie wiedziałam, że to na tobie cały czas mu zależało. Na początku mówił, że jesteś mu potrzebna tylko do ściągnięcia tu twojego taty. Ale jak się wreszcie zjawiliście, wszystko się zmieniło. Wtedy mi powiedział, że to ty jesteś outlierem. I że was zabije – ciebie i Jaspera – jeśli mu nie pomożecie. Kazał mi cię przekonać.



– Jeśli mu nie pomożemy w czym? – pytam.

– Chce się nauczyć tego, co potrafisz.

– Ale ja nic nie potrafię!

– Wiem, wiem – mówi Cassie. Jest taka zatroskana. – Ale jemu się wydaje, że też jest outlierem. Uważa, że możesz „odblokować jego potencjał”. Wiem, bo mówił mi to samo, jak jeszcze myślał, że to ja mu pomogę. Nie uważał mnie za pierwszego lepszego outliera, ale za absolutną królową outlierów, taką, która nie mieści się w żadnym zbiorze. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że totalnie mi tym schlebiał. – Kiedy Cassie na mnie patrzy, widzę w jej oczach wyłącznie rozpacz. – Obiecał mi, że jeśli mu pomożesz, to cię wypuści. Że pozwoli odejść nam wszystkim. Uwierzyłam mu, a w każdym razie miałam nadzieję, że mówi prawdę. Myślałam, że przeprowadzi z tobą kilka ćwiczeń, jak te, których próbował na mnie. Były podobne do testu twojego taty. Ale potem, jak poszłam pożyczyć ubrania od Fiony, byłam w ich domku sama i postanowiłam przejrzeć rzeczy Quentina, zobaczyć, co tak naprawdę planuje. I znalazłam pod jego łóżkiem torbę z jakimiś narzędziami. Nie wiedziałam, do czego mają służyć, ale jak tylko je zobaczyłam, przestraszyłam się, że już nigdy nie wypuści cię z rąk. Nawet jeśli zrobisz wszystko, o co cię poprosi. Zrozumiałam, że musimy uciekać. Ale było już za późno. Quentin przyłapał mnie na przeglądaniu jego rzeczy i znów mnie tu zamknął.

– Jakie to były narzędzia? – pyta Jasper.

– Wyglądały jak przyrządy chirurgiczne – mówi cicho Cassie.

– Nie wiem, Wylie, co on chce z tobą zrobić, ale raczej nie chodzi mu o wypełnienie kwestionariusza. A w każdym razie nie tylko o to.

– Ale jak mam go tego nauczyć, skoro sama nie wiem, jak to się dzieje?

– To niemożliwe – stwierdza Jasper. – Dlatego musimy stąd wiać.

– A co z moim tatą? Co się stanie, jak tu dojedzie? – pytam Cassie.

– I czy North Point faktycznie istnieje? Ktoś postrzelił Fionę.

– Nie wiem – odpowiada Cassie i jeszcze mocniej się obejmuje.

– Odkąd tu jesteś, Quentin niczym się ze mną nie dzieli. Może kazał Stuartowi ją postrzelić. Wiem tylko, że od początku się bał, że ktoś nas tutaj znajdzie. Niewykluczone, że tylko udawał, ale możliwe też, że ktoś

rzeczywiście nas szuka.

– To było megagłupie, że mu zaufałaś – mówi Jasper chłodnym i ostrym tonem. Nawet nie patrzy w jej stronę. – Naprawdę głupie.

Cassie rzuca mu rozpaczliwe spojrzenie.

– Wiem. Masz rację – przyznaje, ale po chwili w jej oczach pojawia się hardy błysk. – Naprawię to. Przysięgam.

– Świetnie – rzuca z przekąsem Jasper. – Już się nie mogę doczekać.

Nagle przypominam sobie o przymocowanej do ściany płycie ze sklejki. Czyżby Jasper zapomniał, jak blisko już byliśmy? Niedługo wszystkie te detale – kto się pomylił i kto kogo okłamał – staną się nieistotne, bo wydostaniemy się na wolność.

– Czekajcie, a co z... – Idę do rogu izby, w miejsce, w którym spędziliśmy tyle czasu, odkręcając śruby. Ale Jasper tylko kręci głową. Wygląda, jakby mi współczuł. – Jak to „nie”? – pytam.

Podchodzi do mnie bez słowa, wyjmując resztę śrub i odchyła deskę.

Patrzę z niedowierzaniem. W ścianie domku jest otwór, ten, przez który wystawiałam na zewnątrz rękę. Ma wysokość zasłaniającej go płyty ze sklejki, ale niestety jest dużo, dużo węższy. Żadne z nas nie byłoby w stanie się przez niego przecisnąć.

Odwracam się do Jaspera i robię wielkie oczy.

– No wiem – kiwa głową – przerąbane.

– W końcu będą musieli tu przyjść – mówię. – Jeśli Quentin tak bardzo mnie potrzebuje, to przecież mnie tu nie zostawi.

– I co wtedy? – pyta Cassie. – Jak chcesz uciec, skoro będzie tuż obok?

– Coś będziemy musieli wymyślić.

Nie muszę być outlierem, żeby wiedzieć najważniejszą rzecz: jeśli chcemy przeżyć, musimy się stąd wydostać.

Przez następnych kilka godzin omawiamy plan za planem, ale żaden z nich nie jest na tyle dobry, aby gwarantował powodzenie. A przynajmniej wydaje nam się, że trwa to kilka godzin, bo zabrali nam telefony, więc nie mamy pojęcia, która jest godzina. Za oknem jest taka

szarówka, że nie da się śledzić słońca. Ale z pewnością minęło dużo czasu. W pewnym momencie już tylko rzucamy pomysły, żeby patrzeć, jak odpływają – bezsensowne – w nicość. Jeszcze raz rozglądamy się w poszukiwaniu możliwej drogi ucieczki, ale już wcześniej z Jasperem dobrze sprawdziliśmy cały domek. Niczym nas już nie zaskoczy. Jasper rozdaje nam batoniki i wodę, które zostawił Quentin, kiedy pierwszy raz się tu zjawiliśmy. Nie mam najmniejszej ochoty jeść ani pić, ale Jasper ma rację, że powinniśmy się pożywić, póki mamy czym. A nuż uda nam się znaleźć drogę ucieczki.

Po pewnym czasie przychodzi cisza, a zaraz za nią lęk.

W końcu wszyscy troje zasypiamy. A w każdym razie ja i Jasper musieliśmy zasnąć, bo naraz oboje się budzimy, przestraszeni dźwiękiem rozlegającym się za drzwiami. Zerkam na Cassie i orientuję się po jej podkrążonych oczach, że nie spała ani przez chwilę.

Wreszcie drzwi się otwierają i do środka wchodzi Lexi. Jest wyraźnie zmieszana i smutna. Przyniosła więcej wody.

– Czołem – mówi cicho, z nadzieją w głosie.

Nie wiem, jak długo spaliśmy, ale tymczasem za oknem pociemniało. Nie zapadła jeszcze czarna noc, ale na pewno jest bardzo późno. Zapalam lampę naftową. Jasper robi to samo z drugą, która stoi obok niego.

– Przepraszam, że was budzę. – Lexi spogląda na nas, wyraźnie zaspanych. – Pomyślałam, że przyda wam się trochę wody.

Ale nie dlatego tu przyszła. Ma do nas pytania. Martwi się o siebie i swoje dziecko. Boi się, że Doug nie panuje nad sytuacją.

– Quentin cię okłamuje – mówię.

Od Lexi bije silna fala sprzecznych uczuć. Muszę się skupić, żeby odnaleźć w nich sens. Czy nie to właśnie robią outlierzy?

– Wszystkich nas zabije. Musisz to wiedzieć – dodaję.

– Nieprawda – odpira Lexi, ale bez przekonania.

– Prawda. Właśnie taki ma plan. Zdobyć to, czego chce, i nas zabić. Myślisz, że ufa wam na tyle, żeby was wypuścić? – pytam. – Co się stanie z waszym dzieckiem, jeśli nie wrócicie do domu? Ja wiem, jak to jest dorastać bez mamy. A moja mama miała wy... Nie musisz się na to godzić. Wybór należy do ciebie.

Lexi kręci głową i zerka na drzwi. Nagle uderza mnie silny ból. Jej, nie mój. Muszę spróbować go wykorzystać.

– Nie możesz pomagać Quentinowi tylko dlatego, że Doug ci tak każe. To przez niego znaleźliście się w tym chorym miejscu – mówię z nadzieją, że to wystarczy, by odzyskała rozum. Lexi się pogubiła, ale to Doug, nie ona, jest złym człowiekiem. – Naprawdę chcesz aż tyle dla niego ryzykować? Możesz już nigdy nie zobaczyć swojej córeczki.

– Och, nie... – Lexi zakrywa usta dłonią i momentalnie blednie. Wygląda jak wybudzona z koszmaru. – Przepraszam, muszę już iść. – Zaczyna się wycofywać w stronę drzwi. – Muszę wracać do domu, do małej.

– Ale najpierw nam pomożesz – mówię. – Wystarczy, że odwrócisz uwagę Stuarta, tak żeby zapomniał zaryglować drzwi.

– Nie, nie. Nie dam rady...

– Musisz – naciskam. – Inaczej będziesz odpowiedzialna za to, co się z nami stanie. Nie będziesz mogła obwinić Douga. Nie o to. Jeśli nas zabiją, to przez ciebie. Dasz radę z tym żyć? Być matką dla swojej córki? My też jesteśmy czyimiś dziećmi.

– To się nie uda – stwierdza Cassie po wyjściu Lexi, która drżącym głosem obiecała nam, że zrobi to, o co prosiliśmy, czyli spróbuje odciągnąć Stuarta od drzwi. – Widziałaś, jak się denerwowała? Nie wytrzyma napięcia. Pewnie wygada wszystko mężowi.

– Za to twój optymizm bardzo nam pomoże – rzuca ze złością Jasper. – Masz lepszy pomysł? W końcu to przez ciebie wylądowaliśmy w tej czarnej dupie.

Cassie zamyka oczy i kręci głową.

– Nie – mówi cicho i opada na kanapę. – Nie mam lepszego pomysłu.

– Super. – Jasper zgrzyta zębami. – Ale przynajmniej uważasz się za wyjątkową.

Rozumiem jego gniew. Ja też jestem wściekła na Cassie. Ale jakaś część mnie bardzo jej współczuje. Cassie jest sobą, niewiele może na to poradzić. Sama nie bardzo wiem, co ze mnie wyrośnie.

Zza drzwi znów słycać jakieś dźwięki. Ktoś odsuwa rygiel, ale to

na pewno nie Lexi – ruch jest zbyt szybki.

Po chwili do środka zagląda Quentin. Bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze przez wydęte policzki. Wchodzi do pokoju. Znowu jest jakiś odmieniony. Może nie wrócił całkiem do wizerunku nerwowego chłopca, którego poznaliśmy na początku, ale jest na dobrej drodze. Nawet założył znowu okulary.

Cassie jednak miała rację. Teraz, gdy on jest w domku, mamy zdecydowanie bardziej przechlapane. Nie mamy nawet jak powiadomić Lexi, żeby poczekała, aż wyjdzie. Jeśli uda się jej otworzyć drzwi, będziemy musieli uciec tak czy siak, a to ma szansę powodzenia tylko wtedy, kiedy Quentin będzie stał jak najdalej od wyjścia.

– Cieszę się, że ktoś wam przyniósł wodę – mówi.

Robi krok do przodu i bierze do ręki jedną z butelek zostawionych przez Lexi. Przygląda się jej w milczeniu. Przez chwilę się martwię, czy aby zaraz nam nie powie, że wie o naszym planie ucieczki. Być może Doug zdławił go w zarodku.

– To ty podrzucałeś nam te lalki pod dom? – pytam i podchodzę do najdalszej ściany.

Mam nadzieję, że Quentin pójdzie za mną, rozkojarzony moim pytaniem. Tak czy inaczej, będziemy musieli go odciągnąć od drzwi. Zakładam, że plastikowe niemowlęta to jego sprawka. Zaczęły się pojawiać niedługo po tym, jak tata go zwolnił.

– Lalki? – Quentin zdaje się szczerze zdziwiony. – Nic mi o tym nie wiadomo. Ale nie dziwi mnie, że ktoś zostawiał wam takie niemile prezenty. Ta sytuacja to trochę więcej niż filozoficzny konflikt dwóch naukowców. Ściera się tu wiele sił.

– Czy mój tata w ogóle tu jedzie? – Zadaję kolejne pytanie, niby przypadkowo opierając się o ścianę. – Bo to całe North Point to oczywiście wymysł?

– W obu przypadkach: to prawda – odpowiada Quentin, ale chyba nie zależy mu na tym, żeby mnie przekonać. Za to przechodzi obok mnie i staje jeszcze dalej od drzwi, niż chciałam. – Czy twój tata od początku miał tu jechać? Nie. Czy od początku działaliśmy wspólnie? Oczywiście, że nie. W przeciwnym razie wiedziałbym od razu, że pozamieniał wasze wyniki. – Przerywa, jakby czekał, aż coś powiem. – Czy musiałem użyć

podstępu, żeby go tu ściągnąć? Niestety. Tak czy siak, niedługo tu będzie. Co do North Point, to radzę ci ich nie lekceważyć. Są naprawdę niebezpieczni. I tak jak Kolektyw, są dopiero pierwszym aktem. Przed nami huragan.

Quentin podchodzi do ściany, w której znaleźliśmy otwór. Stojąc plecami do nas, patrzy na długą, wąską dziurę. Zatrzymuję się między nim a drzwiami i moimi przyjaciółmi. Bo to ja jestem mu potrzebna. I może właśnie tak to wszystko ma się skończyć. Może tak wygląda mój osobisty koniec. Muszę wierzyć, że uda mi się uciec. Nawet jeśli nie teraz – z Jasperem i Cassie – to później. A jeśli nie, to też nic strasznego. Bo i tak sama już nie wiem, kim jestem. Za to jednego jestem pewna: mam dosyć życia w strachu.

– Pozwól Jasperowi i Cassie odejść, a zrobię wszystko, co mi każesz – mówię.

– Wylie. – Głos Cassie drży. Dopiero teraz zrozumiała, jaki miałam plan. Wie, że chciałam się poświęcić, żeby oni mogli uciec.

– Wszystkiego cię nauczę – ciągnę i podchodzę bliżej Quentina.

Niesamowite, jaka pewność siebie ze mnie bije – jakbym naprawdę wierzyła, że dam radę kogoś czegokolwiek nauczyć. Ale zachowanie kamiennej twarzy staje się dużo trudniejsze, kiedy Quentin się do mnie odwraca i patrzy mi prosto w oczy. Dopiero teraz uderza mnie rozmiar drażącej go pustki. Jego wnętrze jest jedną wielką dziurą. Serce stromym urwiskiem. A ja jestem o krok od runięcia w przepaść.

– Nie mogę ich wypuścić, Wylie – mówi spokojnie, jakby to była tylko przykra prawda, nic więcej. Taka, z którą musimy się zmierzyć wspólnie. – Jeszcze nie teraz. – Podnosi głowę i spogląda gdzieś w kierunku drogi i lasu. – Przez tych ludzi z North Point i tak nie byłiby bezpieczni.

– Weź daj spokój! – krzyczy Jasper. – Nikt tu do nas nie jedzie!

– Chciałbym, żeby tak było – odpowiada mu Quentin, powoli kręcąc głową. – Niektórzy już tu są. Fiona może to udowodnić swoją raną od kuli. – Ale sposób, w jaki to mówi, każe mi podejrzewać, że Cassie miała rację: to też była jego sprawka. Po chwili się odwraca i kuca przy dziurze w ścianie. – Zawsze uważałem, że jedyną rzeczą gorszą od sytuacji bez wyjścia jest złudzenie, że istnieje droga ucieczki.

Zaraz potem słyszę jakieś stłumione odgłosy za drzwiami. Może to Stuart rozmawia z Lexi? Jasper kaszle, żeby ich zagłuszyć. Lexi spełnia swoją obietnicę i próbuje odciągnąć Stuarta od drzwi. To jest ten moment. Nie możemy dłużej czekać. Quentin nadal, kucając, przygląda się starannie wyciętemu w ścianie prostokątowi. Jest na nim skupiony w dostatecznym stopniu, byśmy mogli to wykorzystać. Odwracam się do Jaspera i Cassie.

– Idźcie – mówię bezgłośnie, poruszając ustami. – Już.

Może nawet mnie się uda i zdążę wybiec na zewnątrz, zanim Quentin mnie schwyta. Naprawdę w to wierzę? Nie, raczej nie. Ale ktoś musi uciec. Część mnie i tak umarła w dniu śmierci mojej mamy. Może to, co się tu teraz dzieje, jest znakiem, że pora dokończyć dzieła.

Wszystko, co nastąpiło potem, wydarzyło się w mgnieniu oka i zupełnie nie tak, jak się spodziewałam. Nie tak, jak chciałam.

Nikt nie otwiera gwałtownie drzwi. Jasper i Cassie nie wybiegają na zewnątrz i nie znikają w ciemnościach. To Cassie wykonuje pierwszy ruch i robi to błyskawicznie. Ale nie w kierunku drzwi. Wbrew temu, co ustaliłyśmy, rzuca się w bok i łapie jedną z lamp naftowych. Robi zamach i ciska nią o podłogę, między mną a Quentinem.

Co? Dlaczego? – myślę.

Quentin reaguje chyba podobnie do mnie. Zrywa się na równe nogi. Wszyscy patrzymy na potłuczone szkło i śmieszny, niebieski płomyk tłący się między odłamkami.

– Co ty wyprawiasz? – pyta ją prawie rozbawionym tonem.

Jasper, który też nie rozumie, co się stało, po chwili mówi:

– Cassie, co ty...

Wtedy ona odwraca się nagle w moją stronę, kładzie mi dłoń na klatce piersiowej i pcha. Mocno. Z całej siły. Zataczając się do tyłu, czuję charakterystyczny swąd. Dzinsy i kurtka, których w końcu nie zmieniła, są do cna nasiąknięte benzyną.

W okamgnieniu pojmuję jej plan. I wołam:

– Cassie, nie!

Ale jest już za późno. Makabra, która rozgrywa się potem, jest jakby spowolniona. Niewiarygodna, mimo że widzę ją na własne oczy.

– Uciekajcie! – krzyczy Cassie i podchodzi do płomienia, który

natychmiast liże krawędź jej kurtki.

– Nie!

Rzucam się w jej stronę, lecz jej ciało jest już spowite ogniem. Nawet z odległości niecałego metra bije od niej fala gorąca. Gdy jestem tuż-tuż, czuję, że ogień przypala mi rzęsy. Osłaniam twarz dłońmi, ale nic to nie daje. Momentalnie parzę sobie skórę na rękach.

Najgorsza jest cisza. Jej cisza. Jedynym dźwiękiem w pokoju jest trzask zapalających się kolejno przedmiotów. Cassie nie jęczy, nic nie mówi. Nawet nie drgnie. Zupełnie jakby udało się jej uciec, jakby wymknęła się razem z chmurą unoszącego się nad nią dymu. Naraz opada na kolana.

– Stuart! – woła Quentin.

Stojąca obok niego kanapa zajęła się ogniem, a po drugiej stronie płoną jakieś papiery. Zewsząd otaczają go płomienie.

– O cholera! – pada okrzyk zza drzwi.

Stuart wbiega do środka i łapie za koc, żeby zdusić nim ogień.

A mnie coś szarpie do tyłu i nagle czuję, że jakaś siła odciąga mnie od pożaru w kierunku wyjścia. Próbuję się uwolnić, bezsilnie kopiąc nogami.

Musimy coś zrobić! Musimy ją uratować! – myślę, mimo że jest już za późno.

– Wylie, chodź!!! – Jasper wrzeszczy mi do ucha i ciągnie mnie na dwór. Ma napięty, piskliwy głos, jak wystraszony mały chłopiec.

– Musimy wiać!



Jesteśmy na zewnątrz. Biegniemy. Jest zimno i ciemno, a powietrze pachnie spalenizną. Spalonym mięsem. Śmiercią. Płonącą Cassie. Swąd bije ode mnie, przebija się przez pory w mojej skórze. Walczę z odruchem wymiotnym, biegnąc po wilgotnej trawie w stronę ciemnego lasu. Tym razem nie możemy liczyć na pomoc księżyca ani gwiazd. Jakby wszechświat postanowił się złożyć na pół. Mam oczy pełne łez i ogień w piersiach. Nie – myślę znowu – to się nie stało naprawdę. To wszystko tylko sen. Moje nogi robią się nagle ciężkie jak ołów. Nie jestem w stanie zrobić ani kroku dalej.

– Dalej! Biegnij! – woła Jasper. – Nie możemy się zatrzymywać!

Ma rację. Cassie umarła po to, żebyśmy my mogli uciec. No i trzeba ostrzec mojego tatę. Nie wiem, w co dał wiarę, jak skuteczne były w jego przypadku kłamstwa Quentina i fałszywego doktora Simonsa. Nie wiem, jakich argumentów użyli, żeby go ściągnąć do Camp Colestah, ale na pewno nie wydostanie się stąd żywy. Kiedy docieramy wreszcie do pierwszej linii drzew, odwracam głowę w nadziei, że wszystko to sobie wymyśliłam, ale domek ciągle stoi w płomieniach, a noc jest rozświetlona przez pomarańczowy blask.

– Nie patrz tam – mówi Jasper, chyba bardziej do siebie niż do mnie. – Tylko się gorzej poczujesz. Biegniemy dalej.

Ciężko mi biec, ciężko oddychać, bo dławi mnie płacz. Czy faktycznie płaczę? Mam mokrą twarz i rozpaloną krtani. Poza tym jestem kompletnie oślepiała, co jeszcze bardziej utrudnia bieg przez ciemny las. Ale już raz to robiliśmy, teraz też damy radę. Nie mamy wyboru. No i znowu słyszę za plecami czyjeś głosy. Brzmi to tak, jakby gonił nas tłum, ale możliwe, że to tylko kilka osób, których pokrzykiwania niosą się echem. Wśród nich z pewnością jest Doug.

– Spójrz tam! – woła Jasper po jakimś czasie biegu na oślep. Widzę zarys jego ręki wyciągniętej do przodu. W oddali migoczą małe kropki światła. Może to czyjś dom. – Musi tam być podjazd. A podjazd oznacza drogę.

Znów ocaleni przez jakieś światła na horyzoncie? Tym razem są dużo dalej, bo ten nasz bieg ile sił w nogach wydaje się trwać bez końca,

a i tak mam wrażenie, że biegniemy za wolno i nie za wiele nam to daje. Wcale nie zbliżamy się do świateł, które w pewnym momencie wręcz znikają nam z oczu. I przez cały czas się boję, że usłyszę czyjś głos tuż za plecami, że ktoś mnie złapie za ramię. Czekam na strzał z broni palnej. Jednak nic takiego się nie dzieje, nic nie przerywa długiej, okropnej ciszy. Nic oprócz bicia mojego serca.

W końcu, kilka godzin później – kilka minut, pół życia? – wynurzamy się z lasu tuż przy krawędzi drogi. Okazuje się, że od domu nadal dzieli nas spory dystans, a droga przed nami jest ciemna i wąska. Panuje martwa cisza. Rozglądam się w prawo i w lewo – nie widzę żadnego samochodu. Nic. Pustka. Ale Jasper ma rację, nie możemy się zatrzymywać. Już od samej tej pauzy, która trwa przecież krótką chwilę, mam wrażenie, że moje płuca zaraz wybuchną.

Później przyjdzie czas na opłakiwanie Cassie. Później będę smutna już na zawsze. Teraz muszę iść. Oboje musimy iść, żeby tamci nas nie dogonili. Musimy ostrzec mojego tatę.

Jeszcze raz się rozglądam po pustej drodze. W którą stronę pójść, żeby najszybciej znaleźć telefon i zadzwonić do taty albo na policję? Oczywiście nie do funkcjonariusza Kendalla. Może do FBI? Jak się w ogóle dzwoni do FBI?

– Jezus Maria – mówi Jasper głośnym szeptem i otwiera szeroko oczy. – Ona naprawdę nie żyje.

Jakby ktoś przed chwilą mu o tym powiedział. Jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

– Tak – odpowiadam. – Ale miałeś rację, nie mogliśmy tam zostać. Nie dało się jej uratować.

– Kurwa mać. – Jasper obejmuje się wpół, jakby miał zaraz zwymiotować. – Słyszałaś, co do niej mówiłem? Byłem strasznym dupkiem. To były moje ostatnie słowa, jakie do niej powiedziałem. Ostatnia rzecz, jaką usłyszała przed śmiercią.

– Wiedziała, jak bardzo ją kochasz – mówię mu.

Jasper musi wziąć się w garść. Jeśli załamie się na moich oczach, ja też się rozsypię.

Nagle ciemność przeszywa jakiś błysk. Jak spadająca gwiazda. Znika tak szybko, że nie wiem, czy go sobie nie wyobraziłam. Może mój

umysł podsuwa mi rzeczy, które chciałabym zobaczyć? Ale nie, chwilę później znów to widzę. Światelko jest małe, ale stopniowo rośnie. Samochód. Teraz już nie mam wątpliwości.

– Ktoś jedzie – mówię.

Jasper bierze głęboki wdech i staje przede mną, żeby samemu zobaczyć.

– To mogą być oni. Quentin albo Doug.

– Chyba jechaliby z przeciwnej strony, nie?

Wstrzymuję oddech i modlę się, żebym miała rację. Bo w myślach widzę tylko karabin Stuarta. I mojego tatę z przystawioną do głowy lufą.

– To ciężarówka – mówi Jasper. – Ale jedzie za szybko. Nie zobaczy nas.

Faktycznie, auto pędzi. Światła są z każdą sekundą coraz większe, a jeszcze przed chwilą wydawało się, że dzielą nas kilometry.

Zobaczy mnie. Zatrzyma się. Domysł?, nadzieja?, instynkt? Intuicja. Jeśli to prawda, co o mnie mówili, to kierowca zatrzyma pojazd. „To nie jest żadne ESP”. Słowa taty to kolejna rzecz, która wypełnia teraz moje myśli.

– Wylie! – krzyczy Jasper, widząc, że wychodzę na drogę. – Co ty wyprawiasz?

Spokojnie – mówię sobie w duchu – nie tak umrę. I naprawdę tak uważam. Ale muszę przyznać, że kiedy tak stoję na środku jezdni i macham rękami nad głową, jakaś część mnie chciałaby, żeby właśnie teraz wszystko się skończyło. Jasper miał rację, ciężarówka nie zwalnia. Jej światła są już blisko. Oświetlają drogę i drzewa. Oślepiają mnie. Nie tak umrę – ta myśl to jednocześnie wspomnienie i życzenie.

– Wylie!!! – wrzeszczy Jasper.

Odwracam się w jego stronę i widzę jego rozświetloną reflektorami ciężarówkę. Jak prawdziwy sportowiec, biegnie do mnie pełnym sprintem, ale ja już wiem, że nie zdąży. Może najwyżej zginąć razem ze mną. Więc zamykam oczy i odwracam się twarzą w kierunku nadjeżdżającej ciężarówki. I znów się modlę. Jeśli się mylę, to chciałabym przynajmniej, żeby Jasper przeżył.

Moje powieki jaśnieją od wewnątrz. Tak mocno, że przez moment się zastanawiam, czy aby już nie umarłam. Ale chwilę potem słyszę

ogłuszający pisk i czuję smród palonej gumy. Otwieram oczy i widzę Jaspera, który stoi obok mnie, plecami zwrócony do ciężarówki, z podciągniętymi barkami, gotowy na uderzenie. Znow zamykam oczy i tak zostaję, dopóki nie zapada kompletna cisza.

Samochód minął nas oboje i zatrzymał się tuż przed linią drzew po drugiej stronie drogi. Patrzę na swoje dłonie; jestem w jednym kawałku. Żyjemy. Biorę haust powietrza i spoglądam na Jaspera. Gapimy się na siebie z niedowierzaniem.

– Co jest, do kurwy nędzy! – krzyczy kierowca, wypadając zza maski ciężarówki. Jest roslym mężczyzną z twarzą okoloną gęstą brodą. Ma na sobie niebieską flanelową koszulę, a na głowie czapkę bejsbolową z logo firmy John Deere. Opiera się jedną rękę na grillu ciężarówki, a drugą przykładając sobie do serca. – Co wy robicie na środku drogi?! Mało brakowało, a bym was zabił. – Patrzy na swoje ręce i nogi, upewnia się, czy nic mu się nie stało. – Sam mogłem zginać! Nie mówiąc już o samochodzie. – Robi krok w tył, żeby spojrzeć na ciężarówkę. – Zostało pół metra do drzewa.

– Potrzebujemy pomocy – mówię, ale jestem zbyt roztrzęsiona. Jak ktoś, kto może tylko przynieść kłopoty. Kto już napytał sobie biedy. Jeśli ten człowiek zna okolicę, tak właśnie sobie pomyśli. – Chcemy tylko skorzystać z pańskiego telefonu.

– Nie ma mowy! – Kierowca idzie już z powrotem w stronę drzwi swojego pojazdu. – I zjeźdźcie z drogi, bo inaczej przysięgam, że was rozjadę.

Jest wkurzony. Ale też zdenerwowany. On, nie ja. Jeszcze wczoraj pomyliłabym jego stres ze swoim. Teraz wiem, że to jego uczucia. Martwi się, że sam się w coś wpakował. Nic złego, na pewno nie wiezie ludzkich zwłok na pace. Ale robił coś, czego nie powinien był robić. Może jechał określną drogą, może zdradza swoją żonę albo w jakiś sposób oszukuje pracodawcę. Cokolwiek to było, kogoś okłamuje.

– Albo pożyczmy nam pan telefon, albo jutro zadzwonimy do pana firmy i powiemy, którądy pan jechał. – Robię parę kroków w tył i ostentacyjnie czytam nazwę firmy na drzwiach kabiny, po czym wymownie patrzę na tablicę rejestracyjną ciężarówki, jakbym się starała zapamiętać numer. Oczywiście obie te rzeczy zapomnę, zanim nastanie

dzień. – Taka duża ciężarówka na takiej wąskiej drodze? Chyba nie powinno pana tu być.

– Co ty nie powiesz? Gówno mnie obchodzi, co zrobicie. – Ale ja wiem, że wcale nie jest mu to obojętne. – Zresztą tu i tak nie ma zasięgu. Nawet jakbym wam dał swój telefon, to nigdzie nie zadzwonicie.

Jednak nie wsiada do kabiny. Boi się na tyle, że nie odjeżdża z moją groźbą wiszącą mu nad głową.

– W takim razie niech nas pan podwiezie. Tylko do najbliższej stacji benzynowej. Tam poprosimy kogoś o telefon.

– Nie ma mowy, żebym...

– Albo zadzwonimy do firmy – dodaję. – I wszyscy się dowiedzą, co pan robi.

Wiem doskonale, że stąпам po cienkim lodzie. Ale kierowca zaciska zęby i mruży oczy. Najwyraźniej kupił mój blef.

– Dobra – zgadza się. – Ale jedziecie na pace.

Siedzimy z Jasperem wewnątrz lodowatej, ciemnej naczepy, oparci plecami o ścianę, z nogami między plastikowymi paletami pełnymi pudeł z chipsami i krakersami. Na każdym wyboju ładunek głośno skrzypi.

Jedziemy dłużej, niż się spodziewałam. Dużo, dużo dłużej, niż wydawało mi się to konieczne. Może nawet godzinę. W końcu zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście kierowca wiezie nas na stację. Kto wie, czy nie jest znajomym Quentina, tak jak Kendall? Albo czy to, co ukrywa przed swoim szefem, nie jest dużo gorsze, niż myślałam. Może bardziej mu się opłaca jakoś się nas pozbyć. Ale ciągle wszystkie moje myśli wydają się niewiele solidniejsze od zwykłych domysłów.

Zresztą nawet jeśli mam rację i faktycznie kierowca robi coś niewłaściwego, to wiedzieć dostatecznie dużo, żeby komuś zagrozić, to jedno, ale potrafić przewidzieć konsekwencje takiej groźby to już zupełnie co innego. Kiedy ciężarówka wreszcie się zatrzymuje, prawie nie oddycham. Jasper bierze mnie za rękę.

– Uda się nam – mówi i ściska moje palce. Ma cichy, spokojny głos, ale jest za ciemno, żeby mogła zobaczyć jego twarz. – Twojemu tacie nic się nie stanie. Ostrzeżemy go na czas. Zobaczysz.

Nie ocaliliśmy Cassie, więc uratujemy jego. Jasper tego nie mówi, ale to ma na myśli. Chce w to wierzyć. Tyle że słabo mu to wychodzi. Czuję, że jest pełen zwątpienia. Boi się, że mój ojciec zbliża się do pułapki albo że już w nią wpadł. Ja też się tego boję. Jestem wręcz przerażona, ale ze wszystkich sił staram się odeprzeć atak paniki. Bo mój tata mnie potrzebuje. Potrzebuje mojej odwagi.

Trzymamy się z Jasperem za ręce, kiedy z zewnątrz dobiega nas dźwięk otwieranego rygla, a chwilę później odgłos rozchylanych drzwi.

Wciąż jest ciemno. Miałam nadzieję na odrobinę światła, mimo że wiem, iż to niemożliwe. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Ale gdyby nadszedł dzień, odebrałabym go jako zapowiedź, że wszystko się ułoży. Choć w głębi duszy wiem, że na to jest już za późno. Cassie nie żyje. Nic tego nie zmieni.

– Wynoście się, zanim ktoś was zobaczy – mówi kierowca. Przynajmniej dotrzymał słowa i zawiózł nas na stację benzynową. – Jak zobaczę, że dobraliście się do krakersów, to pożałujecie.

Wychodzę z naczepy. Dookoła panuje zwyczajny o tej porze przydrożny szum. Na parkingu jest dość cicho. Kilku kierowców ciężarówek siedzi w swoich samochodach, rozmawiają ze sobą z kubkami kawy w dłoniach. W drzwiach głównego budynku mijają się jacyś biznesmeni, jest też kilka rodzin. Zupełnie jakby życie toczyło się bez zmian. Przez chwilę dopuszczam do siebie myśl, że faktycznie nic się nie zmieniło i wszystko to, co nas spotkało, tylko mi się przyśniło.

Nie, nie powinnam sobie na to pozwalać. Nie mogę udawać, że Cassie żyje. Dużo gorzej będzie musieć sobie przypominać, że zginęła. Że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Cassie i moja mama nie żyją, jestem sama jak palec. Nie wiem, co bez nich pocznę. Nie umiem sobie wyobrazić, jak mam to przetrwać. Ale muszę się skupić na tym, co się dzieje tu i teraz. Na moim tacie. Musimy go ostrzec, żeby nie trafił do Camp Colestah, gdzie rzekomo próbuje ściągnąć go jego drogi przyjaciel, doktor Simons. Okej, może jestem zła na tatę i nie powinno mnie obchodzić, co go spotka, ale jest inaczej. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo go potrzebuję. Żywego.

W budynku stacji widzę kobietę siedzącą przy stoliku McDonalda.

Na rękach trzyma śpiące niemowlę i jednocześnie próbuje nakłonić swoją starszą córkę do zjedzenia ostatnich kawałków kurczaka. Kiedy wchodzi do środka, momentalnie podnosi głowę i patrzy na mnie, jakbym uruchomiła jakiś alarm. Bije od niej matczyzna troska. O swoje dzieci, o mnie. Trudno powiedzieć.

Ale nie odmówi mi telefonu, jestem tego pewna. Będzie chciała pomóc. Jednak gdy widzi, że idę w jej stronę, przyciska niemowlę mocniej do piersi. Nachyla się też bliżej córki. Rozumiem jej zachowanie. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak teraz wyglądam. Wyczerpana, brudna i osmolona. Jak kłamczucha. Bo taka jest rzeczywistość: moja prawda stała się sumą niezliczonych kłamstw.

– Czy mogłabym pożyczyć pani telefon? – pytam. – To bardzo pilne. Zgubiłam swoją komórkę, a muszę zadzwonić do taty.

– Jasne – zgadza się kobieta.

Teraz już jestem pewna, że się denerwuje. Szybkim ruchem przesuwa telefon po stole w moim kierunku, jednocześnie zerkając na córkę, która siedzi tylko kilka centymetrów ode mnie.

– Dziękuję. – Odchodzę na bok, co sprawia kobiecie widoczną ulgę. – Za chwilę wrócę.

Mam nadzieję, że nie zauważyła, jak bardzo trzęsą mi się ręce. Wstukuję numer taty i odchodzę od stolika jeszcze na kilka kroków. Nie na tyle, by pomyślała, że ucieknę z jej komórką, ale dość daleko, żeby nie słyszała szalonych słów, które zaraz wypowiem. Moje serce na chwilę zamiera, bo operator łączy mnie bezpośrednio z pocztą głosową. Nie było nawet jednego sygnału. Czyżby był już blisko ośrodka? Czyżbym nie zdążyła?

– Wszystko w porządku? – odzywa się kobieta, tonem podobnym do Lexi. – Potrzebujesz pomocy?

Podnoszę na nią wzrok i widzę, że usilnie się we mnie wpatruje. Tak, mam ochotę to powiedzieć. Bardzo potrzebuję pomocy.

– Czy mogę jeszcze raz zadzwonić? – pytam i znów podchodzę bliżej stolika. – Na domowy telefon. Tata chyba wyłączył komórkę.

– Jasne. – Przekłada niemowlę na drugie kolano, zerka na Jaspera, a potem na ochroniarza przy drzwiach. Wie, że nie mówię jej wszystkiego. Czyta to w mojej twarzy. Może dlatego, że jest miłą,

empatyczną osobą. A może też jest outlierem, ale nigdy się tego nie dowie. – Dzwon śmiało.

Została mi już tylko jedna szansa. Jeden telefon, zanim ta sympatyczna kobieta zacznie nalegać na wezwanie pomocy. Mogę liczyć już tylko na Gideona. Wybieram numer i czuję, że moja twarz się czerwieni. Mam nadzieję, że uda mi się do niego przemówić, że zrobi dokładnie to, o co go poproszę.

– Halo? – Gideon odebrał, zanim zdążyłam odejść na bok.

– Gideon, tu Wylie. Posłuchaj mnie – mówię łamiącym się głosem. Ale nie mogę się rozsypać. Jeszcze nie teraz. – Musisz zadzwonić na policję w Bostonie. Powiedz im, że coś się stało tacie. Że coś mu grozi. Ktoś... – Jak to ująć, żeby nie wyjść na wariatkę? Co Gideon ma powiedzieć policji, żeby zaczęto szukać dorosłego mężczyzny, który zniknął zaledwie kilka godzin temu? – Jakiś facet w Bostonie porwał tatę z jego samochodem. Miał pistolet. Tata do mnie zadzwonił. Powiedział, że są niedaleko Camp Colestah w Maine.

Nie trzyma się to kupy, ale od biedy może być. Kobieta z dzieckiem gapi się na mnie z szeroko otwartymi ustami. W sumie się jej nie dziwię – policja, porwanie, pistolet. Ale muszę skończyć, zanim poprosi o swój telefon. Zanim postanowi się mnie pozbyć.

– Wylie, co ty wygadujesz? – pyta Gideon. – Gdzie jesteś?

– W jego głosie pobrzmiwa szczerą troską. – Nie możesz tak po prostu zniknąć bez ostrzeżenia. Z czyjego telefonu dzwonicz? I co to za historia z oj...

– Gideon! – krzyczę. Trochę za głośno. Nie jestem w stanie już nawet spojrzeć na kobietę z dzieckiem. Ściskam mocno jej telefon, żeby nikt nie mógł wyrwać mi go z dłoni. – Proszę cię, posłuchaj mnie. Zaraz muszę skończyć. Zadzwon na policję. Bostońską. Powiedz, żeby szukali w Maine samochodu taty. Gdzieś na autostradzie między Newton a Camp Colestah w Maine. Inaczej stanie się coś strasznego.

– To może pogadasz z tatą?

– Nie mogę z nim pogadać. Właśnie o to chodzi. Nie odbiera telefonu. Musimy mu pomóc.

– Yyy... No nie wiem. Moim zdaniem możesz. Siedzi tutaj, obok mnie.





Wreszcie wysyłają policję. Różne rodzaje policji w różne miejsca. Do ośrodka, do naszego domu. Nawet do funkcjonariusza Kendalla, chociaż jego akurat nie znajdują. Do akcji wkracza policja stanowa i FBI, bo Quentin przekroczył z Cassie granice stanów. Przez telefon nie mówię tacie wszystkiego. Tylko tyle, żeby zrozumiał i wiedział, że stało się coś złego. Że Cassie nie żyje. I że nie możemy ufać lokalnej policji w okolicach ośrodka. On sam mówi tyle, że bym zrozumiała, że to nie on wysłał wszystkie esemesy, które dostałam po naszej kłótni, kiedy byłam z Jasperem w przydrożnym sklepie. Fakt, że nad wiadomościami wyświetlał się jego numer, a nie imię z mojej listy kontaktów, był znakiem, ale niewłaściwie przeze mnie odczytanym. Wszystkie esemesy i nagrywane wiadomości, które próbował mi przesłać, były blokowane przed dotarciem do mojego telefonu. Trudno powiedzieć, czy goście z Level99 wiedzieli, komu pomagają i dlaczego, ale najwyraźniej byli bardzo dobrzy w swoim fachu.

Muszę usilnie przekonywać mojego tatę, żeby został w domu, bo chce ruszyć w drogę i upewnić się, że nic mi się nie stało. Chce mnie zobaczyć na własne oczy. I jestem mu za to dużo bardziej wdzięczna, niżbym się mogła spodziewać. Ale cały czas się boję, że Quentin wciąż go szuka. Błagam tatę, żeby nigdzie się nie ruszał, i dopiero gdy słyszy, jak łamie mi się przy tym głos, zgadza się zostać w domu.

Ale Karen nie ma wyboru. Ona jest już w drodze.

Jasper i ja nie rozmawiamy za dużo w drodze powrotnej. Znów siedzimy obok siebie na tylnym siedzeniu radiowozu. Wóz jest trochę starszy i ciaśniejszy niż ten, którym jechaliśmy do ośrodka, ale czuję się w nim dużo bezpieczniej.

Resztę nocy spędziliśmy w knajpie przy stacji benzynowej. Odpowiadaliśmy na pytania całej masy funkcjonariuszy różnych służb – policjantów z drogówki, detektywów, wreszcie agentów FBI.

Teraz, godzinę po wyruszeniu w kierunku Newton, słońce nareszcie wyłania się znad horyzontu i niebo nad wierzchołkami drzew przybiera odcienie różu i fioletu. Kiedy na kilka minut zasypiam, śni mi

się ogień i płonąca Cassie. Budzę się z jękiem, który wytrąca Jaspera z drzemki. Policjantka jadąca na fotelu pasażera odwraca lekko głowę, ale nie patrzy na mnie.

– Wszystko dobrze – mówi stanowczym, oficjalnym tonem.

– Jesteście bezpieczni.

Ale jej słowa nie sprawiają mi nawet najmniejszej ulgi. Wcale nie czuję się bezpieczna. I możliwe, że tak będzie już zawsze.

– Myślisz, że faktycznie jesteś outlierem? – pyta Jasper.

– Nie wiem – mówię zgodnie z prawdą.

Pewne rzeczy faktycznie zdawałam się wiedzieć już na samym początku naszej wspólnej podróży, na przykład nieistniejące dziecko Lexi i Douga, a potem ten stary dziwak i jego gotowość do użyczenia nam swojego pikapa. Później był ten kierowca ciężarówki ustępujący pod moją groźbą. Ale z drugiej strony nie zauważyłam tylu rzeczy. Nie zorientowałam się, kim jest Quentin, nie miałam pojęcia, co zamierza zrobić Cassie.

– Może jestem, może nie – dodaję po chwili.

– Poradzisz sobie?

– Nie wiem – powtarzam i zmuszam się do uśmiechu. – Może tak, może nie.

Bo taka jest prawda. Ale muszę też przyznać, że od kilku godzin jestem dużo spokojniejsza. Czy to dlatego, że znalazłam nowe wytłumaczenie dla moich stanów? Czyżby ten sekret był kluczem do uwolnienia się z krępującego mnie lęku? Nie wiem. Jakoś nie mam wrażenia, że wiem dużo więcej niż wcześniej. Tylko dwóch rzeczy jestem pewna: muszę wrócić do domu i zobaczyć się z tatą.

Jasper ściska moją dłoń, ale tym razem nie puszcza. Za chwilę znów zasypia, cały czas trzymając mnie za rękę.

– Zadzwoń do ciebie – mówi.

Jest siódma rano, radiowóz stoi wreszcie pod moim domem. Jego słowa brzmią jakoś dziwnie niezręcznie. Jak kiepskie zakończenie beznadziejnej pierwszej randki. Jasper też to wie. Ale to i tak dużo lepsze pożegnanie niż prawda, którą oboje znamy: Do zobaczenia na pogrzebie Cassie. Żadne z nas nie chce teraz o tym myśleć.

– Dzięki – mówię, a policjantka otwiera drzwi, żeby mnie wypuścić.

To też brzmi dziwnie, ale również jest szczere. Gdyby nie Jasper, zostałabym w płonącym domku z Cassie i czekała, aż i mnie pochłonie ogień.

– Dzięki Bogu, nic ci nie jest – mówi tata na mój widok i mocno mnie obejmuje.

Czekałam na ten uścisk od wypadku mamy. Spodziewałam się, że na jego widok poczuję złość. Myślałam, że wybuchnę furią za to, jak wiele przede mną ukrywał. Ale teraz to wszystko nie ma znaczenia, liczy się tylko to, że nic mu się nie stało. Że nie straciłam też jego.

Próbuję coś powiedzieć, ale jestem w stanie tylko płakać. Zaskakuje mnie ten donośny szloch, bo nie wiedziałam, że tłumiałam w sobie aż tyle uczuć. Czuję, że Gideon, który stoi oparty plecami o drzwi kuchni, patrzy na mnie zdziwiony. Ma zatroskany wyraz twarzy, kiedy wreszcie odsuwam się od taty i wycieram łzy.

– Co się stało? – pyta, a w jego głosie jest jakiś ostry ton, jakby obwinił mnie o to, że Cassie nie wróciła ze mną.

– Na razie dajmy sobie spokój z pytaniami, okej? – mówi tata.  
– Niech Wylie najpierw dojdzie do siebie.

– Zrobiłam, co mogłam – tłumaczę, a Gideon wychodzi do dużego pokoju.

Mówię to, mimo że te słowa brzmią jak kłamstwo. A może właśnie dlatego.

– Wiem, kochanie. – Tata znów mnie przytula i jego gest jest taki naturalny, taki dobry. – Wszyscy to wiemy.

Jest dużo później. Umyłam twarz, włożyłam czyste ubranie i kilkakrotnie próbowałam wyszorować z włosów ten okropny smród dymu i śmierci. Tata zrobił mi grzanki i herbatę i kazał wypić dwie szklanki wody. Dopiero teraz zaczęłam opowiadać mu wszystko ze szczegółami. A w każdym razie wszystko, co wiem, czyli w sumie pewnie bardzo, bardzo mało.

– To był błąd – mówi tata ze zboląłym wyrazem twarzy i kręci

głową. Przez chwilę mam wrażenie, że wreszcie zobaczę w jego oczach łzy. – Miałaś prawo poznać swoje wyniki. Nie powinienem był ich przed tobą tacić. Teraz to rozumiem. Ale uwierz mi, że zrobiłem to z myślą o twoim dobru. Chciałem, żebyś miała wybór.

– Jaki wybór?

– Kto wie, do czego to wszystko doprowadzi? Póki co widziałaś, jak zareagowali Quentin i Kolektyw. A jest jeszcze wiele rzeczy, o których ludzie nie wiedzą. Jeśli stracę kontrolę nad danymi, nie będę miał wpływu na bieg zdarzeń.

– Już go nie masz. Quentin, czy tam doktor Caton, jakkolwiek się nazywa, wiedział o wszystkim. Moim zdaniem to on się włamał do twojego systemu.

Tata kręci głową.

– Nie o wszystkim. Wiedziałem, że ktoś włamał się do mojej bazy danych i do skrzynki pocztowej. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że dobrali się też do mojej komórki. Pewnie użyli jakiegoś prowizorycznego podsłuchu IMSI, żeby nagrywać moje rozmowy. A już na pewno nie miałem pojęcia, że po naszej rozmowie wysyłają do ciebie te wszystkie esemesy i manipulują moimi słowami, żeby jeszcze bardziej ci zaszkodzić. Musieli jakoś zablokować moje połączenia wychodzące. Albo przez twój telefon, albo przez serwery, bo z mojej strony wszystko wskazywało, że sygnał przechodzi bez problemu. Cały czas próbowałem cię namierzyć. Chcę, żebyś to wiedziała. – Znowu kręci głową.

– W każdym razie robiłem dodatkowe badania, o których Caton nie wie. Od tamtej pory właściwie tylko tym się zajmowałem. Badałem wyłącznie outlierów. Po testach na twojej mamie przeprowadziłem drugą fazę eksperymentów. Były szybkie i dość proste, ale znalazłem więcej przypadków. Ich udział w ogólnej liczbie badanych był mniej więcej podobny. Ale żaden nie miał tak rozwiniętych umiejętności jak ty. Teraz już wiem, że nawet w ramach samej tylko populacji outlierów poziom empatii jest bardzo zróżnicowany. I o ile nadal uważam, że osoba niebędąca outlierem nie jest w stanie osiągnąć tych umiejętności, co tak bardzo chciał na swoim przykładzie udowodnić Caton, to dziś sądzę, że sami outlierzy mogą rozwijać swoje zdolności.

– I? – pytam. – Bo widzę, że się czymś przejmujesz. A to, jak

wiesz, nie bardzo mi służy.

– Nie, nie przejmuję się niczym, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że nie mam pewnych wątpliwości. Chcę być z tobą szczery. Tak bardzo, jak tylko potrafię.

– Okej, ale jeśli myślałeś, że to mnie uspokoi, to się myliłeś.

– Jak wiesz, w pierwszej grupie badanych było tylko troje outlierów. A właściwie dwójka plus ty. Oczywiście nie brałaś udziału w pierwotnym badaniu. Od razu zacząłem podejrzewać, że ten fenomen jest jakoś związany z wiekiem, bo byłaś najmłodsza ze wszystkich.

– Tak. Doktor Simons, czy co to był za człowiek, mówił, że to kwestia wieku i że cała nasza trójka miała mniej niż osiemnaście lat.

– Zgadza się, choć nie sędzę, by była to jakaś sztywna granica. Zmiany zachodzące z wiekiem są bardziej płynne i przebiegają inaczej u każdego człowieka. Być może jest to jakoś związane z budową mózgu i połączeniami synaptycznymi. Obie te rzeczy podlegają u nastolatków dynamicznym przemianom. Możliwe też, że cokolwiek w ludzkim mózgu umożliwia tę pozazmysłową percepcję emocji, w dorosłym życiu zanika, bo ulega atrofii.

– Atrofii? Chyba przestałam rozumieć.

– Leży odłogiem, wysycha, umiera – tłumaczy. – Ale na razie to czyste spekulacje. Teoria. Nie wiem jeszcze, co powoduje ten stan. Wiem tylko, że istnieje. Być może zawsze istniał, ale ponieważ jest tak nieuchwytny, to nikt go nie zauważył. A może wykształcił się niedawno. Trzeba przeprowadzić jeszcze mnóstwo badań. Natomiast jeśli outlierzy nauczyliby się wykorzystywać tę wzmożoną percepcję, pielęgnować ją jako autentyczną umiejętność, to istnieje szansa, że pozostałaby aktywna i w późniejszych latach ich życia. Być może nawet zyskałaby na sile i zasięgu i stała się czymś na kształt prawdziwej, naukowo weryfikowalnej i niezwykle praktycznej intuicji.

– No dobrze, brzmi to interesująco – mówię – ale wróćmy do twoich wątpliwości.

– Muszę przeprowadzić porządne badania na dużą skalę, na znacznie większej grupie osób. Jak już powiedziałem, nie znamy przyczyny tego zjawiska. Może się okazać, że tkwi gdzie indziej, wcale nie w strukturze mózgu. Na przykład w genach. Twoja mama nie chciała

się poddać badaniu, ale miała podwyższoną inteligencję emocjonalną. No i jest jeszcze twoja babcia...

– Myślisz, że ona...

– Nie wiem – odpowiada szybko, chyba zdając sobie sprawę, że nie powinien być o niej wspominać. Jej historia nie miała happy endu. – Najważniejszym czynnikiem może się okazać socjalizacja. Może nawet miała miejsce jakaś mutacja wirusowa, choć to nie tłumaczyłoby wszystkiego w tym przypadku. Poza tym nie brałem pod uwagę orientacji seksualnej ani tożsamości płciowej jako potencjalnych czynników. Mówię: próbka była zbyt mała, żeby wyciągać daleko idące wnioski...

– Tato, poczekaj – przerywam mu w końcu. – Wykrztuś to wreszcie, błagam. Bo czuję, że cały czas omijasz coś dużym łukiem.

– Wszystko wskazuje na znaczną dysproporcję płciową.

– A po ludzku?

– Outlierzy, zarówno ci wyjątkowo uzdolnieni, jak i ci bez żadnych specjalnych cech, to jak na razie same dziewczyny – mówi tata. – Nawet w tych dodatkowych badaniach.

– Okej – cedzę powoli. – Podoba mi się to. Punkt dla dziewczyn.

– Tyle że jeśli ta umiejętność faktycznie jest domeną wyłącznie kobiet, wszyscy mężczyźni będą się czuli poszkodowani. Nie wiemy jeszcze, jak bardzo da się tę cechę rozwinąć.

– No to najwyżej faceci będą musieli przełknąć gorzką pigułkę – mówię. Nie chcę bagatelizować problemu, ale nadal nie rozumiem, do czego tata zmierza. Albo nie chcę zrozumieć. Męczy mnie ten wyraz jego twarzy. Strach. Chciałabym, żeby przestał się tak bać. – Przecież to nie do nich należy decyzja, co jest prawdą.

– Zdziwiłabyś się, ile osób chciałoby o tym zdecydować – mówi tata. – Całymi latami mężczyźni uważali, że to, co czyni kobiety wyjątkowymi, zarazem dowodzi ich niższości. A teraz ja miałbym dać im dodatkową broń do ręki?

– Jesteśmy słabsze, bo potrafimy coś, czego oni nie umieją? – pytam. – To bez sensu.

– Wiele ludzkich przekonań nie ma sensu, Wylie. – Tata kręci głową. – Właśnie dlatego świat jest takim tragicznym miejscem.

Tragicznym? W mojej głowie pojawia się nagle myśl: to nie był wypadek. Aż do tej chwili próbowałam zbyć gadaninę Quentina o śmierci mamy jako jedno z wielu jego kłamstw, ale teraz nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

– Doktor Caton i ten fałszywy doktor Simons powiedzieli mi, że śmierć mamy nie była przypadkowa. – Wciskam dłonie między kolana, żeby nie widzieć, jak się trzęsą. – Słyszałam od nich tyle kłamstw, że sama już nie wiem, w co mam wierzyć, ale...

Oczy taty momentalnie się szklą.

– Gdybyś zapytała mnie o to kilka tygodni temu, powiedziałbym, że to na pewno był wypadek. Dzisiaj nie jestem już tego pewien.

– Uśmiecha się, lecz nie jest to przyjemny uśmiech. Po jego policzkach pierwszy raz płyną łzy. – Jechała moim samochodem. Może ktoś myślał, że to ja.

– Kto? Doktor Caton? – pytam.

Tata kręci głową i wyciera oczy.

– Nie sądzę. Jemu raczej nie zależało na mojej śmierci.

Potrzebował mnie do udowodnienia swoich racji.

– W takim razie kto?

Patrzy na mnie i widzę, że jest to ostatnia rzecz, o której chce ze mną rozmawiać.

– Naprawdę nie wiem.

– A ci „inni ludzie”, o których ciągle mówił Quentin?

– Chciałbym móc ci powiedzieć, że sobie to wszystko wymyślił.

Ale prawda jest taka, że moje badania potencjalnie mogą mieć daleko idące konsekwencje. Z tego powodu są wartościowe dla bardzo różnych grup. Zarówno dobrych, jak i złych. – Przez chwilę tata siedzi ze spuszczoną głową. – Mama chciała, żebym ci powiedział o twoich wynikach. Uważała, że zasługujesz na to, by je poznać. Że masz do tego prawo. – Bierze głęboki wdech. – Nawet jej powiedziałem o nich z miesięcznym opóźnieniem, dopiero po Święcie Dziękczynienia.

I potem nieustannie się o to kłóciliśmy, aż do wypadku. Sześć zmarnowanych miesięcy. Nigdy sobie nie wybaczę, że jej nie posłuchałem. A miała rację. Zawsze we wszystkim miała rację.

Oczywiście moim podstawowym błędem było w ogóle zapisanie twoich



wyników. Ale mój wewnętrzny naukowiec... – Tata znów kręci głową. – Wątpliwości wystarczyło mi tylko na tyle, żeby zamienić wasze wyniki, twoje i Cassie. Parę dni później się opamiętałem i usunąłem je z bazy danych, tyle że było już za późno, bo ktoś się do niej włamał.

– Wiedziałeś, że zniknięcie Cassie ma związek z twoją pracą?

– Nie. Ale tego wieczoru, kiedy była u nas Karen, zadzwonił do mnie doktor Simons i powiedział, że jego znajomy, który pomagał nam zabezpieczyć system, stwierdził jeszcze jedną próbę włamania. To dosyć duży zbieg okoliczności, ale ja nie widziałem związku. Przede wszystkim nigdy nie widziałem realnego zagrożenia w osobie Catona.

Przypomina mi się moja ostatnia rozmowa z tatą, kiedy byłam na stacji benzynowej. Jak mu wykrzyczałam, że wołałabym, by to on zginął w wypadku, a nie mama. Aż się wzdrygam na to wspomnienie.

– Przepraszam za to, co mówiłam przez telefon. Nie chciałam. Naprawdę.

– Wiem. Ja zaś przepraszam, że groziłem ci telefonem do doktor Shepard. Ale jak tylko powiedziałaś, że namierzyłaś Cassie i po nią jedziesz, przestraszyłem się, że coś jest bardzo nie tak. A potem jeszcze nie chciałaś mi powiedzieć, gdzie ją znalazłaś.

– Bo wtedy jeszcze sama nie wiedziałam – mówię. – Chciałam być dobrą przyjaciółką.

Teraz moje oczy wypełniają się łzami.

Tata kładzie rękę na mojej dłoni.

– Wiem, kochanie. To nie twoja wina, tylko moja. Robiłem, co mogłem, żeby cię znaleźć. Zadzwoniłem na policję, ale kiedy im powiedziałem, że wyjechałaś z własnej woli, zbyli mnie jeszcze szybciej niż Karen. Powiedzieli mi wprost, że nie zamierzają cię szukać. Więc uchwyciłem się jedynej alternatywy i pomyślałem o doktor Shepard. Oczywiście te wiadomości, że już z nią rozmawiałem i że została zgłoszona jako niebezpieczna dla otoczenia, nie były ode mnie. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Ale nie powinienem był nawet tego sugerować – mówi ze smutkiem w głosie. – To żadna wymówka, ale naprawdę się bałem, że stanie ci się jakaś krzywda. Szkoda, że nie widziałaś, jak próbowałem namierzyć twój telefon. Od razu pożałowałem, że nie zainstalowałem w nim tej aplikacji. Szukałem

innego sposobu na wysłedzenie sygnału, ale bez skutku. – Tata wyciąga drugą rękę i obejmuje mnie za kark. Opiera swoje czoło o moje. – Tak się cieszę, że nic ci się nie stało.

Siedzimy zetknięci głowami, kiedy rozlega się dzwonek u drzwi. Myślę o Karen, która zjawiała się w naszym domu. Było to ledwie dwa dni temu, ale ja mam wrażenie, że minęła cała wieczność.

– Poczekaj – mówi tata. – Otworzę.

Słyszę jego kroki w przedpokoju i dźwięk otwieranych drzwi. Potem nieznajomy głos i odpowiedź taty.

– Tak? W czym mogę pomóc? – pyta, ale jego ton wcale nie zdradza chęci niesienia pomocy. Osoba za progiem musiała coś odpowiedzieć, bo tata znów pyta: – Nie możecie z tym poczekać? – Teraz jest już ewidentnie rozdrażniony. – Sporo przeszła. Odpoczywa.

„Przeszła”, czyli mowa o mnie. Już wstałam i idę sprawdzić, co się dzieje. Martwię się, ale bynajmniej nie dlatego, że jestem outlierem – mamy z tatą jeszcze sporo do przegadania, zanim w to uwierzę. W tej sytuacji każdy by się przejmował.

– Obawiam się, że to pilne, doktorze Lang. – Słyszę czyjś niezbyt uprzejmy, oficjalny ton. – Musimy zadać pańskiej córce kilka pytań i niestety nie mamy dużo czasu.

– Powiedziała już policji wszystko, co wie – odpiera mój tata, a ja próbuję wyjrzeć za drzwi, chociaż wciąż nie jestem pewna, czy chcę zobaczyć, kto za nimi stoi.

– Rozumiem i bardzo mi przykro – odzywa się kolejny głos, mniej oschły, lecz równie stanowczy – ale będzie musiała to wszystko powtórzyć w Departamencie Bezpieczeństwa.

Wreszcie udaje mi się spojrzeć tacie przez ramię. Na naszej werandzie stoi sześciu mężczyzn. Wszyscy są rośli i starannie ogoleni. Mają na sobie identyczne wiatrówki ze złotym emblematem na prawej piersi. Mimo różnic w budowie ciała, sprawiają wrażenie wyciętych z tego samego szablonu. Agenci jakichś służb.

– Wylie Lang? – pyta jeden z nich, najwyższy z całej grupy. Uśmiecha się do mnie, pokazując za duże, za jasne zęby.

– Znaleźliście Cassie? – odpowiadam pytaniem. Wciąż nie umarła we mnie nadzieja, że jakimś cudem udało się jej przeżyć.

– Niestety tak – odpowiada inny. Ten z kolei jest najbardziej umięśniony, wygląda na komandosa. – Zginęła na miejscu, jak zeznałaś. Razem z innymi członkami Kolektywu.

– Co? Wszyscy nie żyją? – pytam, a moje serce przyspiesza. Myślę o Fionie i Miriam. O Lexi i jej córeczce, która czeka na nią w domu. Może nie były niewinne, ale żadna nie zasłużyła na śmierć. – Jak zginęli?

– Doktor Quentin Caton – mówi trzeci agent. – Sądzymy, że to on jest sprawcą.

– Sprawcą czego?

– Wielokrotne rany postrzałowe. Prawdopodobnie automatyczna broń palna – odpowiada mi takim tonem, jakby sugerował, że powinnam to wiedzieć. – Nie wygląda na to, by którykolwiek z członków Kolektywu, oraz sam doktor Caton, zdołał uciec. Wszystko wskazuje na morderstwo i samobójstwo sprawcy. Ale musimy jeszcze poczekać na oficjalną identyfikację zwłok i raport lekarza sądowego.

– Ale przecież to nie ma sensu – dziwię się. – Mieli tylko jeden karabin. Prawie zabytkowy.

– Być może był tam ukryty arsenał, o którym nie wiedziałaś – mówi najszczerzejszy takim tonem, jakby uważał, że tylko idiotka może wierzyć, iż wie wszystko na temat swoich prześladowców.

Może i nią jestem, ale i tak nie jestem w stanie uwierzyć w ich wersję zdarzeń.

Chyba że tamci naprawdę się zjawili, myślę po chwili. Zjawili się i wszystkich zamordowali.

– North Point, ta firma zbrojeniowa – podsuwam. – Może to oni?

– North Point? – pyta niski, z włosami tak jasnymi, że prawie białymi. Jego głos zdradza, że i ten agent nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania.

– Ta firma zbrojeniowa – powtarzam i już żałuję, że to powiedziałam. Bo brzmi to idiotycznie. Ale z drugiej strony jest to jedyne sensowne wytłumaczenie. – Chcą zdobyć wyniki badań mojego taty.

Agenci patrzą po sobie, każdy ze ściągniętymi brwiami. Jedyne pulchny w ich gronie wyciągnął telefon i pisze coś na klawiaturze.

– North Point, tak? – powtarza na głos. I po chwili mówi, patrząc w ekran komórki: – Mamy kościół, producenta szklanych drzwi, rozwiązania cyfrowe, cokolwiek to znaczy... Nie widzę niczego z branży zbrojeniowej.

– A mamy w niej całkiem dobre rozeznanie – mówi ten tyczkowaty i patrzy po swoich kolegach, którzy mu przytakują. – O żadnym North Point jeszcze nie słyszeliśmy.

– Ale oczywiście sprawdzimy. Bardzo chętnie wszystko to z panią omówimy, panno Lang – zwraca się do mnie ten wysoki, z białymi zębami. Robi krok do przodu. – Wysłuchamy wszystkiego, co ma pani do powiedzenia, i sprawdzimy każdą teorię. Ale najpierw musimy pojechać z panią do naszego biura i zadać kilka pytań. Obiecuję, że nie potrwa to długo.

Mój telefon wibruje w tylnej kieszeni spodni. Dwa razy. Dwie wiadomości, jedna po drugiej. Potem trzecia. Wyjmuję aparat i widzę trzy esemesy od Jaspera. Wszystkie z tym samym pytaniem.

**Przyszli do was jacyś agenci?**

Odwracam się plecami do drzwi i odpisuję:

**Tak. A co?**

Odpowiedź Jaspera przychodzi natychmiast. I jest tylko jednym słowem.

**Uciekaj.**

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojej niezmordowanej i wytrwałej redaktorce, Jennifer Klonsky, za podjęcie ryzyka i okazanie mi ponadludzkiej cierpliwości. Twój wkład w niniejszą powieść był nieoceniony. Jestem ci wdzięczna nie tylko za twoje wybitne umiejętności redaktorskie, ale też za wnikliwe oceny i ostre poczucie humoru. Dziękuję Catherine Wallace i Elizabeth Lynch za ich pomoc.

Wielkie dzięki dla Suzanne Murphy i Susan Katz za wystrzelenie tej serii w powietrze i dla Kate Jackson za utrzymanie jej w locie.

Dziękuję niezwykle pracowitym i utalentowanym ludziom z biura marketingu HarperTeen: Diane Naughton, Elizabeth Ward, Karze Brammer i Sabine Abballe, a także niesamowicie pomysłowym ekipom od marketingu zintegrowanego: Coleen O'Connell, Margot Wood i Ninie Mehta, i marketingu szkolno-bibliotecznego: Patty Rosati i Molly Motch. Dziękuję też moim cudownym agentkom do spraw mediów, Cindy Hamilton i Ginie Rizzo.

Wielkie podziękowania dla wszystkich, którzy stworzyli te wspaniałe ilustracje: Barb Fitzsimmons, Alison Donalty, Alison Klaphor i przede wszystkim dla Sary Kaufman.

Dziękuję błyskotliwym specom od sprzedaży w HarperTeen: Andrei Pappenheimer, Kerry Moynagh i Kathy Faber. Podziękowania należą się też Jen Wygand, Jenny Sheridan, Heather Doss, Deborze Murphy, Fran Olson, Susan Yeager, Jess Malone, Jess Abel, Samancie Hagerbaumer, Andrei Rosen i Jean McGinley.

Dziękuję wszystkim oddanym redaktorom prowadzącym, Joshowi Weissowi i Bethany Reis, i mojej redaktorce językowej, Valerie Shea.

Stokrotne dzięki dla mojej wspaniałej agentki Marly Rusoff, a także dla Michaela Radulescu i Julie Mosow. Wyrazy wdzięczności dla niezmordowanej Giny Iaquinty. Dziękuję też Lynn Goldberg, Kathleen Zrelak, Shari Smiley, Lizzy Kremer i Harriet Moore. No i zawsze cudownej Claire Wachtel.

Dziękuję specjalistom, którzy tak hojnie obdarowali mnie swoją wiedzą albo skierowali do osób mogących mi pomóc. Mówię tu o dr. Marcu Bracketcie, Ann Enthoven, dr Cassandrze Gould, Wendy Green,

dr Allyson Hobbs, Leslie Lewin, dr. Johnie D. Mayerze, dr Rebecce Prentice, dr Susan Rivers, Kate Rozen, dr. Peterze Saloveyu i dr. Matcie Wallu. Dużo czerpałam z niesamowitej pracy Roxanne Gay.

Bezgraniczna wdzięczność należy się mojej rodzinie i przyjaciołom: Martinowi i Claire Prentice'om, Mike'owi Blomowi, Catherine i Davidowi Bohigianom, Cindy Buzzeo, Carze Cragan i Michaelowi Moroneyowi, rodzinie Craganów, rodzinie Crane'ów, Joemu i Naomi Danielsom, Larry'emu i Suzy Danielsom, Bobowi Danielsowi i Craigowi Leslie, Diane i Stanleyowi Dohmom, Elenie Evangelo i Danowi Panosianowi, Dave'owi Fischerowi, Heather i Michaelowi Frattone'om, Tanii Garcii, Jasonowi i Jessice Garmise'om, Sonii Glazer, Jeffowi Johnsonowi, Davidowi Kearowi, Merrie Koehlert, Hallie Levin, Johnowi McCreightowi i Kim Healey, Brianowi McCreightowi, rodzinie Metzgerów, Jasonowi Millerowi, Tarze i Frankowi Pomettim, Stephenowi Prentice'owi, Motoko Rich i Markowi Toppingowi, Jonowi Reinishowi, Bronwen Stine, rodzinie Thomatosów, Meg i Charlesowi Yontsom, Denise Young Farrell i Christine Yu. Dziękuję baristom w Starbucksie przy Park Slope za to, że traktowali mnie jak honorową klientkę. Specjalne podziękowania dla wspaniałej Kate Eschelbach za wytrwałość w pilnowaniu domu pod moją nieobecność.

Jestem ogromnie wdzięczna mojej pierwszej czytelniczce, Megan Crane. Dziękuję Nicole Kear za codzienne uwagi i Victorii Cook, która lata temu rozpałała we mnie małą iskierkę.

Dziękuję mojej córce, Emerson, za to, że codziennie inspiruje mnie swoim charakterem i determinacją. I drugiej córce, Harper, za bycie żywym przykładem idealnej równowagi między łagodnością i odwagą. Wielkie dzięki dla mojego męża, Tony'ego, za długie miesiące rodzicielskich nadgodzin i za to, że przy nim nasze córki i ja zawsze mamy uśmiech na twarzy. Nie dałabym rady bez ciebie, nawet nie chciałabym próbować. Całej waszej trójce dziękuję za to, że każdego dnia witaliście mnie w domu z otwartymi ramionami.

## przypisy końcowe

Mowa tu o Parku Narodowym Acadia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)

NRA (National Rifle Association of America) – Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie Ameryki. [\[wróć\]](#)

Outlier (ang.) – element odstający, termin statystyczny oznaczający obserwację znacząco oddaloną od innych obserwacji w próbie. Może to być np. któraś ze skrajnych wartości rozkładu normalnego, tutaj: osoba o wyjątkowym natężeniu omawianej cechy. [\[wróć\]](#)

ESP (ang. Extrasensory perception) – postrzeganie pozazmysłowe. [\[wróć\]](#)

NIH (National Institutes of Health) – Narodowe Instytuty Zdrowia, część amerykańskiego Departamentu Zdrowia. [\[wróć\]](#)

